r

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

**PARYŻ**

**Nr 1/75 - 2/76**

**1954**

• «La Culture» • Revue mensuelle

**NAGRODA LITERACKA „KULTURY" ANTYAMERYKANSKI PISARZ -**

**PROFESOR SHARP**

PAWEŁ HOSTOWIEC:

**OBRAZY Z CZASÓW**

**KRYZYSU ROLNEGO**

SPIS RZECZY :

Paweł Hostowiec : *Obrazy z czasów kryzysu rolnego ....* 5

Michał Sokolnicki : *Niemcy po Wielkiej Przegranej* (2) . . 17

Witold Gombrowicz -. *Fragmenty z dziennika*  31

Stanisław Kościałkowski : *Francuz odkrywa Stanisława Augusta* 39

Tymon Terlecki : *,,Hamlet” polski i angielski ........* 61

Danuta Bieńkowska : *Cztery mile za piec*  80

Florian Śmieja : *Czarne strofy*  82

Zygmunt Ławrynowicz : *Dziwne miasto .*  83

Józef Mackiewicz : *Fotograf*  84

STRATY KULTURY POLSKIEJ

K. A. Jeleński : *Bluzka z błękitnych pereł* 99

K. I. Gałczyński : *Do mowy polskiej*  103

K. I. Gałczyński : *Nocny testament*  104

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski : *List z Wyspy*  106

K. A Jeleński : *Makiawel i Jałta* .................. 111

Łukasz Winiarski : *List z Jugosławii* (2; 114

SPRAWY I TROSKI

Wojciech Zaleski : *Uwagi i wnioski w sprawie Kolegium*

[*Wolnej Europy* 12.5](#bookmark49)

S. N. : *Ludzie z Kraju o F. E.............* 135

KRAJ

Roman Krzyczkowski : *Metro w Warszawie* 140

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Wacław Szyszkowski : *Palestra warszawska*  151

Kronika KULTURALNA

Jan Ulatowski : *Nonsens treści i formy* 161

Krytyk : *Rzymianie nie zdobywali Everestu . .* 164

Londyńczyk : *Kronika angielska* 170

[J. J. : *Wystawa rękopisów i druków* 174](#bookmark63)

Jan Torosiewicz : *Wystawy paryskie* 175

KSIĄŻKI

K. A. Jeleński : *Poeta i historia* 179

Janusz Jasieńczyk : *Bieg do Fragala* 185

Czesław Miłosz : *Młodzi poeci* 191

Jul. Mier. : *Chleb i kamień*  194

[(j) : *Notatki wydawnicze* 196](#bookmark75)

[Tj» : *Przegląd miesięczników* 200](#bookmark77)

*— Nadesłane nowości wydawnicze* .... 201

JAK PISZEMY

Stanisław Westfal : *Pielę ,,Ziele”*  204

Tadeusz Gierymski : *Ze Polacy nie gęsi* 216

♦

*— Indeks autorów i tematów rocznika*

[*,,Kultury” za rok 1953*  218](#bookmark87)

♦

Arcybp. Józef F. Gawlina, W. Gniatczyński, St. Zarzewski, J. S. Dutkowski, Z. Kiersnowski,

W. K., J. Jenne, A. Polakiewicz: *Listy do Redakcji*  23u

♦

[*— Noty biograficzne autorów* 237](#bookmark91)

*— Résumé en langue française* 239

KULTURA

**Szkice • *Opowiadania • Sprawozdania***

PARYŻ Janvier-Février

1954

INSTYTUT

LITERACKI

Do
prenumeratorów
i czytelników
" Kultury ”

*Odmiennie niż w latach ubiegłych rozpoczynamy rok* 1954 *numerem podwójnym (styczeń-luty). Zdecydowaliśmy się na to celem wyrównania odstępów czasu pomiędzy numerami pojedyń- czymi i podwójnymi naszego pisma. Dotychczas numery pod­wójne ukazywały się w miesiącach luty-marzec oraz lipiec-sierpień każdego roku, obecnie zaś wydawać je będziemy w styczniu- lutym oraz lipcu-sierpniu.*

*Następny pojedyńczy mimer „Kultury” ukaże się* 1 *marca rb.*

*Adres londyńskiego biura ,,KULTURY" jest następujący :
Juliusz Mieroszewski,
11, Gainsborough Road,*

*London, W.4., Tel. : CHIswick 3231*

**Imprimé en France**

**Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII’)**

Le roman de Czesław MIŁOSZ
**LA PRISE DU POUVOIR
traduit du polonais par J. Hersch**

**PRIX LITTÉRAIRE EUROPÉEN 1953**

**est à présent en vente dans toutes les librairies Un volume 500 fr.**

***Vient également de paraître :***

Un essai de Czesław MIŁOSZ

**LA PENSÉE CAPTIVE**

**traduit du polonais par André Prudhommeaux et l’auteur**

**Un volume 650 fr.**

 **GALLIMARD**

KSIĄŻKI POLSKIE

Powieści, pamiętniki, książki dla młodzieży,
książki techniczne i zawodowe, książki dla
dzieci, podręczniki do nauki języków obcych

*oraz*

**POLSKIE PŁYTY GRAMOFONOWE**

oberki, polki, walczyki, krakowiaki, tanga
oraz piosenki patriotyczne i wojskowe

*poleca*

“LIBELLA”

**SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ**

**12, rue St-Louis-en-rile - Paris-4\***

Telephon DANton 51-09

Metro : Sully-Morland albo Pont-Marie. Autobusy : Nr. 86 oraz 67.

*Żądajcie BEZPŁATNYCH katalogów.*

Nagroda literacka
44 Kultury ”
na rok 1954

**KULTURA** ustanawia nagrodę w wysoko­ści 100.000 franków (to jest £ 100 lub dolarów am. 300) za **pracę literacką (po­**wieść, essay, opowiadania) **dotychczas nieopu blikowaną.**

Nagrodzona praca będzie jednocześnie wy­dana w ramach ,,Biblioteki KULTURY”, przy czym autor jej — niezależnie od nagrody — otrzyma honorarium w myśl ogólnie przyjętych zwyczajów.

Maszynopisy, nieprzekraczające 300 stron znormalizowanego formatu, należy nadsyłać do Redakcji KULTURY ( 1, Avenue Corneille, Maisons Laffitte (S.-et-O.), France) **do dnia 31 października 1954 roku.**

Maszynopisy winny być zaopatrzone godłem, przy czym należy do nich dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą nazwisko i adres autora.

W skład jury wchodzą : Jerzy Giedroyc, Paweł Hostowiec i Konstanty A. Jeleński.

Obrazy z czasów kryzysu rolnego

1. BUNT ROLNIKÓW ARGENTYŃSKICH

Wyniesiony przez jedną z tamtejszych bezkrwawych rewo­lucji na stanowisko prezydenta Argentyny, generał Juan Do­mingo Peron nie ma dobrej prasy na Zachodzie. Demagog, pi- szą o nim dziennikarze, dyktator : zamknął niezależną prasę, skonfiskował drukarnie, trzyma w więzieniu przywódców opo­zycji. Szaleniec : upaństwowił najbardziej prosperujące przed­siębiorstwa i nie wie co z nimi począć; wzorem sowieckim chce w dwa plany pięcioletnie pokryć fabrykami kraj rolników i pa­stuchów. Od kilku lat stało się w prasie zwyczajem opatrywać rzadkie wiadomości z Argentyny ironicznymi notatkami redak­cyjnymi.

Niechęć Europejczyków do argentyńskiego generała ma za­pewne różne słuszne przyczyny. Większość argentyńskich nowi­nek, ,,solidarność narodowa”, ,,blok peronistów”, ,,reforma kulturalna”, ,,plany pięcioletnie” itd., płynące w szumie sztan­darów i potokach patriotycznej wymowy, przypominają im ma­**ło** zachęcające wzory europejskie. Są to jednak zjawiska w znacz­nej mierze powierzchowne, piana płynąca w naszym wieku ryn­sztokami rewolucji. Przewrót odbywający się w Argentynie nie jest na pewno zjawiskiem prostym, i Polacy czy Rumuni, po­chodzący sami z krajów rolniczych, mogą dostrzec w nim wiele rysów sobie znanych lecz mniej widzialnych dla ludzi wychowa­**nych** na asfalcie krajów przemysłowych.

Argentyna należy do krajów, które wyciągnęły największe korzyści z drugiej wojny światowej. Rolnicza część Europy zna­lazła się wówczas od razu w rękach niemieckich i wojujące kraje przemysłowe Zachodu musiały aprowidować się w Ameryce, nie oglądając się na cenę towarów. Anglia została w krótkim cza­sie wystrzyżona nie tylko ze swego zapasu dewiz i złota, ale **także** z kapitałów inwestowanych za ocean. Wzamian za zboże **i** mięso, Argentyna mogła na najkorzystniejszych warunkach na­

być koleje i inne przedsiębiorstwa użyteczności publicznej nale­żące do towarzystw angielskich.

Przeglądając kiedyś przed wielu laty teksty koncesji kole­jowych w Argentynie, piszący te słowa zainteresował się obszer­nymi terenami rolniczymi należącymi do towarzystw kolejo­wych. Tereny te ,leżące wzdłuż dróg żelaznych, stały przeważ­nie odłogiem. Koleje biegły częściowo przez stepy i w braku pa­sażerów pociągi na niektórych liniach kursowały raz na ty­dzień. Dlaczego koncesjonariusze nie zrobili nic dla kolonizacji tych terenów, niezbędnych na pozór dla amortyzacji tego rodza­ju przedsiębiorstw ? Ziemia w Argentynie wzrastała w cenie, umowy gwarantowały koncesjonariuszom stałe oprocentowanie inwestowanego kapitału, reszta zaś interesowała ich mało.

Podobnie wyglądały inne przedsiębiorstwa użyteczności pu­blicznej. Gazownie sprowadzały węgiel zza oceanu, nie interesu­jąc się bogatymi źródłami gazów ziemnych. Na drogim gazie i handlu węglem można oczywiście więcej zarobić niż na tanim gazie ziemnym.

Zyski z inwestowanych w ten sposób kapitałów Argentyna opłacała wywozem artykułów rolniczych i hodowlanych, których ceny leżały na samym dnie wolnego rynku. Ale i tych cen rolnicy argentyńscy nie dostawali do ręki. Zboże skupowały wielkie fir­my eksportowe posiadające Spichrze i składy portowe. Na amor­tyzację tych ostatnich i na zyski właścicieli odpadała część nis­kich cen, jakie uzyskać było można zagranicą. Jeżeli w tych warunkach znajdowano wciąż ludzi chętnych do pracy na roli i nawet przyjeżdżających w tym celu z Europy Wschodniej, wy­tłumaczyć to można tylko tym, że ludność krajów rolniczych nie miała innego wyboru jak tylko między pracą za 50 groszy na dzień i śmiercią głodową. Imigrantów z Europy przyciągała eks­tensywna i rabunkowa uprawa roli w Ameryce, pozwalająca brać się do rolnictwa bez żadnego kapitału.

Do wybuchu drugiej wojny światowej wszystkie kraje rol­nicze znajdowały się w podobnej sytuacji. Wszystkie posiadały ubogą ludność wiejską, wybierającą między głodem i marnym zarobkiem ; wszystkie kupowały wyroby przemysłowe po wyso­kich cenach, płacąc za nie wywozem artykułów rolniczych po ce­nach wolnorynkowych, opartych na najbardziej rabunkowych systemach uprawy.

Warunki te stworzyły stan wielkiej nierówności między kra­jami starego przemysłu i krajami rolniczymi. W pierwszych ro­botnik przemysłowy otrzymywał złotówkę za godzinę pracy, w drugich robotnik rolny pracował cały dzień za jedną złotów­kę lub nawet za 50 groszy. Kraje przemysłowe, mając możność aprowidowania się tanio w krajach rolniczych, zaniedbywały co­raz bardziej własne rolnictwo. Przybysza z Europy Wschodniej uderza na Zachodzie widok obszarów leżących odłogiem. W oko­licach J<rakowa lub Bielska można było widzieć góry wyorane do wysokości 900 i tysiąca metrów, z których deszcze spłukały warstwę urodzajną, a które uprawiano wciąż w braku innegowyboru. Juź w Rzeszy ziemie takie były zalesione. W krajach leżących dalej na zachód uprawiano tylko najlepsze grunta. Zresz­tą, wobec wyboru między miastem i wsią, w krajach przemysło­wych znajdowano coraz mniej osób chętnych do pracy na roli.

Zastanawiając się nad źródłami zamożności uprzemysłowio­nych krajów Europy Zachodniej, nie możemy pominąć faktu, że kraje te przez blisko sto lat aprowidowały się na pół darmo. Tak łatwo zostać bogatym. Gdyby przynajmniej taniość artyku­łów spożywczych na rynkach międzynarodowych pozwalała ro­botnikom krajów przemysłowych odżywiać się lepiej i taniej, pro­wadząc do zniżki cen wyrobów przemysłowych i częściowego cho­ciażby złagodzenia nierówności między ludnością krajów prze­mysłowych i rolniczych ! Rzeczy wzięły jednak inny obrót. Dla utrzymania resztek własnego rolnictwa, kraje przemysłowe oto­czyły się murami celnymi, utrzymując na rynku wewnętrznym poziom cen rolniczych kilkakrotnie wyższy od poziomu rynku światowego. Żywność importowaną sprzedawano w nich po ce­nach rynku wewnętrznego. Dwoistość cen była źródłem zamoż­ności nie tylko kupiectwa, lecz przede wszystkim organizatorów nierówności i łatwego zarobku, prezesów i dyrektorów, wszyst­kich ,,mec’ów”, których *la folie de Chaillot* w komedii Girau­doux zamyka w lochu, a których liczba i znaczenie w stolicach Zachodu zadziwia obcego przybysza.

W krajach rolniczych, których położenie zdawało się pogar­szać z roku na rok, jako jedyne wyjście z matni widziano na­śladowanie krajów zamożnych i rozbudowę własnego przemysłu, chociażby za cenę długiego okresu jeszcze większego ubóstwa i ograniczeń. Osiągnięcia tego celu nie umiano sobie w danych warunkach wyobrazić inaczej niż za pomocą całkowitej regla­mentacji życia gospodarczego, wymagającej z kolei wzmocnie­nia centralnego aparatu państwowego i — co za tym idzie — ograniczenia wolności i zwiększenia przymusu właściwego dyk­taturom i demokracjom totalitarnym. Tego rodzaju zabiegi nie znajdowały z natury rzeczy sympatii w krajach przemysłowych.

Opisane wyżej wysiłki były przeważnie bezowocne i opinia Zachodu aż do czasów Perona nie miała przyczyny zajmowania się nimi ponad miarę. Walcząc z trudnościami finansowymi i ży- jąc z dnia na dzień, kraje rolnicze nie były w stanie wytworzyć żadnego wspólnego systemu obrony swych interesów. Kraje amerykańskie, ze swym systemem gospodarki rabunkowej i nie­ograniczonym niemal zapasem ziemi, stanowiły zabójczą konku­rencję dla rolnictwa europejskiego. W początku wielkiego kryzy­su ekonomista amerykański Stuart Chase pisał, że otamowanie erozji wodnej i powietrznej, wywołanej w Stanach Zjednoczo­nych przez rabunkowe rolnictwo, wymagać będzie wydatków ocenianych na 35 miliardów dolarów. Tyle straciła na swym sys­temie Ameryka, rujnując jednocześnie rolnictwo europejskie. W Europie najlepszym wyjściem z tej sytuacji wydawało się ograniczenie do minimum własnej produkcji rolnej i pokrywanieniedoboru na wolnym rynku. Nie wszystkie jednak kraje mogły sobie na to pozwolić.

Druga wojna światowa zmieniła niemal zupełnie tę sytua­cję. Cała dawna strefa rolnicza Europy znalazła się w rękach sowieckich. Na próżno łudzono się na Zachodzie, że rządy ko­munistyczne Polski, Węgier i Rumunii będą nadal wywoziły swe ziemiopłody, licząc się z ich ceną jeszcze mniej niż to robiły rzą­dy burżuazyjne. Wywóz z tych krajów ustał zupełnie. Stany Zjednoczone porzuciły za czasów Roosevelta swój system rabun­kowy i nie mogą więcej wywozić zboża po io złotych za kwintal metryczny. Z ubogich krajów rolniczych pozostała jeszcze Ar­gentyna, ale rewolucja wyniosła tam na wierzch Perona, który zarobiwszy podczas wojny trochę pieniędzy przystąpił do forsow­nego uprzemysłowiania kraju. Ludność wiejska zaczęła odpły­wać ku miastom ; jednocześnie przyszły lata posuchy i produk­cja rolna Argentyny skurczyła się do poziomu konsumpcji we­wnętrznej.

Rodzaj paniki ogarnął wówczas kraje przywykłe do na pół darmowej aprowizacji. Organizacja Narodów Zjednoczonych dla spraw rolniczych i aprowizacyjnych podniosła alarm, bo ludność globu wzrastała szybciej niż produkcja środków żywnościowych. Teoria Malthusa, tyle razy obalana przez profesorów, okazała się słuszna, pisały gazety. Głód powszechny wydawał się nieu­nikniony, i wielu zaczęło odżywiać się forsownie na zapas, dla stworzenia rezerwy osobistej.

W tym stadium rozwoju wypadków generał Peron zaczął na wszystkie sposoby zachęcać rolników i hodowców argentyń­skich do zwiększenia produkcji w celu wykorzystania pomyślnej koniunktury i wysokich cen. W początku roku bieżącego rolnic­two argentyńskie wróciło do dawnego poziomu produkcji. Peron nie miał jednak wcale zamiaru sprzedawania zboża i mięsa po dawnych cenach.

W czasach przedwojennych łamano opór krajów rolniczych przy pomocy prostych zabiegów. Kraje eksportujące zboże, aby korzystać z wzajemności traktatowej, nie miały zazwyczaj ceł ochronnych na ten artykuł. Każdy mógł do nich przywieźć zbo­że w dowolnej ilości. Kraj przemysłowy, mając niewielkie zbiory własne i rozwinięty system kolejowy, mógł szybko zmobilizo­wać zebrane zboże i rzucić je, po cenach nie znoszących konku­rencji, na rynek upatrzonego na ofiarę kraju rolniczego, w chwi­li gdy ten ostatni zdołał właśnie po żniwach jako tako ulokować omłóconą część swych zbiorów. Pojawienie się obcego zboża na jego rynku wywołało zwykle rozwiązanie kontraktów, nieprzej­rzany chaos i spadek cen poniżej wszelkiego rozsądnego pozio­mu. Wówczas dopiero kraj przeprowadzający tę operację kupo­wał tam większą partię zboża po cenie najniższej.

Z Peronem tak żartować nie można. Rząd argentyński po­siada monopol zbożowy i jest jedynym nabywcą cerealiów, bę­dąc jednocześnie właścicielem wszystkich Spichrzów i składów portowych. Kto chce aprowidować się w Argentynie, musi trak­tować z Peronem, ten zaś — nie obawiając się więcej polsko- węgiersko-rumuńskiej konkurencji — żąda cen określanych przez nabywców jako ,,bezwstydne”. Nie poprzestając na tym, gene­rał Peron wymaga od swych kontrahentów dostarczenia mu wza- mian —i to po *precios equitativos —* maszyn i urządzeń prze­mysłowych.

Bunt rolników ogarniający dziś całą Amerykę łacińską jest jednym z nieuniknionych skutków utraty dawnej pozycji przez Europę Zachodnią. Dawny ,,system europejski”, przegrany w płaszczyźnie politycznej do Niemiec przy zielonym stole Lo- carna i Monachium i przegrany w konsekwencji do Stalina w Te­heranie, Jałcie i Poczdamie, nie da się więcej utrzymać w płasz­czyźnie ekonomicznej w stosunku do Argentyny, ani w stosun­ku do dawnych obszarów kolonialnych.

1. TRĄBA ANIOŁA

Wielki kryzys gospodarczy 1930-1936 zaostrzył i uka­zał w jaskrawym świetle dysproporcje i konflikty wewnętrzne Europy Zachodniej i krajów atlantyckich. Euforia zwycięstwa i okresu inflacji rozwiała się w kilka tygodni, ukazując głębokie rysy w samych fundamentach cywilizacji zachodniej. Zastana­wiając się nad przyczynami zmierzchu i degradacji Europy Za­chodniej po drugiej wojnie światowej, musimy wciąż wracać my­ślą do mglistych dni późnej jesieni 1929, kiedy ukazały się pierw­sze zarysy tego procesu.

W latach kryzysu ukazała się również po raz pierwszy sła­bość Zachodu w stosunku do Rosji sowieckiej. W oczach obiek­tywnego czytelnika traktaty polityczno-teologiczne Lenina i Sta­lina nie mają same przez się nic subwersywnego. Swą siłę rewo­lucyjną zdają się czerpać z konfliktów wewnętrznych Zachodu, swą siłę perswazji z bełkonu ideologicznego przeciwników i swą nadzieję z rozczarowania i melancholii, jakie w latach kryzysu ogarnęły pozostałą część świata.

Trąba anioła zwiastująca wielkie przemiany zabrzmiała po raz pierwszy na Wall Street w listopadzie 1929. Dzień ten zastał mnie w Paryżu. Zajęty innymi sprawami i nie przeczuwając nic złego szedłem koło południa przez Montparnasse, kiedy uwagę moją zwróciła na siebie grupa ludzi tłocząca się, żywo gestyku­lując, w narożnej kawiarni. Była to jedna z kawiarni posiadają­cych tzw. ticker, notujący kursy giełdowe. Coś niezwykłego mu- siało zajść na giełdzie. Nie wiele myśląc zszedłem do metro Va- vin i w kwadrans później wylądowałem na place de la Bourse. Niespokojny tłum otaczał wzniesioną przez Napoleona majes­tatyczną świątynię pieniądza.

Każdego dnia gazety przynosiły odtąd fantastyczne wiado­mości. W miarę zbliżania się do Wall Street, pisali korespon­denci z New Yorku, coraz częściej spotyka się ludzi o zaczerwie­nionych oczach i twarzach nie golonych od kilku dni. Są to bro­kerzy, którym klienci w ciągu kilku dni przynieśli na sprzedaż papiery kupowane przez siedem lat nieustającej zwyżki. Kursy wszystkich papierów spadają z godziny na godzinę. Panika osiągnęła najwyższy punkt, kiedy rozeszła się wiadomość, że tickery notują kursy sprzed kilku dni. Niemniej fantastycznie brzmiały przemówienia prezydenta Hoovera, usiłującego przeko­nać obywateli, że źródła zamożności Ameryki są nadal nietknię­te i że wszystko zależy od oceny sytuacji. Myślcie, że jesteście nadal bogaci, a prosperity zaraz powróci. Tymczasem w Sta­nach było już dziesięć milionów bezrobotnych i — gdy prezy­dent mówił — tworzyły się nieodwracalne fakty, niezależne już od niczyjej opinii.

W kilka miesięcy później zaczęły nadchodzić wiadomości o kryzysie w amerykańskim rolnictwie. Wskutek zmniejszenia się konsumpcji wewnętrznej, ceny zboża spadły do nie notowa­nego dotąd poziomu. Już przedtem poziom ich wystarczał tylko na pokrycie niskich kosztów gospodarki ekstensywnej, i rolnicy z trudem płacili raty bankowe. Nowy poziom nie zostawiał mar­ży na żadne spłaty. Zagrożeni egzekucjami rolnicy porzucali far­my, siadali na samochody i jechali w inne strony. Pisma dono­siły, że w latach kryzysu 200.000 farmerów porzuciło swe gos­podarstwa. Na ich miejsce przychodzili bezrobotni z miast, któ­rzy nie mając tytułów posiadania ani odpowiedzialności finan­sowych sadzili na opuszczonych gospodarstwach warzywa na własny użytek.

Exodus farmerów nie był wzorem do naśladowania dla rol­ników europejskich. Łatwo jest uciekać na własnym samocho­dzie, mając przed sobą najbogatszy kraj świata o niezmierzo­nych przestrzeniach i możliwościach. Opowiadano wprawdzie, że pod Łowiczem jakiś ziemianin porzucił dom pisząc kredą na drzwiach : ,,Gospodaruj Panie Boże, bo Kowalski już nie mo­że”, ale to była bajka, ukrywająca w sobie — jak wiele bajek — pobożne życzenia. Rzeczywistość była mniej różowa. Zagro­żeni sekwestrami i eksmisją rolnicy polscy nie mieli dokąd ucie­kać.

1. ROLNICTWO FRANCUSKIE W LATACH KRYZYSU

Latem 1931 kryzys ogarnął całą Europę. Paryż przybrał na stałe wygląd z okresu „martwego sezonu”. Międzynarodowa eli­ta artystyczna licząca między innymi 60.000 malarzy i tyluż kry­tyków i degustatorów sztuki rozjechała się na cztery wiatry. Sto tysięcy obywateli amerykańskich — wśród nich wielu znakomi­tych pisarzy — wróciło za ocean. Antoni Potocki i Wincenty Korab-Brzozowski, mieszkający w Paryżu od 1897, ukazali się nagle w Ipsie i Zodiaku. Wielkie hotele na Champs-Elysées i do­koła Etoile, aby nie stać pustką, wynajmowały pokoje po cenach Quartier Latin.

Tylko rolnictwo francuskie zdawało się opierać zwycięsko kryzysowi. Ośrodki okręgów rolniczych jak Tuluza, Agen lub Bordeaux pulsowały życiem. Podróżny musiał długo szukać po hotelach wolnego pokoju. W hotelu Royal-Gascogne zapytałem portiera o przyczynę tej różnicy między Paryżem i Bordeaux, na co otrzymałem odpowiedź w stylu gaskońskim :

*C'est que tous les parisiens sont foutus et nous tenons le coup.* Spędziłem wówczas w tych okolicach parę tygodni na wsi, chcąc się zapoznać z miejscowym rolnictwem. Inspektor minis­terstwa rolnictwa poznał mnie z kilku merami gmin wiejskich i prezesami syndykatów rolniczych. Jeden z nich, zapytany o kry­zys, powiedział :

— Wiele mówi się o kryzysie, ale żadnego kryzysu dotąd u nas nie było. W zeszłym roku, w niczym sobie nie odmawia­jąc, odłożyłem 15 tysięcy franków. W poprzednich latach odkła­dało się wprawdzie po sto tysięcy, ale co z tego ? W naszej gminie najuboższy gospodarz ma półtora miliona oszczędności. Inni mają przeciętnie cztery do pięciu. Niech pan sam zoba­czy. Tu wyjął z szafy portfel w kształcie harmonii, wypchany pa­pierami wartościowymi. — Mój dziad rzucił to przekleństwo na naszą rodzinę. I co nam z tego przyszło ? Pozostaliśmy ciężko pracującymi chłopami. W niedzielę zamiast odpoczywać czyta­my ,,La cote Défossé” i liczymy ile straciliśmy na papierach. Ja sam jestem już za stary, aby się z tego wyrwać, ale mam na­dzieję, że moje dzieci przehulają kiedyś wesoło tych kilka milio­nów.

Inny doświadczony rolnik pokazał mi archaiczny pług lub raczej sochę stojącą pod okapem domu.

— Takich rzeczy pan na pewno u siebie nie widział. Niech pan stąd jednak nie wnosi, że nie znamy lekkich traktorów i naj­bardziej nowożytnych narzędzi. Jeżeli orzemy nadal wołami za­przężonymi na rzymski sposób do pługa, robimy to w trybie do­browolnego ograniczenia produkcji, dla uniknięcia nadwyżek i dla ujścia losu polskich rolników.

W Europie Zachodniej jedna Francja posiada obszary rolne pozwalające na wyżywienie ludności i wygospodarowanie poważ­nych nadwyżek. Połowa tych obszarów leży od dawna odłogiem. W istniejącym systemie gospodarki światowej nikt nie mógł na­mawiać rolników francuskich do zwiększenia produkcji. Już sam nadmiar win i buraków cukrowych stworzył niepokonane na po­zór trudności. Rolnicy byli przekonani, że przy wysokim pozio­mie cen wewnętrznych, utrzymywanych przez cła ochronne, naj­rozumniejszym wyjściem jest utrzymywanie stałego niedoboru, łatwego do pokrycia przez import z krajów zmuszonych do wy- przedawania swych produktów rolnych za bezcen.

System ten wytrzymał zwycięską próbę wielkiego kryzysu. Kraje, które go wprowadziły zawczasu, okazały się bardziej od­porne, i nikt nie słuchał więcej argumentów zaczerpniętych z li­beralnych tradycji XIX wieku.

Pojawili się wówczas teoretycy dowodzący, że rolnictwo nie było nigdy produkcją opłacalną i od czasów starożytnych było subwencjonowane z innych źródeł dochodu narodowego. W cza­sach nowszych subwencji tych istotnie nie oszczędzano, ani w formie ceł ochronnych, ani w formie dewaluacji pieniądza, oczyszczającej periodycznie rolnictwo z długów i zobowiązań. Wspomniany już wyżej Stuart Chase sądzi, że dostarczanie rol­nikom coraz nowych gruntów do dewastacji było formą subwen­cji praktykowaną przez Stany Zjednoczone.

Argumenty te wydają się słuszne, ale wyciągnąć z nich prak­tyczne wnioski mogły tylko kraje rozporządzające dla subwen­cjonowania rolnictwa innymi źródłami dochodu. Oto dwie cy­fry pozwalające ocenić różnicę między sytuacją rolników sub­wencjonowanych i innych :

W zwiedzonych przeze mnie w 1931 -1935 okolicach Fran­cji rolnictwo, w stosunku do ceny ziemi, dawało zyski obliczane na 10-12 %. Gospodarstwa nie przynoszące takich zysków były opuszczane. W tym samym czasie w Polsce zyski z rolnictwa nie przekraczały 3 procent.

1. GLASBERG

Moja znajomość z Glasbergiem była najbardziej przypadko­wego rodzaju. Chcąc mianowicie odwiedzić jednego z najbliż­szych przyjaciół mieszkającego pod Włodzimierzem, przyjecha­łem razu pewnego do tego miasta, które Polacy znali przeważ­nie ze sławy tamtejszej podchorążówki, a które dla historyka po­siada niezwykle ciekawe zabytki z XI i XII wieku. Na dworcu wsiadłem do tzw. *gite fajeton,* który miał mnie zawieźć na miej­sce. Bruk w Włodzimierzu kończył się na skraju miasta, w miej­scu dość błotnistym, tworząc wysoki próg, z którego konie a potem *gite fajeton* zsuwały się ostrożnie w głęboką kałużę. Po deszczach furman zatrzymywał się zwykle w tym miejscu, zawi­jał poły kapoty, wyciągał z pobliskiego plota długą żerdź i przed zjazdem do kałuży mierzył jej głębokość. Dalej jechało się tzw. traktem. Kresy polskie posiadały dwa rodzaje tych dróg. Jeden, pamiętający czasy dawnej Rzplitej był wysadzany starymi drze­wami. Najpiękniejszy z tych traktów, na kresach południowych, był dziełem Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Drugi ro­dzaj miał na sobie stempel czasów mikołajowskich. Inżynierowie gubernialni wytyczali mianowicie i okopywali biegnący w pro­stej linii przez góry i doliny pas ziemi szerokości 20 sążni — oko­ło 50 metrów — którego sposób użytkowania zostawiali domyśl­ności podróżnych. Środkiem tego pasa wiły się koleiny drogi polnej omijającej pagórki i inne nierówności gruntu pozostawio­ne na środku traktu.

*Gite fajeton* jechał właśnie takim traktem szczególnie obfi­tującym w pagórki i „kosohory”, kiedy spostrzegłem leżącego na trawie starszego człowieka o siwej brodzie, w nowym po­pielatym surducie. Mój furman, który spostrzegł go również, strzelił z bata chcąc najwidoczniej przyśpieszyć jazdę. Kiedy ka­załem mu stanąć, zapytał :

— Czy pan chce koniecznie świadczyć w sądzie ?

A widząc mnie zmierzającego do domniemanego trupa do­dał :

— Pan ma znaczne buty. Niechże pan przynajmniej nie zo­stawia śladów.

Nieznajomy nie był jednak trupem. Zdawał się spać. Od­dech miał równy, puls słaby lecz regularny. Po chwili otworzył oczy.

•— Jest mi słabo — powiedział.

Podniosłem go i zaprowadziłem do fajetonu. W drodze do­wiedziałem się, że w dzień wielkiego postu starozakonnych wy­szedł w drogę na czczo i zemdlał przed dwoma lub trzema go­dzinami.

'Widząc mnie wysiadającego z fajetonu w towarzystwie nie­znajomego, mój przyjaciel patrzył przez chwilę w milczeniu po czym *a -parte* powiedział :

— Glasberg musiał się w czepku urodzić, aby trafić właś­nie na jedynego człowieka, który go nie znał, bo nikt inny nie chciałby mu pomóc. Ja sam nie miałem z nim żadnych intere­sów, ale wiem, że uchodzi za najzłośliwszego lichwiarza w ca­łym powiecie.

Glasberg nie chciał nic jeść. Wypił szklankę mocno osłodzo­nej herbaty po czym siadł do fajetonu i wrócił do Włodzimierza. Taki był początek naszej znajomości. Odtąd, ilekroć go spoty­kałem w Włodzimierzu, ucinaliśmy małą rozmówkę.

Latem 1930, w samym początku kryzysu, który w tzw. Pol­sce B przybrał od razu ostre formy, zapytałem Glasberga, jak idą interesy.

— Interesów — powiedział — nigdy nie brakuje. Są tylko zupełnie inne niż przedtem. Próbuję robić co się da. Jeżeli np. mam u jakiegoś dłużnika 20.000 złotych, liczę dziś, że po naj­dłuższych procesach i egzekucjach nie dostanę z powrotem wię­cej niż 10.000. Proponuję mu więc, że za 500 złotych gotówką zwrócę mu połowę weksli. W ten sposób zarabiam 500 złotych na czysto, a po takiej tranzakcji mój dłużnik płaci mi zwykle bardzo akuratnie procenty od pozostałej połowy długu.

— Nadzieja — ciągnął dalej — jest rzeczą bardzo ważną w sprawach finansowych. Dłużnik musi wierzyć, że potrafi spła­cić swe zobowiązania. Może się w tym mylić, ale powinien tak myśleć. Kiedy przestanie wierzyć w możliwość spłaty, zginie marnie,a i ja stracę pieniądze. Jeżeli więc widzę, że nadzieja w nim słabnie, moją rzeczą jest doń przyjść i płomyk nadziei w nim na nowo zapalić.

Następnie dowiedziałem się, że podczas wojny tureckiej 1877 ojciec Glasberga nauczył go ,,poznawać” weksle. W ciągu swej pięćdziesięcioletniej działalności Glasberg nigdy nie oddawał wek­sli licząc, że prędzej lub później dług da się wyegzekwować. Te­raz dopiero po raz pierwszy przestał liczyć na trwałość istnieją­cego systemu zobowiązań.

Słuchałem go uważnie widząc że mam przed sobą człowie­ka doświadczonego, posiadającego zdumiewającą jasność sądu i konsekwencję w działaniu, których brakło większości ówczes­nych ministrów i finansistów.

Istotnie, nie było wówczas widać żadnego powodu, dla któ­rego tylko posiadacze pretensji gotówkowych mieliby zachować sto procent stanu posiadania, gdy miliony bezrobotnych utraciły wszelkie zarobki i nawet właściciele nieruchomości i towarów pa­trzyli na codzienne kurczenie się wartości szacunkowej ich ma­jątku. Zresztą, poza wszelkimi rozważaniami natury socjalnej lub moralnej, należało wyciągnąć wnioski z iluzorycznego w tych warunkach charakteru pretensji gotówkowych.

W rok po Glasbergu Wielka Brytania wyciągnęła te wnio­ski dewaluując funta o 40 % to jest obniżając mechanicznie w tej proporcji wszelkie pretensje. Niemcy, które po inflacji 1918-1924 bały się wchodzić znów na tę drogę, znalazły się w największych trudnościach, kiedy w drugim roku kryzysu zbankrutowały to­warzystwa ubezpieczeniowe i 13 lipca 1931 największe banki zna­lazły się w obliczu niewypłacalności.

Przed krajami w tym położeniu stała otworem droga inna, mianowicie znana już z greckich wzorów *seisachtheia,* oddłuże­nie czyli skreślenie całkowite lub częściowe, mocą ustawy, róż­nych kategorii zobowiązań. Metodę Solona stosował w prywat­nym zakresie Glasberg. Ministrowie i finansiści wahali się jed­nak długo z wejściem na tę drogę i późne ustawy ich były prze­ważnie musztardą po obiedzie. Chłopi np. stanowili wówczas w Polsce jedną z najmniej wypłacalnych grup ludności. Puław­ski Instytut drobnych gospodarstw obliczał, że wskutek kryzysu utracili 66 % dochodów gotówkowych. Ustawa o oddłużeniu rol­nictwa kazała jednak na siebie długo czekać i ukazała się wresz­cie w 1934 w tekście liczącym przeszło sto artykułów zredago­wanych tak zawile, że prawnicy zażądali miesiąca czasu dla za­poznania się z ich właściwym sensem. Dopiero w obliczu tego powszechnego zamętu można ocenić samotną decyzję Glasberga.

Kiedy w 1931 opowiedziałem o rozmowie z Glasbergiem jed­nemu z paryskich znajomych, zawołał :

*— Ex Oriente lux ! Ex Oriente lux !* Jest to pierwsza do­bra wiadomość jaką słyszałem od początku kryzysu. Mam na­dzieję, że Polacy, mając takiego finansistę, zrobili go od razu ministrem skarbu.

Glasberga nie zrobiono ministrem. Dobrze, jeżeli nie zesła­no go do Berezy, gdzie bawili inni wołyńscy finansiści. Wkrót­ce po opisanej rozmowie przestałem bywać w Włodzimierzu i nie spotykałem więcej Glasberga. Obawiam się, że zginął w komo­rze gazowej lub w Rosji. Jakikolwiek był jego los, pragnąłbym tu złożyć świadectwo jego zapoznanemu geniuszowi.

1. LICYTACJA W MAJĄTKU POD WARSZAWĄ

Ubóstwo broniło w znacznej mierze drobnych rolników od sekwestru i wystawienia ich majątków na sprzedaż. Komornicy nie znajdowali u nich nic wartego zajęcia, ewentualni zaś na­bywcy gruntu byliby po roku — i dla tych samych przyczyn — równie niewypłacalni jak ich poprzednicy.

Inne było położenie większych majątków, które można było rozparcelować. Kryzys położył w Polsce koniec pozostałym jesz­cze ordynacjom i latyfundiom. Sławna ordynacja zamojska, roz­ciągająca się przed kryzysem na dwa powiaty, stopniała i resztki jej oczekiwały pod sekwestrem swego losu. Wilanów Branickich przeszedł faktycznie w posiadanie Banku Rolnego, który — nie znajdując bardziej wypłacalnych nabywców — ofiarował część parceli wilanowskich na spłaty własnym urzędnikom.

Mniejsi ziemianie bronili się jak umieli, prawem i lewem. Je­den z nch, przewielebnie zgnębiony, odwiedził mnie razu pew­nego donosząc, że wszystkie wybiegi prawne zostały wyczerpane i że w następnym tygodniu w jego majątku pod Tarczynem od­będzie się licytacja zajętego inwentarza. Jak jej zapobiec ? Mło­dy ziemianin słyszał, że na Puławskiej ulicy mieszkał specjalista udaremniający wszystkie licytacje w powiecie warszawskim. Po­szedł więc doń i w jednej z parterowych ruder tej dzielnicy znalazł siedzącego za stołem, w kaszkiecie i długich butach, osobnika o energicznym wyglądzie, który — wysłuchawszy relacji mego znajomego, rzekł lakonicznie :

— To się, panie, załatwi. Trzysta złotych gotówką z góry. Ponieważ w sąsiedztwie jest browar, będzie pan łaskaw przy­gotować dla moich ludzi 30 butelek piwa, tyleż kawałków kieł­basy i po funcie chleba na głowę.

Mój znajomy zapłacił 300 złotych, ale zaraz po wyjściu za­czął tego żałować. Oddał ostatnią gotówkę zupełnie nieznajome­mu człowiekowi o podejrzanym wyglądzie i zapewne jeszcze gor­szej reputacji, w zamian za niepewną obietnicę. W smutnej za­dumie stał przez chwilę na ulicy, gdy spostrzegł osobnika w kasz­kiecie gwiżdżącego donośnie w palce. Wałęsający się na ulicy inny osobnik w kaszkiecie podbiegł żwawo :

— Co szef każę ?

— Jest robota. Trzydziestu ma być we wtorek rano na gró­jeckiej kolejce.

— Zrobione.

Podsłuchana rozmowa pokrzepiła trochę na duchu ziemia­nina, nie rozwiewając jednak wszystkich wątpliwości. W parę tygodni później spotkałem go znów i dowiedziałem się o prze­biegu licytacji.

Już przed wyznaczoną godziną, kolejką i końmi, zaczęli się zjeżdżać kupcy, sąsiedzi i ciekawi. Ukazał się też ,,szef” z Pu­ławskiej. Za nim gęsiego szło trzydziestu mężczyzn o wyglądzierzemieślników i robotników, najwidoczniej bezrobotnych z War­szawy. „Szef” podszedł do gospodarza :

— Licytantów to ja już znam. Niech mi pan teraz pokaźe głównych wierzycieli. O nich się osobno pomyśli.

Wreszcie przybył komornik w asyście policji. Na obszernym podwórzu ustawiono stół, przy którym zasiadł komornik, odczy­tując głośno akt zajęcia i listę przeznaczonych na licytację zwie­rząt, które stojący kołem przybyli mogli teraz obejrzeć.

W toku oględzin zdarzył się pierwszy incydent. Jeden z lu­dzi „szefa” z Puławskiej ,stojąc obok poważnego kupca, w pew­nej chwili nastąpił mu podkutym butem rezolutnie na nogę. Ku­piec ryknął i instynktownym ruchem odepchnął grubianina. Tam­ten zaś z najżywszym oburzeniem :

— Co się pan pchasz ? Co się pan pchasz ? No, patrzajcie go ! Ja tu taki sam dobry jak i pan. Co ? Może pan powiesz, że masz pan do mnie pretensję ? — I tu uderzył go laską po gło­wie.

Nastąpił nieopisany zamęt. Wszyscy rzucili się w stronę skąd dochodziły gniewne głosy. W ciżbie przewrócono stół komorni­ka, którego papiery spadły w błoto. Licytacja została przerwa­na. Policjanci przystąpili do spisywania protokółu. Zanim dopeł­niono tych obrządków, minęło ze trzy kwadranse. Kiedy spokój został przywrócony i komornik zabrał ponownie głos, „szef” zauważył, że nie zdążono wcale obejrzeć zajętego inwentarza. Wszystko więc zaczęto od nowa.

Spokój został niebawem zakłócony przez inne incydenty.

— Trzymaj złodzieja ! Ukradli mi portfel ! — odezwał się dramatyczny głos. I znów tłok i zamęt na całym podwórzu.

Nikt jednak nie opuszczał placu. Zasekwestrowany inwen­tarz był interesującym obiektem i kupcy nie dawali za wygraną. Tymczasem mnożyły się trudności. W miarę upływu czasu coraz więcej obecnych odczuwało potrzebę zniknięcia na chwilę za sto­dołą. Ale „szef” ustawił tam jeden ze swych posterunków. Dzi­kie wrzaski dały się słyszeć zza stodoły, skąd zaczęli wybiegać ludzie utarzani w błocie, ocierając płynącą z nosów krew.

Na tych igraszkach zeszło kilka godzin. Policjanci ochrypli od przywoływania do porządku niesfornych. Wszyscy odczuwali znużenie w kolanach i głód. „Szef” uznał, że sytuacja doj­rzała do rozstrzygającego posunięcia. Wszystko uciszyło się na­gle i przystąpiono do licytacji pierwszego cielęcia. Dały się sły­szeć różne cyfry.

— Po raz pierwszy... — zaczął komornik. Tu odezwało się jeszcze parę głosów.

— Dodaj pan jeszcze tę złotówkę — rzekł „szef”.

Doświadczony licytant, „szef” ustąpił wreszcie cielę, ale zdążył wyśrubować jego cenę o parę złotych powyżej bieżącej ceny rynkowej. Po tej tranzakcji przyjezdni kupcy zaczęli opusz­czać podwórze, co oznajmiało koniec przetargu, bo miejscowi nie brali w nim zasadniczo udziału.

*Paweł HOSTOWIEC*

Niemcy po Wielkiej

Przegranej

NAPAŚĆ NA POLSKĘ

W ślad za pierwszą wojną światową i w związku z wyro­kiem wydanym na Niemcy w Art. 231 traktatu wersalskiego po­wstała tzw. *Kriegsschuldfrage —* kwestia, kto był winien woj­nie ? Dziś jeszcze, po upływie lat czterdziestu, kwestii tej nie można uważać za całkowicie rozstrzygniętą.

Żadne podobne zagadnienie nie pojawiło się po wojnie dru­giej, zaś zadanie historyków w dziele ustalenia odpowiedzial­ności ułatwione zostało przez samego Hitlera, który uplanował, uzasadnił i wywołał wrojnę. Rozprawę wojenną z Polską zapo­wiedział on w instrukcji z dnia 3 kwietnia i na odprawie 23 maja ; plan wojny zakomunikował dowódcom 22 sierpnia, wy­znaczając równocześnie jej termin ; cel uściślił w układzie, zawar­tym 23 sierpnia przez Ribbentropa z Rosją sowiecką, przewidu­jącym rozbiór Polski. Co do ,,niesprowokowanej napaści” nie istniała więc i istnieć nie może żadna wątpliwość: przekonanie o tej niezaprzeczalnej prawdzie stało się podstawą prawną i mo­ralną decyzyj wojennych, powziętych 2 września przez Wielką Brytanię i Francję i tak się rozpoczęła sześcioletnia Druga Woj­na Światowa (1).

1. Ostatnio wydany podręcznik, szeregujący fakty i dokumenty kryzy­sów 1938-1939, Erwin Wickert, *Dramatische Sage in Hitl&rs Reich,* Stutt­gart 1952, gdzie źródła podane są w 714 przypiskach i w obszernej biblio­grafii ; por. wydane poprzednio Heinz Holldack, *Was wirklich geschah,* Muenchen 1949.

„IPetswng *fuer die einheitłiche Kriegsvorbereitung der Wehrmacht fucr 1939-1940"*, Berlin 3. 4. 1939, w dokumentach procesu Weizsaecker’a i in., tom XII, zawiera *,,Fuehrer's Direction"*, przewidującą termin 1 września, oraz pierwsze oficjalne sformułowanie *,,Fall Weiss",* przewidujące wTojnę z Polską.

Odprawa wojskowa Hitlera z 23 maja 1939 roku według notatek ppłk. Schmundt’a, ogłoszona w Dok. Norymberskiego Procesu, obecnie także w *Documents on International Affairs 1939-1946,* I. (London) 1951, str. 271 sqq.: „decyzja... zaatakować Polskę przy pierwszej nadarzonej sposobności... to będzie ■wojna... naszym celem — izolować Polskę... Zasada podstawowa : konflikt rozpoczęty od ataku na Polskę będzie sukcesem, jeśli mocarstwa

Jeżeli sam fakt agresji Hitlera nie podlega dyskusji, to spo­sób i szczegóły jej przeprowadzenia w praktyce, taktyka przez niego zastosowana, zdolne są tylko fakt ten potwierdzić i od­powiedzialność historyczną powiększyć. Rokowania niemiecko- sowieckie o podział Europy wschodniej i o ujarzmienie jej naro­dów są karykaturalną kopią układów rozbiorowych 18-go wie­ku i stanowią przykładowy wzór ludobójstwa. Negocjacje z An­glią i oferty czynione pod jej adresem między 20 a 30 sierpnia noszą wszelkie cechy planowanego oszustwa i miały wyłącznie na celu izolowanie Polski jako ofiary postanowionej uprzednio agresji. Napad wyznaczony pierwotnie na 26 sierpnia, następ­nie i ostatecznie na 1 września, kalkulowany był w głównej mie­rze względami strategii — najskuteczniejszym sposobem zasko­czenia i pobicia przeciwnika. Od lipca począwszy przygotowy­wana była i orkiestrowana dokładnie kampania przeciwko uci­skowi mniejszości niemieckiej w Polsce, mająca dostarczyć po­wodu do wojny. Między 17 a 22 sierpnia ukartowane zostały preteksty wojenne : napad kryminalistów niemieckich w fał­szywych mundurach polskich na stację w Gliwicach i projekto­wane wywołanie konfliktu zbrojnego w Gdańsku. Na koniec, manewry taktyczne ostatnich trzech dni przed dokonaniem na­paści nie były ani przez jedną chwilę traktowane poważnie : żą­danie przybycia pełnomocnika polskiego do Berlina miało pro­wadzić do powtórzenia szantaży dokonanych z Schussningiem w lutym 1938 i z Hachą w marcu 1939 i do dyplomatycznego upokorzenia Polski zanim jeszcze zostanie ona rozgromiona na polach bitew; zaś „wspaniałomyślna oferta” z wieczora 29 sierp­nia, polegająca na propozycji plebiscytu na Pomorzu, miała —

zachodnie pozostaną na uboczu... Jeśli to się okaże niemożliwe, lepiej bę­dzie zaatakować (najprzód) Zachód, a przy sposobności równocześnie skoń­czyć z Polską...”

Odprawa wojskowa Hitlera z 22 sierpnia 1939, jednoczesna z podróżą Ribbentropa do Moskwy, wg notatek Schmundt’a, źródła j. w., por. notat­kę bibl. u Bullocka, Z. *c.* str. 482. Hitler wspomniał o pierwotnej swojej intencji zaatakowania najpierw Zachodu : odtąd „stało się dla mnie jasne, że Polska zaatakowałaby nas w wypadku konfliktu z Zachodem... Zniszcze­nie Polski stoi na pierwszym planie... Znajdę dobry argument propagando­wy dla rozpoczęcia wojny, (wszystko jedno czy) prawdopodobny czy nie. Zwycięzca nie będzie później pytany czy powiedział prawdę, czy też nie. Gdy się rozpoczyna wojnę, ważna jest nie słuszność, lecz wygrana...”

Ostatnio, wiarogodność tzw. protokółów Schmundta została zakwestio­nowana, por. recenzję książki Wickerta w *Das Historisch-Politische Buch* 2, Goettingen 1953. Jednakże, jeśli nawet notatki spisane są później, jeżeli w szczegółach mogą być niedokładne, to jednak styl, sposób rozumowania i celowość w myśleniu Hitlera oddane są z uderzającą wyrazistością i zgod­ne z późniejszą realizacją; są one także podobne do innych, analogicznych wypowiedzi i są pośrednio potwierdzone w innych, współczesnych i zasłu­gujących na zaufanie źródłach : por. relację Gizeviusa w dzienniku von Hassela, *Vom Anderen Deutschland,* Zuerich (1946) str. 74 sq. W zasa­dzie i w głównej treści wiarogodność „protokółów” nie może być kwestio­nowana.

— wedle własnych oświadczeń Hitlera — stworzyć dla niego samego ,,alibi” — świadectwo jego „umiarkowania” — mogą­ce jeszcze w tej decydującej chwili powstrzymać interwencję bry­tyjską. Jeżeli zestawić cały przebieg zdarzeń, agresja Hitlera ukazuje się jawna, premedytowana, od początku do końca pro­wadząca konsekwentnie do wojny (2).

1. Rokowania niemiecko-sowieckie w Moskwie 23/24. 8. : przebieg zna­ny z memorandum niemieckiego, ogłoszonego w *Nazi-Soviet Relations,* Dept. of State 1948, str. 72 sqq. ; zestawienie dotychczasowej dokumentacji u Wickerta, str. 269-77; por. wspomnienie uczestnika, Peter Kleist, *Zwischen Hitler und Stalin,* Bonn 1950, spisane po dziesięciu latach z pamięci i dośó bałamutne.

Odpowiedzialność Stalina — zachęcenie Hitlera do napaści na Polskę — wynika z wymiany telegramów 20-21. 8., tekst w *N.-S. Relations,* str. 66 sq. 69. Według Fritza Hesse, *Das Spiel um Deutschland,* Muenchen 1953, str. 193, meldunek o oświadczeniu Potiemkina, 10. 8.: że „Rosja gotowa jest do porozumienia z Niemcami na wszystkich polach”, „obudził w Hitlerze przeświadczenie, iż przy pomocy Rosji łatwo mu będzie rozwiązać kwestię polską”, skutkiem czego nie przywiązywał nadal żadnej wagi do prowa­dzonych za kulisami kontaktów z Chamberlainem.

Negocjacje z W. Brytanią nawiązano z inicjatywy Hitlera w rozmowie z amb. Hendersonem 25. 8. o 13,30; w półtorej godziny potem Hitler wy­dał, nie czekając na odpowiedź angielską, swój pierwszy rozkaz do wojny z Polską; gdy jednak, po dalszych dwóch godzinach otrzymał wiadomość o podpisaniu w Londynie sojuszu brytyjsko-polskiego, rozkaz cofnął, z mo­tywacją : „potrzebuję czasu dla negocjacyj”; por. Wickert *l. c. 289* sq. Po­wyższe zestawienie faktów pozwala stwierdzić, że jedyńym motywem nego­cjacyj z Wielką Brytanią była chęć zapobieżenia jej wejściu do wojny, a za­tem izolowania Polski.

Gwoli ścisłości dodać należy, że inicjatywę Hitlera wyprzedziły prowadzo­ne od końca lipca dwuznaczne kroki sir Horace Wilsona, doradcy premiera Chamberlaina : najpierw w rozmowach z delegatem finansowym Rzeszy Wohltatem, następnie z reprezentantem *Deutsch. Nachrichtenbuero* Fritz Hessem ; jego relacja w książce *Das Spiel um Deutschland,* Muenchen 1953, str. 177-95; relacje Wohltata w wydawnictwie sowieckim *Documents and Materials relating to the eve of the Second World War,* II; por. Wickert *l. c.* 245 sq. Cały ten dość zagadkowy epizod znany jest dotychczas wyłącz­nie ze źródeł niemieckich.

Pierwszy termin ataku na Polskę wyznaczony 25. 8. o godz. 13,02 na ra­nek 26. 8„ zastąpiony prowizorycznie datą 31. 8., po czym 31. 8. o godz. 12,40, definitywnie ustalony na 1. 9. godz. 5,45. Por. Wickert *l. c.* 290, 335.

Sprawę mniejszości niemieckiej w Polsce, użytą jako pretekst, oświetla v. Hassel, *l. c.* str. 74 : *,,die entsprechende Provocation der Polen, vor allem in Oberschlesien, wuerde jetzt losgehem"* (15. 8.). W tymże sensie ostrze­gał autora niniejszej pracy amb. von Papen w Ankarze już 14. 8. Por. Bul- lock *l. c.* 466, 475 : Er. Kordt, *Wahn und Wirklichkeit,* str. 187 ; *Doku- mente zur Vorgeschichte des Krieges.* Ausw. Amt., Berlin 1939, str. 81-111, 237-268.

Preteksty wojenne, ukartowane na osobisty rozkaz Hitlera : incydent w Gliwicach, wyświetlony zeznaniami gen. Keitela w Norymberdze (Dok. norymb. S. 7082), Naujocksa i gen. *Abwehr’y* Lahausena, por. E. Kordt, *Wahn...* str. 210, Bullock *l. c.* 501 sq„ Wickert *l. c.* str. 258 sq„ 342-45; tamże, str. 259, o rozkazach Sekr. Stanu Kopplera i Veesenmayera, doty­czących przygotowania prowokacji w Gdańsku.

Może się wydawać rzeczą zbyteczną odnawiać te zakoń­czone procesy i dowodzić sprawy niezaprzeczalnie słusznej. Jed­nakże problemat polsko-niemiecki i związana z nim kwestia na­paści Hitlera na Polskę nie są w literaturze politycznej Niemiec formułowane jasno, a źródłem tych niejasności był od począt­ku stosunek opinii narodu do całego zagadnienia. Wprawdzie, jak to stwierdzają współcześni, entuzjazmu wojna i września przeciw Polsce nie wywołała; ale rewindykacja „Korytarza” by­ła przyjęta jako naturalna i właściwa. Mówią o tym nie tylko urzędnicy, jak Abetz, Weizsaecker i nawet bardziej obiektywny Erich Kordt ; podnoszą to nie tylko pamiętnikarze, jak Peter Kleist, Frantz von Papen, czy Fritz Hesse; ale tą samą wy­tyczną kierują się kompilatorzy historycznego materiału, jak o tym jaskrawo świadczy podręcznik do „Dni dramatycznych hitlerowskiej Rzeszy”, ogłoszony ostatnio przez Erwina Wik- kerta.

Z takiej, przyjętej z góry tendencji wynika chęć przed­stawienia wypadków lata 1939 w ten sposób, że przyczyniło się do nich równolegle postępowanie stron obu, Niemców i Pola­ków. W notatkach współczesnych, w reminiscencjach pamięt­nikarskich, lecz także w zestawieniach powojennych powtarza się uporczywie opowieść o polskiej „pobudliwej opinii publicz­nej”, o „temperamencie sfer kierowniczych”, o „nieodpowiedzial­nych elementach”, o przyrodzonym „braku rozsądnego umiar­kowania”. Na tym tle istniała rzekomo w Niemczech ciągła obawa przed „działaniami prowokacyjnymi”, przed wywołaniem incydentów ze strony polskich „radykałów”, co byłoby tylko „na rękę Hitlerowi”. Stąd też nieustająca krytyka postępowania An­glii, dającej na ślepo owej nieodpowiedzialnej Polsce zapewnie­nie bezwarunkowej pomocy, zobowiązującej się do „automatycz­nie wchodzącej w życie” interwencji.

W takich ramach występuje plastycznie krok przedsięwzię­ty w Londynie, w przedostatniej fazie zdarzeń, przez Ericha Kordta, w porozumieniu z sekretarzem stanu Weizsaeckerem. Krok ten, „ostrzeżenie Vansittarta — trudne postanowienie”, jak go dziś Kordt nazywa, nastąpił jak się zdaje w ostatnich dniach czerwca 1939. Kordt uprzedził głównego politycznego do­radcę *Foreign Office* o zainicjowanym a napoczętym już zbli­żeniu niemiecko-sowieckim, a jednocześnie wyraził obawę przed „polską prowokacją”, która użyta zostanie jako „pretekst” przez Hitlera. Cel takiego przestrzeżenia był oczywisty : miało ono zatrwożyć Anglię przed skutkami p-warancji udzielonych Polsce i spowodować wahanie przed ich ostatecznym potwierdzeniem. Była to więc podwójna gra, tak charakterystyczna dla Weiz- saeckera, usiłująca łączyć negatywne cele opozycji przeciw Hit­lerowi z pozytywnymi zadaniami dyplomacji hitlerowskiej, za­mierzającej przede wszystkim izolować Polskę. Toteż istnieje zasadnicza różnica pomiędzy ostrzeżeniem Anglii we wrześniu 1938, połączonym z projektowanym zamachem stanu w Niem­czech, a tą dwuznaczną próbą 2 czerwca 1939, wycelowaną rów­nolegle z polityką Hitlera — przeciw Polsce (3).

Historię ostatnich dni przed wojną cały szereg pisarzy nie­mieckich stara się do dziś przedstawić jako wynik jednoczesnej perfidnej agresji Hitlera i bezrozumnego oporu Polaków. Weiz- saecker mówi o „polskich wykroczeniach i bezprawiach”. Kleist mówi jako o fakcie dokonanym o „polskiej mobilizacji” 25 mar­ca, nie podając wcale, że ograniczone ówczesne zarządzenia War­szawy były słabą tylko reakcją na zarządzenia Berlina, znane już dzisiaj nie tylko z wojennych kronik, ale z ujawnionych tajnych rozkazów i planów sztabu : żadnej „mobilizacji” polskiej w oz­naczonej dacie nie było. Wickert podobnie jak Kleist mówi o nie­poskromionej polskiej „propagandzie”, o prowokacyjnych de­monstracjach, o nierozważnych wypowiedziach poszczególnych polskich dyplomatów. Najbardziej jednak koncentruje się ta lite­ratura niemiecka na dwóch przedwojennych epizodach : gwałtom przeciwko mniejszości niemieckiej w Polsce i pospiesznej odmo­wie Polski wysłania w dniu 30 sierpnia pełnomocnika do Ber­lina.

Już Peter Kleist, w swoim bałamutnym dziełku, poświęco­nym głównie stosunkom Niemiec z Sowietami, mówi o „ogra­niczeniach” stosowanych w Polsce względem Niemców od kwiet­nia, o najściu na związki i stowarzyszenia kulturalne, o zam­knięciu 300 szkół. Weizsaecker w swoich wspomnieniach opo­wiada o „pędzeniu” Niemców, po' 20 sierpnia „w głąb Polski”. Tenże Kleist w przypisku do cytowanych przezeń twierdzeń Rib- bentropa o polskim „mordzie masowym w Bydgoszczy” opo­wiada o wygnanej z tego miasta w pierwszych dniach wojny ludności niemieckiej i podaje, na podstawie obliczeń dokona­nych przez zorganizowaną przez *Volksdeutsch’ôw* „centralę gro­bów”, liczbę zamordowanych z tej okazji Niemców na 15 tysię­cy. Dopiero jednak przedwojenny londyński szef *„Deutsches Ńachrichten Bureau,* Fritz Hę^se, w swoich świeżo ogłoszonych wspomnieniach usiłuje przedstawić całość tej tajemniczej spra­wy. Twierdzi on mianowicie, że wprawdzie pierwszy rozkaz wo­jenny z 25 sierpnia został popołudniu tego dnia przez Hitlera wycofany ; jednakże nie zdążono już cofnąć znaku umownego, mającego spowodować jednoczesny wybuch powstania mniejszo-

1. Tendencja złożenia odpowiedzialności na łatwopolną opinię polską, **na** polskich „radykałów” na brak umiarkowania i temperament kół kierow­niczych, zainicjowana we wspomnieniach Weizsaeckera, podtrzymywana przez **E.** Kordta i P. Kleista, znalazła swój pełny wyraz w systematycznie uszczy­pliwych i napastliwych uwagach Wickerta w książce rzekomo wyłącznie sprawozdawczej. Argumenty dobierane są pod stałym kątem widzenia kry­tycznych w stosunku do Polski kierunków opinii i historiografii angielskiej.

Misja londyńska E. Kordta, potwierdzona przez Weizsaeckera, *Erinner- ungen,* Muenchen (1950), str. 235, opisana została przez E. Kordta, *Nicht aus den Akten,* str. 313-19 : tamże odsyłacze do wynikłej na procesie Weiz­saeckera polemiki. Sprawa ta, znana dotychczas głównie ze źródeł niemiec­kich, wymaga jeszcze oświetlenia ze strony dyplomacji brytyjskiej.ści niemieckiej : było to nagranie, przez rozgłośnię berlińską, pewnej określonej melodii o północy z 25 na 26-ty. Skutkiem tego niedopatrzenia wynikły w dniu następnym przygotowane zawczasu w Polsce napady zbrojne na określone obiekty strate­giczne. Ze swej strony polski sztab generalny zarządził w tym­że czasie przymusową ewakuację Niemców z zagrożonych pro- wincyj zachodnich. Ze spotkania tych dwóch równoległych akcyj wynikł szereg zajść i starć, w których paść miało trupem 4.850 Niemców, „mężczyzn, kobiet i dzieci”. Do cyfry tej propaganda niemiecka dodała potem jedno zero, zaś Alfred Berdt, łącznik biura z Hitlerem, usłyszawszy skądś wziętą cyfrę 30, dodał ze swej strony jeszcze jedno zero i zameldował zamordowanie przez Polaków 300 tysięcy.

Taką, dość mało wiarogodną historię uzupełnia Hesse jeszcze mniej prawdopodobną wersją, rzekomo przez tegoż Berndta opowiedzianą, według której ów jego fantastyczny meldunek na­stąpił akurat w południe 31 sierpnia, po czym Hitler „zamarł przez chwilę, zaryczał” i wydał swój drugi, ostateczny, rozkaz wojenny. Owóż, jedno z dwojga : albo starcia z „uzbrojoną” nie­miecką ludnością nastąpiły przed wybuchem wojny, a wówczas propaganda niemiecka nie omieszkałaby ich rozgłosić jako istot­nego powodu wejścia wojsk do Polski; albo też miały one miej­sce już po wybuchu wojny, a w takim razie nie mogły być po­wodem rozkazu Hitlera z 31 sierpnia. Ogłaszanie dzisiaj tak bez­sensownych opowieści może mieć tylko na widoku wprowadze­nie w błąd naiwnych lub nieświadomych. Gdy jednak pogłoski o masowym mordowaniu Niemców przez Polaków powtarzają się znowu w informacyjnej literaturze niemieckiej, dobrze by było znaleźć sposób obiektywnego, a może nawet obustronnego usta­lenia faktów. Żyją przecież po stronie polskiej ważni i bezpo­średni świadkowie, zajmujący w sierpniu 1939 odpowiedzialne stanowiska w rządzie, administracji, sztabie, i mogliby przy­czynić się do niewątpliwego stwierdzenia prawdy (4).

1. 0 ewakuacji ludności niemieckiej por. raport von Kuechlera, gen. konsula z Torunia, 28. 8., *Dokumente...,* j. w. str. 268 sq., o znaczeniu tyl­ko lokalnym. Propagandowej literatury oficjalnej wojennej o „polskich okru­cieństwach” obecne piśmiennictwo polityczne niemieckie nie cytuje.

0 przedwojennych zarządzeniach polskich, P. Kleist, *l. c.* str. 25 : *,,am 25 Maerz begann die polnische Mobilmachung” ;* tamże, str. 105, przypisek o *„Bromberger Blutnacht”*, nie zawierający nawet wzmianki o rzezi doko­nanej w Bydgoszczy przez Niemców; oczywiście, cytowane przez autora wypowiedzi Ribbentropa miały na celu zatuszowanie zbrodni niemieckich w Polsce. Opowiadanie Fritza Hesse, *l. c.* 207 sq., oparte jest w całości na źródłach pośrednich i plotkach zasłyszanych — sam Hesse przebywał w tym czasie, prócz dni 26-27. 8. , w Londynie; stąd ograniczona wartość całej tej mało prawdopodobnej opowieści ; podobnie na pośredniej tylko wiadomości opiera się relacja E. Kordta, *Nicht aus d. Akten,* 330 sq., opisująca scenę w *Reichskanzlei,* odnosząca się wyraźnie do 29 lub 30 sierpnia, i na którą się Hesse powołuje.

Obok tej sprawy mniemanych gwałtów polskich, drugim tematem nieustających prób zrzucenia współodpowiedzialności na Polskę jest zagadnienie ,,pełnomocnika” polskiego i przygo­towanych na jego przyjazd ,,wspaniałomyślnych” propozycyj. Chodzi tu o czas między 7 wieczorem 29 sierpnia, gdy Hitler przysłania pełnomocnika zażądał, a 6,30 wieczorem 31 sierpnia, gdy ambasador polski został odprawiony z niczym. Jasne jest, iż rzecz cała była li-tylko żle odegraną komedią. Co najwyżej, miała się powtórzyć, jak Beck słusznie osądził, smutna historia prezydenta Hachy : gwałt moralny, upokorzenie i wymuszenie kapitulacji. Jasne też, że chodziło o ostatni wysiłek wbicia kli­na pomiędzy Polskę a Wielką Brytanię, co trafnie ocenił lord Halifax, ograniczając swe pośrednictwo do zakomunikowania tej propozycji Beckowi... w dwadzieścia cztery godziny po jej otrzymaniu. Pomimo to Wickert, w swoim zestawieniu wypad­ków, mówi o presji jaką mieli wywierać na Polskę w tej chwili, podobnie do Francuzów, również i Anglicy : ale stwierdza ,,Po­lakom nie było spieszno”.

Do czego mieli się spieszyć ? W tym tkwi sedno sprawy, a sprawa ta była i jest nader prosta. „Pełnomocnik” polski sta­nąłby w obliczu „wspaniałomyślnej oferty” Hitlera. Treść jej została odczytana wieczorem 30 sierpnia Hendersonowi przez Ribbentropa, zakomunikowana nazajutrz Dahlerusowi przez Goeringa, zaś tekst jej ogłoszony został tegoż wieczora z roz­głośni berlińskiej. Ultymatywna w formie, zaborcza w treści, za­wierała ona w swym punkcie głównym żądanie plebiscytu na ca­łym Pomorzu na modłę odbytego w swoim czasie retroaktywne­go plebiscytu w zagłębiu Saary. Nim jeszcze wojna wybuchła i zanim została przegrana, Polska miała być traktowana jak w 1793 roku Sejm grodzieński. W świetle tajnego protokółu, pod­pisanego na tydzień przedtem w Moskwie, miał to być począ­tek umówionego ze Stalinem rozbioru Polski.

Tę sprawę, tak prostą, próbują dzisiaj pisarze niemieccy za­ciemnić i skomplikować. Według ich interpretacji istniał u Hit­lera wybór dwóch sposobów rozwiązania kwestii polskiej : jedno

* to była *die grosse polnische Losung,* którą przedstawił Dahle­rusowi Goering jeszcze 29 sierpnia, równające się przywróceniu co najmniej granicy 1914 roku; drugie — *die kleine polnische Losung —* polegać miah> na okrojeniu tylko części zachodniej Polski, przede wszystkim na zagarnięciu Pomorza. Autorzy ci
* Hesse, Wickert, a także powołujący się na Weizsaeckera Kordt — podają, że Hitler w ostatniej chwili, zastraszony sta­nowczością Anglii, gotów był wybrać drugie, skromniejsze wyj­ście i rezultatem tego zwrotu był „kompromisowy” tekst żądań, przygotowany 29-go dla polskiego „pełnomocnika”. Owóż, dla Hitlera, cała ta inscenizacja służyć miała jedynie reżyserowanej z góry komedii, dostarczyć mu, wedle jego słów własnych, „ali­bi” wobec świata i własnej niemieckiej opinii. Inaczej dla dzi­siaj piszących pamiętnikarzy i komentatorów : dopatrują się oni w propozycjach Hitlera ostatniej okazji zachowania pokoju ; cowięcej, uważają je jeszcze teraz za rozsądne, w gruncie rzeczy umiarkowane, dające podstawę do porozumienia między strona­mi : „ich przeprowadzenie, pisze Wickert, zmniejszyłoby trudno­ści, wynikłe z nierozważnego wytyczenia granicy wschodniej w Wersalu. Lecz cóż ? — na przeszkodzie stanęła niecierpliwość, „nieustępliwość”, „oporność” Polski ,która wprost „szła na rękę” Hitlerowi, nie przysyłając „pełnomocnika”, zaniedbując okazję, jaką jej dawały niewygórowane, „uderzająco skromne”, postawione jej warunki (5).
1. Sprawa „pełnomocnika” i „oferty” : przy osadzaniu całego okresu polityki niemieckiej między 24 sierpnia a wybuchem wojny w tydzień potem, należy mieć stale na uwadze fakt, iż Hitler był już wówczas zwią­zany tajną umową ze Stalinem, przewidującą rozbiór Polski i niedozwalają- cą na żadne jednostronne korzyści terytorialne niemieckie bez równoczesnych zysków dla Związku sowieckiego. Przy uwzględnieniu tego podstawowego elementu sytuacji cała akcja Hitlera z tych dni *w* stosunku do Polski nie jest niczym innym, jak tylko lepiej czy gorzej odegraną komedią — zasłoną dymną, jedyny cel jego ówczesnej polityki : uniknięcie interwencji angiel­skiej lub co najmniej jej opóźnienie.

Sprawa polskiego „pełnomocnika” wymaga specjalnego opracowania. Por. *Documents concerning German-Polish relations...* London 1939, str. 138sq., 142. Nota Hitlera z odnośnem żądaniem wręczona została amb. Hen­dersonowi 29. 8. o godz. 19,15; Lord Halifax telegrafuje w odpowiedzi, 30. 8. o godz. 2.: *„it is, of course, unreasonable to expect that we can produce a Polish représentative in Berlin to-day..."* Amb. Kennard w depeszy z War­szawy z tegoż rana, przed otrzymaniem instrukcji, donosi *: „it would be impossible to induce the Polish Govt. to send M. Beck or any other repré­sentative immediately to Berlin to discuss a seulement on basis proposed by Hetrr Hitler",* tzn. : wedle raportu Hendersona, *„return of Danzig and the corridor to Germany".* Toteż dopiero o 18,50 tegoż dnia 30. 8. lord Halifax donosi amb. w Warszawie o żądaniu niemieckim, jednak bez doniesienia ter­minu i z zastrzeżeniem : *„we cannot advise Polish Govt. to comply with this procedure, which is wholly unreasonable".* Wynika stąd, iż rząd brytyjski nie przekazał rządowi polskiemu ultymatywnego żądania Hitlera, a zawiadomił o nim Warszawę, i to z zastrzeżeniem, dopiero w 24 godziny potem, czyli po upłynięciu postawionego terminu. Również i Francuzi ogra­niczyli się do instrukcji dla amb. w Warszawie przyłączenia się do *„dé­marche"* brytyjskiej, a to w depeszy datowanej 30. 8. o 23,20. Jawnie prze­kręcając te fakty, pisze Wickert, *l. c.,* str. 322 : *,,Polen hat es nicht eilig. Waehrend des ganzen Tages (30. 8.) versuchten Paris und London die Polen davon zu ueberzeugen, dass sie Hitlers Angebot nicht ausschlagen duerften".*

*,,Das grosszuegige Angebot" :* tekst opracowany był 30. 8. w biurze Weizsaeckera, por. współczesną notatkę z *Erinnerungen,* str. 259 *: „Wir arbeiten eńnen vernuenftigen Kompromissplan aus, die erste konstruktive Idee seit Monaten" ;* podobnież w zapiskach Théo Kordta u E. Kordta *Nicht aus d. Akten,* 337 : *„Ich hatte im Laufe des Tages* (31. 8.) *einen Drahter- lass mit dem Vorschlag zur Regelung der Korridorfrage erhalten, der die Unterschrift d. Staatssekraetaers trug. Der Vorschlag erschien mir auf- falend vernuenftig"*. Wynika z tego, że tekst „oferty”, godzącej w całośó terytorialną Rzplitej, był redagowany przez umiarkowanych i „opozycyj­nych” Niemców, grupę urzędników *Wilhelmstrasse,* pod kierownictwem Weizsaeckera. Ten tekst został odczytany przez Ribbentropa amb. Hender­sonowi wieczorem 30. 8., zakomunikowany przez Goeringa tejże nocy Bir-

Oczywiście, całe to powojenne szukanie częściowego chociaż­by alibi dla niczym nie usprawiedliwionej napaści na Polskę nie ma samo w sobie żadnego realnego znaczenia. Stanowi ono co najwyżej dowód niezrozumienia po dziś dzień ze strony niemiec­kiej istoty polsko-niemieckiego zagadnienia. Już sam sekretarz stanu Weizsaecker uważał „przedmiot sporu polsko-niemieckie­go za nieokreślony wyraźnie, a zatem trudny do ujęcia”. „Cały, razem wzięty, problemat polski, twierdził ze swej strony Rib- bentrop, nie posiada żadnej wagi własnej... jest on w najlep­szym razie drugorzędną okazją dla ruszenia z miejsca wielkich sił...” Obawiać się można że dziś jeszcze zagadnienie polskie rozpatrywane jest przez Niemców podobnie, czyli nie samo w so­bie, jako jeden z głównych czynników położenia i polityki w Eu­ropie środkowo-wschodniej, lecz tylko jako pretekst wielkiej polityki lub też pochodną stosunków do wielkich mocarstw. W dawniejszych czasach, od Bismarcka aż po Hitlera, przeja­wiało się to w traktowaniu spraw polskich wyłącznie w kręgu widzenia konfliktu lub przymierza z Rosją. Dzisiaj politycy i pu­blicyści niemieccy zdają się patrzeć na zagadnienie polskie wzro­kiem skierowanym na świat anglosaski. Weizsaecker, tak suro­wo osądzony przez anglo-amerykańskie trybunały, we wspom­nieniach spisywanych przed śmiercią, wciąż zwraca uwagę na to, jak nierozsądne, jak łatwowierne było angażowanie się Wiel­kiej Brytanii po stronie nieobliczalnych Polaków. Jego najbliż­szy współpracownik Kordt w swej najnowszej książce nazywa gwarancję brytyjską, udzieloną Polsce „krokiem zbyt pospiesz­nym”, który posłużył „nieodpowiedzialnym czynnikom w Pol­sce jako zachęta do prowokacyjnych działań”. Znajdujemy w tych opiniach staranne dobieranie argumentów, z arsenału angielskich krytyków, związania się Wielkiej Brytanii z Polską i niewczesnego udzielenia jej brytyjskiej gwarancji. Wickert,

gerowi Dahlerusowi i opublikowany wieczorem 31. 8. Odmowę Ribbentropa wydaniu ambasadorowi brytyjskiemu tekstu tego na piśmie tłumaczy obec­nie Hesse, *l. c.* 206, zwyczajem Hitlera przerabiania i poprawiania włas­nych tekstów, w oczywistej sprzeczności z okolicznościami tego faktu : urzę­dowym charakterem dokumentu, przekazanego np. także Goeringowi, pil­nością całej sprawy, oraz istotnymi zamiarami Hitlera.

Obok powyższego tekstu istniał jednak również i drugi, o którym Goering mówił Dahlerusowi w nocy 29-30. 8., por. Wickert *l. c.,* 318; przewidywał on zabór zachodniej części Polski aż po Łódź. Z tymi po­mysłami, zapewne już wentylowanymi w Moskwie i stanowiącymi pod­stawę do późniejszego planu całkowitego rozbioru, zrealizowanego na wnio­sek Stalina, wiąźe się legenda o dwóch jakoby planach, rozważanych przez Hitlera *: „die grosse und die kleine polnische Loesung” ;* ob. Fritz Hesse *l. c.,* 205 sq„ a także Kordt, *Wahn...,* 202 sq.„ 206.

W istocie jednak cały ów rzekomy „kompromis”, „idea konstruktyw­na”, „rozsądne wyjście”, „wspaniałomyślna oferta” — istniały jedynie w imaginacji i nigdy nie miały być przedmiotem załatwienia. Hitler sam, jak świadczy tłumacz, dr Paul Schmidt, powiedział później : *„Ich branche ein Alibi, vor allem dem deutschen Volk gegenueber...",* por. Wickert *l. c.* 327.

chcący być tylko rejestratorem zdarzeń, notuje z widoczną satys­fakcją, jak ,,Londyn stał się (tuź przed wojną) nieco bardziej trzeźwy w stosunku do Polski, jej wysokich finansowych żą­dań, jej niedostatecznego uzbrojenia, jej przesadnych politycz­nych pretensyj”; zdaje się on nie dostrzegać stwierdzonego już dzisiaj faktu, że do polskich niedociągnięć w przygotowaniach wojennych przyczynił się niemało brak zarówno finansowej jak materiałowej pomocy ze strony sojuszników zachodnich ; poli­tycznych zaś pretensyj czy żądań polskich w ogóle nie było, je­żeli nie liczyć zrozumiałego, szczególniej dla dzisiejszych Nie­miec po ich smutnych doświadczeniach, oporu przeciw przemar­szowi wojsk sowieckich i znowu jest to argument zapożyczony żywcem u angielskich przeciwników Polski i pomniejszycieli mię­dzynarodowego znaczenia jej sprawy.

W całej tej literaturze pamiętnikarskiej czy interpretacyjnej krytyka pod adresem Anglików ogranicza się do wytykania im, że zawierzyli Polsce, że zdecydowali się przyjść jej z pomocą. Diametralnie przeciwne stanowisko zajmują ciż sami autorzy nie­mieccy w stosunku do wypadków 1938 roku : tam, gdy chodziło o Czechosłowację, gotowi są oni zarzucić polityce brytyjskiej brak stanowczości, a Chamberlainowi — jego skłonność do ugo­dy. Wygląda to na metodę, na stałe schlebianie każdorazowemu poglądowi, przesądowi, modzie nolitycznej anglosaskiej. Otóż, jeżeli rażące jest każde pochlebstwo, to szczególnie niewłaściwe staje się ono wtedy, gdy uprawia się je kosztem pokrzywdzone­go i wyzutego z praw narodu.

PRZEDSIĘWZIĘCIE BARBAROSSY

Pozostaje wątpliwe, czy i w jakim stopniu kierownicy szta­bów i przywódcy wojen rządzili się w wyborze kryptonimów ope­racyjnych względami geografii lub historii. „Lwem morskim” nazwał Hitler dość przejrzyście zamysł inwazji wysp brytyjskich. Dalekie analogie historyczne przyświecały mu zapewne, gdy swój zamiar pochodu na Rosję ochrzcił imieniem tego cesarza, który najdalej na wschód posunął germańskie zagony, ukorzył Polskę Bolesława Kędzierzawego i pierwszy naruszył jej śląskie dziedzictwo, a zginął jako wódz krzyżowy tam, gdzie niegdyś Pompejusz ubezpieczał wschodnie rubieże rzymskiego imperium. Nie wiadomo też, czy wódz Trzeciej Rzeszy zdawał sobie sprawę, że podobnie jak Fryderyk II Barbarossa sięgał on po rzeczy nieobjęte, gdy podbiwszy Polskę i wyszedłszy poza Bałkany, równocześnie chciał zagarnąć ziemie aż po Ural i Pro- pontydę.

W każdym bądź razie nie może podlegać wątpliwości, że to niepomierne przedsięwzięcie 1941 roku było największym hazar­dem Hitlera i przyczyniło się do jego zguby. Politycznie nieprzy­gotowane, zadecydowane zostało wbrew ostrzeżeniu ze stronyco najmniej dwóch wybitnych doradców : szefa sił morskich ad­mirała Raedera i ambasadora w Moskwie Schulenburga. Ale au­torytet Hitlera, wsparty opanowaniem kontynentu Europy i zwy­ciężeniem Francji, był bezapelacyjny i wystarczył, aby potężna maszyna wojenna ruszyła naprzód z pełną wiarą w zwycięstwo i aby wojsko dokonało największego swojego wysiłku. Świat, zdawało się, zatrzymał się w biegu i ,,stał z zapartym oddechem”.

Krytycy odezwali się oczywiście po klęsce. Znalazł się wpo­śród nich zarówno dwuznaczny doradca polityki hitlerowskiej *von* Weizsaecker, jak autor wykonawczych instrukcyj opera­cyjnych, szef sztabu Haider. Autorzy wojskowi znaleźli okazję uszeregowania błędów. Istotnie : nowe przedsięwzięcie wojenne rozpoczynało się w chwili, kiedy jeszcze poprzednie nie zostało ukończone. Atak na Rosję otwierał wojnę na dwa fronty. *Zwei- frontenkrieg —* przed czym ostrzegał już dawniej Bismarck i Schlieffen, a czego uniknięcie w 1939 poczytywał sobie sam Hitler za szczególną zasługę. Na koniec, wojny tej nie poprze­dziło dostateczne, ani fachowe, rozpoznanie sił ani możliwości nieprzyjaciela. Jeżeli dodać do tego błędy w wykonaniu, nie­wątpliwe od samego początku i mnożące się z biegiem czasu, tedy jedynie dziwić się wypada, że całe to przedsięwzięcie, tak omylne w założeniu swoim, a tak opacznie przeprowadzone w praktyce, było nie raz, lecz parę razy, bliskie powodzenia. Główną przyczyną tak zdumiewającego faktu jest, że wbrew po­zorom nie pakt z 23 sierpnia 1939, a atak z 22 czerwca 1941 stanowił istotę polityki Hitlera.

Zamysł rozprawy z bolszewizmem był osią tej polityki do 1937 roku. Powrócił on bardzo wcześnie, w samym szczytowym punkcie wojny z Zachodem. Ledwie zamilkły ostatnie strzały nad Atlantykiem, gdy już, w początku lipca 1940 pojawiają się pierw­sze symptomy wieszczące burzę na wschodzie. W połowie lipca notują współcześni rozpoczynające się transporty wojsk na wschód i interpretują je w sensie nowych zamiarów wojennych. Między 20 a 30 lipca dojrzewa decyzja Hitlera uderzenia na Rosję i jest przedmiotem rozważań w najściślejszym gronie. Od sierpnia szereg świadków, w tej liczbie wiarogodny i dobrze informowa­ny *von* Hassel, że Hitler powziął zamiar uderzenia na Sowiety. W tym świetle wahające, niezdecydowane przygotowania do in­wazji Anglii wydają się, co najmniej w części, kamuflażem. Lis­topadowe rozmowy z Mołotowem w Berlinie służą Hitlerowi już tylko sprawdzianem. W miesiąc potem następuje decyzja : 18 grudnia Hitler wydaje dyrektywę operacyjną Nr 21 *— für den Fali Barbarossa.* ,,Myśl wykorzystania pierwszej okazji, aby po­walić także i Związek sowiecki — podaje Erich Kordt — nie opuściła Hitlera nigdy, nawet po zawarciu paktu o nieagresji”. ,,Walka z bolszewizmem, poświadcza inny uczestnik tych zda­rzeń, stanowiła tak podstawowe jądro ideologii narodowo-socja- listycznej, iż ignoruje się cały rozwój paktu z Sowietami, upatru­jąc w nim coś więcej, niż chwilowy manewr...” Sam zaś *Führer,* w swoim liście do Mussoliniego, 21 czerwca 1941, wyznaje jakciężyło mu przez te lata „wspólnictwo ze Związkiem sowieckim”. Stanowiło ono dla niego samego jak gdyby „zerwanie z włas­nym pochodzeniem, pojęciami i zobowiązaniami z przeszłości”; czuł się „szczęśliwy, że się wyzwolił z tej udręki”. 129 lat wcześ­niej Napoleon rozpoczynał swą „drugą wojnę polską” i szedł na Moskwę wbrew swej chęci i przekonaniu. Wprost odwrotnie Hitler ; Polska nie wchodziła wcale w jego zamierzenia, ale Moskwa była jego świadomym celem, wypełnieniem z dawna powziętego zamiaru. Dla Napoleona pożar Moskwy był niedo­godnym przypadkiem. Hitler zamierzał zniszczyć Moskwę do cna — i jako rzeczywistość rosyjską, i jako symbol bolszewizmu (6).

Droga, jaką do tego celu wódz Trzeciej Rzeszy wybrał, wiodła poprzez ruiny Warszawy. Jak notuje dzisiaj jeden z tych, którzy mu ówcześnie służyli, pakt z Sowietami był Hitlerowi potrzebny jedynie dla obalenia Polski : po czym, mógł być bez­karnie zdradzony. Ta podwójna zdrada zaciążyła na całym przed­sięwzięciu. Dzieje mają swoją wewnętrzną, nieubłaganą logikę. Nie podobna było chcieć jednocześnie zniszczyć Warszawę i Mos­kwę ; podobnież za Napoleona nie można było tejże samej chwi­li zadowolić Polskę i ugłaskać Rosję. Należało uczynić wybór. Bez współdziałania Polski rozprawa z bolszewizmem nie była możliwa. Po trupie Polski nie podobna było dojść do Moskwy. Idąc w głąb Rosji, Hitler, podobnie jak Napoleon, pozostawiał za sobą *vacuum.* Może zdawał sobie z tego sprawę, zaprzęgając do swego rydwanu Finlandię, Rumunię, Węgry : zabrakło środ­kowego ogniwa — Polski, gdyż ją zawczasu zniszczył. Z punktu widzenia całej przeszłości i ideologii Hitlera błędem był nie sam pochód na bolszewizm w 1941 roku, lecz wytrącenie jego pod­stawowego warunku na dwa lata przedtem.

1. Wyprawa Hitlera na Rosję *(Fali Barbarossa):* argumenty decyzji zestawione w książce gen. Andersa, *Klęska Hitlera w Rosji 1941-1945.* Lon- lyn 1952; por. gen. Kukieł, *Hitler jako wódz..., Bellona,* 1950, I.

Elementy decyzji Hitlera znane są obecnie szczegółowo, jeżeli nie cał­kowicie, z protokółów norymberskich, diariusza gen. Haidera, znajdującego się w Waszyngtonie oraz dalszych nowych publikacyj, por. Gerhard L. Wein­berg, *Hitlers Entschluss zum Angriff auf Russland* w *Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte,* Stuttgart 1953, 4. Problemat Bosji został poruszony po raz pierwszy przez Hitlera w rozmowie z Brauchitschem 13. 7. 1940 w związku z przekonaniem, że Anglia ociąga się z nawiązaniem rokowań, licząc na Rosję. Następnie, na odprawie 21. 7., pojawia się plan unieszkodliwienia za­wczasu Rosji : *„Russisches Problem in Angriff nehmen... Russisches Heer schlagen Politisches Ziel : Ukrainischcs Reich, Baltischer Staatenbund, Weiss-Russland-Finland..."* Wreszcie, na Konferencji na Berghofie 31. 7. decyzja : ,,*Russland Faktor, auf den England am meisten setzt. Irgend et- was ist in London geschehen... Entschluss : Im Zuge dieser Auseinander- setzung (mit England) muss Jłussland Frühjahr 41 erledigd werden..."* **De­**cyzja zapadła zatem w umyśle Hitlera między 21 a 31 lipca, tzn. przed szczytowym napięciem bitwy powietrznej o W. Brytanię; w związku z tym **2** Bierpnia odwołane zostały wszelkie przygotowania demobilizacyjne, **brane** pod uwagę jeszcze w początku lipca.

Literatura powojenna niemiecka nie potrafi dać sobie rady z tym problematem. Rzecz naturalna : w umysłach panują dość powszechnie poglądy urobione w czasie wojny : pakt sowiecki uważany za *Meisterstück* dyplomatycznego zaskoczenia, napaść na Rosję uznana za bezmyślne szaleństwo. Pierwszy pozwolił Niemcom, pod osłoną Stalina, pobić Polskę i Francję; druga wprowadziła zwycięską armię na bezgranicza i stała się począt­kiem końca. Wojna z Polską była, jeśli nie popularną, to przy­najmniej zrozumiałą ; wojna przeciw Rosji wydaje się, pomimo 1914 roku, zerwaniem tradycji mogącej powołać się na Fryde­ryka Wielkiego i Bismarcka. Polska ukazuje się w ramach tego obrazu „państwem sezonowym”, tworem znienawidzonego Wer­salu ; Rosja —■ ostoją wschodnio-europejskiego ładu, który prze­trwał nieomal półtora stulecia. Powtarza się ta groteskowa sce­na, kiedy Góring, na krytycznym zakręcie dziejów, rysował Dah- lerusowi, na wyrwanych kartkach z kalendarza, coraz to nowe granice projektowanej Polski, to po prostu przywracające gra­nicę podziałową Królestwa Kongresowego z 1815 roku, to się­gające jeszcze dalej, poza Kalisz, Łódź i Płock, odnawiając linię drugiego rozbioru lub pomysły wiślanej granicy Knesebecka : — i to wszystko jako rozwiązanie „kompromisowe”, przygoto­wywane dla polskiego pełnomocnika.

Żaden ze współczesnych niemieckich autorów nie przystąpił jeszcze do zagadnienia niemiecko-polskiego w obrębie tragedii ostatnich lat, jako do sprawy samej w sobie, stanowiącej oddziel­ny odcinek polityki niemieckiej i osobną kartę środkowo-euro- pejskiej problematyki. Każdy z nich ma tendencję do wtłocze­nia kwestii tej w ramki czy to stosunków z Rosją, czy poglą­dów naśladowanych z Anglii, czy wreszcie w koleiny wyżłobione przez tradycję pruską. A przecież kwestia polska zaważyła decy­dująco, sarna przez się, na rezultatach pierwszej wojny świato­wej, a stała się głównym powodem drugiej. Jest więc nad czym się zastanowić.

Co się zaś tyczy tradycji pruskiej w grze uprawianej z Rosją kosztem Polski, to jeden przynajmniej spomiędzy tych pisarzy, wnikliwy Kordt, poświęcił jej mimochodem parę uderzających uwag. Wedle niego, mylne jest redukowanie polityki Bismarcka do utrzymania drutu między Berlinem a Petersburgiem ; należa­łoby ją raczej powiązać z dzisiejszą koncepcją „powstrzymywa­nia” Rosji. „Bismarck nie byłby nigdy dopomógł, z powodu jakiejś sprawy Korytarza, czy też dla innej jeszcze racji, do zni­szczenia tego *glacis* państw, które założono z pomyślnym skut­kiem jako przedmurze Europy środkowej na Wschodzie”. Tra­dycje wymagają więc również, choćby były najbardziej zakorze­nione, dokładnej analizy i beznamiętnego sądu.

*(Dokończenie nastąpi.)*

*Michał SOKOLNICKI,*Ambasador R.P.

**PLON**

**EGON CAESAR COMTE CORTI**

VIE, MORT ET RÉSURRECTION D'HERCULANUM ET DE POMPÉI

**795 fr.**

**PER HÓST**

DES PHOQUES ET DES INDIENS

a ***De la mer de glace à la forêt vierge »***

**795 fr.**

**MAJOR GENERAL CHARLES A. WILLOUGHBY**la CONSPIRATION de SHANGHAI
***Sorge, chef d'espionnage soviétique.***

**600 fr.**

**•**

**GONZAGUE DE REYNOLD**

**LA FORMATION DE L’EUROPE, IL**

LES GERMAINS

***Le Monde barbare et sa fusion avec le Monde antique.***

1. **200 fr.**

**ROSAMOND LEHMANN**

LE JOUR ENSEVELI

Collection « FEUX CROISES »

**570 fr.**

**PLON**

Fragmenty z dziennika

*środa.*

W ,,Kulturze” *z* września artykuł Jana Winczakiewicza o Balińskim, Lechoniu, Łobodowskim i Wierzyńskim. Figuru­ją oni w *Antologii,* którą dr St. Lam przyrządził pod katego­rycznym tytułem „Najwybitniejsi poeci emigracji”.

Recenzja Winczakiewicza zawiera tylko jedną prawdę i dla­tego tym silniej uderza... gdyby jednak jej autorem nie był poeta, pełen kultu, ukłonów, delikatności dla Poezji, nie na­zwałbym jej druzgoczącą. Ale w tym rzecz, że cała nieco staro­świecka galanteria, z jaką Winczakiewicz całuje końce palusz­ków Muzy wierszowanej, nie zdołała stłumić w nim jęku, który podzielam : dlaczego to wszystko myszką trąci? „Wszyscy czterej zapatrzeni są w przeszłość” — stwierdza z żalem wiel­biciel, aby dodać zaraz coś jeszcze gorszego. „Więcej : patrząc w przeszłość, patrzą oczyma przeszłości. I więcej : spoglądając na wypadki bieżące, patrzą również oczyma przeszłości”.

Jaka szkoda ! Gdyby chodziło o zwykłe wiersze to osta­tecznie, nic wielkiego. Ale to są przecież wiersze „świetne”, „znakomite”, które budzą tyle naszego podziwu — więc niech­by przynajmniej nas nie kompromitowały. Tak, lepiej by było aby te cztery oblicza „najwybitniejszych” nie spoglądały na nas jak z albumu starych rodzinnych fotografii, aby te uwiel­biane tomiki nie były albumami jesiennych zasuszonych liści. *Où sont les neiges cTantan ?* Cóż nam gędzą czterej subtelni królewicze naszego marzenia, jakąż to kantyczkę nuci ich tkli­wa harfa? O, ta kantyczka jest właściwie kołysanką! Spać...

Nie atakuję bynajmniej czterech znakomitych poetów (trud­no, jak słusznie pisze Winczakiewicz, aby zmienili sobie oczy) — atakuję li-tylko nasz podziw. *Où sont les neiges d’antan ?* W tej logice, która poezji emigracyjnej każę być poezją wspom­nień, żalu, odwrotu, ucieczki, lub, w najlepszym wypadku, nie-

teraźniejszości, w tej logice jest coś tak dialektycznie i his­torycznie logicznego, iż to nieomal daje w pysk. Cóż innego pozostało nam, prócz tej subtelnej wspomnień perfumy ? Azaliż nie jest historycznie uzasadnione i zapisane w księgach mark- sizmu-leninizmu, że poezja warstw kończących się musi byó poezją dnia wczorajszego ? Wsiądźmyż tedy posłusznie do dyli­żansu tych czterech historycznie uzasadnionych poetów i jedź- myż wraz z nimi ku tym gajom byłych słowików i byłych róż, ku starodawnym pocztówkom, mołojcom i babcinym sztambu­chom. *Où sont les neiges d’antan?* Daremnie „poloniści” w ro­dzaju p. Weintrauba pocieszają nas, że jednak Wierzyński szu­ka nowych form wypowiedzi i że jego rytmika staje się „swobod­niejsza” a liryzm bardziej bezpośredni i ściszony. Tu nie idzie, niestety, o rytmikę ani o liryzm, głośniejszy łub cichszy, ale o na­stawienie duchowe, o samo nastrojenie — i nie tyle harf, ile harfiarzy.

*Où sont les neiges d’antan ?* Ale nie zgadzam się z Win- czakiewiczem gdy mówi, że to romantyzm zmusza ich do uni­kania współczesności i że ich aintelektualizm jest przyczyną ich bezradności w świecie dzisiejszym, antyromantycznym, w któ­rym jest miejsce tylko na poezję intelektualną. Nie-dzień, źle mówię, noc, którą przeżywamy, wypełniona jest po brzegi ro­mantyzmem o mocy tysiąca Byronów. Nie było nigdy takiej burzy w udręczonym łonie ludzkości, ocean nasz ryczy i rozbija się o skały. I nawet skłonny jestem mniemać, że cuda tej grozy nie są obce czterem historycznie uzasadnionym bardom, o któ­rych mowa. Ale tej piękności nie mogą oni zmieścić w swoim Wierszu, w Wierszu, który wyrobił się im w dawnych przed­wojennych czasach i to nie włazi im w metaforę, to nie mieści się im w stylu.

Jak zemściła się na tych ludziach naiwność ich wiary w Poe­zję i w Poetę, ich kult formy poetyckiej, ich zapamiętanie we wszystkich fikcjach, jakie wytwarza środowisko poetów ! Poeta dnia dzisiejszego powinien być dzieckiem, ale dzieckiem chyt­rym, trzeźwym i ostrożnym. Niechaj uprawia poezję, lecz niech w każdej chwili będzie zdolny zdać sobie sprawę z jej ograni­czenia, brzydot, głupot i śmieszności — niech będzie poetą, lecz poetą gotowym w każdej chwili poddać rewizji stosunek poezji do życia i rzeczywistości. Niech, będąc poetą, nie przestaje ani na chwilę być człowiekiem i niech człowieka nie podporządko­wuje „poecie”. Ale tego auto-szyderstwa, tej auto-ironii, auto- pogardy, auto-nieufności nie była w stanie zapewnić naiwna szkoła Skamandra, której jedyną ambicją było pisać „piękne wiersze”. Gdy więc dzisiaj Lechoń powinien by odnowić i zre­formować w sobie poetę-Lechonia, w czym znajdzie punkt opar­cia, gdzież jest to coś CO' by mu pozwoliło zaryzykować jakąkol­wiek zmianę ? Boi się on naruszyć w sobie choćby jednego prze­cinka, gdyż kto wie, a nuż przestanie wówczas być poetą i wier­sze będą mniej pięknymi wierszami? Jak Lechoń może w tym sensie zwrócić się przeciw poecie-Lechoniowi, jeśli Lechoń jest— tak czytaliśmy — „altissimo poeta”, i jeśli poezja stała się jego fachem, sytuacją społeczną, postawą duchową ? Jakże po­psuć sobie tak szczęśliwie ustaloną harmonię z czytelnikami ?

Tym czterem historycznie uzasadnionym, którzy zostali nam dani abyśmy ich podziwiali i, podziwiając, poczuli rozkosz wy­mierania i bezsilności, nie brak formy — brak im dystansu do formy. Swobodni wobec świata, na jednym tylko punkcie są skrępowani : na punkcie poezji. A to okropne, to ciasne , ,ja jestem poetą”, wypowiadane z namaszczeniem świętego wtajem­niczenia, odcina ich od wszelkiej piękności, która rodzi się w gąszczach życia i uderza w uświęcone formy. Co pewien czas, dokonywując śmiałego zamachu na własną sztywność, wprowa­dzają jakąś straszliwą inowację — nowy rym lub asonans — i na tym koniec.

Artysta, który urzeczywistnia się wewnątrz sztuki, nigdy nie będzie twórczy — musi on koniecznie umieścić się na tym jej pograniczu, gdzie sztuka styka się z życiem, tam gdzie po- wstają niemiłe pytania w rodzaju : o ile ta poezja, którą piszę, jest konwencjonalna, a o ile naprawdę jest żywa ? Jak dalece kłamią ci, którzy mnie wielbią, i jak dalece kłamię, uwielbiając siebie jako poetę ? Gdy jednak kilka takich pytań postawiłem w artykule ,,Przeciw poetom”, pytań wcale nieskomplikowa­nych, których jedyną specyficzną właściwością było, że doty­czyły nie samej sztuki wierszowanej a tylko jej związku z rze­czywistością, okazało się że nikt nic nie zrozumiał, a już naj­doskonalej nie zrozumieli poeci. Gdyż cechą tej religii, jak wszel­kiej innej, jest, że ona nie dopuszcza zwątpienia, nie chce wie­dzieć. Ale dość. Dlaczego tak znęcam się nad poetami ? Wam i sobie zdradzę rację mojego dobrodusznego okrucieństwa : wia­domo mi, że poeta wszystko zniesie i niczym nie poczuje się dotknięty pod jednym warunkiem — aby przyznano że jest poe­tą. I tutaj mogę dać im pełne zadośćuczynienie i sto razy po­wiem, że są poetami, tak, wybitnymi poetami, a nawet, jak chce *Antologia,* najwybitniejszymi poetami (nic nie mam prze­ciwko temu).

Ty jednak, narodzie, strzeż się ich historycznie uzasadnio­nego zmierzchu. Nie daj się wciągnąć w gierkę ,która polega na tym, że oni „śpiewają” a ty podziwiasz. Zrewiduj swoje ko­munały. Czasem bywa tak, że podziwiamy, bośmy przyzwyczaili się podziwiać ,a także dlatego, że nie chcemy popsuć sobie pa­rady. Bywa też, że podziwiamy przez delikatność, aby nie ro­bić przykrości. Na wszelki wypadek doradzam : uderzmy w nich mocno aby zobaczyć, czy się nie przewrócą. A ten cios, być może, wyzwoli w nas teraźniejszość i da nam klucz do przyszło­ści. Głupcy! Dlaczego pozwalacie aby poetów narzucała wam historia ? Wy sami musicie ich stwarzać, ich i historię.

*Piątek.*

Poszedłem do modnego sklepu Ostende i kupiłem parę buci­ków żółtych, które okazały się za ciasne. Wróciłem więc do

**B**sklepu i wymieniłem tę parę na inną, tego samego fasonu i nu­meru i w ogóle identyczną pod każdym względem, która oka­zała się równie ciasna.

Bywa, iź sobą zdumiewam siebie.

*Sobota.*

X., jego żona, oraz p. Y., nader czynny w Polonii argen­tyńskiej opowiadali mi ploteczki. Podobno na posiedzeniu orga­nizacyjnym jakiegoś stowarzyszenia postawiono moją kandyda­turę na członka — wówczas prezes, czy tam ktoś, wyskoczył i ryknął, że dla takich wyrodków miejsca tu nie ma ! A na po­siedzeniu innego komitetu uchwalono, że moja ,,współpraca” jest niepożądana.

Bóg z nimi. Nawet gdyby wysłano do mnie delegację z mu­zyką i kwieciem, nie współpracowałbym z komitetami, które śmiertelnie mnie nudzą, a także nie przyjąłbym prezesury gdyż, będąc człowiekiem poważnym, nie nadaję się na figuranta. Te zabawki w prezesów, komitety i sesje dobre są dla sontags- jaegerów, nie dla znojnego pracownika na niwie literatury i kul­tury rodzimej, jak ja. Wiem zresztą, że żadna delegacja mi nie grozi, gdyż nienawiść komitetów do mnie wynika z samej ich natury i komitety, jako takie, zawsze będą mnie zwalczały, nawet gdy wszyscy ich członkowie prywatnie i na osobności będą mi szeptać na ucho : babrz pan ile wlezie ! Oby jednak spadł z nieba ogień, który by oczyścił życie argentyńskie Pola­ków z nadmiaru tandety. Ludzi tych nie mogę zrozumieć. Jest dla mnie zagadką, że facet, który przeszedł przez siedem krę­gów piekła, zaznał sytuacji sięgających samego dna duszy, wy­czerpał ostatecznie sens walki, bólu, rozpaczy, wiary i zwątpie­nia, tu, w Argentynie, wylądowawszy, wstępuje jakby nigdy nic do komitetu i zaczyna recytować nieśmiertelny, jak się okazu­je, frazes. Wiedza o życiu, którą uzyskali, którą musieli uzy­skać, jest jak gdyby obok nich — mają ją w kieszeni swojej, ale nie w sobie — a zresztą i ta kieszeń została zaszyta.

Dzieciństwo ich tonu jest nieznośne. Tygodnik „Głos”, za­silony nowymi piórami w ciągu ostatnich lat, przestał być ok­ropną szmatą i przerodził się w dumny i pożyteczny „organ”, niemniej jest to w dalszym ciągu zgromadzenie cioć i wujciów, oddających się wszelkim możliwym ostrożnościom aby nie zgor­szyć nieletniej siostrzenicy. Ta troska o przedpotopową niewin­ność dzisiejszych Polaków jest rzeczywiście wzruszająca. Oso­by, które doznały najostrzejszego życia, są traktowane jak pen­sjonarki z piątej klasy i dozwolone są im jedynie pewne tematy, należycie ocukrzone i złagodzone. Może jednak lepiej, że „Głos” zachowuje te ostrożności, gdyby bowiem „Głos” przemówił prawdziwym swoim głosem to obawiać się należy, że głos ten rozsadziłby „Głos” w pięć minut może nawet z całą kolonią. Lę­kamy się naszego prawdziwego głosu i dlatego używamy „Gło­su” doskonale nijakiego.

Daleki jednak jestem od zwalczania tego stanu rzeczy środ­kami zbyt drastycznymi. Co pewien czas ktoś — najczęściej pre­zes, skarbnik, lub sekretarz — zwraca się do mnie z poufnym wezwaniem abym stał się biczem kolonii i zjechał wszystko jak należy. Nie uśmiecha mi się ta rola. Niczego nie doka- źemy babrząc się wzajemnie i wymyślając sobie od hipokry­tów, głupców i niedołęgów. Natomiast dążyć trzeba do tego, aby w tych Polakach obudziła się świadomość ich nierealności, tej fikcji, jaką żyją, i aby ta świadomość stała się w nich decy­dująca. Trzeba im powtarzać : ty nie jesteś taki, ty naprawdę już wyrosłeś z tego co mówisz, ty zachowujesz się tak bo do­strajasz się do innych, celebrujesz, bo wszyscy celebrują, kła­miesz, bo wszyscy kłamią, ale i ty i my wszyscy jesteśmy lepsi od farsy w której występujemy — to im trzeba mówić póki ta myśl nie stanie się dla nich deską ratunku. Ten rodzaj Ketmanu jest nam koniecznie potrzebny. Musimy poczuć się jak aktorzy złej sztuki, którzy w swych ciasnych i banalnych rolach nie mogą się wygrać. Ta świadomość pozwoli nam przynajmniej przechować naszą dojrzałość do czasów, w których będziemy mogli stać się bardziej rzeczywiści.

Nie winię nikogo, gdyż to nie ludzie winni, tylko sytuacja. *Czwartek .*

On (Miłosz), podobnie jak oni wszyscy (literaci pewnej szko­ły, wychowani na „społecznej” problematyce), doświadcza zma­gań, udręczeń, wątpliwości, które były zupełnie nieznane daw­niejszym pisarzom.

Rabelais nie miał pojęcia o tym, czy jest „historyczny” czy „ponad-historyczny”. Nie zamierzał uprawiać „pisarstwa ab­solutnego” ani hołdować „czystej sztuce”, ani też — na odwrót — wypowiadać swoją epokę, w ogóle nic nie zamierzał ponie­waż pisał, jak dziecko załatwia się pod krzakiem, aby sobie ul­żyć. Uderzał w to, co go rozjuszało; zwalczał, co stawało mu mu na drodze; i pisał dla rozkoszy — własnej i cudzej — pi­sał, co mu podchodziło pod pióro.

Niemniej Rabelais wypowiedział swoją epokę i przeczuł epokę nadchodzącą i, w dodatku, stworzył nieprzemijającą i naj­czystszą sztukę — a stało się to ponieważ, wypowiadając siebie z najpełniejszą swobodą, wypowiadał zarazem wieczną istotę swej ludzkości i siebie, jako syna swojego czasu, i siebie, jako zarzewie nadchodzącego czasu.

Ale dzisiaj Miłosz (i nie on jeden) przykłada palec do czoła i medytuje : jak i o czym mam pisać? Gdzie jest moje miejsce? Jakie są moje obowiązki ?? Mamźe zanurzyć się w historii ? A może szukać „drugiego brzegu”? Kim mam być? Co mam ro­bić ? Nieboszczyk Żeromski, bodaj, miał zwyczaj odpowiadać w takich razach : pisz, co ci serce dyktuje — i oto rada, która najbardziej mi trafia do przekonania.

Kiedyż położymy kres tyranii chochołów abstrakcji, aby uj­rzeć na nowo świat konkretny ? Potęga tych wyfilozofowanych antynomii jest tak wielka, iż Miłosz zupełnie zapomina z kim rozmawia i podsuwa mi rolę obrońcy „czystej sztuki”, rolę nie­omal estety. Cóż mam z tym wspólnego ? Jeśli przeciwstawiam się schematom, grożącym literaturze nazbyt aktualnej, to wcale nie po to aby narzucać inny schemat. Ja nie opowiadam się za sztuką wieczną ,ani czystą, mówię jedynie Miłoszowi że trzeba uważać aby życie nie przetworzyło się nam pod piórem w poli­tykę — albo w filozofię, albo w estetykę. Nie domagam się ani sztuki stosowanej, ani czystej — domagam się swobody, doma­gam się twórczości „naturalnej”, takiej, która jest niepreme- dytowanym urzeczywistnianiem się człowieka.

Lecz on mówi : — Lękam się... i lękam się tego, że gdy oddalę się od Historii (to znaczy od truizmów doby obecnej), będę samotny. Na co ja powiem : — Ten lęk jest nieprzyzwoity i, co gorzej, urojony. Nieprzyzwoity, gdyż jest, zaiste, rezygna­cją nie tylko z wybitności, ale i z własnej prawdy, jest rezy­gnacją z jedynego — chyba — heroizmu, który stanowi dumę, siłę, żywotność literatury .Ten kto się boi ludzkiej wzgardy i osa­motnienia wśród ludzi, niech milczy. Ale lęk ten jest także uro­jony — albowiem popularność, którą zdobywa się na służbie czytelnika i prądów epoki oznacza jedynie duże nakłady — i nic, nic więcej — a tylko ten, kto zdołał wyodrębnić się z ludzi i za­istnieć jako człowiek osobny, a dopiero potem zdobywa sobie dwóch, trzech, dziesięciu wyznawców, braci, ten tylko wydo­był się z samotności w granicach sztuce dozwolonych.

I mówi (wciąż we władzy tej wyrozumowanej wizji, która w nim tak kłóci się z najcenniejszymi właściwościami jego oso­by) : — My, Polacy, możemy dziś z góry i śmiało przemawiać do Zachodu „dlatego po prostu (tu cytuję dosłownie), że nasz kraj jest terenem przemian najważniejszych, jakie mogą się zda­rzyć i że w tych przemianach jest „śpiew przyszłości”, który wzniesie się, kiedy runie panowanie Moskwy nad narodami”. Na to odpowiedziałbym radą, aby tę myśl przyłożył do Buł­garii albo Chin, które także są przecież w owej historycznej awangardzie. Nie, Miłoszu : żadna historia nie zastąpi ci oso­bistej świadomości, dojrzałości, głębi, nic nie rozgrzeszy cię z cie­bie samego. Jeżeli jesteś osobiście ważny, to choćbyś zamiesz­kiwał w najbardziej konserwatywnym punkcie globu, świadec­two twoje o życiu będzie ważne ; ale żaden historyczny magiel nie wyciśnie słów ważnych z ludzi niedojrzałych.

Więc to wszystko staje się trudne, wątpliwe, ciemne, za­gmatwane pod najazdem skomplikowanej sofistyki naszych cza­sów ; ale odzyskuje krystaliczną jasność swoją gdy pojmiemy, że dziś nie mówimy, nie piszemy w jakiś nowy i szczególny spo­sób, ale tak właśnie jak to się działo od początku świata. I żad­ne koncepcje nie zastąpią przykładu wielkich mistrzów, żadna filozofia nie zastąpi literaturze jej drzewa genealogicznego, ob­fitego w nazwiska które napełniają dumą. Nie ma wyboru : moż­na tylko tak pisać jak Rabelais, Poe, Heine, Racine lub Gogol

* albo wcale. Dziedzictwo tej wielkiej rasy, które nam zostało przekazane, jest jedynym prawem które nami rządzi. Lecz ja tutaj nie polemizuję z Miłoszem, który jest rasowym koniem
* polemizuję tylko z jego chomątem, z tym wozem wypełnio­nym skrupułami, które mu przeszłość jego doczepiła.

*Poniedziałek.*

Dlaczego nie wymieniłem Wittlina, pisząc o recenzji Win­czakiewicza, skoro i jego wiersze zawarte są w antologii ?

Pominąłem go, ponieważ Winczakiewicz również go po­mija — gdyż, jak twierdzi, te dawne wiersze Wittlina nie są miarodajne. Ale chciałbym postawić kropkę nad i.

Gdyby Wittlin był tylko autorem wierszy z antologii, na pewno zahaczyłbym i o niego. Ale Wittlin to stwór ziemno­wodny i mieszkaniec dziesięciu rzeczywistości — poeta, który jest prozaikiem, święty, który jest buntownikiem, klasyk spo­krewniony z awangardą, patriota i kosmopolita, społecznik, któ­ry jest samotnikiem. Jeden z tych Wittlinów wywodzi się wprawdzie ze Skamandra i obarczony jest w pewnej mierze jego dziedzictwem, ale oto dziewięciu pozostałych Wittlinów napiera na niego, domagając się rewizji. Ta cicha burza Wittlinów w Wittlinie, to wrzenie na pozór jakże układnego wulkanu, ta umęczona i aktywna jego ludzkość nie jest moim wrogiem — jest sprzymierzeńcem. A siła wszelkiego wittlinowskiego buntu na tym polega, że on za nic nie chce się buntować i, jeśli bun­tuje się, to dlatego że musi. Oto czemu nikt z nas nie jest tak przekonywujący, jak on, i niczyje słowo nie jest zdolne zjednać w tym stopniu ludzi zatwardziałych w przesądzie. Doświadczy­łem na sobie tej siły, gdyż przedmowa Wittlina do mojej książ­ki jest majstersztykiem klarownej perswazji i dobroci, nałado­wanej najbardziej współczesną dynamiką. Lecz właśnie z po­wodu tej przedmowy uderzyłbym chętnie na Wittlina — ude­rzyłbym, aby nie powiedziano, że oszczędzam go, ponieważ mnie broni i popiera (nędzne są moje uczucia 1).

*Wtorek.*

Mowa, wygłoszona do narodu na bankiecie w gościnnym domu pp. X., u schyłku A. D. 1953.

*Gdy święta nadejdą, lubicie podlewać łzami klomb wspom­nień i wzdychać rzewnie do utraconych miejsc rodzinnych. Nie bądźcie śmieszni, ani ckliwi ! Nauczcie się dźwigać własne prze­znaczenie ! Przestańcie opiewać mdławo piękności Grójca, Pio­trkowa lub Biłgoraja. Wiedzcie, że ojczyzna wasza to nie Gró­jec ,ani Skierniewice, nawet nie kraj cały, i niech krew uderzy wam na policzki rumieńcem siły na myśl, że ojczyzną waszą wy sami jesteście ! Cóż z tego, że nie przebywacie w Grodnie, Kut­nie lub Jedlińsku ? Czyż kiedykolwiek człowiek przebywał gdzie indziej, niż w sobie ? Jesteście u siebie, choćbyście znajdowali się w Argentynie lub w Kanadzie, ponieważ ojczyzna nie jest miejscem na mapie ,ale żywą istnością człowieka.*

*Przestańcie zatem hodować w sobie pobożne iluzje i sztucz­ne sentymenty. Nie, nigdy nie byliście szczęśliwi w Kraju. Tam­te sosny, brzozy i wierzby są w istocie zwykłymi drzewami, któ­re wypełniały was bezbrzeżnym poziewaniem gdy, znudzeni, oglądaliście je niegdyś przez okno każdego ranka. Nieprawda, że Grójec jest czymś więcej niż przeraźliwą i prowincjonalną dziurą, w której ongiś biedowała wasza szara egzystencja. Nie, to kłamstwo : Radom nigdy nie był poematem, nawet o wscho­dzie słońca ! Nie są cudowne i niezapomniane tamtejsze kwia­ty — a nędza, brud, choroby, nuda i krzywda osaczały was i wówczas, jak psy wyjące głuchych połskich wsi o zmroku.*

*Nie będźcie, mówię, mazgajami. Nie zapominajcie, że póki mieszkaliście w Polsce nikt z was Polską się nie przejmował, ponieważ ona była codziennością. Dziś natomiast nie mieszka­cie już w Polsce, ale za to Polska silniej w was zamieszkała — ta Polska, którą określić należy jako najgłębszą ludzkość wa­szą, urobioną pracą pokoleń. Wiedzcie, że wszędzie tam gdzie wzrok młodzieńca odkrywa swoje przeznaczenie w oczach dziew­czyny, tworzy się ojczyzna. Gdy na ustach waszych jawi się gniew lub zachwyt, gdy pięść godzi w łajdactwo, gdy słowo mędrca lub pieśń Beethovena rozpala wam duszę, uwodząc ją w nieziemskie kręgi, wówczas — na Alasce i na równiku — ro­dzi się ojczyzna. Ale na placu Saskim w Warszawie, na rynku krakowskim, będziecie bezdomnymi włóczęgami, domokrążcami bez przydziału i wędrownymi, beznadziejnie ordynarnymi gro- szorobami jeśli pozwolicie aby trywialność zabiła w was pięk­ność.*

*Trzeba ubolewać, że nie jesteście dość szlachetni i dość na­tchnieni aby odkryć patetyczny sens waszej tułaczki.*

*A jednak nie traćcie nadziei. W tej walce o głębszy sens życia i jego piękność nie jesteście osamotnieni. Na szczęście macie przy boku sztukę polską, która dziś stała się czymś waż­niejszym i prawdziwszym niż bezdomne ministerstwa i urzędy wyzute z władzy — i ona to, sztuka, nauczy was głębi, jej bicz, surowy i dobrotliwy zarazem, spadnie na was ze świstem ilekroć zaczniecie się rozklejać, ślimaczyć i mazgaić. Ona, sztuka, ot­worzy wam oczy na surową piękność współczesności, na wiel­kość waszego zadania, a zbyt prowincjonalne uczucie zastąpi uczuciem nowym, na miarę świata, na miarę tych horyzontów, które dziś się przed wami otwierają. Przywróci wam zdolność lotu i mocy aby nie powiedziano o was słowami Szekspira :*

*Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy !*

Witold GOMBROWICZ

Francuz odkrywa Stanisława Augusta

Z królów polskich czasów nowożytnych jedynie dwaj budzą większe zainteresowanie w historiografii *europejskiej :* Sobieski z powodu Wiednia i Stanisław August ze względu na swój stosu­nek do epoki Oświecenia oraz z powodu tragizmu losów Polski za jego panowania.

Jeżeli o Stanisława Augusta chodzi, to dowodem tego „mię­dzynarodowego” zainteresowania jest w ostatnich dziesięciole­ciach fakt, że doczekał się on biografii w języku angielskim *Nisbet Baina* ,,The last king of Poland and his contemporaries” (Lon­dyn 1919), w języku niemieckim *O. Forst Battaglii* „Stanislaus August Poniatowski und der Ausgang des alten Polenstaates” (Berlin 1927), tudzież w języku francuskim Jean Paul Palewskie- go „Stanislas-Auguste Poniatowski, dernier roi de Pologne” (Pa­ryż 1946). Jest również rzeczą charakterystyczną, iż ukryte przez sto lat z górą w Rosji, pisane po francusku, pamiętniki Stanisława Augusta w dwu pierwszych tomach, obejmujących czasy do roku 1780, opublikowane zostały przez rosyjską Akademię Nauk w Pe­tersburgu, względnie Leningradzie, w latach 1914-1924 (ciąg dal­szy, dotyczący ostatnich lat życia króla (zm. 12 lutego 1798) nie ukazał się — o ile mi wiadomo — dotychczas).

Najnowszym, szczytowym osiągnięciem zainteresowania dla osoby i czasów Stanisława Augusta jest wielkie dzieło p. Jean Fabre’a. Dzieło — nie waham się tego powiedzieć — znako­mite pod wielu względami. Pierwsze *wielkie* dzieło, dotyczące *całego* okresu panowania Stanisława Augusta po „Wewnętrz­nych dziejach Polski” Korzona.

Prof. Fabre zajmuje się wiekiem 18-ym w Polsce od dawna. Jest autorem między innymi studium pt. „La propagande des

Jean Fabre, professeur à la Faculté des Lettres de l’Université de Stras­bourg : *Stanislas-Auguste Poniatowski et l'Europe des lumières.* Publica­tions de la Faculté des Lettres de l’üniversité de Strasbourg, fascicule 116. Société d’édition : Les Belles Lettres. Paryż, 1952. Str. 111 + 746. 25.16.

idées philosophiques en Pologne sous Stanislas-Auguste et l’école varsovienne des Cadets” (R.L.C., 1935), interesował się działal­nością w Polsce Jana Dubois de Jancigny (por. Jean Fabre, ,,Jean- Baptiste Dubois de Jancigny et son activité en Pologne”), a ,,Con­sidérations” — ,,Uwagi nad rządem polskim” — Jana Jakuba Rousseau zamierza opublikować wkrótce w wydaniu krytycznym z komentarzami.

TLO OGÓLNE

Książka p. Fabre’a kreśli postać Stanisława Augusta *na bardzo rozległym tle ówczesnych stosunków w Polsce :* umysło­wych, literackich, artystycznych, politycznych, społecznych, a czę­ściowo ustrojowych i gospodarczych (tych ostatnich mniej). Daje nader trafną charakterystykę społeczeństwa polskiego wieku 18-go w różnych jego warstwach ze szlachtą na czele (np. str. 36), rozumie rolę lóż masońskich w dziejach wieku 18-go w ogóle, a w sprawach polskich, zwłaszcza w związku z akcją rozbiorową w szczególności (por. str. 428, 496 i w. inn.). Zdaje sobie autor dokładnie sprawę z właściwości zasadniczych psychiczno-społecz- nych Polaków 18-towiecznych, ze specyficznego charakteru urzą­dzeń ustrojowych Polski, tudzież z zaborczego dynamizmu jej są­siadów, czego nieraz nie uświadomiali sobie lub nie chcieli uświa­domić zarówno ludzie ówcześni, jak i późniejsi historycy. I to nadaje szczególną wartość książce, pisanej niezmiernie żywo i barwnie. Już same tytuły rozdziałów i podrozdziałów takie, jak : *Powrót prochów — Le retour des cendres,* nawiązujący do spro­wadzenia prochów Stanisława Augusta w roku 1938 do Woł­czyna (str. 1), lub *Filozof ukoronowany — Un philosophe cou­ronné* (tytuł cz. II, str. 123), *Zwodnicze związki — Les liaisons décevantes,* stosunki z oświeconym Zachodem, na których tak zawiódł się Stanisław August (str. 292), *Duch i smak* (królewski) *L'esprit et le goût* (str. 365) : świadczą o dążeniu do barwności i plastyki w przedstawieniu rzeczy.

RODZINA KRÓLEWSKA

Znajdujemy też w książce omawianej tryskające życiem cha­rakterystyki wybitniejszych postaci, przede wszystkim najbliższej *rodziny królewskiej.* A więc zwięzła, ale wyrazista zarazem jest charakterystyka ojca Stanisława Augusta. *Stanisław Poniatowski,* herbu Ciołek, ongiś towarzysz nieodstępny Karola XII, tęga gło­wa, polityk giętki, człowiek pod wielu względami niepospolity, mający rozgałęzione stosunki na Zachodzie, później kasztelan kra­kowski, członek ,,Familii”, małżonek Konstancji Czartoryskiej, „chmury gradowej”, jak ją nazywano w rodzinie, dla której do końca (ona zmarła w r. 1750, on w 1762) nie przestał żywić senty­mentów najczulszych. Znany był już i dawniej, dzięki pięknej mo­nografii Klemensa Kanteckiego (1880), ale p. Fabre zdołał wy­dobyć ze źródeł niejeden szczegół nowy i ciekawy (str. 125-133 et pass.).

Świetne też są charakterystyki *braci królewskich.*

Najstarszy spośród nich *Kazimierz,* ex-podkomorzy koronny, o dość poziomym charakterze i przeciętnym umyśle (str. 150 et pass.), utracjusz, wiecznie goniący za groszem, którego jedyną chyba zasługą było to, że był ojcem księcia Stanisława, pod­skarbiego wielkiego litewskiego, najświatlejszego, najbardziej w sensie dodatnim postępowego z Poniatowskich, a w którym jego ukoronowany stryj najchętniej widziałby swego następcę ; ekspatriował się ks. Stanisław z czasem zupełnie, pomimo iż ojciec i rodzina ściśle z krajem i dworem związani byli. Dalej — *Andrzej,* generał austriacki, któremu zawdzięczał król, jak stwierdza p. Fabre, ,,pociechę swego życia i jedyną radość swoich lat ostatnich”, gdyż był on ojcem księcia Józefa, i w tym charakterze ks. Andrzej, ten trochę kondotier i prostak (str. 152), lecz człowiek uczciwy, przeszedł przede wszystkim do his­torii Polski. Wreszcie, najmłodszy i najwybitniejszy z braci królewskich *Michał,* opat czerwiński, biskup płocki, ostatecznie prymas ,odznaczający się hipertrofią krytycyzmu, uporem, am­bicją, pewną oschłością, „którego ateizrn nie był tajemnicą dla nikogo” (str. 153), jak również „niewiara w Polskę”, lecz któ­ry' — mimo to — położył wielkie zasługi na gruncie prac Ko­misji Edukacyjnej, jako protektor nauk, zawsze, w zakresie sto­sunków z Oświeceniem zachodnim, popierający króla. Był on jedną z postaci najbardziej niepopularnych swojego czasu ; toteż przypisywano mu zgubny wpływ na króla, i tylko przez śmierć uszedł on zemsty ludu podczas insurekcji kościuszkowskiej w ro­ku 1794, przy czym autor samobójstwo uważa w tym wypadku za bardzo prawdopodobne (str. 548). Nie mówi natomiast autor o tym, że Michał Poniatowski odegrywał przez lat szereg, choć tajemną, lecz ogromną rolę polityczną : był w Koronie kierow­nikiem partii „regalistów”, koronnej „partii dworskiej”, podob­nym, jak podskarbi Tyzenhauz był na Litwie. Jest, w ogóle, szkodą niesłychaną dla nauki historycznej naszej, że dotąd nie posiadamy wyczerpującej monografii tej niewątpliwie bardzo cie­kawej i wybitnej, choć mało pociągającej moralnie postaci, jaką jest Michał Poniatowski.

O sumienności autora w zakresie badań stosunków rodzin­nych królewskich świadczy fakt, że w dziele jego znajdujemy nie tylko charakterystykę tych znanych braci królewskich, ale spotykamy dane szczegółowe o dwóch innych braciach, często­kroć przemilczanych przez historyków, o których nawet sam Stanisław August nie wspomina w swoich pamiętnikach.

Są to : drugi co do starszeństwa z kolei brat, *książę Fran­ciszek,* chory na epilepsję, który jako kanonik krakowski, zmarł w roku 1758 w wieku lat 35-ciu (str. 151), i młody rycerski *Aleksander,* który będąc żołnierzem armii francuskej okrył sięchwałą wojenną i, nie doszedłszy lat 20-tu, zginął bohaterską śmiercią w Palatynacie w r. 1744 (151-2).

I *siostry królewskie :* starsza *Ludwika Zamoyska,* w rezy­dencji swej w Wiśniowcu snobująca ha sawantkę i pięknodusz- kę, „która na nieszczęście po swym drugim owdowieniu mogła zbyt wiele czasu poświęcić swemu królewskiemu bratu” (str. 154), oraz *Izabela Branicka,* „pani krakowska”, „księżna filo­zofów” na Białymstoku, mająca „więcej pozornej, lecz wcale nie rzeczywistej godności od siostry”, doczekały się szerszego uwzględnienia w książce p. Fabre’a.

Ale nie tylko rodzeństwo króla przedstawione jest w książce szczegółowo, obszerne ustępy poświęcone są *Czartoryskim, Au­gustowi* i *Michałowi,* „kochanym, lecz nie kochającym wujasz- kom”, jak ich król nazywał, i całej ich „familii”, do której i król przez matkę należał (str. 125-57 et pass.).

I trzeba to przyznać, że Czartoryskich, może pod wpływem stanowiska wobec nich króla, aż nazbyt wyraźnie zarysowanego w jego pamiętnikach, potraktował autor z widoczną niechęcią, nieraz nie szczędząc im ostrych słów i nie zawsze zasłużonej przez nich przygany (str. 335 np.).

PRZEDSTAWICIELE SPOŁECZEŃSTWA

Poza tym zgoła wszyscy wybitniejsi przedstawiciele spo­łeczeństwa polskiego, których takie czy inne z królem wiązały stosunki — przyjazne czy wrogie — znajdują tu swoje charak­terystyki, plastyczne i barwne zawsze, często obfitujące w szcze­góły, wydobyte z listów, pamiętników i źródeł, małodostępnych niekiedy suto omaszczone pikantną anegdotą, a niemal bez wyjątku historycznie słuszne i całkowicie bezstronne.

Oto *Franciszek Bukaty,* wieloletni przedstawiciel interesów polskich w Anglii, „wcielenie czcigodnego w oczach angielskich patriotyzmu polskiego”, marzący stale o powrocie do cichego życia w swojej wsi rodzinnej (str. 420-421); oto *Ignacy Massal­ski,* biskup wileński, światły, ale i wad pełen, „więcej jeszcze niestały, niż fałszywy”, intrygant, pragnący zostać „polskim Mirabeau” bez powodzenia (str. 272-73, 441-42 et pass.); *Jacek O grodzki,* najwierniejszy z wiernych, „poczciwy Ogroś”, nie­gdyś guwerner, z czasem sekretarz królewski (str. 159-161); *Feliks Oraczewski,* towarzysz Reytana na sejmie r. 1773, rektor Szkoły Głównej Koronnej w Krakowie, człowiek rzetelny, choć nie zawsze umiejący orientować się w sytuacji (469-71); albo ów „Bakchus nieświeski”, „pijak, głupiec, śmieszny, ale im­ponujący zarazem”, który po libacjach trzeźwiał w kaplicy, przy odmawianiu różańca (48 ss.), *Karol Radziwiłł ,,Panie Kochan­ku” ;* czy *bracia Sułkowscy* (str. 264, 299-300, 467-8); *August,* człowiek o małpiej twarzy, prawdziwa „kopalnia projektów”, którymi był „nafaszerowany”, marzył, żeby zostać wobec Sta­nisława Augusta Cromwellem, gdy nie mógł być Colbertem,i brat jego *Franciszek,* pretensjonalny elegant i niepoważny wo- jażer zagraniczny; *bracia Moszyńscy : August,* stolnik koron­ny, ,,wielki mistrz masonerii polskiej”, sknera i „antyklerykał napastliwy”, pragnący uchodzić za człowieka uniwersalnego, i *Fryderyk,* „osobistość okrzyczana”, „koślawy kutwa”, chci­wiec i dusigrosz, zwany z tego powodu „perceptą”, pedant, znie­nawidzony przez uczniów warszawskiego korpusu kadetów, któ­rego był dyrektorem w zastępstwie księcia generała ziem podol­skich, popadając w ustawiczne zatargi z profesorami korpusu (str. 264-65 et pass.).

A oto dwie, jakże plastycznie zarysowane postaci dwóch wybitnych pijarów „Sapere ausus”, *ksiądz Stanislarw Hieronim Konarski,* którego działalność w różnych dziedzinach, a zwłasz­cza w dziedzinie wychowania autor ceni niezwykle wysoko i są­dzi, że wpływ jego przekroczył granice Polski i za pośrednic­twem Leszczyńskiego, Coyer’a, Pyrrhys de Varilles’a oddziałał na formację niektórych poglądów Jana Jakuba Rousseau’a (str. 106-109, III-121 et pass.); oraz *ksiądz Antoni Popławski,* filo­zof, ekonomista i fizjokrata, którego od króla oddalała pewna surowość klasztorna i filozoficzna (str. 107, 439, 440). Za to wyjątkową sympatią króla cieszyli się trzej znakomici ex-jezuici : „kochany Naruch” — *biskup Adam Naruszewicz,* historyk i pi­**sarz,** królowi całą duszą oddany, „drogi Piramek” królewski, *Grzegorz Piramowicz,* zasłużony działacz Komisji Edukacji Na­rodowej, „tyleż subtelny duchowo, co szpetny cieleśnie”, wresz­**cie** *ksiądz Marcin Odlanicki-Poczobut,* słynny astronom wileń­ski (str. 439, 448 et pass.).

CUDZOZIEMCY

Swobodnie obraca się też autor wśród cudzoziemców, z któ­rymi stykał się Stanisław August w swej przedkrólewskiej mło­dości, lub którzy służyli mu później, jako królowi, czy też ba­wili na dworze warszawskim chwilowo, bądź jako podróżnicy, ciekawi zwiedzić Polskę, bądź jako poszukiwacze szczęścia.

I tu znowu widzimy całą ogromną i jakże barwnie przez autora skreśloną galerię typów.

Rozpoczyna ją szereg „pożądanych i niepożądanych” wy­chowawców przyszłego króla, jak zacny *ks. Allaire* o wielkich zaletach umysłu i serca, jego główny przez lat parę wychowaw­ca (str. 162-66, 178, 603, 604...). Wśród zaś „niepożądanych” przygodnych „mentorów” umieszcza autor na miejscu naczel­nym *Hermana Karola hr. Kayserlinga,* Kurlandczyka, ambasa­dora rosyjskiego w Polsce, jeszcze za czasów Anny Iwanówny (1730-40), „pół profesora, pół dyplomatę”, amoralnego, despo­tycznego, pedantycznego (str. 166-7) > poza tym na liście wpływ ujemny wywierających „preceptorów” króla w jego młodości wymienieni są tutaj *-.Łukasz Toux de Salwerte,* Szwajcar z po­chodzenia , wojskowy z profesji, „matematyk królewski” — jaksię tytułował, charakter dość mizerny, okultysta, ,,książę wta­jemniczonych”, w masonerii brat XXI-go stopnia i kawaler Ró­żanego Krzyża (str. 95, 169-70, 496, 500...); i zwłaszcza *sir Charles Hanbury Williams,* ,,dowcipny, olśniewający i zepsuty”, ,,dyletant”, pozbawiony jakichkolwiek skrupułów moralnych, z którym przyszły król od roku 1750 pozostawał w ścisłych osobis­tych stosunkach ,zarówno w różnych krajach Europy Zachod­niej, jak w Polsce i Rosji — oto byli ludzie, którzy kształtowali młodzieńczy umysł i charakter tego, co miał zasiąść na tronie, i oni to, szczególnie zaś Williams, ku nieszczęściu swego pu­pila, nauczyli go ,,realizmu”, jaki otwierać będzie przed nim nieraz dwuznaczną drogę postępowania, jeżeli nie wręcz pro­wadzącą do hańby (str. 170-175 et pass.).

Dalej idzie *legion cudzoziemców, zatrudnionych w służ­bie zagranicznej, dworskiej, osobistej i wszelkiej innej.*

Oto margrabia i arcybiskup, a później niefortunny kardynał, *Tomasz Antici,* przedstawiciel interesów Polski przy Stolicy Apostolskiej, kosztowny, ale nie nazbyt lojalny wobec swej mo­codawczym, bo marzący o zostaniu oficjalnym ambasadorem Rosji przy Watykanie (str. 421-22). Dalej kroczą inni : *Mau­rycy Glayre,* rodem Szwajcar, cieszący się wielkim zaufaniem u króla, przedstawiciel jego w Paryżu, wielki mistrz Wielkiego Wschodu w Polsce (str. 426-7 et pass.); oraz następca jego nad Sekwaną *Filip Mazzei,* Florentyńczyk, „powstaniec” i ra­dykał, dobrze widziany w kołach radykalnych Francji przed­rewolucyjnej i rewolucyjnej (str. 350-1, 507-22 et pass.), i trzeci rezydent polski we Francji *Lewis Littlepage,* awanturniczy Amerykanin, któremu król okazywał stanowczo , więcej życzli­wości i zaufania, niż ta niepewna moralnie i umysłowo osobis­tość zasługiwała (str. 427-8, 501, 507 et pass.).

Spośród tych cudzoziemskich przybyszów, niezwykle licz­nych, którzy stale otaczają osobę Stanisława Augusta w War­szawie na funkcjach przeróżnych, przesuwają się poprzez karty książki : *Chrystian Samuel Friese,* Sas, używany do posług naj­rozmaitszych, archiwista nadworny, niegodny zaufania, okazy­wanego mu przez króla, lecz spisujący jego pamiętniki i towa­rzyszący mu aż do śmierci (str. 401 et pass.), lub taki *Józef Duhamel,* którego funkcje były równie mało określone, jak Frie­se’go, wiecznie nazywany : „ten młody Francuz ”, pretensjonal­ny pyszałek, kobieciarz, zawsze zadłużony po uszy, pracujący w bibliotece, w koncelarii, przy budowie, w ogrodzie... wszędzie (str. 398, 401-2 et pass.); czy też taki *Marek Reverdit* z Ge­newy, wielbiciel Russa, zuchwały, upadły moralnie, bibliotekarz królewski, używany do misji poufnych, lecz uważający siebie i uważany przez lat dwadzieścia za najautentyczniejszego na gruncie warszawskim przedstawiciela zachodnio-europejskiego Oświecenia ! (str. 402-205, 460...). Do tzw. „kliki włoskiej” na dworze warszawskim należeli, jakże barwnie przez p. Fabre’a przedstawieni : *ks. Carlo Benvenuti,* dworak-pochlebca, służą­cy do wszystkiego i do niczego (str. 406-407) ; *Marcello Baccia-relli,* znany artysta malarz, „odziedziczony” przez Stanisława Augusta po Auguście III, „gotów malować wszystko, czego by tylko chciano, szybko i w sposób najbardziej pochlebny” dla po­zującego lub zamawiającego (str. 389-90) ; *ks. Gaetano Ghigioti,* obdarzony w r. 1768 indygenatem polskim, kanonik warmiński, ulubieniec dam, salonów warszawskich i króla, „głowa lekka, wolna od ciężkich skrupułów”, miłośnik gry kartowej, stąd w ustawicznej będący potrzebie pieniędzy, lecz inteligentny i pra­cowity sekretarz korespondencji z Kurią rzymską (str. 407-408 et pass.); i wreszcie najszlachetniejszy chyba pośród nich, który, pomimo krótszego od tamtych w Polsce pobytu, najszczerzej się do niej przywiązał i najwięcej swej przybranej drugiej ojczyźnie zasłużył — *ks. Scypion Piattoli* (str. 385, 408-418 et pass.).

Daje też wśród cudzoziemców autor obszerny obraz wszel­kiego rodzaju szarlatanów, oszustów, szachrajów, hulaków, wydrwigroszów, karciarzy, awanturników, obieżyświatów, jak „wielki” Casanova, Cagliostro, rzekomy „Castrioto, książę al­bański”, kawaler d’Eon i wielu, wielu innych, o których żywo opowiada nam autor w różnych ustępach książki, lecz zwłaszcza w rozdziale *La ruée des aventuriers — Najście poszukiwaczy przygód* (str. 281-291), którzy Polskę uważali za jakieś Eldo­rado dla siebie i próbowali szczęścia, trzeba to przyznać, często przez czas dłuższy i w sposób niepojęty korzystając z dobrotli­wych a naiwnych względów królewskich.

PRZDSTAWICIELE „OŚWIECENIA”

A poza nimi przedstawia p. Fabre świat tych, którzy re­prezentowali istotnie „les lumières” — oświecenie europejskie ówczesne.

*Voltaire, d'Alembert, Diderot, Grimm, Holbach :* wszystko to byli ludzie, o których opinię ubiegał się Stanisław August usilnie i sądził, że ich zdanie zaważyć może na decyzjach euro­pejskiego świata politycznego i jego stosunku do Polski. Autor opisuje szczegółowo tych ludzi „Oświecenia” i środki, stoso­wane przez króla, a zmierzające ku ich pozyskaniu.

Niestety, był to świat wprawdzie intelektualnie przodujący Europie Zachodniej, ale *moralnie stojący niesłychanie nisko,* cy­niczny, pozbawiony skrupułów etycznych, sprzedajny i dający się kupić więcej dającemu. Autor zna ich doskonale, i co do ich war­tości etycznej, a jednocześnie i w pewnej mierze naiwności, da­jącej się podejść łatwo Fryderykowi czy Katarzynie, co do ich uwielbienia siły materialnej i — powiedzmy — doktrynerskiego fanatyzmu wolnomyślicielstwa („leur fanatisme à rebours”, str. 248, „le fanatisme de la philosophie”, str. 308) : nie ma żad­nych wątpliwości. Wie też autor, że nienawiść, *pogarda do Pol­ski* była w sercach „filozofów” ówczesnych *nie do wykorzenie­nia* („le mépris de la Pologne était indéracinable au coeur de la „philosophie”, str. 310). Dlaczego? bo Polska była słaba i w ichoczach nazbyt hołdowała „przesądom kościelnym”, a walkę o niepodległość swoją w konfederacji barskiej łączyła z żarliwo­ścią katolicką...

Ocena *Voltaire’a,* oparta na trafnym rozróżnieniu w nim wielkiego pisarza i zarazem małego, lichego człowieka, czciciela potęgi, przedajnego pochlebcę, (,,vénal et flagorneur comme un parasite”, str. 313); charakterystyka *Diderot’a,* zjednanego cał­kowicie przez Katarzynę, która nabyła lekceważony przez biblio­filów paryskich jego księgozbiór za cenę niepomiernie wyższą od tej, jaką by mógł otrzymać w Paryżu, zyskując w nim odtąd „piewcę swej wielkości” (str. 340-42 et pass.); a zwłaszcza ob­raz *Melchiora Grimma,* istotnego „promoteur des lumières” 18- towiecznego, opanowanego prawdziwą pasją nienawiści do koś­cioła rzymskiego i namiętnym kultem wszelkiej siły, a pogardą dla słabości, jednego z najlichszych ludzi owego czasu (str. 331- 352 et pass.) : należą do najświetniejszych kart książki p. Fa- bre’a.

Jakże bardzo pragnął tych „arbitrów opinii filozoficznej” pozyskać sobie, zjednać dla swych planów reformatorskich, od­wrócić nawet przy ich pomocy, jak się naiwnie łudził, niebez­pieczeństwo prusko-rosyjskie od Polski, Stanisław August; pro­wadził z nimi korespondencję, nawiązał kontakty osobiste, wy­dawał nawet na nich pod różnymi pretekstami znaczne sumy, jed­nak, oczywiście, całkiem bezskutecznie, gdyż tym ludziom impo­nowała przede wszystkim siła militarna i materialna tudzież fra­zes liberalistyczny. A tej pierwszej król polski nie posiadał, zaś frazesem liberalnym któż zjadliwiej pognębić mógł przeciwnika, niż „Wielki” Fryderyk, i któż mydlił oczy obłudniej i wpraw - niej niż Semiramida Północy?! Zaprawdę, z góry przewidzieć można było — jak to wykazuje autor — że wszelkiemu występ­kowi, nawet zbrodni, dokonywanej na Polsce przez despotyczną siłę w imię rzekomego postępu i liberalizmu, „filozofowie” albo będą przyklaskiwali, albo co najwyżej umyją ręce (str. 250).

Świetna jest też charakterystyka — chyba po raz pierw­szy w nauce historycznej przedstawiona tak wnikliwie — owej bogatej mieszczki paryskiej *,,mateczki Geoffrin”,* tej „reine- mère de la Pologne”, jak ją nazywano, która chciała uchodzić za łączniczkę między Stanisławem Augustem i Polską a paryskim światem „Oświecenia”, i w charakterze „l'ambassadrice des lumières” — wysłanniczki oświecenia — narzuciła się królowi ze swoim przyjazdem do Warszawy, najniefortunniejszym, gdyż rozczarował on obie strony i bardzo rozluźnił, oziębił, uczynił zgoła konwencjonalnymi dalsze między nią a królem stosun­ki (str. 192-194, 292-312 et pass.).

I na tym tle powiązań „Oświecenia” ówczesnego ze Stani­sławem Augustem i Polską przedstawia nam autor jakże odmien­ny ich stosunek do Fryderyka i Katarzyny II.

Autor ma ich oboje, Fryderyka i Katarzynę,za cyników (str. 285), uważa, że są oni *,,escrocs et profiteurs des lumières”* — oszustami i paskarzami Oświecenia (str. 552), którzy wyży-skiwali bezwstydnie („sans pudeur”) hasła tego „Oświecenia” na rzecz despotyzmu i swoiście pojętej zaborczej racji stanu (str. 2-55). Ustalone też ma przekonanie w sprawie stosunku tej uko­ronowanej pary do Polski. Przecież dla Fryderyka naród polski był „la plus fine canaille, la dernière nation de l’Europe et la plus avilie” — „najprzebieglejszą kanalią, ostatnim z narodów europejskich i najpodlejszym” (str. 248); nie lepsze i nie wyższe miała o nim pojęcie i „Semiramida Północy”, niejednokrotnie dająca temu wyraz (str. 352).

I na tym punkcie *pogardy i nienawiści do narodu polskiego spotykali się* obaj ci ukoronowani *przedstawiciele absolutyzmu z przedstawicielami „Oświecenia"* zachodnio-europejskiego. I do nich to właśnie Stanisław August zwracał się nieraz, wyobraża­jąc sobie, że przy ich pośrednictwie zarówno u króla pruskiego, jak i u imperatorowej, wyjedna jakieś ustępstwa, jakąś sąsiedz­ką życzliwość dla Polski, którą za wszelką cenę chciał ratować. Oczywiście, były to czyste złudzenia i marzenia, zgoła nie realne.

♦

Jakże na tym tle w dziele p. Fabre’a przedstawia się *postać Stanisława Augusta, jako nie tylko tytułowanego, ale i głów­nego w istocie bohatera całości ?*

Już parokrotnie w większych i wnikliwych lub mniejszych recenzjach o dziele p. Fabre’a spotkać się można ze zdaniem, że autor daje tu charakterystykę i ocenę Stanisława Augusta tak pochlebną, iż uważać ją właściwie należy za apologię jego (por. np. „Wiadomości” Nr 43/343, 1952, Stanisław Mackie­wicz — „Wielkie dzieło Francuza o Polaku”).

Istotnie, stanowisko autora wobec tej postaci dziejowej jest nader przychylne ; korzysta też on jak najobficiej z *pamiętników królewskich,* pisanych, wzorem Cezara i późniejszych Napole­ona, w osobie trzeciej, a utrzymanych w tonie *jednostronnie apo­logety cznym.* Groziło historykowi, na pamiętnikach tych, jako na podstawowym źródle opierającemu się, że, pod ich wpływem sam, wpaść może w ton podobny, i da obronę, apologię Stani­sława Augusta — nazbyt chwalczą i stronniczą, niemal że idea­lizującą.

Tak wszakże nie jest. Uchroniła autora przed tym niebez­pieczeństwem *rzetelność naukowa i wszechstronne korzystanie ze źródeł.*

Oprócz pamiętników królewskich, autor uwzględnia tysią­ce materiałów innych, zarówno pochodzących od samego Stani­sława Augusta i jego stronników, jak i od przedstawicieli obozu przeciwnego, usiłuje niczego nie opuścić,o niczym nie zapom­nieć i, wznosząc się ponad całość materiałów, wydać sąd całko­wicie bezstronny.

Bo też ilość i jakość materiałów, przez autora zgromadzo­nych, jest zdumiewająca.

Autor zna, oczywiście, całą bogatą literaturę przedmiotu ; oprócz innych badaczy (np. prof. Kota), ceni zwłaszcza wysoko sąd *prof. Konopczyńskiego* (np. str. 117), *może nie docenia* i sta­wia nazbyt w cieniu sądy o ludziach i wyniki badań *prof. Tade­usza Korzona,* które dla czasów Stanisławowskich, a też i dla osoby Stanisława Augusta, mają przecie dotychczas epokowe znaczenie.

Nie tylko uwzględnia większe prace, a i pomniejsze studia dawnych uczonych jak : Askenazy, Smoleński, Kalinka, Kraus- har, Gubrynowicz, Batowski, Mańkowski i inni, ale też rozpra­wy i rozprawki młodych pracowników naukowych z lat ostatnich, przedwojennych i powojennych, polskich i francuskich, że przy­toczę tu dla przykładu tylko : pracę Melanii Skorzepianki o ,,Fe­liksie Oraczewskim, rektorze Krakowskiej Szkoły Głównej” (Kraków, 1935), oraz Heleny Rządkowskiej pt. ,,Stosunek pol­skiej opinii publicznej do Rewolucji Francuskiej” (Warszawa, 1948), tudzież z francuskich : prace p. Ambroise Jobert’a : „Ma­gnats polonais et physiocrates français (Dijon, 1941) oraz tegoż „La Commission d’Education Nationale en Pologne” (Dijon, I941)-

Szczególną zaletą autora jest jego wyjątkowo gruntowna zna­jomość i oczytanie w literaturze pamiętnikarskiej i epistologra- ficznej, zwłaszcza zaś *broszurowej i pamfletowej francuskiej 18-go wieku,* traktującej o sprawach polskich (por. np. str. 574 et pass.), przy czym- zdradza on słusznie wiele nieraz krytycyz­mu i nieufności w stosunku do podróżników cudzoziemskich, opi­sujących Polskę, i w ogóle do wiadomości o Polsce, podawanych, przez cudzoziemców (jak Coxe, Coyer, czy artykuły „polskie” w „Encyklopedii” francuskiej (np. str. 24, 25, 26 et pass.).

Takie wydawnictwa, jak „Sbornik” Cesarskiego T-wa His­torycznego Rosyjskiego, który w 130 przeszło tomach ileż pierw­szorzędnego materiału do dziejów polskich zawiera, chociażby w tomach korespondencji Katarzyny z Grimmem, „Archiwum Woroncowa”, wielotomowa korespondencja Fryderyka Wielkie­go : wszystko to zostało przez autora szeroko uwzględnione i w zakres badań wciągnięte...

A poza tym *materiał archiwalny, rękopiśmienny,* jakże ob­ficie korzysta z niego autor, cytując nieraz ustępy z nieznanej dotąd korespondencji, z pamiętników, i jakże bardzo ożywia przez to swoje wywody, zbliżając czytelnika w sposób bezpo­średni do ludzi 18-go wieku.

P. Fabre przyznaje, że zainteresowania Stanisława Augusta były tak wszechstronne, stosunki z najprzeróżniejszymi ludźmi w różnych krajach tak rozległe, i że materiały odnośne są roz­rzucone i dają się znaleźć niemal wszędzie, we wszystkich kra­jach i w zbiorach, w których by tego najmniej spodziewać się można.

Oprócz archiwów francuskich (zwłaszcza Ministerstwa Spraw Zagranicznych), i niektórych angielskich i niemieckich, przeprowadził autor badania *niemal we wszystkich ważniejszychzbiorach rękopiśmiennych polskich.* Żałować jedynie należy, iż okoliczności nie zawsze pozwoliły autorowi wyzyskać *w całości materiały* danego zbioru rękopisów : np. w spisie materiałów Biblioteki Czartoryskich w Krakowie (str. 688-91), pominięte zostały tomy 714, 718, 720, zawierające korespondencję Stani­sława Augusta z Antonim Tyzenhauzem (nieraz w minutach włas­noręcznych królewskich), związaną często ze stosunkami króla z Europą Zachodnią. Szkoda również, że nie sięgnął p. Fabre do zbiorów T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie (co za pobytem jego w Polsce przed r. 1939 zasadniczo było możliwe), a które posia­dały między innymi nader ciekawą (może dzisiaj już zaginioną) kilkotomową korespondencję biskupa Ignacego Massalskiego, dotyczącą też relacji polskich z zagranicą w epoce Stanisławow­skiej.

Natomiast wielką zasługą autora jest, że był on jednym z pierwszych badaczy tej epoki, którzy mieli możność w pracy swojej szeroko uwzględnić *Zbiór Popielów,* mieszczący się w ok­resie niepodległości w Archiwum Głównym w Warszawie i sto­sunkowo od niedawna dopiero udostępniony pracownikom nau­kowym. Ma on dla czasów Stanisława Augusta, a w szczegól­ności dla stosunków króla z przedstawicielami Oświecenia, zna­czenie pierwszorzędne.

♦

Ten bardzo obfity i różnorodny materiał źródłowy, z które­go autor korzystał, sprawił, *że zdołał on ustrzec się wszelkiej jednostronności w ocenie Stanisława Augusta,* zwłaszcza jedno­stronności panegirycznej.

Zapewne, *widzi w nim wiele wyjątkowych zalet* : wie, że jest — pomimo wszystko — wyższy moralnie i od Fryderyka i od Katarzyny (str .482) podkreśla niejednokrotnie jego szczere przejęcie się duchem oświecenia, jego niezwykle żywą i chłon­ną inteligencję z wielkim uznaniem mówi o jego uprzejmości, darze ujmowania sobie ludzi : Sćgur mówił o Stanisławie Augu­ście, ,,umiał się on podobać, ale nigdy nie umiał rozkazywać” (str. 482). Wysoko ceni jego zdolności krasomówcze (str. 373-4), jego wybitny ,,styl epistolarny”, i, o ile o listy francuskie cho­dzi, powołuje się na kompetentne w tym względzie zdanie Gu­stawa Lanson’a (str. 377 i przyp. 42 na str. 650), sądzi wszakże iż nadmierna obfitość korespondencji Stanisława Augusta wpły­wała na jej nieco zbytnią powierzchowność.

Natomiast nie ma dość słów podziwu dla Stanisława Au­gusta, jako dla *pamiętnikarza.* Pamiętniki te, które, niestety, do­tychczas drukiem ogłoszone są ,,bez ostatniego rozdziału”, czy raczej tomu, bez ostatniego osiemnastolecia życia króla, bez lat 1780-1798, i urwane są na roku 1780, w połowie panowania je­go, uważa autor za źródło niezmiernie ważne dla siebie, poza tym jednak dopatruje się w nich *wysokich walorów literackich* i cech najlepszych „memuarzystów” czy „moralistów” francus­kich (jak np. La Rochefoucauld, La Bruyère i inni), bez ich

**4**ślepego naśladowania, tak iż, zdaniem p. Fabre’a, poza swoim „historyzmem”, nader wartościowym i niezrównanym, posiada­ją one ,,Le charme de roman intime” oraz „une incontestable originalité” i stoją na pograniczu wielkiej sztuki (str. 375-6).

Można, oczywiście, być bardziej powściągliwym w osądzie zalet narracyjno-literackich pamiętników Stanisława Augusta, jednak bezsprzecznie i słusznie, wraz z p. Fabre’em, uznać w nich trzeba pierwszorzędne źródło historyczne, aczkolwiek, jak og­romna większość pamiętników, mocno subiektywne.

ZAINTERESOWANIA KULTURALNE

Podnosi też autor z całym uznaniem ogólne *zainteresowa­nia kulturalne* Stanisława Augusta, jego usiłowanie stworzenia na Zamku w Warszawie gabinetu przyrządów fizycznych i tech­nicznych o zastosowaniu praktycznym, zainicjowanie sporządze­nia mapy Polski (str. 380)... Marzył także król o stworzeniu wielkiej encyklopedii o charakterze praktycznym i postępowym (str. 385-386), o kolegium medyko-ekonomicznym w Warszawie (str. 435), o ,,Universitas Generalis Poniatoviana” w Warsza­wie (str. 436), brał do serca sprawy Komisji Edukacji Narodo­wej. Bo sprawy polityczne były tak pogmatwane i tragiczne, iż w Polsce, jak mawiał król, „pozostawały nam tylko sprawy wychowania : to kłaść trzeba było ponad wszystko, interesować się tym nieustannie”... To jedynie miało wydać, choć dopiero w zasięgu długofalowym, skutki dodatnie (str 445 et pass.).

Wszystko to pozwala autorowi słusznie stwierdzić, że Sta­nisław August był rzeczywistym *„prekursorem nowoczesności"* w Polsce i uważał to niejako za hasło swego panowania (str. 435 i pass).

HUMANITARYSTA I NIEPODLEGŁOŚCIOWIEC

Do zalet króla zalicza też autor *humanitaryzm* jego i chęć *świadczenia dobra* innym, dostrzega w nim nawet wysokie *po­czucie* zasadniczych *interesów państwa* (str. 414), zwłaszcza od czasu, kiedy stał się ukoronowanym tego państwa przedstawi­cielem, zaś w zbliżeniu się Stanisława Augusta do kół Oświe­cenia europejskiego widzi nie tylko dogadzanie skłonnościom osobistym, lecz sądzi, iż przez to szukał on ratunku i zbawienia dla Polski (chciał „sauver la Pologne par les lumières” (str. 23), w czym się zresztą, jak widzieliśmy, całkowicie i gorzko po­mylił.

Poczytuje autor Stanisławowi Augustowi za wielką zasługę, z czym się, jak sądzę, trudno z autorem zgodzić, iż przez swoją dyplomatyczną ustępliwość i uległość wobec Rosji opóźnił os­tateczną zagładę Polski przez rozbiory przynajmniej o lat 20 (str. 241). Jednocześnie, *jako najwyższą pochwałę niepodległo­ściowego stanowiska króla* i dążenia jego do zrzucenia jarzma zależności od Rosji, przytacza zdanie Konopczyńskiego, iż chciał Stanisław August porozumieć się z kołami kierowniczymi kon­federacji barskiej, oraz słowa, wyrzeczone do niego przez Stak- kelberga, iż król jest w gruncie rzeczy i w duchu ukrytym kon­federatem barskim : ,,Vous êtes vous-même Barien dans l’âme” (str. 239).

ZASŁUGI NIE ZASŁUŻONE

Natomiast, *na apologię króla, cokolwiek przesadną i nie­słuszną,* bo nie opartą na faktach ścisłych, *wygląda przypisy­wanie wszystkich niemal dodatnich objawów działalności naro­dowej ówczesnej — inicjatywie i dobrej woli,* planowym zamie­rzeniom i akcji *królewskiej.*

Trudno np. uznać za słuszną opinię, że to Stanisław Au­gust dopiero wypowiedział *walkę takim fetyszom narodowym,* jak „liberum veto” lub twierdzenie, że „Polska nierządem stoi” (str. 40), przecie występowano przeciwko nim i dawniej i nieza­leżnie od Stanisława Augusta. Cała *działalność Komisji Eduka­cji Narodowej,* aczkolwiek niewątpliwie szła po linii dążeń kró­lewskich, jednak rozwijała się, zarówno w samej Komisji, jak i w Towarzystwie dla Ksiąg Elementarnych dość niezależ­nie od króla i jego inicjatywy, wbrew temu, co autor na ten temat utrzymuje (str. 436-446). *Nawet znaczny przyrost ludr ności* Rzeczypospolitej za Stanisława Augusta, spowodowany ogólnym wzrostem dobrobytu, nawet wzrost dochodów skarbo­wych przypisuje autor Stanisławowi Augustowi (str. 467), cho­ciaż wpłynęły na to liczne i rozmaite czynniki, i kto wie, czy osoba króla i jego inicjatywa nie gra tu o wiele mniejszej od innych czynników roli.

Nie podobna też uważać za dzieło inicjatywy Stanisława Augusta — kanału Ogińskiego, jak to czyni autor, sądząc przy tym błędne, że służy on połączeniu Wisły z Prypecią (str. 463- 464). Kanał ten jest zarówno w zamiarze, jak i w wykonaniu za­sługą hetmana wielkiego litewskiego Michała Ogińskiego : jego kosztem, przez jego dobra Łohiszyńskie i według jego planów był przeprowadzony. Już raczej z osobą króla związana być mo­że tak zwana „kopanica Muchawiecka”, o lat dziesięć z górą późniejsza od kanału Ogińskiego, a która w wyniku dała tzw. kanał Królewski, o którym autor nic nie mówi. Kanał „Kró­lewskim” zwany, łączący Pinę z Muchawcem, a więc pośrednio Dniepr i Prypeć z Wisłą, powstał wprawdzie z inicjatywy eko­nomicznej litewskiej Tyzenhauza, ale przeprowadzony był przez ekonomię królewską Brzesko-Kobryńską, został przez króla uro­czyście otwarty, i przynajmniej formalnie uchodzić może za dzieło króla. Mówiąc o *uniwersytecie wileńskim* (str. 551), który Stanisław August odwiedzał w roku 1797, w ostatniej swojej drodze, jadąc z Grodna do Petersburga, na wezwanie cesarza

Pawła, powiada autor o tej uczelni : ,,c’était son oeuvre” — wcale niesłusznie, gdyż uniwersytet wileński komu innemu o wiele więcej miał do zawdzięczenia, niż Stanisławowi Augu­stowi...

Można by przytoczyć sporo podobnych przykładów *,,nie za­służonych zasług”,* za które Stanisław August odbiera od autora nie zupełnie zasłużone pochwały. Poprzestaniemy na jednym jesz­cze fakcie : profesor Fabre wyraża uznanie dla humanitaryzmu i *postępowego społecznie stanowiska króła w sprawie włościań­skiej.*

KRÓL A WŁOŚCIANIE

Istotnie, za Stanisława Augusta nie jedna postępowa i po­żyteczna społecznie reforma w stosunkach włościańskich do­konana została w wielu dobrach ówczesnych. Stanisław August przyjmował je do wiadomości z zadowoleniem wyrażał też nie­jednokrotnie pełne współczucie dla stanu włościan i humanitarne poglądy, pisząc np. w liście do Tyzenhauza, że za największą miałby sobie hańbę, gdyby ktokolwiek z włościan królewskich miał słuszny powód skarżyć się na pana swego, oraz gdyby czyi- kolwiek włościanie mieli się lepiej od królewskich... Jednak, jak wiadomo, przynajmniej w części dóbr, zależnych od siebie, mia­nowicie niemal na całym ogromnym obszarze (z małymi wyjąt­kami) ekonomij, czyli dóbr stołowych, litewskich, przyzwolił na to, iż administracja królewska, dla podniesienia dochodów kró­lewskich, zniosła istniejącą tutaj od roku 1680, od czasów Jana III Sobieskiego *gospodarkę czynszową,* i wprowadziła zamiast niej *gospodarkę pańszczyźniano-folwarczną,* opartą na ściślej­szym wyzyskaniu pracy ludności chłopskiej ekonomicznej. Mogę tu powołać się na moją pracę pt. ,,Ze studiów nad dziejami eko­nomij królewskich na Litwie”, wydaną w Wilnie jeszcze w roku 1914, na przedwojenne wydanie ,,Zarysu historii gospodarczej Polski” profesora Jana Rutkowskiego oraz D. Pochilewicza „Pierewod gosudarstwiennych krestian Wielikaho Kniażestwa Litowskaho s otrabotocznoj renty na dienieżnuju w XVII w.”. Istoriczeskije zapiski, Moskwa, 1951.

Zaprowadzenie po ekonomiach, zamiast gospodarstwa czyn­szowego, ponownie robocizny pańszczyźnianej, ograniczającej wolność rozporządzania swoim czasem i osobą, a więc wolność osobistą włościan ekonomicznych, było zjawiskiem dziwnym i uderzającym, wobec całkiem odmiennej tendencji, istniejącej (pod wpływem fizjokratyzmu) w drugiej połowie wieku 18-go w całej Rzplitej.

Przypomnijmy tu sobie, chociażby działalność emancypa­cyjną w stosunku do włościan Pawła Brzostowskiego w Pa­włowie pod Wilnem i jego ,,Rzeczpospolitą Pawłowską”, bisku­pa Massalskiego w dobrach Ihumeńskich i gdzie indziej oraz Chreptowicza w Szczorsach, lub bratanka królewskiego Stani­sława Poniatowskiego w dobrach Korsuńskich... To zaś, co działo się za pozwoleniem Stanisława Augusta w zależnych od niego i dla zwiększenia jego „stołowych” dochodów w ekono­miach królewskich na Litwie, było *sprzeczne z tą postępową tendencją emancypacyjno-społeczną,* a jednak się działo !... Zwiększenie doraźnej bowiem rentowności, uzyskanej chociażby drogą pewnej *akcji wstecznej społecznie,* dla takiego, wiecznie będącego w kłopotach pieniężnych utracjusza, jak Stanisław August, było argumentem aż nazbyt przekonywającym, wobec którego często ustąpić musiały i uczucia, żywione w sercu, i na­wet bardzo liberalne poglądy, wyrażane bądź na obiadach czwartkowych, bądź w listach do „mamy Geoffrin” lub do sa­mej „Semiramidy Północy”.

*Daleki wszakże jest profesor Fabre od bezwzględnie chwal­czej apologii króla.* Podkreśla wiele rysów ujemnych jego psy­chiki i charakteru, i jako człowieka i jako króla.

Z powodu pobytu jego w Petersburgu (str. 213) mówi o Sta­nisławie Auguście, jako o młodym człowieku przede wszystkim *amoralnym,* który w Rosji nie interesuje się niczym poza intry­gą i przyjemnością, ma oczy zamknięte na wszystko inne, a zwie­rzenia jego o tym pobycie i o stosunku z przyszłą cesarzową Ka­tarzyną, nawet na tle życia ludzi wieku 18-go, wywołują, zda­niem autora, wręcz obrzydzenie („ćcoeurement” — str. 217). Za­chowanie się stolnika litewskiego, przyszłego króla, na zerwa­nych sejmach roku 1761 i 1762 uważa za *haniebne* (str. 209-10). *Ocenia bardzo krytycznie obfitość jego romansów i miłostek,* tak nieraz kosztownych, tak deprawujących otoczenie, tak gor­szących patriarchalną opinię kraju, tak kompromitujących jego osobę i tak bardzo niewczesnych, i z powodu straszliwej trage­dii, przeżywanej przez kraj, i ze względu na stanowisko tego śmiesznego króla słońca — „ce roi soleil dérisoire” (str. 228), który był mężem nie tylko pani Grabowskiej, owej swojej „cięż­kiej, ograniczonej, lecz spokojnej i bardzo przeciętnej pani Maintenon”, lecz — jak mówi Wybicki — chciał być czy „był mężem żon wszystkich” (str. 228 oraz przyp. 53 na str. 615).

KRÓL A SZTUKA

Walczy ze zdaniem, że Stanisław August był artystą, zabłą­kanym do polityki („un artiste égaré dans la politique” — str. 386) : sądzi, że jest to zdanie, które ostać się nie może przy cokolwiek chociażby bardziej wnikliwym badaniu. Stwierdza u *Stanisława Augusta całkowitą nieznajomość dawnej literatury polskiej* (np. Kochanowskiego — str. 211-12), *obojętność dla poezji i muzyki :* poezja i muzyka to dla niego świat zamknięty ; jeżeli miał on kapelę nadworną, to tylko dlatego, że wypadało ją mieć, lecz nie interesował się nią głębiej wcale (str. 386). Po­dobnie było i z teatrem *: i teatr również nie miał w królu ani szczególnego miłośnika ani znawcy;* a za zasługę autor poczy­tuje mu to chyba, iż nie ośmieszał się osobistymi występami na scenie, jak to czynił niegdyś Ludwik XIV (str. 371-372).

Co do *architektury,* uważa p .Fabre, że to August III był promotorem stylu w budownictwie Warszawy, który niesłusz­nie otrzymał imię Stanisława Augusta, a nawet obecność w War­szawie Canaletta, Bacciarellego, i innych, przypisuje zasłudze raczej Augusta III, po którym ich odziedziczył jego następca (str. 51).

W ogóle, wbrew powszechnie przyjętemu mniemaniu, i wbrew opinii o sobie króla, autor *odmawia* mu w dziedzinie sztuk plastycznych znajomości rzeczy i gustu : sześć fałszywych Rem- brandtów i jeden fałszywy Leonardo da Vinci, w zbiorach kró­lewskich, nagromadzenie ,,pêle-mêle” bez smaku i logiki obra­zów wartościowych obok żadnych co do wartości w Łazienkach — najlepiej tego, zdaniem autora, mają dowodzić (str. 392). Gromadząc te dzieła sztuki, jak i słynny zbiór rycin, Stanisław August był, według surowego osądu p. Fabre’a, *nie tyle miłoś­nikiem sztuki i artystą, ile raczej kolekcjonerem,* któremu cho­dziło więcej o ilość okazów, niż o ich jakość, a zbiory królewskie miały znaczenie przede wszystkim, jako pewnego rodzaju *mani­festacja symboliczna,* a nie istotna wartość artystyczna.

*Coś analogicznego widzimy w księgozbiorze królewskim :* Stanisław August gromadził go stale i znacznym kosztem, i zgro­madził książek dużo; jednak i w tej dziedzinie dopatruje się au­tor nie zamiłowanego bibliofila, lecz raczej *kolekcjonera nowo­ści bieżących,* które go interesowały z różnych względów życio­wych bieżących. Analiza wykazu katalogowego książek Stani­sława Augusta ma tego, według autora, niezbicie dowodzić (str. 377-379) •

Autor mówi, jak widzieliśmy, o żywości umysłu Stanisława Augusta, o jego interesowaniu się wszystkim : literaturą, nau­kami ścisłymi, polityką, ekonomią, historią, podróżami, aneg­dotami czy plotkami całej Europy. O wszystkim król umiał mó­wić przyjemnie ; ale, *niestety, niczego, dosłownie niczego* (z pew­nym chyba zastrzeżeniem co do prawa i ekonomii) *nie znał grun­townie.* I tu przytacza profesor Fabre surowe zdanie Moszczyń­skiego, wyrażone w jego ,,Pamiętnikach”, że, przy swoich wła­ściwościach duchowych, mógł być Stanisław August przy boku wielkiego monarchy wspaniałym jego sekretarzem lub mistrzem ceremonii (str. 230 przyp. 59 na str. 616), zdanie, które, nawia­sem mówiąc, uderzyło, przy całej uszczypliwości, swoją trafno­ścią niegdyś już Korzona.

„Mało energii, dużo oświecenia” — tak mówi o Stanisła­wie Auguście Sćgur, i inni historycy powtarzają je za nim. Przy­tacza też je i p. Fabre, który ponadto widzi w Stanisławie Au­guście zdolność raczej poddawania się wypadkom, niż panowa­nia nad nimi, i „patriotyzm całkowicie oportunistyczny” (str. 23L 232).

Tego rodzaju sądy o Stanisławie Auguście w dziele p. Fa­bre’a dowodzą bezstronności jego wniosków.

*O sądzie p. Fabre'a,* który mógł już uwzględnić nowe źró­dła, nieznane Korzonowi, przede wszystkim pamiętniki królew­skie, *powiedzieć by należało, iż jest on wolny od namiętnej suro­wości Korzona, ale też i od nadmiernej niekiedy pobłażliwości sądów publicystyczno-historycznych,* że usiłuje on słusznie suum cuique tribuere, alterum non laedere...

Profesor Fabre jest *pełen życzliwości dla Stanisława Au­gusta* i ta życzliwość powoduje ostre jego wystąpienia *przeciwko ,,bezlitosnemu” Rulhière’owi,* autorowi słynnej ,,L’Histoire de l’anarchie de Pologne”, którego sądy, tak królowi niechętne, stały się podstawą dla wielu późniejszych jego ujemnych cha­rakterystyk (str. 6-ii, 188 et pass.). Współczuje tragicznej sy­tuacji, która wywoływała z ust króla rozpaczne słowa : ,,Telle est ma triste destinée...” — ,,Taki jest mój smutny los : zaw­sze pragnąłem dobra mojego kraju, a wyrządziłem mu tylko zło” (str. 532); jest z wielkim uznaniem dla hasła, jakie król głosił, usiłując się nim kierować : „Courage et patience !”.

W ostatecznych zaś swych wywodach na końcu książki, acz­kolwiek nie dostrzega w nim heroizmu, ale widzi dążenie do użyteczności. Uznaje w nim, słowem, strony dodatnie i ujemne, jasne i ciemne, wielkie zasługi, ale i przewiny wielkie...

♦

Postać Stanisława Augusta stanowi, oczywiście, przedmiot największego zainteresowania autora, który też poświęca jej skreśleniu najwięcej badawczej uwagi i miejsca. Ale przedsta­wia ją na bardzo szeroko zarysowanym tle stosunków europej­skich. Taki np. rozdział „A la découverte de 1’Europe” (str. 176-206) to nie tylko opis lat młodych Stanisława Augusta, ale, w związku z jego podróżami, *świetna charakterystyka środowisk europejskich* w Berlinie, Wiedniu, Paryżu, Londynie, wreszcie w Holandii.

*Czytelnika polskiego uderza* na każdym kroku gruntowna znajomość zarówno szczegółów, jak i ogólnego charakteru sto­sunków polskich ówczesnych. Autor np. nie zaniedbuje zapozna­nia się z *, Journal littéraire de Pologne”* Sasa Friesego, którego jedyny numer ukazał się w roku 1754 (str. 21), a jednocześnie, chcąc dać tło podstawowe do zrozumienia czasów Stanisławow­skich, jakże głębokie uwagi czyni na temat *ducha polskiego ba­roku* lub usiłuje wyjaśnić istotę tego, co nazywamy *,,sarma- tyzmem”* (str 92, 112, et pass.). Znakomicie też zna i rozumie zakryte najczęściej dla cudzoziemca tajniki duszy polskiej : dla­tego *słusznie ocenić zdoła przesadne sądy obce o nietolerancji polskiej i fanatyzmie* polskim, które wyzyskiwały zręcznie dla swych celów Rosja i Prusy (str. 70) ; niejednokrotnie stwierdza, że ani Fryderykowi ani Katarzynie w gruncie rzeczy nie chodzi­ło bynajmniej o tolerancję religijną w Polsce, i że sprawą rze­komej opieki nad różnowiercami polskimi ci *,,promoteurs ma­chiavéliques”* sprawy dysydenckiej posługiwali się wyłącznie w swoim zaborczym interesie (str. 242).

Z sarkazmem mówi autor *o radach,* dawanych Stanisławo­wi Augustowi *z Anglii,* co do zaprowadzenia ,,tolerancji i filan­tropii” w Polsce, ale bez żadnej zapowiedzi realnej pomocy przeciwko zagrożeniu rozbiorowemu przez sąsiedzkie wrogie po­tęgi, co tak bardzo przypomina pełny goryczy sąd Askenazego na temat odwiecznych zachodnio-europejskich *liberalnych ,,ka­techizacji"J* w stosunku do Polski. Jakąż gorzką ironią i jakby bólem nabrzmiałe są słowa jego o zachowaniu się Francji rewo­lucyjnej wobec Polski, zmagającej się z despotyzmem, która tak na nią liczyła ! *bierność Francji,* ,,une attitude irrévocablement passive”, przy teoretycznych czy rzekomych sympatiach, jest całkowita, znajdując dla siebie wyraz w szumnych, lecz beztreś- ciwych frazesach przemówień żyrondystowskich, by później prze­istoczyć się w kierowaną ,,świętym egoizmem” oportunizmu cy­niczną już zgoła perfidię Robespierre’a, jego towarzyszy i bez­pośrednich następców...

I stało się tak, że za Kościuszki, walcząc o resztkę swego bytu niepodległego, *Polska, ginąc jako państwo, ale rodząc się, jako naród,* znalazła się *w całkowitym opuszczeniu* (str. 544, 545) Dodajmy od siebie, że Polska, upadając ,,wśród zawodu” swoim *,,poległym ciałem” dała ,,innym szczebel do sławy gro­du’",* mianowicie przyczyniła się upadkiem swoim do ratunku i zwycięstwa Francji rewolucyjnej (por. A. Sorel, ,,1’Europe et la Révolution française” i A. Chuquet, ,,Guerres de la Révolu­tion”).

USTERKI I UCHYBIENIA

Ze względu na te wybitne i wprost wyjątkowe zalety książ­ki omawianej, czuję się w obowiązku wskazać tu *na pewne us­terki i uchybienia,* dające się zauważyć przy lekturze.

Są one, jak na rozmiary książki (str. 746 większego forma­tu), stosunkowo nieliczne i nie posiadają znaczenia zasadnicze-

. . . ....

A więc najprzód : *usterki, dostrzeżone w pisowni imion własnych osób i nazw geograficznych,* tak trudne do uniknięcia w książce, pisanej przez cudzoziemca i drukowanej za granicą :

Str. 2,17, indeks na str. 712 : Korzon Władysław — błęd­nie, zamiast Tadeusz ; str. 34 : Wielkorski, zamiast Wielhorski ; str. 46 : Tułczyn, zam Tulczyn ; str. 128 : Panluci, zamiast Pau- luci ; str. 158 : Kozieniec, zam. Kozienice; str. 214 : ,,boyards” w znaczeniu ,,bojarowie rosyjscy” nie ma nic wspólnego z ge­nezą tego wyrazu; *błędnie* łączy się raczej z pojęciem ,,bayard”, jako rycerz „sans peur et reproche”; str. 284 : wody mineralne słone Burko, oczywiście błędnie, zam. Busko, oraz Orkusz (ko­palnie srebra) zam. Olkusz; str. 399 : Wargacki, chyba War- gocki ; tamże Łubański, może raczej Łubieński; str. 420 : Sier- kiejewice Bukatego, chyba Sierhiejewicze ; str. 454 : Włosło- wice, zam. Włostowice; str. 455 i przyp. na str. 662 : Gołań-

ski ma być Filip Nereusz Golański ; str. 460 : Jarłowiec, zam. Jazłowiec; str. 478 : Charlotte Godźka (Sanguszkowa), zapew­ne zam. Gozdzka; str. 539, 546 : Igelsron, zam. Igelstróm ; str. 578 : tytuł „Wiesza Dawidowa” oczywiście zam. „Wieża Dawidowa...”; str. 582 : provincia polana, zam. Polona ; str. 593 : Narguczewski chyba Nagurczewski ; str. 594 : Bohomolec, „Małżeństwo w kalendarze”, zam. „Małżeństwo z kalendarza”; str. 600 : Książę podkomorze, zam. podkomorzy; str. 606 : tak­że indeks str. 699 : Borsch (podkanclerzy koronny), zam. Borch...

To są najważniejsze usterki w pisowni i transkrypcji imion i nazw, jak widzimy, nie są one ani liczne, ani zbyt rażące i nie mają istotnego znaczenia.

Co do dających się zauważyć *myłek i błędów w treści wy­kładu,* to, oprócz tych, które zanotowane zostały już wyżej, w to­ku szerszego omawiania poszczególnych fragmentów książki, wymienić należałoby, między innymi, następujące jeszcze niejas­ności czy nieścisłości, rzeczowe usterki czy uchybienia, wyma­gające wytłumaczenia, uzupełnienia lub sprostowania : Str. 10 : jest rzeczą wysoce wątpliwą, a w każdym razie wymagającą bliż­szego wyjaśnienia, czy i o ile pod protektoratem rosyjskim moż­liwe byłoby w ogóle jakieś odrodzenie wewnętrzne Polski w okre­sie Stanisławowskim ; str. 30 : zbyt wielkie znaczenie zdaje się przypisywać autor działalności Stanisława Augusta w zakresie sprawy włościańskiej (czemu, jak widzieliśmy, przeczą niektóre fakty z dziejów ekonomij królewskich na Litwie w owym cza­sie) ; str. 30 : nie wydaje się być słusznym pogląd autora, iż sprawa włościańska była głównym powodem odrzucenia Ko­deksu Zamoyskiego w roku 1780. Główną przeszkodą do jego uchwalenia i przyjęcia było niewątpliwie stanowisko Rosji, która istotnie, jako pretekstu, używała i nastrojów antywłościańskich w masach szlacheckich ; tamże str. 30 : trudno również zgodzić się z wyrażonym tu zdaniem autora, iż Konstytucja 3-go Maja przez wzięcie chłopów pod opiekę prawa stanowiła w stosunku do nich tylko „quelques belles phrases” : w rzeczywistości miało to orzeczenie o wiele większe moralno-prawne znaczenie, niż się często przypuszcza ; str. 43 : wydaje się przesadzonym i niesłusznym zdanie, jakoby przedsięwzięcia przemysłowe i han­dlowe specjalnie jezuitów, takie, jak drukarnie, drogerie, bro­wary, dużą rolę odegrały w ruinie i wyludnieniu miast pol­skich; str. 51 : „grand chancelier de Lithuanie” Flemming, zam. grand trésorier de Lithuanie; str. 72 : „podkomorzego” z „Pana Tadeusza” nazywa autor „szambelanem” — niesłusz­nie, skoro, oprócz „podkomorzych” istnieli w Polsce Stanisła­wowskiej „szambelanowie” a i niekonsekwentnie, skoro o Ka­zimierzu Poniatowskim, podkomorzym koronnym, mówi, jako o „grand-camerier” nie „chambellan” (str. 180), a Jana Karola Mniszcha, podkomorzego W. Ks. Litewskiego, nazywa „grand- camerier de Lithuanie” (str. 263); str. 79-91, 93-95 et pass. : razi swym tonem ironicznym trochę i nazbyt krytycznym ocena działalności Stanisława Leszczyńskiego w Lotaryngii i korpusukadetów w Lunéville, jak i ujemny sąd o Załuskim Józefie („beaucoup de zèle, peu de lumières” — str. 90), z pomniejsze­niem znaczenia biblioteki Załuskich, a z przecenieniem dodat­niego wpływu przybyszów-Francuzów, „Damonów”, dla ruchu umysłowego w Polsce („M. Damon a peut-être fait davantage... que ...toute la bibliothèque Załuski, pour tirer la Pologne de son atonie et pour l’obliger à vivre avec son temps” — str. 102). Na ogół wszakże w swych sądach o przedstawicielach „Oświe­cenia” i przybyszach-Francuzach jest niezwykle bezstronny : pod­nosząc słusznie zasługi jednych, mówi o innych, że nieraz i Fran­cję i „Oświecenie” reprezentowali oni z najgorszej strony, pra­cując nie tylko w rolnictwie, pedagogii, ale też i we wszelkiego rodzaju „parazytyzmie” (str. 353 et pass.), a takim typom, jak Duhamel, a zwłaszcza Méhée de la Touche (str. 26-7, 401-2, 532...) i bardzo wielu innych, nie szczędzi słów najostrzejszych. Str. 167 : nie wiedzieć, czy w całości słuszne jest zdanie autora, że Stanisław August ujawnił mistrzostwo dyplomatyczne, trzy­mając w zawieszeniu przez dwa lata pierwszy rozbiór kraju,

1. czy w ogóle nie przecenia roli i stanowiska Stanisława Augu­sta w roku 1773 (str. 358), jak i kiedy indziej, np. w roku 1764, gdy on to, „król, jeśli ufać pamiętnikom, osiągnął złagodzenie „liberum veto” przez ustalenie zasady, że sprawy finansowe za­łatwiane będą na sejmach figura judiciaria”, t. j. większością głosów (str. 606, przypis 41 do str. 167-8). Czy istotnie opinia króla była w tym wypadku decydująca?! Str. 208 (oraz przyp.
2. na str. 613) : Trybunał Główny Litewski zasiadał bodaj nie „w wielkiej sali zamku wileńskiego”, lecz w gmachu Trybunal­skim koło Rynku (w dawnym pałacu Ościków) ; Trybunał ten aż do r. 1775, a więc i w czasach, o których autor mówi na stronie 208 i w przypisach na str 613, odbywał kadencje t. zw. litewskie w Wilnie, i ruskie — w Mińsku i Nowogródku ; póź­niej — w Wilnie i Grodnie tylko, na przemian; str. 213 (przyp. 6 na str. 613) : „Bielsk dans la province de Grodno” — nieści­słe : Bielsk leży na Podlasiu, a więc od r. 1569 w Koronie, i nie miał żadnych związków administracyjnych z Grodnem, które przecie należało do Litwy; wbrew temu, co autor mówi na str. 613 w przypisie 6-ym do str. 209; posłowie inflantcy do r. 1773 reprezentowali w sejmie t. zw. Inflanty polskie z Dyneburgiem ; zajęcie Inflant „szwedzkich”, które w roku 1660 przestały na­leżeć do Rzplitej, przez Rosję w r. 1721 nie miało z tą repre­zentacją żadnego związku; str. 217 : autor bodaj zbędnie per longum et latum rozwodzi się nad stosunkiem Stanisława Au­gusta do Katarzyny w Petersburgu : przecie to w gruncie rzeczy nie należy do tematu, i można by się bez tego obejść.

Tu może właściwe będzie miejsce do zaznaczenia, że nie ko­niecznie do zalet książki należy *nazbyt częste* uciekanie się auto­ra do anegdoty, do plotek kursujących, a wydobytych z pamięt­ników i nieraz nie sprawdzonych. Wprawdzie autor przytaczać je umie z niezwykłym talentem i w sposób często bardzo inte­resujący, wprawdzie nadają one opowiadaniu szczególnych ru­mieńców życia, barwności, a też sprawiają, że wielkie dzieło profesora Fabre’a czyta się jak najbardziej miejscami zajmują­cą powieść — lecz, na rzadszym ich stosowaniu i częstszym opuszczeniu, naukowo-poznawcza strona nie wiele by z pewno­ścią straciła, zaś oszczędność w rozmiarze książki niewątpliwie by sporo zyskać mogła (387, 513 et pass.). Weźmy chociażby dla przykładu plotkę, że malarka, pani Gault de Saint Germain, z domu Rajecka, uczennica David’a, była rzekomo nielegalną córką Stanisława Augusta ; w rozmowie z Mazzeim, zapytany, czy tak jest istotnie, król powiedział żartem : ,,Jest tyleż córką moją, co Pańską” (str. 514 i przyp. 35 na str. 676). Czy *wielo­krotne* przytaczania tego rodzaju anegdotycznych opowieści sto­ją w jakimkolwiek związku z tytułem dzieła i czy służą do wy­jaśnienia zasadniczego tematu, czy też niepotrzebnie rozsadzają treść i ramy, już i tak szerokie, książki?

A oto jeszcze kilka dalszych usterek rzeczowych : str. 223 : niezrozumiałe jest zdanie o wprowadzeniu „censure publique au lieu du liberum veto”; str. 224, przyp. 49 : jest tu mowa o liście Katarzyny („Zofii”) do Stanisława Augusta z r. 1760, chyba błąd, skoro Stanisław August jest już po śmierci ojca (+1762); str. 241, 245, 247, 251, 259, 269 et passim : przejrzystości wy­kładu tutaj i w różnych innych miejscach szkodzi pewne chro­nologiczne powikłanie faktów, przedstawianie spraw późniejszych przed wcześniejszymi, wracanie do tych późniejszych itd. ; str. 247 : w projekcie rosyjskim Lacy’ego z r. 1745, dotyczącym roz­bioru Prus ofiarowywano Polsce, jako domniemanej partnerce, oczywiście, Prusy Książęce, nie Królewskie, w zamian za zrze­czenie się zwierzchnictwa lennego nad Kurlandią; str. 395 : uwa­żając za rzecz niemożliwą utworzenie Collegium Medicum przez Stanisława Augusta w Polsce, autor, choć obszerniej mówi o Janie Emanuelu Gilibercie z Lionu, nie wspomina nic o zało­żonej pod jego kierunkiem, oprócz szkoły dla położnych, z ini­cjatywy podskarbiego Tyzenhauza, także *Akademii lekarskiej w Grodnie* (z funduszów królewskich): nie mogła wprawdzie owa Akademia rozwinąć się szerzej i po paru latach istnienia (1775-80) upadła, spełniła jednak swoje zadanie o tyle, że po przeniesieniu jej do Wilna (1781) stała się podstawą wydziału lekarskiego Wszechnicy Wileńskiej i wydała kilku wybitnych z czasem lekarzy — wymienimy tu dla przykładu Andrzeja Ma- tusewicza ( + 1816), późniejszego profesora chirurgii i położnic­twa w Wilnie. Str. 464 : poza tym, co autor mówi o daremnych usiłowaniach Francuza Courcelles’a, protegowanego p. Geoffrin, stworzenia monopolu tytoniowego, które nie wyszły ze stadium prób w Koronie, stwierdzić należyć, iż monopol ten na Litwie w tymże mniej więcej czasie przybrał już charakter całkowicie realny i dochód skarbowi przynoszący; str. 465: „Grand-Tré­sorier de Lithuanie, Tyzenhauz” —< Tyzenhauz aż do śmierci (+1785) był podskarbim *nadwornym* litewskim, nie wielkim; str. 490 : autor uważa gramatykę języka polskiego *dla cudzo­ziemców,* wydaną przez ks. Trąbczyńskiego w roku 1778 w War­szawie, za *pierwszą* tego rodzaju publikację sa grammaire polonaise à l’usage des étrangers, la première qui eût jamais paru de ce genre”) : jest to o tyle niesłuszne, że pierwszą, o ile wiem, gramatykę polską z przeznaczeniem *dla cudzoziemców* pt. „Grammatica seu institutio Polonicae linguae... in usum exte­rorum edita...” wydał Franciszek Mes^nien (Meniński) w Gdań­sku w r. 1649; str. 546 : początek insurekcji w Krakowie wiąże się zazwyczaj nie z dniem 23 marca, lecz z przysięgą Koś­ciuszki w dniu 24 marca 1794; str. 548 : z przedstawienia rzeczy autora wynikałoby błędnie, jakoby zajęcie Krakowa przez Pru­saków (15 czerwca) i Wilna przez Rosjan (11 sierpnia) nastą­piło po cofnięciu się Prusaków spod Warszawy (5 września), tak wszakże nie było; str. 551 : wbrew opinii autora, Akademia Wileńska zwała się *Szkołą Główną Litewską* już od reformy, przeprowadzonej przez Poczobuta z ramienia Komisji Edukacji Narodowej (1775); po trzecim rozbiorze nastąpiła tylko zmiana określenia „Litewska” ha „Wileńską”; str. 562 : trudno się zgodzić ze zdaniem autora, że „sarmatyzm” to „polonizm bez duszy” — „le sarmatisme, ce polonisme sans âme”, mówi au­tor; str. 563 : nie wiedzieć, czy przyjąć należy bez zastrzeżeń twierdzenie, że Stanisław August był ostatnim królem Polski, lecz zarazem pierwszym obywatelem Polski odnowionej („der­nier roi de la vieille Pologne, mais premier citoyen d’une Po­logne rénovée”).

♦

Takie są usterki i błędy, które dają się zauważyć na całym obszarze ogromnego dzieła o Stanisławie Auguście. Nie są one ani liczne ani bardziej istotne i nie zmniejszają wielkiego zna­czenia i niepospolitych zalet, które wyżej omówione zostały.

*Stanisław KOŚCIALKOWSKI*

OSTATNIE
WIADOMOŚCI

*Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec***Ukazuje się trzy razy tygodniowo.**

**W każdą niedzielę dodaien.**

*Korespondenci :* we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia : 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 doi.,.

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.;
**Redakcja, administracja, drukarnia ;**

**17a, MANNHEIM-SANDHOFEN. 4094 LSCO Schoenan
US Zone, Germany.**

“ Hamlet ” polski i angielski

*Pawłowi Hostowcowi.*

Prawie jednocześnie przeczytałem nowy polski przekład „Hamleta” i widziałem jego ostatnie sceniczne wcielenie w lon­dyńskim Old Vic-u. Te dwa wydarzenia wciągnęły mnie w wir głęboki i odurzający. Niniejsze uwagi odtwarzają trochę wra­żeń wyniesionych z tej przygody.

ii, 12, 13

Przekład Romana Brandstaettera jest na pewno jedenastym, może dwunastym, nie wykluczone że trzynastym przekładem polskim dramatu Szekspira. To wahanie co do liczby pochodzi stąd, że istnieje przekład wydany bezimiennie (w „Bibliotece Mrówki”, 1880) i trudno w tej chwili sprawdzić czy to nie prze­druk jednego z tłumaczeń, których autorzy są znani z imienia i nazwiska.

Gorzej jest z feralną trzynastką. Pani Joséphine Calina (żo­na wybitnego i płodnego historyka teatru prof. Allardyce Ni- colla, autora książki „World Drama from Aeschylus to Anouilh”) w niestety całkowicie chybionym szkicu „Shakes­peare in Poland” notuje jeszcze jeden przekład : „Horodycki A.: Hamlet, tragedia c. 1800”. Wyznaję, że nie mam pojęcia o kogo i o co tu chodzi : o przekład rękopiśmienny czy drukowany ? Jeśli o to drugie, byłby to jeden z dwu najstarszych przekładów, starszy od przekładu J. N. Kamińskiego (1805), starszy od przekładu Wojciecha Bogusławskiego, który ze sceny zabrzmiał wcześniej, ale w postaci książkowej ukazał się przeszło dwa­dzieścia lat później. W tej chwili trzeba zostawić ten znak zapy­tania bez odpowiedzi, licząc się z tym, że oznacza on... nieistnie­jącą zagadkę. Zresztą bez rozwiązywania tej zagadki można by mówić o trzynastu polskich przekładach „Hamleta”, gdyby uwzględnić dwa niedostępne mi tłumaczenia (Iwaszkiewicza i Tarnawskiego), które bezpośrednio wyprzedziły ostatnie tłu­maczenie.

Ta cyfra obejmuje tylko przekłady całkowite. Należałoby do nich dodać przekłady fragmentów, jak tłumaczenie monolo­gu ,,To be or not to be” przez Trembeckiego z klasycystycznej parafrazy Woltera i w duchu wyobrażeń Oświecenia, jak tłuma­czenie aktu II i innych fragmentów dokonane przez Norwida, jak zapewne jeszcze inne.

Inwentaryzator polskich przekładów, nie żyjący już anglista lwowski, Władysław Tarnawski, stwierdził przez blisko czter­dziestu laty, że żadnego z nich ,,nie można nazwać wzorowym”. Czy ostatni spełnia to wymaganie ? Nim się na to odpowie, może warto spojrzeć z lotu ptaka na historię polskiego ,,Hamleta”.

HAMLET ŻYJE „NA KSZTAŁT WIELBŁĄDA”

Arcydramat Szekspira jest jednym z jego utworów, które najwcześniej zjawiły się na ziemi polskiej i w polskim kształ­cie. Wyprzedziło go nie wiele co poza Bohomolcową przeróbką „Komedii omyłek” na Bliźnięta” i „Kumoszkami z Windsoru” jeszcze bardziej nie do poznania przebranymi przez Zabłockiego za „Samochwała albo amanta-wilkołaka”. Pierwszy przekład „Hamleta” wiąże się z osobą „ojca sceny polskiej”, Wojciecha Bogusławskiego i ze Lwowem. W teatrze lwowskim, walcząc z konkurencją uprzywilejowanej przez zaborców sceny niemiec­kiej, wystawił Bogusławski w r. 1797 „Hamleta”; grał sam rolę tytułową przyswoiwszy tekst własnym trudem polszczyźnie. „Ta tragedia — wspominał we wstępie do wersji drukowanej z r. 1821 — sprawiła wielkie wrażenie i wielokrotnie, a zawsze z upodobaniem publiczności powtarzana była”.

Był to zresztą „Hamlet” osobliwego nabożeństwa — przy­krojony, przenicowany na wiele stron, obłaskawiony i ogładzo­ny. Mówi o tym wymownie sama lista przerabiaczy. Najpierw słynny aktor angielski, inicjator pośmiertnego kultu Szekspira, Garrick usunął postać Fortinbrasa, dając tym świadectwo, jak mało rozumie z tego utworu, opuścił scenę cmentarną, pogrzeb Ofelii i „wiele innych niedorzeczności”. W jego przystosowa­niu „Hamlet” kończył się tragicznie i ten tragiczny zakrój zachował się u francuskiego tłumacza Ducis’a. Po nim niemiecki aktor i autor dramatyczny Schroeder poszedł w zmianach jeszcze dalej : zostawił Hamleta przy życiu. „Podług poprawy Schroe­dera” — jak stwierdza w podtytule — tłumaczył „Hamleta” Bogusławski, przerabiając go jeszcze po swojemu, ujmując to i owo, dodając co innego.

Klasyk i nieświadomy, albo tylko półświadomy prostowacz ścieżek romantyzmu, bał się jak ognia, przynajmniej w tekście drukowanym, wszelkiej dosadności, jaskrawości, „złego sma­ku”. Przybrał „Hamleta” w szatki schludne, ale wyprane z ko­loru, uprasowane do kantu. Ten jego grzeczny królewicz duński niespodzianie odpowiada królowi w trzecim akcie : „Zaczynamżyć na kształt wielbłąda, połykam powietrze obietnicami nadzie­wane ; kapłonów tym nie można utuczyć”. Po francusku znaczy­łoby to coś masochistycznie poniżającego, po polsku mimowoli oznacza garby, które Hamletowi wyrosły od tego klasycznego przykrawania i doszywania, a wzięło się to z niezupełnie dokład­niej znajomości niemczyzny. Niemieckie „Kameleon” Bogusław­ski zrozumiał jako „Kamei” i stąd — ten „wielbłąd”.

Następny tłumacz Jan Nepomucen Kamiński jest także związany ze Lwowem. Teatroman i grafoman,autor słynnego : „wypiłem duszą duszę kałamarza”, lingwisto-maniak i twórca jeszcze słynniejszej tezy o „filozoficzności języka polskiego” przełożył po raz drugi i niezależnie schroederowską parafrazę „wiekopomnego Shakespeara” i wydał w roku 1805 w Min- kowicach u fantasty Marchockiego, który pozował Słowackiemu do „Króla Ladawy”. Cokolwiek by się sądziło o Kamińskim, trzeba mu zapisać na dobro, że darował Hamletowi tego „wiel­błąda”.

HAMLET ROMANTYCZNY

Nie jest niemożliwe, jest nawet bardzo prawdopodobne, że Mickiewicz widział w Wilnie „Hamleta” Bogusławskiego. W każdym razie przeżył sam ostrą gorączkę szekspirowską i hamletyczną. Około r. 1822 pisał do przyjaciela i współfiloma- ty Malewskiego : „Po germanomanii nastąpiła brytanomania : cisnąłem się z dykcjonarzem w ręku przez Szekspira, jak bo­gacz ewangeliczny do nieba przez ucho od igiełki”. W kilka lat później miał powiedzieć do Odyńca : „Życzyłbym tobie zacząć od przerobienia jakiejś ze sztuk wielkich mistrzów, a szczególniej Szekspira... Jestem zabity szekspirzysta”.

Między tymi dwoma prywatnymi wyznaniami zjawiły się dwa wyznania publiczne w cytatach poprzedzających programo­we utwory : „Romantyczność” i „Dziady” wileńskie. Obie cy­taty pochodzą — z „Hamleta” :

*,,Zdaje się, że widzę... Gdzie? Przed oczyma duszy mojej”.*

(Warto zauważyć, że ostatni tłumacz po norwidowskim : „W źrenicy mojego ducha” i kasprowiczowskim : „Przed ob­liczem ducha” wrócił do formuły Mickiewicza : „Przed oczyma duszy”.)

*,,Są dziwy na niebie i na ziemi o których ani śniło się wa­szym filozofom”.*

*Ale* na przekład całości porwał się ktoś inny : skromny, zacny kanonik kijowski, później arcybiskup mohylewski ksiądz Ignacy Hołowiński, używający mimo woli śmiesznawego pseu­donimu z grecką aluzją do swego nazwiska — „Kefaliński”.

W roku 1837 umówił się z Korzeniowskim, że do spółki prze­łożą całego Szekspira, tłumacząc każdy dwa dramaty na rok. Bagatela !

Poczciwy księżyna zaczął od dramatu, który romantyzm wysunął na czoło poezji ale dramatu najdłuższego (prawie 4.000 wierszy) i bodaj najtrudniejszego. Utrudnił sobie jeszcze zadanie przelewając jedenastozgłoskowy biały wiersz szekspirowski w dziesięciozgłoskowy wiersz rymowany (Mickiewicz w cudow­nym fragmencie przekładu „Romea i Julii” posługiwał się ry­mowanym trzynastozgłoskowcem), co przy zwięzłości angielsz­czyzny i hyper-zwięzłości Szekspira, zmusiło go co najmniej do podwajania każdego wiersza w przekładzie.

Była to robota mozolna, pełna potknięć, kleksów w rodzaju odezwania się królowej do Hamleta w ostatniej scenie : „Chust­kę, na, synu !” albo okrzyku Fortynbrasa : „Czy założyła śmierć tu swe jatki?”. Z bohaterskim samozaparciem Kefaliń- ski usiłował oddawać miejsca drażliwe, choć nie zawsze wycho­dziło to przekładowi na zdrowie. (W „Romeu i Julii” np. prze­łożył „A very good whore !” — „Co za prawdziwie dobra wszetecznica”, chociaż chodziło tu o zupełnie inną „dobroć”).

Ten przekład wydany w roku 1840 obśmiał aż ponad miarę Słowacki. Żył sam w kręgu Szekspira, oddychał powietrzem je­go dramatów. Już w prawie dziecinnym „Mindowem” są pogło­sy „Hamleta”, a młody Kossakowski z „Horsztyńskiego” jest polskim Hamletem, rzuconym na tło naszych dziejów.

Zanosiło się bodaj na to, że „Hamleta” przełoży Norwid. Z pobytu w Anglii i Ameryce znał język angielski dość gruntow­nie. Ciążył do tegO’ dramatu, jak i do sąsiadującego z nim „Ju­liusza Cezara”, odnajdywał w nim bliskie sobie sprawy i odczu­cia. Do napisanego jeszcze przed wyjazdem za ocean pierwsze­go „Zarysu” pt. „Rzeczywistość” (1847), wprowadził postać Hamleta, między ludzi żywych wmieszał go jako widmo z in­nego świata. W r. 1855 P° powrocie ze Stanów przełożył duży fragment aktu II, potem, jeszcze raz i lepiej przetłumaczył ma­ły ustęp rozmowy Hamleta i królowej w tym akcie, a dwa inne urywki włączył do dramatu „Aktor”.

O tym „Hamlecie” nie wie nic Tarnawski, choć gdy inwen- taryzował polskie przekłady Szekspira, już się ukazał tom A. miriamowskich „Pism zebranych” Norwida. Miriam przecenił jego robotę jako tłumacza. Dochowane fragmenty oczywiście noszą znamię wielkiego poety, zawierają znaleziska, odkrycia poetyckie ale też i dowolności i dziwaczenia. Przede wszyst­kim jest to przekład wolny, oczywiście rymowany, jak to było w zwyczaju epoki, niekiedy bardzo daleko odchodzący od tekstu oryginalnego. Hamlet norwidowski mówi :

*,,Och ! Pani, mnie się tu nic nie 'ivydawa,*

*Ja* cierpię...”

To podkreślone „cierpię” brzmi romantycznie, ale nie ma go w Szekspirze.

FORTYNBRAS : „WYCZHA !” I POLONIUSZ-POLAK

W r. 1857 zjawił się „Hamlet” gadający jak imć pan Jan Chryzostom Pasek. W ten sposób przełożył całego Szekspira entuzjasta staropolszczyzny Józef Komierowski. Uważał on swój pomysł archaizowania, sarmatyzowania poety angielskiego za odkrycie, przywiązywał do swoich przekładów wielką wagę.

W rzeczywistości było to przedsięwzięcie zupełnie poronio­ne, stwarzające efekty niezamierzonego komizmu, np. wtedy, gdy Fortynbras na widok końcowej katastrofy mówi : „Tu pokrzyk wyczha ! bijè z tego stosu”. W oryginale to słynne odezwanie się brzmi : „This quarry cries on havoc !” („Quar­ry” znaczy tyle co : łup myśliwski, ubita zwierzyna, „havoc” tyle co : spustoszenie i jest także wykrzyknikiem odppwiadają- cym polskiemu : bij, zabij !, bez pardonu !). Przejaskrawia­jąc Szekspira, który nie jest poetą unikającym tonów jaskra­wych, Komierowski zdobył się na wyjątkową powściągliwość wobec „wyrażeń z zakresu nierządu” (jest to jego termin): tłu­maczył te wyrażenia słowami tak gruntownie „przepomnianymi w pospolitym życiu”, że można by je bez obrazy powtórzyć w pensjonacie dla panienek z dobrych domów.

Mimo katastrofalnego skutku tej antykwarycznej metody znalazł się jeszcze jeden amator staropolszczyzny w przekładach Szekspira : Wojciech Dzieduszycki. Na szczęście nie tknął „Hamleta” albo też swojej próby nie ujawnił przed światem.

Jeszcze większe cudactwo stanowi przekład czy przerób­ka Krystyna Ostrowskiego. Była ona r. 1870 grana w teatrze lwowskim i w postaci książkowej przypisana „Obywatelstwu Miasta Lwowa” (jest to już trzecia wersja dramatu związana z tym miastem). Ostrowski skracał, rozszerzał, a przede wszyst­kim upatriotycznił szekspirowskiego „Hamleta”. Zdaje się z po­budki patriotycznej zrobił Poloniusza — Polakiem, jeńcem pol­skim, który w Danii dobił się najwyższych zaszczytów. Zro­biwszy to salto mortale musiał „poprawić” charakter Poloniu­sza. W tym zbożnym trudzie przyznał mu dar składania rymów przy każdej nadarzonej sposobności. „Dalipan, on wierszem *ga­da !” —* wykrzykuje król Klaudiusz, a sam Poloniusz tak się przed widzami zwierza z tej skłonności :

*„Krew polska we mnie tak rozumem włada,*

*Że co bądź mówię, sam się wiersz układa.*

*Za moje grzechy Bóg mnie skarał rymem,*

*1 jakoś zawsze myśl ulata z dymem”.*

W ślad za tym Ofelia jest u Ostrowskiego „biedną Polką”, a jej brat Laertes mówi na ten temat z wysokiego tonu :

*,,Mam w sobie polską, nie szatańską duszę,*

*Mój ojciec Polakiem, a krew polska*

*Nie cierpi zdrady”.*

Nawet sam Hamlet ulega tej infekcji polskiej :

*,, Szczególny naród ! Zle o nim sądziłem Z Ofelii ojca, radbym być Polakiem../’*

NA TRZY POKOLENIA

W r. 1875-1877 ukazało się pod redakcją Kraszewskiego pełne wydanie Szekspira w trzech dużych tomach, z dość pod­łymi ale działającymi na wyobraźnię dziecięcą sztychami. Do tego wydania wszedł „Hamlet” w ogłoszonym wcześniej przekła­dzie Józefa Paszkowskiego. Wraca on w dziesięciotomowym wydaniu lwowskim Biegeleisena (1895) i dwunastotomowym wy­daniu Dyboskiego (1912-1913). Jest to polski arcyprzekład arcy- dramatu. „Hamlet”, którego czytały dwa, trzy kolejne pokole­nia Polaków, którego słyszeliśmy ze sceny aż do ostatnich lat przed wojną (1938 — Węgierko) i zdaje się nawet pierwszych lat po wojnie (1947 — Wyrzykowski) to był „Hamlet” Pasz­kowskiego. Powstało po nim kilka innych przekładów, ale ża­den go nie przewyższył i nie wyparł.

Ten tłumacz „Hamleta” przedstawia zjawisko wzruszają­ce. Skromny, chorowity człowiek, urzędnik warszawskiego okrę­gu naukowego, postawił sobie za cel życia przetłumaczyć całego Szekspira. Ścigając się ze śmiercią, dokonał tego zadania. Nie był uczonym szekspirologiem i nie był wielkim poetą. Ale umiał wżyć się w oryginał, umiał mu być wierny nie w słowach, ale w myślach i obrazach, miał sporą pomysłowość i wynalazczość obrazową, potrafił indywidualizować sposób mówienia rozmai­tych postaci. Dla oddania zawrotnego bogactwa mowy Szeks­pira, uciekał się do wyrazów gwarowych, staropolskich i obcych. Na ogół miał w tym szczęśliwą rękę.

Wspomniana na początku pani Calina odbiera mu pierwsze miejsce wśród polskich tłumaczy Szekspira. Jej sąd byłby intere­sujący, nawet obowiązujący, gdybyśmy mieli pewność, że jest jej własny i oparty na znajomości polszczyzny i polskich prze­kładów. Oddaje ona pierwszeństwo Stanisławowi Koźmianowi, który wśród nie kończących się skrupułów, drobiazgowych ba­dań, nieustannych szlifowań, gromadzenia równoległych wer­sji tego czy innego ustępu, zdołał w ciągu życia przetłumaczyć tylko siedem utworów Szekspira. Nie ma wśród nich niestety „Hamleta”. Całą rewizję autorki angielskiej poddaje w wątpli­wość taki drobny szczegół, że nie odróżnia ona Stanisława Koź- miana „starszego”, jak go nazywa Dyboski, anglomana, auto­ra książki „Anglia i Polska”, szekspirologa i tłumacza Szeks­pira od Stanisława Koźmiana polityka, jednego z czołowych Stańczyków, dyrektora teatru krakowskiego.

Trzeba bezstronnie przyznać, że w przekładzie Paszkow­skiego są przerażające słabizny :

*,,... te biby (!), na zabój (!)*

*W uśmiech i wzgardę tylko nas podają.*

*U innych ludów : beczkami nas mienią”.*

Zdarzają się żałosne nieporadności. Następujące dwa wier­sze Szekspira Paszkowski z trudem i niedokładnie zawarł... w czterech :

*,,He was a man, take him, for in all*

*I shall not look ufion his like again”.*

*,,... człowiek, powiedz,*

*Chociażby wszystko w tym fałszywym świecie*

*Było tym, czym się na pozór wydaje,*

*Jeszcze by drugi taki się nie znalazł”.*

(Dla porównania wspaniała zwięzłość Norwida :

*„Mąż to był, wierzaj, skończony, mąż cały,*

*Równego temu nie spotkasz za chwilę”.)*

Trzeba także stwierdzić, że ten przekład, o małym poten­cjale poetyckim starzał się, wietrzał z upływem czasu. Ostatnio nie można go było puścić na scenę bez ,,korekty”. Gdy w roku 1922 Szyfman reżyserował „Hamleta” z Brydzińskim w roli tytułowej, taką „korektę” przeprowadził Wiłam Horzyca.

PRZEKŁADY FILOLOGA, POETY, LEKARZA

I JESZCZE JEDNEGO FILOLOGA

Prawie jednocześnie z Paszkowskim całe, dłuższe, życie mo­zolił się z Szekspirem Ludwik Ulrich (albo Ulrych, jak jego nazwisko pisze Kraszewski), powstaniec listopadowy, emigrant, filolog z zawodu. Przetłumaczył i wydał pod koniec ubiegłego stulecia całego Szekspira. Jego „Hamlet” ustępuje w polocie „Hamletowi” Paszkowskiego, ale ma piękne miejsca.

Tak na początku drugiej połowy wieku, jak u jej końca otwarła się u nas przed dramatem Szekspira możliwość tłuma­czenia przez wielkiego poetę. Ale zawiodła z innych powodów niż u Norwida. Kasprowicz tłumacząc „Hamleta” dopiero się na nim, jak Hołowiński-Kefaliński, uczył angielskiego i uczył Szekspira. Popełniał prymitywne gaffy, np. „1’11 cross it” prze­tłumaczył : „ja je przeżegnam” zamiast : „ja mu znajdę dro­gę”. Często tylko „poprawiał” Paszkowskiego ściągając tak­że jego błędy („murdering-piece” przetłumaczył jako „kilkura- mienne narzędzie mordercze” zamiast po prostu moździerz). Ubrdał sobie, że angielskie „you” można wszędzie zastąpić poi-skim „wy”; stąd powstały takie cudeńka jak słowa Poloniusza do Ofelii : „Owe zaloty zrobią z was błaźnicę”. Ta pośpieszna, byle jak odwalona robota, ma tylko jedną zasługę, że nie łago­dzi miejsc drażliwych. Kasprowicz pierwszy przełożył dosłow­nie słowo ,,whore”.

W cztery lata (1894) po tym niby-poetyckim przekładzie ukazał się przekład programowo prozaiczny : ,,słowo w słowo, forma gramatyczna w formę gramatyczną, zdanie w zdanie, na­wet przyimek w odpowiedzi przyimek”, z oryginałem angielskim obok tego literalnego tłumaczenia. Dokonał go Władysław Mat­lakowski, lekarz z profesji, znakomity znawca i propagator za- kopiańszczyzny.

Miriam ironicznie poddawał w wątpliwość sens takiej ro­boty, ale występuje on jasno, gdy się powie, że dwujęzyczny tekst jest opracowany krytycznie, szczegółowo objaśniony, że nie brakuje mu nawet specjalnego słownika zwrotów i wyra­zów występujących w ,,Hamlecie”. Ale i to nie jest jeszcze wszystko. Przekład Matlakowskiego poprzedza wstęp-monstre, streszczający całą literaturę o tym utworze, roztrząsający wszyst­kie znane Matlakowskiemu wielojęzyczne przekłady i przynoszą­cy próbę własnego rozwiązania zagadki ,,Hamleta”.

Tarnawski stwierdza, że jest to „dzieło pomnikowe”, „dzie­ło jakim nie może się pochlubić żaden z narodów, bardziej od nas oddanych kultowi angielskiego pisarza”. Rzecz zadziwiają­ca : właśnie tego dzieła nie ma w British Museum. Jest to jeden z braków najbardziej trudnych do pojęcia i wybaczenia. (Jeśli przez cudowny przypadek „Hamlet” Matlakowskiego znajduje się gdziekolwiek w wolnym świecie, będę wdzięczny za wiado­mość).

Gdy Matlakowski wydawał swoją summę hamletologiczną, dojrzewał poeta, który miał jak romantycy włączyć ten utwór w krąg swego intymnego świata poetyckiego : Wyspiański. W r. 1905 wydał komentarz, który jest w większym stopniu ko­mentarzem do jego dzieła, niż do dzieła Szekspira. Trzy lata wcześniej w „Wyzwoleniu” genialnie zastosował i twórczo roz­winął chwyt Hamleta z przedstawieniem-„pułapką na my­szy”. W Konradzie z „Wyzwolenia” złączył w jedno : postać wiodącą swój ród z romantyzmu polskiego i nieszczęśliwego kró­lewicza z duńskiego Elsynoru, jak później w „Achilleis” miał połączyć herosa Homera z bohaterem Szekspira.

Okres niepodległości przyniósł tłumaczenie „Hamleta” do­konane przez anglistę warszawskiego Andrzeja Tretiaka (1922) i dwa inne, nieznane mi, Iwaszkiewicza i Tarnawskiego. Tłu­maczenie Tretiaka filologicznie wierne nie przedstawia istotniej­szej wartości literackiej. Tretiak nie umiał pisać, nie miał ta­lentu poetyckiego, choć ożywiały go duże i szlachetne ambicje (tłumaczył pierwszy — ileż to lat temu? — „Zabójstwo w ka­tedrze” Eliota).

OSTATNI PRZEKŁAD

Wyszedł on spod pióra poety i to poety, który próbował swoich sił w dramacie. Ma w dorobku kilka utworów bardzo „eskapistycznych”, jak „Przemysław II”, dramat o Rem- drandtcie, ale w sztuce o Bogusławskim i Stanisławie Auguście pt. „Król i aktor” spłacił też należny trybut prawowierności.

Badanie jakości ostatniego przekładu „Hamleta”, jak w ogóle badania przekładów jest żmudne, choć może być pasjo­nujące dla tego kto je przeprowadza. Borowy w studium o Boyu- tłumaczu dowiódł, że można temat tego rodzaju uczynić także pasjonującym dla czytelnika. W danym przypadku zastosujemy podwójna metodę, stawiając nowe polskie wysłowienie wobec oryginału, zestawiając jego poszczególne ustępy z poprzednimi tłumaczeniami. Zacznijmy od tej drugiej metody.

Poprzednio pokazaliśmy jak potknęli się na słynnym okrzy­ku Fortynbras dwaj wcześni tłumacze Kefaliński i Komierow- ski, popadając w ordynarność lub w groteskę. Zobaczmy teraz jak ten okrzyk wobec pobojowiska w zamku elsynorskim brzmi u innych przekładaczy.

Paszkowski :

*,,Czy zniszczenie tron tu obrało sobie?”*

Ulrich :

*„Ha, co za zniszczenie !”*

Kasprowicz :

*,,Ten pokos woła ,.morderstwo” !”*

Tretiak :

*,,Ten rząd trupów woła okropnym głosem”.*

Brandstaetter :

*,,To rzeź zwierzyny spędzonej w zasadzkę”.*

A teraz kilka innych przykładów; są to przeważnie ustępy, które się uskrzydliły, przeszły do mowy codziennej.

*..Something is rotten in the State of Danemark”.*

Bogusławski :

*,,Jakowaś zbrodnia ukrywa się w naszym królestwie”.*

Komierowski :

*,,Tu jakieś czerwo cuchnie w państwie duńskim”.*

(jest to podwójna niedorzeczność : staropolszczyzna zna tylko słowo „czerewo” i oznacza ono żywe ciało lub część ciała : brzuch, nie trupa).

Paszkowski :

*„Widno jest coś chorobliwego w państwie duńskim’'.*

Kasprowicz :

*„Coś się popsuło w państwie duńskim".*

Tretiak :

*,,Zgnilizną jakąś trąci duńskie państwo".*

Brandstaetter :

*„O, w państwie duńskim coś psuć się zaczyna".*

Okrzyk Hamleta na końcu I-go aktu, który także stał się prawie przysłowiem:

*,,The time is out of joint. Oh, cursed spite*

*That ever I was bom to set it right !"*

Paszkowski :

*...Świat wyszedł z formy :*

*I mnież to trzeba wracać go do normy".*

Ulrich :

*„Czas wyszedł z stawów — losów klątwa zdarza,*

*Że się rodziłem na jego lekarza."*

Kasprowicz :

*„Czas się nasz spaczył, o gniewie przeklęty !*

*Żem ja się rodził,aby go naprawiać".*

Tretiak :

*„Z zawiasów wyszedł czas — o dolo podła*

*Coś mnie naprawiać go na świat przywiodła".*

Brandstaetter :

*„Z kolein wypadł świat ! Fatum ponure !*

*Czym się urodził by go dźwignąć w górę".*

A teraz początek najsłynniejszego z siedmiu monologów ,,Hamleta” :

*„To be or not to be — that is the question:*

*Whether’tis nobler in the mind to suffer*

*The slings and arrows of outrageons fortune*

*Or take arm s against a sea of troubles*

*And by opposing end them ? To die, to sleep —*

*No more..."*

Przekład w ,,Listach Woltera o Angielczykach” (1793):

*„Stój : obrać potrzeba ; a natychmiast z życia do śmierci się przenieść, lub z istności w nic się zamienić. Bogowie okrutni, i jeżeli jacy jesteście, odwagę moją oświećcie ! Kurczyć się sta­rością pod gnębiącą mnie ręką, cierpieć, lub nieszczęście moim kończyć losem ? Cóż jestem ? Co mnie zatrzymuje ? I co jest*

*śmierć ? Oto koniec naszego utrapienia, a moja jedyna uciecz­ka; oto sen po długim miły poruszeniu : zasypia się, a wszyst­ko niknie”.*

Trembecki (przekład poetycki tej samej, zresztą także wier­szowanej parafrazy wolterowskiej):

*„Już czas nieporuszonym wybierać obliczem*

*Śmierć albo gorzkie życie, z czego więcej niczem.*

*Bóstwo ! Jeżeli jesteś,oświeć moją wolą*

*Mam-li starzeć pod srogą schylony niedolą,*

*Więdnieć dłużej, lub skończyć okropne rozpaczy ?*

*Cóż jestem ? Kto mnie trzyma ? I co się śmierć znaczy ?*

*Jest to koniec ucisków; jedyne schronienie, Po długich troskliwościach spokojne uśpienie.*

*Sen taki wszystko morzy...”*

Bogusławski :

*„Być albo nie być? Otóż jest pytanie... Jest-że szlachetniej- szem dla duszy znosić ostre ciosy niesprawiedliwej fortuny, czyli stawiając się opornie mnóstwu nieszczęść wstrzymać ich nawał i skończyć one zawsze ? Umrzeć — usnąć — nic więcej...”*

Norwid :

*„Być ,ałbo nie być? Oto zapytanie,*

*Czyli jest zacniej, skoro duch się kłoni,*

*Niż kiedy w pełnym złego oceanie*

*Złemu zaprzecza, nieszczęściu się broni ??*

*Umrzeć? To zasnąć...*

Ostrowski :

*„Być albo nie być, oto jest zadanie :*

*Co z dwojga jest wznioślejszym, czy wytrzymać*

*Zawistnych losów ciosy lub zniewagi,*

*Czy przeciw morzu cierpień się uzbroić*

*I siłą je pokonać? Umrzeć — zasnąć —*

Paszkowski :

*Być ałbo nie być, to wielkie pytanie.*

*Jest-li w istocie szlachetniejszą rzeczą*

*Znosić pociski zawistnego losu*

*Czy też stawiwszy czoła morzu nędzy*

*Przez opór wybrnąć z niego? Umrzeć — zasnąć —*

Kasprowicz :

*„Być albo nie być ! Oto jest pytanie !*

*I cóż jest większą szlachetnością serca,*

*Znosić pociski szalejących losów*

*Czy się uzbroić przeciw morzu nędzy*

*I tak przez opór z niego wybrnąć ? Umrzeć —*

*Zasnąć — nic więcej...*

Tretiak :

*,,Czy być, czy nie być :* w *tym jest treść zagadki.*

*Czy jest szlachetniej znosić w duszy pęta*

*I strzały losu gwałtownika, czy też*

*Broń podnieść przeciw temu morzu cierpień*

*I w walce skończyć cierpieć ! Umrzeć — zasnąć”.*

Brandstaetter :

*„Być albo nie być, oto jest pytanie.*

*Czy jest szlachetniej, aby duch nasz znosił*

*Pęta i strzały gwałtownego losu,*

*Czy za broń chwycić przeciw morzu cierpień*

*I zmóc je w twardej walce ? Umrzeć, zasnąć —*

*Nic więcej...*

I wreszcie odezwanie się Hamleta do Ofelii : That’s a fair thought to lie between maid’s legs”. Bogusławski : ,,To jest bardzo przyjemne”. Paszkowski : ,,To był pomysł nie lada”. Kasprowicz : „Piękny to pomysł leżeć pomiędzy nogami dziew­czyny”. Tretiak : „Przyjemnie myśleć, jak się *tam* leżeć będzie”. Brandstaetter: „Przyjemnie jest wyobrazić sobie, że się leży między nogami dziewczyny”.

Z tych zestawień widać, że ostatnie brzmienie jest często najszczęśliwsze. Inna rzecz, że dzisiejszy tłumacz miał ułatwione zadanie. Matlakowski wykonał olbrzymią, czarną robotę, zwal­niając następców od trudu ustalania tekstu, rozstrzygania wąt­pliwości filologicznych, gramatycznych, słownikowych. Że Brandstaetter korzystał z Matlakowskiego zdaje się dowodzić uporczywy i dość zrozumiały błąd idący nieprzerwanym ciągiem przez teksty wszystkich tłumaczy : „sends out arrests on Fortin- bras”, co mniej więcej znaczy : „wstrzymuje Fortynbrasa przez swoich posłańców (Ulrich : „dał rozkaz aresztu”; Paszkow­ski : „kazał przyaresztować Fortynbrasa”; Kasprowicz : „przy- aresztować kazał Fortynbrasa”; Matlakowski : „wydaje kontr- rozkazy”; Brandstaetter : „wydaje rozkazy”.)

Pomyłki poprzedników nie wracają u ostatniego tłumacza. Brandstaetter korzysta z ich dorobku, ulepszając już zdobyte osiągnięcia. Oto przykład (słowa Hamleta z końca sceny cmen­tarnej): „The cat will mew and dog will hâve his day” (Ko- mierowski : „Póki kot miauczy, pies się niepokoi”; Ulrich : „Kot będzie miauczał, lecz przyjdzie psa chwila”; Paszkowski pierwszy poprawnie : „Zawsze kot miauczyć będzie, a pies war- czyć” ; Brandstaetter : „Kot zawsze miauczy, a pies zawsze szczeka”).

Oto drugi przykład (odezwanie się Hamleta do Laertesa przed pojedynkiem):

*,,Twa chwała zyska w zbliżeniu się do mnie,*

*Bo twoja biegłość przy moim nieuctwie*

*Będzie jak gwiazda w czarnej nocy błyszczeć”.*

(Paszkowski).

*Moje partactwo będzie tym zwierciadłem,*

*W którym twa zręczność jak gwiazda wśród nocy*

*Jasno zabłyśnie.,.”*

(Brandstaetter).

Popiera ten materiał zestawień ogólne wrażenie z lektury ostatniego przekładu. Jest on ,,czytelny” (czego nie można było nigdy powiedzieć o przekładzie Komierowskiego) i „mowny” tzn. łatwy do mówienia (co im dalej w czas, tym trudniej po­wiedzieć o przekładzie Paszkowskiego). Siedzi on mocno we współczesnym poczuciu językowym, popierając pogląd i spełnia­jąc żądanie Tarnawskiego : ,,Szekspira tłumaczyć można tylko najnowszą polszczyzną”, bo tylko ona może oddać ,,bogactwo i giętkość” oryginału.

Ale nawet w tym ogólnym, raczej dodatnim, ujęciu ocena ostatniego przekładu jakby się rozszczepia : ma on rozpęd szeks­pirowski, nie ma szekspirowskiego zagęszczenia. Ta formuła wymaga być może bliższych wyjaśnień. Jeśli możemy sobie dzi­siaj odtworzyć coś z tej oślepiającej tajemnicy, której na imię Szekspir, wolno nam przypuścić, że pisał łatwTo, szybko, miał w sobie coś z polotu rwącej wody. Jednocześnie miał w sobie coś z kamieniarza, wyłamującego olbrzymie, fantastyczne złomy kamienne; zagęszczał materię poetycką, komplikował na wszyst­kie sposoby i natężał do ostateczności wyraz poetycki, co zazwy­czaj przychodzi z oporem, wymaga długiego wysiłku. Można by obrazowo powiedzieć, że Szekspir był jednocześnie Słowac­kim i Mickiewiczem ; na tym między innymi polega jego feno- menalność.

Ostatni przekład zachowuje coś z dynamiki, z polotności sło­wa, mniej, czasem zgoła nie wiele, z jego potężnej, monumental­nej bryłowatości, z jego wewnętrznego natężenia. Być może za­ważył i tutaj wyczuwalny pośpiech, który tak szkodził przekła­dom Kasprowicza. Zaważył przede wszystkim temperament i ka­liber poetycki tłumacza.

Nowy przekład „Hamleta” spełnia doraźne, praktyczne po­trzeby, ale ciągle nie jest owym przekładem „wzorowym”, dos­konałym, idealnym. Jego sprawra zdaje się ciągle otwarta. W za­łatwieniu tej sprawy (jak i przepolszczeniu całego Szekspira) mogą i powinni wziąć udział także poeci emigracyjni, zwłasz­cza ci, którzy zdobyli pogłębioną znajomość angielszczyzny i sprawdzili swoje możliwości jako tłumacze : Baliński, Broncel, Miłosz, Niemojowski, Pietrkiewicz.

HAMLET „UND KEIN ENDE”

„Hamlet” jest utworem Szekspira, który u nas najczęściej tłumaczono, o którym na świecie najwięcej pisano. Pod tym ostatnim względem tylko „Boska Komedia” i „Don Kichot” mogą z nim iść w porównanie, ale na pewno żaden inny utwór dramatyczny. Skąd się to wzięło ?

Rozpętał tę lawinę albo, według określenia jednego z szeks- pirologów francuskich, tę ,,orgię krytyczną” nie byle kto bo — Goethe. Zrobił to nie z nudów, ani z braku lepszego zajęcia, ale z nakazu praktycznego. W teatrze wejmarskim, którego był dyrektorem, musiał aktorowi dać wskazówki dotyczące postaci tytułowej, jej charakteru i postępowania. Tak powstała pierw­sza odpowiedź na pytanie : dlaczego Hamlet zwleka z zemstą na mordercy swego ojca ?

Od tej chwili trwa dyskusja i urasta w góry zadrukowane­go papieru. W katalogu British Museum bibliografia o samym ,,Hamlecie” zajmuje 22 karty folio. W roku 1877 uczony ame­rykański H. H. Furness w „A New Variorum Edition of Sha­kespeare” poświęcił ,,Hamletowi” dwa tomy, razem 900 stron druku. Po tej pierwszej summie przeciętnie co 12 dni ukazy­wała się nowa praca o „Hamlecie”. Zestawia je „A. Hamlet Bibliography and Reference Guide 1877-1935” A. A. Ravena, licząca 300 stron.

(Nota bene nie notuje ona żadnego przekładu polskiego, mimo że zestawia przekłady niemieckie, francuskie, rosyjskie, szwedzkie. W dziale ,,The Influence of „Hamlet” głucho o Mic­kiewiczu, Słowackim i Wyspiańskim. Wśród komentarzy nie ma dzieła Matlakowskiego, choć są prace hiszpańskie, szwedzkie, węgierskie, nawet czeskie. Jedyne dwa nazwiska polskie, które dają się wytropić w tej olbrzymiej bibliografii, to Chodowiecki, jako rysownik niemieckiej inscenizacji „Hamleta” i Brueckner oświadczający się po niemiecku za cudzą tezą, że imię Poloniu- sza może pozostawać w związku z książką Goślickiego „De optimo senatore” (istnieje inna etymologia wiążąca to imię z Włochami). Nie lepiej wyglądamy w ogólnej „A Shakespeare Bibliography” (1931 -1937), ale to już mniej dziwne, bo robili ją dwaj Niemcy W. Ebisch i L. C. Schuecking. Nie zna ona nie tylko polskich prac Tarnowskiego, Stanisława Estreichera, Zahorskiego, Bernackiego, Tarnawskiego o Szekspirze w Pol­sce, ale nawet po angielsku wydanej rozprawy Ziółeckiego „Shakespeare in Poland, Russia nad Other Slavonie Countries”. Reprezentuje nas tam jedynie i wyłącznie życzliwy, ale chao­tyczny, pełen grubych błędów i elementarnych przeoczeń szkic pani Calina „Shakespeare in Poland”. Studium na ten temat jest ciągle do napisania).

O co właściwie chodzi w tej nieskończonej dyskusji o cha­rakterze Hamleta ? Z gruba biorąc, daje się ona ująć w trzy grupy. Jedni w okolicznościach zewnętrznych wskazują przy­czyny zwlekania z zemstą, inni widzą je w duszy tego, który ma zemsty dokonać, jeszcze inni pojmują Hamleta jako konwencjo­nalną postać teatralną. Antologia Claude X. C. H. Williamsona „Reading on the Character of Hamlet” (1950) zawiera przyto­czenia z trzystu źródeł !

Gdy czytałem ostatni przekład polski, a na scenę londyń­skiego Old Vicu wchodziła nowa inscenizacja „Hamleta”, uka­zała się książka Bertrama Josepha pt. „Conscience and theKing”. Zgromadził on olbrzymi materiał dokumentacyjny, ma­jący dowieść, że dla widowni elżbietańskiej wahanie Hamleta nie miało w sobie nic zagadkowego. Było to rozdroże między sumieniem chrześcijańskim i szlacheckim honorem. To intere­sujące wyjaśnienie łatwo da się zmieścić w drugiej grupie ko­mentarzy do charakteru Hamleta. Oczywiście, jak każdy hamle- tolog, Joseph uważa, że jego oświetlenie zamyka sprawę.

Trudno poddawać się temu złudzeniu. Trudno tym bardziej, że prócz Hamleta jest w „Hamlecie” wiele innych nie rozwiąza­nych zagadnień. „Ciągle — stwierdza Raven — nie ma defini­tywnych odpowiedzi na pytania dotyczące źródeł, tekstu, wczes­nych wydań, charakterów, intrygi i ostatecznego znaczenia utworu”.

Czym się to tłumaczy? Szekspir napisał „Hamleta” na kanwie cudzego dzieła i ten „pre-Hamlet” nie dochował się do naszych czasów. Doszło nas kilka tekstów drukowanych (jeden niemiecki), różniących się istotnie między sobą. Być może Szekspir opracowywał swój dramat kilku nawrotami. Co wię­cej, on najbardziej bezosobisty z dramatopisarzy, ukryty za swo­im dziełem, jak Bóg za światem — w ten dramat włożył wiele z siebie samego. „Hamlet” znaczy jeden z najgłębszych prze­łomów, jakie kiedykolwiek rozegrały się w duszy ludzkiej, prze­łom, który znalazł wyraz poetycki o niebywałej mocy. To wszystko sprawia, że roi się w nim od zewnętrznych niekonsek­wencji i sprzeczności, że jest w nim wiele zagadek, sięgających samego dna bytu.

Dlatego „Hamlet” nie ma końca.

„HAMLET” ŻYWY

Nie daje się on zdławić przez narastające zwały objaśnień i komentarzy. Żyje i wzrusza jak za życia swego twórcy. Jest marzeniem każdego aktora. Grali go Garrick, Kean, Kemble, Booth, Irving, Mounet-Sully, Kaczałow, Królikowski, Rapacki, Węgrzyn, Moissi, Kainz, Olivier, Barrault — i te największe nazwiska nie stanowią pewnie jednej setnej jednego procentu z ogólnej liczby aktorów, którzy go wcielali na scenie. Kusiły się o jego odtworzenie także aktorki, od Mrs. Siddons przez Mme Judith aż do Sary Bernhardt i naszej Stanisławy Wysoc­kiej.

Odtwórców i widzów urzeka Hamlet niewyczerpanym bo­gactwem tonów duchowych, olbrzymim natężeniem dynamiki emocjonalnej, potencjałem głęboko osobistej wiedzy o świecie i człowieku. Raczej niedoskonały jako dzieło dramatyczne (zna­komity poeta Eliot waży się na określenie : „most certainly an artistic failure”), jest „Hamlet” wspaniałym teatrem, bogatym aż do granic ostatecznego nasycenia, aż do rozrzutności, aż do nadmiaru.

Wydaje się oczywiste, że londyński Old Vie, wróciwszy do swojej dawnej tradycji grania wyłącznie Szekspira, zamierzyw­szy w ciągu nadchodzących pięciu lat odtworzyć wszystkie 36 jego sztuk, zawartych w tzw. pierwszym folio, w wydaniu po­śmiertnym z r. 1623 — zaczął od „Hamleta”.

HAMLET BURTONA

Arcyrolę powierzono młodemu aktorowi Richardowi Burto- nowi. Zwrócił on na siebie uwagę w ,,The Boy with a Cart” zupełnie niezwykłą szczerością i prostotą. Po tej sztuce, która mimo mody na Fry’a nie miała wielkiego powodzenia, od razu skoczył w górę : grał już w Stratfordzie, mieście rodzinnym Szekspira, jest w drodze do Hollywoodu, podobno zrzekł się tłustego engagement, aby zagrać „Hamleta” w Old Vicu.

Wśród wielu wątpliwości rzeczywistych i zagadnień sztucz­nie stwarzanych w „Hamlecie” długo roztrząsana była sprawa wieku jego bohatera. Jedno z wczesnych wydań mówi o 30-tu latach, inne wydania milczą na ten temat. Na podstawie analizy wszystkich możliwych szczegółów zgodzono się, że królewicz duński w dramacie Szekspira, to człowiek młody, młodzieniec w wieku 25 lat. Nim doszło do międzynarodowej zgody na ten temat, konwencja teatralna żądała Hamletów męskich, dojrza­łych, dopuszczała Hamletów leciwych, tolerowała Hamletów- starców. Zdaje się, że Richard Burbage odtwórca roli na pra­premierze z Szekspirem jako duchem króla — nie był pierw­szej młodości. Miał około 35 lat, zadyszkę (robi do niej aluzję elegia na jego śmierć) i sporą tuszę, na co wskazywałyby słowa królowej, skierowane do Hamleta w scenie pojedynku. Ame­rykański partner Modrzejewskiej, Edwin Booth, zamknął swoją karierę aktorską Hamletem — liczył wtedy lat 58 i tylko dwu lat brakowało mu do śmierci.

Hamlet Burtona jest młody, młodzieńczy. Ma świeży, pięk­ny głos, ujmujący, choć nie przesłodzony wygląd i — własne ciemne, bujne włosy. Ten ostatni szczegół nie wyda się trywial­ny i błahy, jeśli się przypomni, że przez stulecia trzeba było kryć łysiny Hamletów, że w drugiej połowie ubiegłego wieku Fech- ter, aktor francuski, grający Hamleta po angielsku w Londynie i w Nowym Jorku, wprowadził tradycję jasnych peruk, „a cross between golden and ginger” (jeszcze Olivier na taki kolor ubar­wił swoje włosy w filmowej przeróbce „Hamleta”).

Burton, zgodnie ze swoim temperamentem, ujął rolę lirycz­nie. Hamlet w jego ujęciu, to człowiek młody, jeszcze nie okrzep­ły, nie wystudzony wewnętrznie, na którego spadł olbrzymi cię­żar, w którego ugodziła cała potworność życia. To nie intelek­tualista, filozof, jak chcieli Schlegel i Coleridge, to nie człowiek o przeroście refleksji, narcyz nachylony nad sobą, jak nad odbi­ciem w wodzie. To człowiek gnący się pod brzemieniem, miota­jący się w sieci, broczący żywą krwią, cierpiący.

Nie drogą chłodnej analizy, ale instynktownym jasnowidze­niem, promieniowaniem emocjonalnym, Burton zespala Ham­

leta w jedną całość, tworzy z niego postać zrozumiałą, wzrusza­jącą, wzbudzającą głębokie współczucie. Osiąga to w sposób bezpośredni, daleki jest od kokieterii, ładności, kobiecych kry- gów i wdzięczków w stroju.

W scenie z Ofelią przed przedstawieniem na dworze mo­menty drastyczne Burton łagodzi melancholią. Podobnie jest ze scenami, w których dochodzi do głosu okrucieństwo Hamleta. Słowa po zabiciu Poloniusza : „Żegnaj głuptasie, podły wścib- ski sługo”, Burton mówi bardziej ze smutkiem niż ze wzgardą, Całą scenę z matką w sypialni gra z wielką, przejmującą dys­krecją. „Słowa jak sztylety ranią mi uszy” — mówi tam królo­wa; zdają się one ranić także usta tego, kto je mówi. Nawet w scenie cmentarnej — tak urażającej smak klasyków, tak umi­łowanej przez romantyków — Hamlet Burtona jest łagodny i czuły. Jego ramiona przebiega dreszcz, gdy ma wziąć czaszkę z rąk grabarza, jego twarz rozświetla tkliwość, gdy dowiaduje się, że jest to czaszka Yorricka, błazna-przyjaciela, towarzysza szczęśliwych lat dzieciństwa.

Dość paradoksalnie to ostatnie ujęcie aktorskie postaci Hamleta najściślej przystaje do pierwszej interpretacji teoretycz­nej — Goethego. „Szekspir chciał nam — to są jego słowa — ukazać w Hamlecie duszę obowiązaną do spełnienia wielkiego czynu, do którego nie jest zdolna... Dąb zasadzono w wazonie, przeznaczonym na wdzięczne kwiaty ; korzenie się rozrastają, na­czynie pęka”. Być może kreacja Burtona w pewnej mierze odpo­wiada także temu co myślał Matlakowski, gdy mówił o „Ham­lecie” jako „obrazie rozwoju duszy młodzieńczej w męską”. Ale tego nie można twierdzić z pewnością bez jego książki w ręce.

RESZTA JEST NICZYM

Jeśli główna rola w inscenizacji Old Vicu pociąga, zadziwia, wzrusza, to reszta ról po prostu się nie liczy. Może należałoby zrobić wyjątek dla Ofelii, choć Grydzewski uważa, że jest to rola w ogóle nie do zagrania (słyszałem podobny pogląd od bardzo inteligentnej i kulturalnej aktorki). Partnerka Chaplina, Claire Bloom, ślicznie wygląda w scenie widowiska, ma kilka prawdzi­wych akcentów w scenie obłąkania. Jest to Ofelia dziewicza, na przekór domniemaniu romantyka i szekspiromana niemieckiego Tiecka, że córkę Poloniusza i królewicza łączył związek fizycz­ny (ta z pozoru drastyczna sprawa ma znaczenie dla ujęcia arcy- trudnej roli).

Reszta grających jest na prawdę niczym. „Milczeniem” — jak mówi Hamlet. Najbardziej niepojęte jest obsadzenie roli kró­lowej. Gra ją aktorka, która mogła by być nie matką, ale babką Hamleta. „Gertruda — twierdzi Giełgud — musi mieć około 50 lat”, ale zaraz dodaje : „nowoczesny zwyczaj obsadzania tej roli młodą kobietą bardzo podnosi jej efektywność i sens całej his­torii”. Czyli że raczej należy przyjąć, że jest to kobieta okołolat 40. W ostatnim przedstawieniu wiele rzeczy : miłosna pasja króla, pomówienie przez syna o zmysłowość — stają się niezro­zumiałe. Scena w sypialni, choć zagrana przez Burtona bardzo delikatnie, jest dość trudna do zniesienia. To już drobiazg, że w takim ustawieniu osób bierze w łeb psychoanalityczna inter­pretacja „Hamleta”. (Freudysta amerykański Ernest Jones wy­stąpił z teorią, że jego bahater jest dotknięty kompleksem Edy­pa, kocha matkę, nienawidzi ojca i dlatego ociąga się z zemstą na zabójcy, który go niejako wyręczył, urzeczywistnił jego pod­świadome pragnienia. Ten pogląd przyjął szekspirolog francuski Paul Yvon. Skłania się do niego, choć nie w tak prostackiej postaci, Eliot.)

Nie lepiej ma się rzecz z innymi rolami. Duch jest roz- wrzeszczany, płaczliwie patetyczny. Klaudiusz wygląda jak morderca pospolity z powieści kryminalnej dla kucharek. Polo- niusz i Laertes są poniżej przeciętności. Ozryk należy do świata operetki. Ani jednej ludzkiej twarzy.

W ostatecznym wyniku „Hamlet” Anno Domini 1953 jest przedstawieniem z głębokiego dziewiętnastowiecza : liczy się w nim, błyszczy urzekającym światłem tylko jeden aktor, reszta jest tłem, nie zupełnie obojętnym, ale często takim, którego chciałoby się nie widzieć.

KSZTAŁT SCENICZNY

I on także pod wielu względami tkwi daleko w przeszłości. Na szczęście wolny jest od realistycznego gadulstwa, nadmiaru zmian i szczegółów. Nie jest także pokazem pseudo-archeologii skandynawskej, pseudo-stylu „Wikingów”, co się tutaj w Anglii zdarzyło jeszcze nie tak dawno. Ale nie są to okoliczności łago­dzące zasadniczy zarzut : „Hamletowi” w Old Vicu brak po­wietrza, wielkości, monumentalności, szekspirowskiej miary.

Na tym przedstawieniu, na całym teatrze angielskim mści się nieustannie to, że Anglia wydawszy w E. G. Craigu refor­matora teatru, sama nigdy nie przeszła przez okres tzw. refor­my teatralnej z jej skrajnościami i jej zdobyczami. Craig (syn Ellen Terry, najsławniejszej Ofelii) grał za młodu Hamleta i całe życie zajmował się „Hamletem”. W roku 1907 wydał tekę kwa­sorytów, poświęconych temu dramatowi, w r. 1930-1931 ozdobił 75 drzeworytami tekst angielski i jego nowy przekład niemiecki dokonany przez Gerharda Hauptmanna. Jest to jeden z nielicz­nych utworów scenicznych, który urzeczywistnił na scenie. Sta­ło się to nie w Londynie ale — w Moskwie, w Teatrze Artystycz­nym Stanisławskiego. Inscenizacja moskiewska z r. 1912 po raz pierwszy wprowadziła w życie formułę Craiga : „one scene with changeable face” (jedna scena, jedna dekoracja, o zmieniającym się obliczu). Posługiwała się wielkimi płaszczyznami, wielkimi regularnymi bryłami kremowo-złotego koloru. Były one „malo­wane światłem”. Kolor, światło, cała przestrzeń sceniczna zmie­niała się równolegle z tokiem dramatu. Było to coś, co można

by nazwać teatralną muzyką. Do dziś jest to jedno z legendar­nych, największych, mimo niedoskonałości bez wątpienia prze­łomowych widowisk teatru europejskiego.

W ostatnim ujęciu brzmiało dalekie, nikłe, zniekształcone echo tej arcyinscenizacji craigowskiej. Był to typowy przypadek, o którym mówi się obrazowo : wie że dzwonią, ale nie bardzo wie gdzie i poco ? Inscenizator (i obecny dyrektor Old Vicu) Michael Benthall rozegrał całe widowisko na tle trójarkadowej fasady, która wznosi się na granicy między sceną a proscenium, wypełnia bez reszty cały otwrór. Ma to taki skutek, że ruch sce­niczny jest wypchnięty na przód, na obszerny „fartuch”, wła­ściwa zaś scena leży odłogiem. Odpowiada to duchowi teatru elżbietańskiego i jego architekturze, ale jest nielogiczne i nie­ekonomiczne z punktu widzenia dzisiejszej architektury teatral­nej i dzisiejszej optyki teatralnej. Tej prawowierności zbywa zresztą na konsekwencji, bo u elżbietańczyków wielką rolę grał balkon w głębi. W wyniku tej zasadniczości i tej niekonsekwen­cji pewne sceny, które zyskałyby na cofnięciu w tył (np. roz­mowa Hamleta z widmem, kopanie grobu i pogrzeb Ofelii) albo na uniesieniu w górę (para królewska i dwór w czasie przed­stawienia na dworze) są wysunięte do przodu, rozgrywają się niemal na skraju platformy. Stają się przez to natrętnie bliskie, tracą na wyrazie.

„Changeable face” sprowadza się do nielicznych i niezbyt wymyślnych zmian tła głębnego lub owej stałej fasady. W ostat­nim akcie zjawia się w jej środkowym przeziorze brama, do reszty zagracająca przestrzeń sceniczną.

Craig obnażył scenę ze wszystkiego co zbędne, aby do sym­bolicznej wymowy podnieść na niej to, co konieczne. Benthall słyszał o tym, ale niedokładnie. Stąd karykaturalna przesada : Klaudiusz przynosi i wynosi pod pachą krzyż przed którym się modli. Stwarza to efekt groteskowy i mimowolnie komiczny.

W ogóle pomysłowość inscenizatora jest w stanie niemo­wlęcym. Związek łączący Hamleta z Fortynbrasem ma istotne znaczenie dla utworu, ale Benthall wyraża go jak najbardziej prymitywnie, każąc Duńczykowi wygłaszać monolog w obec­ności Norwega, odwróconego tyłem do widzów. Do tej kate­gorii pomysłów należą okrzyki : „Hamlet ! Hamlet !” przy toa­ście i brutalne wtłaczanie królowi w usta pucharu z trucizną.

Ale najbardziej odstręczający jest bezład scen zbiorowych, zwłaszcza sceny ostatniej. Sięga on chyba epoki przedmeiningeń- skiej ; dla sceny nowoczesnej jest to epoka kamienia łupanego.

♦

Polski „Hamlet” czeka jeszcze na swój kształt w słowie. Angielski „Hamlet” czeka jeszcze na swój kształt sceniczny.

Ale Hamlet Richarda Burtona będzie chlubnie zapisany w ciągle piszącej się kronice arcydramatu.

*Tymon TERLECKI*

Cztery mile za piec

Z.

*Chodziliśmy tam i z powrotem po szpaltach gazet. Ty szukałeś prawdy w gąszczu liter,*

*A znalazłeś — znak zapytania.*

*Ja chciałam się tylko dowiedzieć Dokąd biegną kropki w wielokropkach.*

*Ale to podobno sekret, święta, urzędowa tajemnica, Więc zostaliśmy sami,*

*i z niczym, na marginesie.*

*II.*

*Szczęście spływa po mnie, jak rosa,*

*I tak mi rozłożyście, zielono ! Popatrz — wyciągnęłam ręce i zakwitłam.*

*Może chcesz odpocząć w moim cieniu ? Ja ci będę szumiała — śpiewała*

*O wiośnie, która zawsze powraca. .*

*Potem pójdziesz, a ja zapłaczę Deszczem złoto — purpurowych liści.*

*III.*

*Szłam za tobą noce i dnie,*

*Jak za wielkim, kolorowym półksiężycem. Nanizałam gwiazdy na sznurek, By ci je zawiesić na szyi.*

*I mierzyłam przestrzeń tęsknotą,*

*I mierzyłam tęsknotę biciem serca...*

*Nagle spadła kurtyna*

*I dopiero wtedy zrozumiałam, Że półksiężyc był wycięty z papieru.*

*Więc zapłakałam i zgasły*

*Gwiazdy, nanizane na sznurek. Ty kłaniałeś się nisko widowni,*

*Zbierałeś bukiety i brawa.*

*IV.*

*Wszystko jest głupio i głupio,*

*I ty, i ja, i pani z piórkiem na głowie.*

* *Czy mam ci dolać kawy ?*

*Powiedz, ty naprawdę wierzysz w nieśmiertelność ? Że ty, i ja, i pani z piórkiem na głowie,*

*Zawsze, po wieki wieków... ?*

*Czy raczej myślisz, że dusza Roztapia się w wieczności,*

*Jak kostka cukru w kawie?*

*Wczoraj chciałem siedzieć tak, jak teraz, Myśląc i mówiąc o niczym,*

*A dziś chciałbym liczyć łabędzie Lub powyrywać kaczkom złote piórka Lub... Nie, dziś nie chcę nic więcej, Może tylko łyk wieczności.*

* *Kelner, proszę o rachunek.*

*Danuta BIENKO WSKA*

Czarne strofy

*Nie było Ciebie z nami choć faryzeusze klną się, żeś siedział wysoko za naszym stołem.*

*I nikt po Ciebie nie pośpieszył choć na widok gromnicznego cienia rozbiegli się po kresach świata ze śladami powrozów na twarzy.*

*Poszli w getta Babilonu unosząc z sobą w sakiewkach kadzidłowe dymy i owcze skóry by na posadzce świątyni mogli Bogu dziękować, że nie są jako i inni.*

*Na wschodzie stała łuna jutra i zagląda w beztroskę — na próżno.*

*Jak z pobielanych grobów wstać ma duch od ryku trąb zapadły ?*

*Który kładłeś ręce na oczy, dotknij nas, byśmy przejrzeli i laurowe ciemne pieśni przemień w białe strofy.*

*Florian ŚMIEJA*

Dziwne miasto

*Błądziłem po dziwnym mieście, pukałem do drzwi nieznajomych, prosiłem weźcie mnie, weźcie, ale nie chciały mnie domy.*

*Wchodziłem w czarne ulice, pytałem latarni o drogę, nie widzę, powtarzałem, nie widzę i dalej już iść nie mogę.*

*I wzrok podnosiłem do nieba szukając wśród gwiazd drogowskazu, nie trzeba mi komety, nie trzeba, dajcie mi gwiazdkę bez skazy !*

*Odwiedzałem ponure piwnice, zaglądałem w każdą noc po kolei, niech się choć waszym głodem nasycę, pozwólcie, ale nie chcieli.*

*I dalej błądziłem po mieście, pukałem do drzwi nieznajomych, prosiłem weźcie mnie, weźcie, o niewzruszone domy !*

Zygmunt ŁAWRYNOWICZ

Fotograf

Trzeciego dnia panującej za oknem mgły, Gabryś powie­dział, krzywiąc się do lustra przy goleniu :

— Ja nie chcę iść dalej.

Irena wciągała w tej chwili pończochę. Zmoczyła wargami koniec palca, zamocowała śliną uciekające oczko, zapięła wy­soko pończochę podwiązką, wszystko jak należy. Potem bez słowa poszła do kuchni. W taki nieprzyjemny ranek nie ma się ochoty do dyskusji. Za oknem, jeszcze przed trzema dniami roz­pościerał się daleki widok na dachy i kominy. Teraz można było tylko dostrzec białą taflę. O ósmej rano widać było słońce drob­ne, jak mandarynka w wacie. Ale później i ono znikło. Luxem- burg nadawał francuskie piosenki. Kot spał w rozrzuconym łóż­ku. Kominek się nie palił, żeby oszczędzić gazu.

Wiadoma rzecz o co chodzi : człowiek zbliża się pięćdzie­siątki. Pozostało mu życia śmiesznie mało. Czeka go wieczność. Te lata, co kot napłakał, są zerem wobec tego co zaraz nastą­pi. Zaraz, bo czas pędzi. A z nikim nie można się dogadać. Spróbuj zgubić wartość np. jednego przejazdu autobusem : „Coś ty robił, żeś zgubił?” No i niech który odpowie : „Myśla- łem o wieczności”. Jeżeli nie żartem, a na poważnie tak odpo­wie, wszyscy orzekną : „Wariat, czy co !”...

Irena znowu weszła, obrzuciła wzrokiem niesprzątany po­kój, spojrzała w okno : mgła. I stanęła na chwilkę z opuszczo­nymi rękami pośrodku dywanu. Kot śledził jej rękę uzbrojoną w ściereczkę do kurzu. Gabryś zrobił krok w bok, wyłączył Luxemburg, wrócił do lustra i powiedział co myślał :

— Ja chcę zawrócić.

— Co takiego? Wrócić, dokąd?

— Nie wrócić, tylko : zawrócić.

— Skąd ?

— Z drogi.

Irena spędziła kota z pościeli i zaprzątnięta własnymi myśla­mi, nie starała się nawet dociec sensu słów. Była niedziela. Ok-

ropny dzień w zamglonym mieście. Gotujący się czajnik i ten, w takich chwilach, dodaje więcej pary do beznadziejności, do­słownie szczypiącej w oczy. Zadzwoniono w kościele, do którego od wieków, jeżeli kto idzie to z postanowienia, ale nigdy wsku­tek nawoływania dzwonu.

Taki to był ranek, w którym Gabryś powziął decyzję : za­wrócić. Szedł przez całe życie wprost do grobu. A on nie chce. Jeżeli to jest naprawdę ,,droga życia” jak powiadają, w każdym razie droga, tedy może być i inna, czy nie ? Zawsze przecie bywa kilka dróg. A więc jeżeli nie zawrócić, to chociażby zboczyć ? Wszystko to są myśli w sam raz odpowiednie na czas golenia. Ale późniejsza historia zaczęła się właśnie od tego, że Gabryś utracił wprawdzie tę myśl podczas mycia się zimną wodą, ale podjął ją na nowo przy zawiązywaniu krawatu, a nawet wkła­daniu kurtki. Myślał o tym, żeby „zawrócić”, gdy dwoma pal­cami zdjął z klapy marynarki białą nitkę i opuścił ją na dywan.

— Gdzie jest moja zapalniczka ? — spytał, a myślał : „trze­ba zawrócić”.

— Pewnie tam, gdzieś ją położył.

„Trzeba chociaż spróbować”, powtarzał w duchu.

♦

Kiedyś lat temu czterdzieści, siedział z ośmioletnim Jasiem Kubikiem nad jeziorem. Zupełnie nisko, przy samej wodzie; oczywiście boso, latem, w pełnym słońcu. Na jeziorze była wyspa : kępka olch i dzikich krzewów. Woda z tego kąta patrzenia wy­dawała się granatowa ; niebo granatowe ; trawa naturalnie zie­lona. Raj. Nie było innego gwaru jak tylko cichy, cichy plusk. Ach, żeby nie istniała groźba obiadu, która zawsze przerywa naj­piękniejsze godziny sytego dzieciństwa ! Patrzysz, a tu prze­strzeń jak życie. I oto Kubik objąwszy rękami kolana i wielkim palcem u nogi przewracając muszelkę, powiada :

— Chcesz, nauczę ciebie chodzić po wodzie.

— Ale dziś.

— Nie dziś, ale nauczę.

Gabryś spojrzał na płaszczyznę wodną, aż do odległej wyspy, na którą latały ptaki i zmrużył oczy. Ni to od blasku, ni to od wspaniałości tego postanowienia. Było też w tym spojrzeniu coś drapieżnego. Gdyby nań patrzeć z boku, mógł się wydać podob­ny do żbika, który jak na swoją ofiarę tak czyhał na wyspę. A z tamtej strony jeziora, het, ledwo dostrzegalne nad brzegiem zaczęły śpiewać kobiety przy praniu bielizny.

Całe lato w ten sposób zeszło tylko pod znakiem przygo­towań do nauki chodzenia po wodzie. Ale nim się zaczęła, trzeba już było jechać do wstępnej klasy gimnazjalnej i od tego czasu... Ba, dalej i dalej, poprzez te wszystkie lata... Aż do tego za­mglonego poranka.

Gabryś zatrzasnął drzwi wejściowe i zapiął palto dopiero na chodniku. Rozejrzał się : mgła. Nastawił kołnierz.

Pierwsza próba wypadła fatalnie. Postanowił iść odwrot­nie do przewidzianej drogi życia. Na przykład nie kupić biskwi­tów do herbaty, nie zachodzić po gazetę, o którą prosiła Irena chcąca sprawdzić co grają w kinach. Poszedł właśnie w kie­runku przeciwnym. Ale były to te same ulice, tylko że we mgle. Dwa razy skręcił w niezwykłym kierunku, raz omal nie wpadł- szy pod samochód, a później natknął się na dwuch uczniaków, którzy szeptem wymieniali ze sobą jakieś tajemnice. Poczuł się zmęczony i zrobiło mu się wstyd. Nonsens był zbyt oczywisty. Nie tylko, iż nie potrafił wyzwolić się z wytkniętej drogi, ale wręcz przeciwnie : z trudem musiał ją w końcu odszukiwać, by na nią nawrócić i dotrzeć do domu. Wytarł nos i stwierdził, że na chusteczce zostały ślady sadzy. Między ledwo dostrzegalnym zarysem platanu i rogiem apteki, wyłoniła się twarz i powie­działa doń wargami z mgły : ,,Moźe chcesz popełnić samobój­stwo ? Bardzo proszę”. Gabryś stanął, wsadził obydwie ręce do kieszeni i podniósłszy głowę tak, że załamał kołnierz jesionki, odparł głośno, dobitnie akcentując słowa : ,,Właśnie wręcz prze­ciwnie. Wręcz odwrotnie”. A później poszedł na drugą stronę ulicy oglądając się ostrożnie. Tu natknął się na inną twarz, która go zapytała bardzo grzecznie o kierunek do najbliższej stacji kolejki podziemnej.

— Dokąd się pan śpieszy właściwie ? — mruknął Gabryś. — Do wieczności ? — Po czym sam przyspieszył kroku, żeby zdążyć na obiad.

Rezultatem tej pierwszej próby był zły humor przy stole. Kłótnia czy zapalić światło, czy nie? Zarówno on, jak Irena, nie mieli pod tym względem wyrobionego zdania, a jedynie sta­rali się wypowiedzieć przeciwne sobie.

— Zresztą nie masz się czego irytować, że nie przyniosłem gazety. — dorzucił w końcu Gabryś. — Kto może w taką mgłę chodzić do kina.

— A co może robić ?

— To co wszyscy. Zbliżać się do wieczności. — Wyszedł do drugiego pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

♦

Irena zaniepokoiła się dopiero stanem Gabrysia, gdy już dawno wiał wiatr z południowego-zachodu i z mgły nie pozo­stało nawet strzępu. Chodniki były mokre, świeciło blade słoń­ce, a te rośliny, które nie tracą liści na zimę, robiły wrażenie świeżo malowanych na zielono. Wiatr targał w kuchni źle dopa­sowaną ramą okienną i zwiał kruszyny z zewnętrznego parapetu, wysypane tam dla wróbli. Dziewczyna jadąca na rowerze, lewą ręką mocowała się z kierownicą, a prawą przytrzymywała su­kienkę, którą podmuch zadzierał jej do połowy uda. Irena ode­szła od okna i postanowiła uczynić to co.jej poradzono : za­prosić kilku starych znajomych Gabrysia, aby go ,,rozerwali” i możliwie naprowadzili na bardziej normalne myśli. Życie w wiel­kim mieście doprowadza często do samotności, która przy pew­nym stanie nerwów (a u wszystkich są one nadszarpnięte) staje się złym doradcą. ,,Ściągnąć go trzeba na ziemię z nieba, na ziemię ! — żartował jeden z przyjaciół, który lubił poczęstunki u znajomych. —> Za nogi, za nogi ! Niech chłopak porozmawia z ludźmi. Nie można się smażyć wiecznie we własnych myślach”.

Irenę nieprzyjemnie dotknęło słowo : „wiecznie”, ale poszła za jego radą, żeby uprzedzić gości o psychicznym przygnębieniu, w jakie popadł Gabryś.

On sam był nawet zadowolony z większego audytorium i gdy przyszli goście rozprawiał z dużym ożywieniem. Od razu ktoś z przybyłych spróbował obrócić jego słowa w żart :

— Wiadoma rzecz, że „wszystko jest głupstwem wobec wieczności”... — Inni się roześmieli solidarnym chórem.

— Nie o to chodzi, że „wiadomo” — odparł niezrażony Ga­bryś. — Chodzi nie o wiedzę, a wyobraźnię. Rzecz tkwi w tym, że wszyscy my wiemy dobrze, ale cała trudność polega na tym, że nie możemy sobie wyobrazić. Przecie wszystkie nasze zabiegi, nie w przenośni, a dosłownie nie mają żadnego sensu. Trzeba tylko sobie uprzytomnić, trzeba sobie *wyobrazić* różnicę jaka zachodzi w czasie pomiędzy naszym życiem na ziemi i wieczno­ścią. Powiedzmy każdy z was wyobraża sobie na przykład kło­poty związane z manipulacją kupna domu...

— No, no ? — podniósł głowę otyły blondyn ,który miał aż dwa domy, a w tej chwili siedząc na łóżku, w milczeniu bok­sował poduszkę.

—» Wyobraźmy sobie, na przykład, kogoś kto by chciał ku­pić dom — ciągnął Gabryś — po to jedynie żeby go posiadać tylko jeden dzień ? A przecież jeden dzień w naszym życiu, to jest szalenie długi termin w porównaniu do stosunku jaki zacho­dzi pomiędzy całym naszym życiem, a wiecznością. Nie ma ta­kiej cyfry, za pomocą której...

— Ale ! Co za bzdury gadasz. Kto będzie kupował dom na jeden dzień, — odparł blondyn i boksnął poduszkę.

— Gabryś zrobił się niedowiarkiem — wtrąciła Irena, są­dząc, iż w ten sposób ułatwi naprowadzenie dyskusji na właści­we tory. — „Czego ten brudnymi łapami miętosi świeżą na- wleczkę” — pomyślała pod adresem blondyna i ażeby oderwać go od tej zabawy, spytała : — Panu herbaty czy kawy ?

— To nie ma nic wspólnego z wiarą, czy niewiarą — pod­jął żywo Gabryś. — A raczej wychodzi na jedno. Kto jest prze­konany, że po śmierci będzie nicość trwająca wieczność... wiecz­ność ! No, dajcie spokój panowie, musi zdać sobie chyba spra­wę, że wszystkie jego zabiegi... Ale znowuź wierzący w niebo i piekło, też wieczne... To pozwólcie, w takim razie każda czyn­ność, mogąca chociażby mimowoli potrącać o grzech, nie wy­trzymuje żadnej, ale to absolutnie żadnej najprostszej, najbardziej prymitywnej kalkulacji handlowej. To tak jakby komuś powie­dzieć : „postój tu spokojnie przez ułamek sekundy, a dostaniesz tylko za to, miliardy dolarów”. I ten ktoś nie mógł ustać tegoułamka sekundy, a zrobił tysiące niepotrzebnych ruchów, wie­dząc, że w ten sposób nie tylko utraci miliardy, ale narazi się na grube nieprzyjemności, które go czekają w piekle ! A prze­cież, powtarzam, nasze życie w stosunku do wieczności jest nie­skończenie krótsze, niż ułamek sekundy w stosunku do miliar­dów. Tak, czy nie?!

— Hm — mruknął siedzący obok Ireny, czterdziestoletni młodzian i podniósł jedną brew bardzo wysoko, dając jej do zrozumienia, że z Gabrysiem jest istotnie niezbyt dobrze.

Tylko jeden z liczby sześciu zaproszonych, który żył z zapo­mogi rządowej, zająknął się nieśmiało w obronie tez Gabrysia :

— No cóż... Rzecz pewna, że ostatecznie wieczność... No to istotnie, jakby wychodzi, że tego...

— Ach, pan Oleś był zawsze romantykiem ! — zakrzyczał go inny, chociaż Oleś był zawsze urzędnikiem kolejowym, a obec­nie podawał się za skończonego prawnika.

— Oleś jest typowym ,,poszukiwaczem prawdy”, — do­rzucił drugi.

— Oleś to urodzony mesjanista.

—' Tak, tak. To wszystko wynika z tego naszego wieczne­go... To jest chciałem powiedzieć, przyrodzonego romantyzmu.

— Naturalnie, nasze wieczne... Nasze przelewanie krwi. Zo­baczymy tylko jakąś skałę i zaraz z szablą na Samossierrę !

— Tak jak teraz w kraju, nasi najlepsi cierpią.

— Właśnie. Straszne ! Okropne. Muszą brać pensje, żeby wychwalać Stalina !

— A słyszał pan teraz, ta biedna Maria Dąbrowska ?

— Ach, biedactwo, biedactwo. Jaki jubileusz jej sprawiono. I może jeszcze musiała, biedactwo, przyjąć pieniądze...

— Pomyśleć tylko co za nierówną walkę oni tam toczą, co za walkę !

— Bo to proszę panów — wstał inicjator zebrania, z bisz­koptem w ręku, — musimy raz wreszcie skończyć z tymi szaleń­stwami. Przestać bujać w obłokach heroizmu. Przestać myśleć o różnych takich wiecznościach... — Tu wolną ręką trzepnął jo­wialnie Gabrysia po ramieniu — a patrzeć na rzeczy realnie ! — Wyciągnął obydwie ręce z zaciśniętym w kułaku biszkoptem, wskazując jak tę realność należy ująć palcami. — Ot co, — za­kończył zwracając się znowu do Gabrysia.

— Słusznie, słusznie ! — przytaknęli wszyscy jednogłośnie i nawet Oleś kiwnął głową, a skorzystawszy z zamieszania przy­siadł się prędko na łóżko do blondyna i zapytał, czy ten może mu pożyczyć trochę., tego...

— Fatalnie — blondyn zrobił przeczący ruch głową. — Po­datki. Ani grosza teraz nie mam — i przejechał się palcem wska­zującym po szyi, na znak, że go zarżnięto.

— Gabryś, trzymaj się ! — wołał ktoś w tłumie, bo wszys­cy powstali z miejsc.

— Gabryś !

— Co?

— Nie dawaj się wieczności !

Gdy wyszli, Irena otwarła górną połowę okna dla przewie­trzenia pokoju, a Gabryś zsypywał na talerzyk rozrzucone niedo­pałki i popiół, żeby je wyrzucić do brudnego wiadra w kuchni.

**♦**

„Zawrócić”, ale nie „powrócić”, to była bardzo trudna de­finicja do wytłumaczenia. Żaden z zamieszkujących miasto jo­gów indyjskich, szamanów, cudotwórców, szarlatanów, hypno- tyzerów, myślicieli murzyńskich, muzułmańskich i chrześcijań­skich, do których Gabryś się zwracał o radę, nie bardzo nawet zdawał sobie sprawy o co jemu właściwie chodzi. Każdy myślał, że on jeszcze raz chce powtórzyć od początku młodość, co już miliony ludzi chciało przed nim. Dopiero pewien bardzo stary i bardzo mądry rabbi, rodem z Bobrujska, długo patrząc w prze­ciwległą za oknem ścianę wyklejoną afiszem nowego gatunku pasty do zębów, i długo marszcząc czoło, domyślił się w końcu :

— Ehe, to ja widzę ze wszystkiego, że pan potrzebujesz być po prostu nieśmiertelny ? Tego nie da się zrobić.

— Zostawmy na razie nieśmiertelność na boku. Wszyscy idą od kołyski do grobu. Czy nie ma innej drogi ?

— Tk, tk, tk... Nie widać.

— Objazdki jakiejś ?

Rabbi pokiwał głową z dezaprobatą :

— Pan wie miasteczko Mir ?

— No wiem.

— Tam była bardzo sławna na cały świat szkoła żydowska. To mnie młodego jeszcze wiózł do niej furman ze Słucka. To pod wieczór jakoś było, powiedział : „skręcimy w te objazdkie, lepiej będzie”. To pan powierzy, że wparli się w takie rojsty, że ledwo wilcy nie rozerwali. — Zamilkł j. po chwili orzekł : — Jaka tu może Tyć objazdka.

Gabryś ze spuszczoną głową obserwował kurz w szparach między deskami podłogi. Nagle rabbi mruknął jakby mówił do siebie :

— Chyba jeden, fotograf...

— Kto taki?! — zdumiał się Gabryś, unosząc głowę.

— Nie ważne. Jeden taki... nu. Niech pan zajdzie do mnie jeszcze.

— Kiedy ?

— Bez różnicy. Tylko nie w szabes.

Gabryś wychodząc postanowił wstąpić doń pojutrze. Ale wypadki następnych dni pokrzyżowały ten plan. Przede wszyst­kim zachorował kot i trzeba *go było* odwieźć do kliniki wetery­naryjnej. Następnie Irena wymogła na Gabrysiu, żeby sam się udał do lekarza, do znanego neurologa i psychiatry.

Lekarz kazał mu trzeciego dnia zgłosić się na konsultację do swego szpitala, położonego o trzy godziny jazdy za miastem. Pociąg odchodził rano. Gabryś wrócił do domu późnym wie­czorem, w nastroju raczej ożywionym.

— Coś ty robił tak długo ? Juź się niepokoiłam.

— Wiesz, testy ! To znaczy bardzo ładna... To jest, ow­szem, młoda panienka i ja siedzieliśmy sobie w pokoju i prze­glądali testy.

— Cały czas ?

— No nie cały. No ten czas co byłem w szpitalu. Weź jesz­cze drogę, czekanie.

— Nie rozumiem.

— Nie wiesz co to są ? O takie, o... — Gabryś urwał kawa­łek papieru, nalał nań kilka kropel atramentu, a później złożył i rozpłaszczył papier, okazując fantastyczne kleksy. — I musisz opowiadać co z tych kleksów wyczytasz. No rozumiesz, takie tam różne obłoki, wielbłądy...

— Jakto, wielbłądy... A doktór?!

— A... doktór. Ńie, doktora nie widziałem. Nie przyjął mnie.

— I cała konsultacja, to była ta panienka ?

— Śmieszna jesteś. Widocznie tak trzeba. Ja się na tym nie znam. Zresztą to ty mnie zmusiłaś, żebym się udawał do lekarza.

Irena wzruszyła ostentacyjnie ramionami i więcej do tema­tu ani lekarza, ani metod nowoczesnego leczenia nie wrócili. Raz tylko, podczas kolacji, Gabryś zamyślił się i odezwał się niespo­dziewanie :

— Czy tybyś nie kupiła sobie też takiego szala? ...

— Jakiego znowuż szala ? — spytała lodowato.

Gabryś spojrzał na nią przelotnie i raptownie ogarnęła go nowa fala zniechęcenia do drogi życia, po której kroczył. Chleb wydał mu się wilgotny, herbata źle zaparzona. Za oknem łuna od dalekich neonów świeciła fałszywie i nudnie.

Zaczęła zapadać noc.

Noc jest właściwie terminem w czasie względnym. Od za­chodu do wschodu słońca, oddaje wszystkie godziny przedpół- nocne na rzecz wieczoru, a godziny, w których ludzie wstają do pracy na długo przed świtem, wliczają się już do pojęcia ran­ka. W ten sposób noc bezporna, ograniczona została do jakichś dwustu-trzystu minut zimowych. Samochody jeszcze biegną, ale ich motorowy gwar przechodzi stopniowo w szelest, w cichy szept asfaltu, który nie obchodzi nikogo, chyba tylko centrum miasta. Poza nim śpią mewy i gołębie, śpią ludzie, tylko rzeka płynie. Czasem sowa sfrunie z heretyckiej kirki na bezlistne drzewo i krzyknie jak daleki parowóz, czasem daleki parowóz odezwie się głosem sowy w mroku. I znowu cisza. Samolot przeleci prze­pisowym kursem i znowu cisza. Z bardzo dużej odległości, ale to juź naprawdę z daleka, dojdzie ochrypły ryk syren okręto­wych. Wyglądają na to, jakby na bajecznych wzgórzach Guli­wera ryczały olbrzymie krowy. A ludzie śpią w ciągu tych kilkuset, bezspornych minut. — Bo miasto, w którym mieszkał Gabryś nie posiadało nocnych fantazji. Żyło więc tak, jakby wszystko na świecie, od wieków było zawsze w zupełnym po­rządku i nie powinno się było nigdy zmieniać : od rana do wie­czora, od wieczora do rana, od kolebki do grobu.

Godzina pierwsza, godzina druga... o wpół do trzeciej w no­cy zadzwonił telefon !..,. Trudno było określić kolejność zdarzeń : coś najpierw jakby drgnęło w pokoju i jednocześnie prawie głoś­ny, przeraźliwy w ciszy, dzwonek telefonu przeciął powietrze jak cięcie szabli. Oboje w pierwszej chwili usiedli w pościeli, później wstrzymali dech zanim spojrzeli po sobie. Telefon dzwonił nie tak, jak dzwonią zazwyczaj telefony : bezosobowo i mechanicz­nie. Raczej zdawało się, źe czarna skrzynka ożyła i drga zło­wieszczo. Nie, tak ni stąd ni zowąd nie dzwoni żaden telefon na świecie. Musiało stać się coś chyba niezwykłego.

— ...może być? — wyszeptała drżącymi wargami Irena.

Gabryś wstał, przytrzymując ręką kalesony.

— Nie podchodź !! — krzyknęła.

A przecież nie było żadnego powodu, aby się bać. Zresztą mogła być zwyczajna omyłka. Zdjął słuchawkę. Nie, to nie była omyłka. W słuchawce był czyjś oddech.

— Hallo, — odezwał się zmartwiałym szeptem Gabryś.

— Pan, zdaje mi się, pragnął obejrzeć fotografie ? — Głos nie pochodził z zaświatów, ani z grobu, jak tego dlaczegoś ocze­kiwał w tej chwili Gabryś. Przeciwnie, był nieprzyjemnie bliski, tuż, czuło się nieomal przykry, męski oddech przepojony tyto­niem.

Ani on, ani Irena nie pamiętali później co właściwie odpo­wiedział. Raczej coś pospolitego. Wtedy głos tuż, powiedział w słuchawce :

— Bardzo proszę. Będę czekał. — „Klik”, szczęknęło w apa­racie. Gabryś odwrócił się, ściskając w ręku słuchawkę. Irena siedziała w łóżku, w nocnej koszuli, z rozszerzonymi oczami, na­gle przeniesiona do wieku pensjonarki, z opadającym warko­czem, zwyczajna, przerażona nocną zmorą dziewczynka.

— To fotograf — Gabryś szczęknął zębami z zimna i oparł wreszcie słuchawkę na widełkach.

♦

Tegoż ranka,po fatalnie przespanej nocy, o godzinie 8-ej zadzwonił znowu telefon. Tym razem była to asystentka neuro­loga, która przeprosiwszy za wczesną porę, zawiadamiała o wy­znaczeniu nowej konsultacji Gabrysia u lekarza. Słuchawkę pod­niosła Irena, położyła ją ze słowem : ,,dziękuję”, i — nagle wy- buchnęła ! — Źe ma tego wszystkiego dość ! Ze życie jej zostało złamane, że jest zmęczona, źe nigdy nie zaznała prawdziwej radości, że nie chce już słyszeć więcej o żadnych grobach, żad­nych wiecznościach, żadnym nic ! Poza tym jeszcze wiele rzeczy, które kobiety zwykły mówić w stanie dużego zdenerwowania.

Te dwa incydenty wstrząsnęły Gabrysiem głęboko i podzia­łały nań dziwnie otrzeźwiająco. Zdało mu się, że osobiście rów­nież ma już wszystkiego „dość” i zdecydował wycofać się zesprawy jaką był podjął. Do- starego człowieka z Bobrujska za­szedł w porze obiadowej. Za drzwiami kuchni smażyła się ryba i dochodził przykry swąd tłuszczu. Gabryś miał twarzą zmiętą po nieprzespanej nocy i na wstępie już poskarżył się na foto­grafa, że dzwonił w środku głuchej nocy :

— Ja w7cale o to nie prosiłem. I zresztą co to za zwy­czaj taki ? — mruknął z irytacją.

— Pan wie, jest tyle ludzi na świecie. A po co oni źyją ? Po to, żeby innym pokazać swoje zwyczaje. O co idzie kłótnia, a nawet wojna ? O to samo.O zwyczaje. Jeden drugiemu chce narzucić swoje. Oto i cała polityka.

— Ale w nocy śpią wszyscy.

—• Rozumiem. Zwyczajni ludzie. Ale ten fotograf to nie jest człowiek zwykły. Zresztą pan chciał być też niezwykły. To powinien jego rozumieć.

Swąd smażonej ryby ogarniał już cały pokój. Gabryś spoj­rzał w okno zastanawiając się, czyby nie dało się go trochę uchylić.

— Postanowiłem swój zamiar porzucić. Nie będę już szu­kał innej drogi.

Starzec bardzo go za tę decyzję pochwalił i wyłożył na czym polegał jego błąd : wtedy, gdy był mały, jak to opowiadał, i postanowił chodzić po wodzie, nie zrobił błędu. Bo człowiek postanawia często rzeczy niewykonalne i jest jemu z tym bar­dzo dobrze. Powiedzmy ,postanawia brać przykład z Pana Bo­ga i czemu nie. Z takim postanowieniem żyje miliony ludzi. A niektórzy dobrze żyją. Tk, tk, i jeszcze jak żyją ! Kłopoty za­czynają się dopiero wtedy, gdy człowiek chce swoje niewykonal­ne postanowienie — wykonać. To jak dziś z komunizmem, pan wie ? — Właśnie podobny błąd uczynił teraz Gabryś. Po co to jemu ? Same z tego nieprzyjemności.

Gabryś nic nie odpowiedział, tylko przytaknął w milczeniu głową. Wtedy rabin westchnął : — Nu, ja muszę iść jeść obiad. A tu miałem dla pana adres tego fotografa. No, ale już on teraz niepotrzebny. — Na stole leżał kawałek papieru, oddarty z mar­ginesu rannej gazety, na którym nagryzmolone było kilka słów. Gabryś sięgnął zamierzając go podrzeć, ale w tej chwili rabin wyciągnął rękę na pożegnanie. Gabryś wyciągnął swoją, miał w niej papierek z adresem i odruchowo wsadził go do kieszeni jesionki, ażeby uścisnąć podaną dłoń.

Wyszedł. Na ulicy kupił gorących kasztanów, ale przypom­niał sobie smażoną rybę i nie mógł jeść. Wsiadł do autobusu, żeby wracać do domu ; w drodze kontroler sprawdzał bilety. Ga­bryś wyjął z kieszeni bilet razem z kartką, na której był adres... Przez jakiś czas obracał kartkę w palcach, pochłonięty innymi myślami, a później od niechcenia przeczytał ją. Przeczytał po raz drugi, trzeci... nie mogąc ochłonąć ze zdumienia : Adres wskazywał jego własną ulicę i numer domu ten sam, jedynie zaopatrzony literą ,,A”. Nie przypomniał sobie, by taki kiedy­kolwiek istniał w sąsiedztwie. Przetarł oczy : nie było wątpliwo­ści. Nie mógł to być też żaden żart, bo swego adresu przecie nie podawał... Ale w tej chwili przypomniał sobie, że przecie nu­meru telefonu też nigdy nie podawał. Co to wszystko ma zna­czyć?! — Gdy wysiadł z autobusu, śpiesznie poszedł sprawdzić.

Dom był. Dom taki jaki widuje się we śnie, gdy po prze­budzeniu nie podobna opisać jego architektury. Może dlatego nigdy go nie zauważył na jawie ? Sąsiedni dom, tuż przylega­jący ścianą do tego, w którym sam mieszkał. Teraz zrozumiał dlaczego głos w słuchawce telefonicznej wydał mu się słyszany z tak bliska ! Gdy nacisnął dzwonek przy drzwiach frontowych, otworzył mu pan w jego wieku z uprzejmym uśmiechem na us­tach. Gabryś w zakłopotaniu potarł ręce i też uśmiechnął się bez­wiednie. Fotograf skinął głową, na znak, że rozumie, o co cho­dzi i prosił do środka. Gabryś usiadł w staroświeckim fotelu, obitym zielonym pluszem, jakie widywało się zazwyczaj w gabi­netach fotograficznych przed pierwszą wojną światową. Pach­niało nieprzytulnym zimnem lokalu, w którym się nie mieszka, a tylko używa za warsztat pracy. Fotograf zaproponował pa­pierosa.

— Dlaczego właściwie... — zaczął nieśmiało Gabryś — za­dzwonił pan do mnie w środku nocy ?

— O, gdyby pan wiedział jak małe to posiada znaczenie wo­bec... — i urwał, zrobiwszy nieokreślony ruch ręką w powie­trzu, wciąż z tym samym przyjaznym uśmiechem na ustach.

Gabryś wypuścił dym sobie pod nogi i pomyślał : „Wiem, wobec wieczności”. A głośno : — Być może. — Odchrząknął. Domyślałem się tego.

— To już bardzo dużo. To jest właściwie wszystko, na co umysł ludzki w jego obecnym rozwoju organicznym zdobyć się może : Domyślać się. Mówił mi mój przyjaciel właśnie, że się pan czegoś domyśla. To stary człowiek. Zaprzyjaźniłem się z nim w Bobrujsku, gdy otwarłem tam pierwszy zakład fotogra­ficzny. Robiło się jeszcze na takich grubych kartonach foto­grafie przeznaczone do albumów rodzinnych, albo tzw. „gabi­netowe”. Pan już nie pamięta?

— Ale pan chyba nie jest w tym wieku ?

— Zmieniam go. Bywam w różnym. W naszym zawodzie nie odgrywa to większej roli. Czy nie zdarzyło się panu widzieć na fotografii młodej, tryskającej życiem osoby, której ciało zgni­ło na przykład już przed laty pięćdziesięciu?... No, mniejsza. Pan, zdaje się, szuka drogi ? Tak ?

Gabryś chciał odpowiedzieć, że właściwie już teraz zanie­chał, ale kiwnął tylko głową w milczeniu.

— Chodźmy — fotograf wstał i otworzył drzwi do ciem­nego korytarza. — Tu są fotografie drogi dotychczas przez pa­na przebytej. Możemy iść i oglądać je wszystkie. Iść wstecz. Uprzedzam, że ja jestem przyzwyczajony. Pan może będzie się wstydził, ale to robi każdy człowiek.

Weszli w ciemny korytarz, na ścianach którego jarzyły się przeraźliwie jaskrawe sceny z ubiegłego życia Gabrysia. Widocz­nie fotograf nie uznawał sztuki retuszu.

— Proszę, to są gesty, sytuacje, wyrazy... Ciemno panu? Nie ? Dobrze. Dalej. Naturalnie, że ta scena nie jest mądra. Trzeba było... Ale to nie ważne, niech mi pan wierzy... Co? Nie warto, niech pan nie przystaje, ona przecież umarła siedemna­ście lat temu... No tak, ta tu sytuacja świadczy o pewnej naiw­ności... — Szli krok za krokiem, ale kroków ich słychać nie by­ło. — Ach, niech się pan nie przejmuje, nie było znowuż tak źle, mogło być gorzej. U innych, żeby pan wiedział... A to, śmiesz­ne, prawda ?

— Co za bzzzdura — syknął przez zęby Gabryś przed jed­ną z fotografii.

— Trochę błędnie. Przyznaję. Nie dało się naprawić. Tędy, tędy. Tak zazwyczaj bywa... No, nie zatrzymujmy się... Tu łzy et caetera... Tu drobiazgi... To, jak pan zapewne spostrzega, trochę nawet głupio. Niestety, muszę uprzedzić, że czym da­lej wstecz, czym bliżej młodości, to już nie da się uniknąć... Ta tu, trochę jak z pornograficznej pocztówki... A tu...

— Jakto?! Więc to nie było, wtedy, oszukaństwem ?!

— Pan jeszcze pamięta ? Taki drobiazg. Nie, nie było. Pro­szę tędy. Ludzie zawsze przywiązują wagę do drobiazgów... Taaak, tak. Ta okoliczność trochę nieprzyjemna.. Głupstwo, za­pewniam pana... Dalej, dalej. Co pan tam znowuż zobaczył? Aaa, to... No cóż... Szkoda słów.

Gabryś szedł chwiejnym krokiem, to zatrzymując się przed jakąś fotografią jak wryty, to znów odwracając twarz by innej nie oglądać. Z ust jego wyrywały się słowa bez związku, lub pojedyncze, nieartykułowane dźwięki, w rodzaju : ,,Boźe, Bo­że...”, albo : ,,Okropne. Potworna głupota”...

— Upokorzenia, hm, kto ich nie zaznał... Nie dobrze pa­nu ? Dobrze ? To świetnie, idziemy. Niestety młode lata coraz bliżej. Będzie coraz... nie chcę ukrywać, zresztą pan sam widzi.

— A gdzież są te rzeczy, o których się mówi potocznie, że można spojrzeć na nie wstecz z radością czy dumą ?

— Proszę : tu pan na przykład idzie chodnikiem, śpieszy się w ważnej sprawie, a jednak poświęca swój drogi czas by os­trożnie wyminąć bawiące się na chodniku dziecko... Pan widzi jak pan delikatnie bierze je za ramiona... A tu pan karmi zmarz­nięte ptaszki za oknem...

— Ja i teraz to czynię ! — zawołał gorąco Gabryś.

— A tu, jak widzimy, ustępuje pan miejsca kobiecie w tram­waju...

— Ach, ale ona była ładna... — westchnął Gabryś z nutą rozczarowania w głosie.

— Cóż robić. Trudno, żeby wszystkie kobiety były brzyd­kie.

— Pan mnie pociesza, ale dlaczego tak fatalnie wypadają te fotografie, nawet tam gdzie ja... — zająkał się.

— Niech pan pyta, proszę.

— To znaczy chciałem spytać, dlaczego tak beznadziejnie wypadają akty, nazwijmy je wzniosłe ? Na przykład patriotyz­mu, bohaterstwa nawet ?

— Widzę, że pan się nie zna na fotografii. To jest tylko sprawa retuszu... A bez retuszu one się anulują wzajemnie. Bo co dla jednego jest bohaterstwem, dla drugiego często zbrod­nią. Dla jednego to samo jest patriotyzmem, co dla innego gra­bieżą, albo coś w tym rodzaju. Można zaretuszować w jedną, albo drugą stronę. Ale tu pan widzi tylko obiektywne akty.

— I u innych tak samo.

— U innych tak samo.

— To straszne...

— No, nie przesadzajmy. Dlaczego. Są przecie lasy... O, zachody słońca. Rzeka płynie. — Przechylił głowę na bok i przy­glądał się chwilkę. — Nawet mi nie źle ta fotografia wypadła... Zresztą to już zaraz się kończy.

— To krótkie, — szepnął Gabryś do siebie, ale fotograf dosłyszał.

— Króciuteńkie. Dzieciństwo i, jak to mówią : „już po krzyku”... He, he, he ! ...Cóż tam znowu przykuło pana uwagę? A, miłe jeziorko. To sarno, przy którym pan postanowił... cho­dzić po wodzie, he, he, he.

— Przecież to maleństwo ! A mnie się wydawało wówczas...

— No, nie znowu takie małe. Piętnaście dziesięcin starej miary. Chodźmy... A tu balonik dziecinny, wypełniony wodorem. Urwał się i poleciał. A pan płacze. — Fotograf westchnął. — Same zmartwienia.

— Nie chcę dalej ! — krzyknął raptownie Gabryś i tupnął nogą.

— A byli co szli. — Odparł niezmącony tym wyskokiem fotograf. — Szli do końca. Zdarzył się nawet jeden, który teraz zakochał się we własnej mamce. Miałaby obecnie, zaraz... Tak, osiemdziesiąt trzy lata. Ale to nie ważne. No więc widzi pan.

— Ależ ja wiecznie powtarzam...

— Pst, tylko nie „wiecznie”, tylko nie „wiecznie”.

— ...więc : ciągle powtarzam, że wcale nie chciałem po­wracać wstecz, do młodości,do dzieciństwa, a szukałem innej drogi, w ogóle...

— Pan dużo chce. Ja to rozumiem, ale obawiam się, że natrafimy na wiele trudności.

— A kim pan jest właściwie ?

— Wracajmy, dobrze ? Kim jestem ? Fotografem.

— To wiem. Ale...

— To znaczy, moim szefem iest Los. Los ludzkich istnień. To brzmi banalnie, przyznaję, ale to doprawdy nie ma znacze­nia. Robimy takie małe archiwum. Ja jestem tylko drobnym urzędnikiem.

Gabryś starał się nie patrzeć na mijane z powrotem foto­grafie. Szli teraz bardzo krótko, tak krótko, że trudno było

uwierzyć, żeby w ten sposób można było przebyć ludzkie życie. Gdy wrócili do gabinetu zapytał :

— A ja bym z samym Losem nie mógł porozmawiać ?

Fotograf uśmiechnął się pobłażliwie : — Niestety, jest on bardzo zajęty. Proszę, niech pan siada. Poza tym charakteryzu­je go pewna cecha, która w języku ludzkim nosi nazwę : ...nie, nie... Zaraz, jakże to : ...nie ...nieubłagany ! O ! Wypadło mi to słówko z pamięci. Otóż wątpię, aby zechciał coś pomóc pa­nu w jego kłopotach. Zresztą szczerze przyznam, iż nie widział­bym powodów, dla jakich miałby cokolwiek robić dla ludzi. Nie jest przecie tajemnicą, że jest przez nich znienawidzony i wy­myślany nieraz od ostatnich słów. A to : „zły los”, a to : ,,fa­talny los”...

— „Parszywy los”, — podpowiedział Gabryś.

— No sam pan słyszał. Proszę poza tym zrozumieć jego sytuację. Przecież pod kątem, powiedzmy, miliarda miliardów lat, komar, który ugryzł krowę w roku 1769 i został zabity ude­rzeniem jej ogona, nie znaczy wiele mniej od Napoleona Bona­parte, który urodził się w tym samym roku. To znaczy żeby dojść różnicy pomiędzy komarem i Bonaparte, trzeba by użyć mikroskopu na miarę dla pana w ogóle niewyobrażalną... Proszę mi zatem nie brać za złe, ale jak pana prywatna zachcianka w tych, nazwijmy to, warunkach... mogłaby mieć jakiekolwiek znaczenie r

— Psia krew — mruknął Gabryś i zdusił niedopałek papie­rosa w popielniczce. — Więc nie ma innej drogi jak tylko do grobu ?

— Az jakiego miejsca swojej własnej drogi, którą panu pokazałem, chciałby pan zawrócić ?

— To bez różnicy. Powiedzmy z tego fotelu, na którym siedzę — trzepnął ręką po pluszowej poręczy.

— Hm... Z tego fotelu....— powtórzył jak echo fotograf. — To znaczy... — podjął ociągając się — taka droga może by nawet była, ale trochę inna niż pan sobie wyobraża... Jak pan bardzo chce, mógłbym pana sfotografować na wieczność.

— Co pan przez to rozumie ? Przecież pan i tak fotogra­fuje każdy gest.

— Ach, to nie to' samo. Tamto jest archiwum urzędowe. Pan wie-co to jest wieczność?

— A pan ?

— Ja panu coś powiem. Poza nieskończonym czasem, jest jeszcze jedna rzecz. Jest nieskończona przestrzeń. Pan sobie jej nie wyobraża? Nie dziwię się. Otóż... to, co ja mogę zrobić — zniżył głos do szeptu i przechylił się naprzód — to zabrać pana całego, jak pan teraz jest... Niech pan uważa : Pan wejdzie w fotografię. Przestanie istnieć na ziemi. Ale za to ja tę pana fotografię przekażę ,nadam w nieskończoność... Czy pan mnie rozumie ?

Gabryś słuchał w napięciu, a popiół z papierosa, którego1 zapalił, opadał mu na spodnie.

* 1 pan pójdzie, pójdzie i pójdzie — ciągnął fotograf, czy­niąc zachęcający ruch w kierunku sufitu — w nieskończoność przestworzy i czasu. I wieczność będzie trwała, a pan ciągle będzie płynął dalej i dalej, w zaświaty i nigdy pan nie będzie w grobie, bo cały w tej fotografii, wiecznie.

— No dobrze, ale co mi z tego przyjdzie, że będę leciał diabli wiedzą gdzie, między gwiazdami, czy ja wiem ?

— Przepraszam pana. A dużo panu z tego przyszło, że stał pan nad urwanym sznurkiem od dziecinnego baloniku i płakał ?

— Nic.

— To samo ja właśnie mówię do moich klientów : nic. Pan sobie obsypał spodnie popiołem.

Gabryś strząsnął spodnie i zamyślił się.

— Tylko — zaczął po chwili fotograf znowu szeptem i mi- mowoli obejrzał się nawet na boki — widzi pan to jest niezupeł­nie legalna sprawa... Ja tego nie mam prawa robić oficjalnie. Troszeczkę mybyśmy tu obeszli właściwy pana los...

' — To dlaczego w takim razie, chce się pan dla mnie na­rażać ?

— Pan — fotograf spuścił oczy i zaczął wygładzać frendzle przy fotelu — wystawi mi czek na...

Gabryś skamieniał. W zdumieniu rozchylił nawet wargi trwał milcząc.

* ...czek na okaziciela — dopowiedział fotograf szeptem.

— Czek?!! — zdołał wreszcie wykrztusić Gabryś. — Czek?! Przecież pan sam tłumaczył mi przez cały czas, że wszystko, wszystko jest nieważne... wobec wieczności !

— Po pierwsze ja nie mówiłem, że ,,wszystko”, tylko, że bardzo wiele rzeczy. Ale nawet jeżeli się zgodzę, że wszystko, to pan też musi się zgodzić, że na razie jeszcze jesteśmy tu, na ziemi. A tu panuje takie prawo, że każdą rzecz trzeba kupić. Bułkę, spodnie, śledzia, wieczność; właśnie : wszystko... A pan myśli, że mój szef, którego tak brzydko przezywają, chce mnie dać podwyżkę ?

Nastała cisza. Na kominku cykał zegarek, zapewne nakrę­cany raz na wieczność.

— Hm... A z retuszem, czy bez? — spytał niespodziewa­nie Gabryś.

— Jak na prywatne zamówienie, mogę trochę podretuszo­wać.

Gabryś potarł ręką czoło, a później opuścił ją i bezwiednie pomacał to miejsce marynarki, pod którą wyczuwał portfel. Póź­niej przyszło mu na myśl, co by Irena powiedziała, gdyby ostat­nie oszczędności użył na taką rzecz i aż się wzdrygnął. — Ale ja, ja nie mam pieniędzy... -— powiedział głośno.

— O, przykro.

Nastało znów milczenie. A potem zaszło coś takiego, co by się nie dało określić inaczej, jak nieuchwytne wrażenie, że wszystko : fotel, fotograf, zegarek na kominku, cały dom pod literą ,,A”, poczęło się zwolna gdzieś oddalać. Gabryś całym

**7**wysiłkiem woli zmusił się do powstania, gdyż poczuł zawrót w głowie i zapytał :

— Czy pański zakład istotnie mieści się tuż koło mego domu ?

Fotograf zrobił przeczący ruch głową i uśmiechnął się dys­kretnie : — On był, był tylko przy pana... losie.

Gabryś zrobił kilka chwiejnych kroków w kierunku drzwi. — To w takim razie, jak mam teraz wrócić... wrócić do siebie?

— Pan weźmie trolleybus. — Fotograf uprzejmie otworzył drzwi. Było tak ciemno, że Gabryś, schodząc po schodach z tru­dem jedynie namacywał stopnie.

— Niech pan uważa ! — zawołał od progu fotograf. — Przedostatni jest uszkodzony. Ukłony dla pani.

—: Dziękuję — odparł z dołu Gabryś.

Od pierwszego rogu, przy którym paliła się latarnia, skrę­cił w prawo, gdzie dojrzał reflektory aut. Siadł do trolleybusu i pojechał w kierunku centrum. Była to długa i uciążliwa ta dro­ga powrotna. Trzeba się było wiele razy przesiadać, stać w ogon­ku do kas, biec z innymi, przepychać się łokciami w tłumie. W ścisku, jaki panował o tej porze, oderwano mu guzik od palta.

♦

Gdy się obudził nazajutrz, było już jasno w pokoju. Z uli­cy dochodził głos handlarza skupującego stare gazety. Po nie­bie sunęły szybkie obłoki koloru dymu, to zasłaniając, to odsła­niając słońce, a wtedy odblask jego w lustrze, padał rykoszetem na sufit. Trzeba było wstawać do pracy. Ale Gabryś jeszcze na chwilę obrócił się na wznak i podłożywszy ręce pod głowę, ob­serwował grę słońca na suficie. Irena siedziała w szlafroku na krześle, z jego jesionką na kolanach i szyła.

— Gdzieś poobrywał guziki wczoraj ? — zapytała poprzez nitkę trzymaną w zębach. Na stoliku, wyjęta z kieszeni, leża­ła zmięta torebka z kasztanami, które kupił wychodząc od ra­bina.

— Ach, gdzieś, w tłumie.

*Józef MACKIEWICZ*

KONTAKTE

**MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH**Bezpłatna wysyłka
**Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4**

***Straty Kultury Polskiej***

Bluzka z błękitnych pereł

*Upiorny nonsens polskich dni Kończy się nam o zmroku...*

*K. I. GAŁCZYŃSKI.*

Są ludzie o tak silnym magnetyzmie osobistym, o tak boga­tej żywotności, że postać którą stworzyli — we własnym zwier­ciadle i w zwierciadle innych ludzi — przytłacza w popularnym micie ich głębokową osobowość, przytłacza nawet ich dzieło. Do tych ludzi należał Gałczyński. Zbyt duża głowa, osadzona na krępym tułowiu, smagła, cygańska twarz, palące oczy — jakże wymowny sam fizyczny kształt, jakże dopasowany do Sylena, satyra, błazna na Escorialu, włóczęgi śpiącego pod mostem. Mu- siała rosnąć wokół niego legenda, w którą sam się dał łowić jak w sieć. Jak rozplątać legendę i prawdę ? I czy jest inna praw­da, czy może przeżyć tak silną legendę, którą się przecież two­rzyło własnym życiem ? Wizerunek Gałczyńskiego — trubadura jaki daje Miłosz w ,,Zniewolonym Umyśle” jest wiernym wize­runkiem legendarnej postaci. I ja też, wspominając Gałczyńskie­go w recenzji ze ,,Światła Dziennego” wpadłem w tryby legen­dy, tyle że jestem może życzliwszym jej wyznawcą niż Miłosz : mówiłem o potomku Villona, o Marchołcie, o leśnym echu i błęd­nym ogniku.

Śmierć zazwyczaj utrwala ostatecznie mit, uświęca go, bal­samuje. Ale śmierć jest przecież także kresem tego ciągłego ,,tworzenia się” człowieka, który jak Katoblepas zjada samego siebie żeby budować swą postać. Życie łudziło nas ruchem, jak na wyświetlanym filmie dawaliśmy się unieść złudnej konstruk­cji. Kończy się film i możemy wyjąć taśmę życia, na zawsze już nieruchomą.

Kocham poezję Gałczyńskiego i w ciągu naszej krótkotrwałej przyjaźni byłem pod jego osobistym urokiem. Chcę dziś pisać tylko o poecie, ale właśnie w tym wypadku poeta i człowiek są ze sobą nierozłącznie związani. Rzadkie to w poezji polskiej zjawisko. Poeta polski zwykł swe wiersze traktować jako dzie-

dzinę odświętną, niemal publiczną. Na próżno chcielibyśmy się dopatrzeć w ogromnej większości polskiej poezji jakiegokolwiek klucza do wewnętrznego życia jej twórców. Nie wiemy jakie są ich rozpacze, zwątpienia, jakie miłości i żądze, nie wiemy czy są biedni czy bogaci, a już o myśl nieszlachetną nie sposób ich posądzić : w tych wierszach zwykle jest górno i chmurno, dumnie, burzliwie — co najwyżej tęskno. Poeta jest najczęściej bardem, hodowcą piękna i chętnie gaworzy z Pallas Atene.

Gałczyński jest nie polskim zjawiskiem jako poeta, ale naj­bardziej polskim poetą. Nikt tak nie uchwycił nurtu polskiej rze­czywistości, nikt nie potrafił tak przemienić w gorzką i miłosną poezję szarej inteligenckiej rzeczywistości Skumbrii w Tomacie, Skumbrii w Tomacie. Dziwne to życie, „w oberży dla bezrobot­nej inteligencji, pod afiszem Ligi Morskiej i Rzecznej”. W do­mu — „rozejrz się dokładnie po wszystkim : to jest czajnik, prawda jaki śmieszny? Z gwizdkiem”. A na kolację — „dzba­nuszek z konwalią. Wokół dzbanuszka skrzacik chodzi z hala­bardą. Broda siwa, lecz dobrze splamiona musztardą”.

Jest w tym niepokój, poczucie beznadziejności : „nuda, bie­da, myszy, deszcz i Polska”. Jest wizja głębokiego społeczne­go schorzenia środkowo-europejskiej inteligencji, jak właśnie w wierszu „Inteligenci”, który warto zacytować w całości.

*„Wciąż uciekamy. Z miasta do miasta. Inteligenci.*

*Tęskniąca nacja. Ginąca klasa.*

*Zmarznięci. Szarzy.*

*Z milionem rodzin. Z gramofonami.*

*Z kraju do kraju.*

*— Powiedzcie gdzie jest wasza ojczyzna ? Wciąż nas pytają.*

*A my nie wiemy. A my plączemy*

*jak woda morska.*

*Pod sztuczną, palmą listy piszemy na brudnych dworcach.*

Niepokój i poczucie beznadziejności. Ale nigdy bunt, nigdy protest. Na to był Gałczyński za słaby i za sentymentalny. Tyle rzeczy go pocieszało. Chociażby :

*„Moja mała bardzo lubi rosół, Moja smagła, moja smukła.*

*Gdy je rosół to ja jestem wesół,*

*Bo to szczęście że jest rosół i bulka”.*

Toż to przecież — jednak w skali poezji — niemal „Dni Powszednie Państwa Kowalskich”. Zadowolenie z losu mało- mieszczańskich wróbelków. I właściwie głębokie przywiązanie do tej ceraty, do inteligenckiej nędzy — do tej Polski.

Jest w poezji Gałczyńskiego nuta taniego sentymentalizmu, która zabiłaby mniejszego poetę. Jest zadatek na polski „pre- vertyzm”. Gałczyńskiemu groził los tej nocy czerwcowej z jego pieśni, której :

*,,Diabeł dużo da je w podarku*

*Gwiazd fałszywych i gwiezdnego jarmarku".*

Przedwojenna poezja Gałczyńskiego zawarta jest właściwie pomiędzy dwoma biegunami. Z jednej strony ten sentymenta­lizm i gorycz na przemian w stosunku do polskiego dnia codzien­nego, z drugiej — ucieczka w kraj wewnętrznego mitu. Chociaż — czyż ten mit nie jest też materią dnia codziennego ? Strącony w głąb podświadomości świat architypów żyje w każdym z nas. Mit utraconego raju, mit wyspy szczęśliwej, mit idealnej miło­ści — w przerwach pomiędzy wewnętrznym monologiem na­szej świadomości, w tych „próżnych chwilach” w poczekalni dentysty, w tramwaju wypływa na powierzchnię barwny nurt ,,day-dreamu”. Dorosły, wyjałowiony i uspołeczniony człowiek żywi ten mit kinem i chowa go wstydliwie. Inaczej dziecko. Ina­czej poeta. U Gałczyńskiego mit ucieczki ze społecznego życia zakwita jedynym w poezji polskiej blaskiem i bogactwem :

*,, Wszędzie duszno i ciasno, lecz znam ja pewien kraj pod nazwą Farlandia, tam jest niebo śpiewające i palmy".*

Poeta łatwo przenosi się nad Limpopo rzekę :

*,,Która płynie przez kraj daleki.*

*Przed moimi oczyma przechodzą stada słoni I ludzie szmaragdowi i czerwoni".*

Czar działa najmocniej może w tych wierszach które łączą w sobie polską powszedniość i egzotyczne marzenie, w których alchemia słowa oddaje alchemię życia. Jak w „Nocach Aniń- skich” :

*,,Upiorny nonsens polskich dni kończy się nam o zmroku, teraz jak wielki saksofon brzmi noc taka wielka naokół.*

*I srebrnym, bezkresnym wachlarzem wachluje nas chłopiec nieduży, szmaragdy w uszach ma, on jest murzyn, a my nazywamy go Nocą”.*

Przedwojenne wiersze Gałczyńskiego są poetycką konden­sacją szarej rzeczywistości i marzenia. Są szlagierami przemie­nionymi w arcydzieła. Czy dlatego poezja Gałczyńskiego była tak ogromnie popularna w Polsce że każdy mógł włączyć w nią prąd własnego życia i własnych marzeń ? Tutaj też leżała możegranica jego przedwojennej twórczości — w biernym stosunku do własnego istnienia, w unikaniu odpowiedzi na zasadnicze pytania.

Wydaje mi się pewne, że Gałczyński widział tę granicę. Nie mógł jednak nigdy (jak tylu innych) ,,udawać” że ją prze­skoczył. Był na to za autentyczny jako człowiek i jako poeta. On, który bawił się wszystkim, nie mógł bawić się „problema­mi”. Był z jednej bryły, bezkształtnej może, ale w której nie było miejsca na przegródki i na „poziomy”. Jest jakiś dziwny paradoks w tym, że twórczość Gałczyńskiego pogłębiła się (a ra­czej że Gałczyński użył swej poezji do zgłębiania swego stosun­ku do życia) właśnie w okresie powojennym, i pod reżimem, który za cel sobie postawił zniszczenie samej poezji. Że doszedł do tego pisząc jednocześnie peany ku czci Stalina i Moskwy (choć to porównanie stolicy Sowietów do Taorminy w której nie bra­kuje nawet mandarynek jest arcydziełem ironii). A jednak właś­nie tak się stało. Może zagrały tu przeżycia osobiste i rozbicie życia przez wojnę? Tak by się zdawało, sądząc po jednym z naj­piękniejszych „emigracyjnych” wierszy — „Le Sappey”:

*,,... a ostatnie godziny są jak most nad przepaścią, a tyle zerwanych przęseł,*

*a miłość jest na moście, a przepaść pod miłością,*

*a księżyc jak lustro wklęskłe...*

*...Ale niech tam ! Przez chwilę niech będzie wino grad i ten most, bo muzyczny i ta noc bo tak modra jak bluzka z błękitnych pereł.*

*W Sykstynie Michał Anioł rzucił się nad otchłanią, bluzkę rozdarł. I ujrzał śmierć !”.*

Powojenna twórczość Gałczyńskiego to nadal łowy na pol­skiego Snarka, nadal noc czerwcowa, Królowa Jaśminowa, na­dal przemienianie dorożek, nadal melodia akordeonu. Ale rów­nież powolne, stopniowe „rozdarcie bluzki z błękitnych pereł”.

„Niobe” Gałczyńskiego', napisana w r. 1951 jest może naj­piękniejszym, a na pewno jednym z najgłębszych poematów w ję­zyku polskim. Za życia poety trudno było dać na emigracji, nie szkodząc mu w kraju, analizę tego poematu, który mimo „ket- manowego” elementu słownej ofiary reżimowi w kilku zaledwie liniach, zawiera rozdzierający krzyk przeciw kastracji życia, prze­ciw wygnaniu sztuki. Wydaje mi się, że „Niobe” jest w na­szym pokoleniu, odpowiednikiem norwidowego „Fortepianu Szo­pena”.

Zanim ukaże się pełna analiza tego poematu, w którym nieborowska głowa Niobe urasta do symbolu sztuki, chcę zacy­tować tu ustęp, brzmiący rozdarciem poety (głowa Niobe została odnaleziona w XVIII wieku nad brzegami Morza Azowskiego):

*,,Piszczy w sitowiu wiatr.*

*Marzną ręce*

*Czy to ta, czy to ta twoja twarz?*

*Powiedz prędzej !*

*Niobe !*

*Czy ty masz może tyle sióstr, a każda ma twoją głowę ? Oj, jaki wiatr, oj, jaki mróz Niobe !*

*Niobe !*

*Przez piach, przez mech, przez mrok, przez torf pod niebem wykrzywionym jak dziwoląg — i znów przez noc, przez krakanie wron, Niobe...*

Konstanty Ildefons Gałczyński zmarł u zenitu swej twórczo­ści i w chwili kiedy poezja jego była w Polsce jednym z rzad­kich elementów odżywczych i oddychalnych. ,

*K. A. JELEŃSKI*

Do mowy polskiej

*Z akcentem na przedostatniej sylabie, co mnie zupełnie nie zachwyca — i znowu ,,drz" i ,,grz”, i ,,chrz", i znowu ,.pszczoła" i ,,pszenica",*

*i znowu drogi mgłą owiane,*

*(po których chodzi pani z panem, pan, proszę pani, wyszedł z betów) —*

*o, mowo polska, zakręt weź, pianinkiem jesteś, nie organem, klajstrem, a nie pasją politycznego pamfletu*

*z tym swym akcentem z brzydkich brzydszym, jak rzecz wiecznie niedokończona, ty zamiast działać, ty się mizdrzysz, zatruta składnią Cycerona;*

*skrzypeczko śliczna, dudko dudków, dziecinko, się skarżąca marnie, nieutulonych wdowo smutków, ty muskasz rzeczy, a nie łamiesz;ty lubisz łasić się, przymilać, kostium przymierzać osiem razy.*

*A nam potrzeba monosylab krótkich i jasnych jak rozkazy.*

*Nam trzeba 'więcej rymów męskich, którymi będziem ćwiczyć Muzę, nam trzeba w sedno, a nie w księżyc, żelazem, a nie z ciepłych klusek.*

*Z akcentem na przedostatniej sylabie, jak biegacz, co mu pękły ścięgna, jak naród, co w pół drogi stanie, taką ty jesteś, mglisto-senna.*

*Szczęście, że płyniesz ulicami, nie tylko w książkach, i jak rzeka szumisz nowymi akcentami, gdy człowiek mówi do człowieka;*

*lecz literacka, z tych odpadków historii, co spadają z wózka, uff! jak mnie męczysz, Święta Matko, niedosłowiańska, półfrancuska.*

*I choć z czerwieni płonących Warszaw trwalszą niż Anglia flagę zszywam, mowo polska, ja cię oskarżam: STAŁAŚ SIĘ LENIWA, NIEŻYWA.*

Nocny testament

*Ja, Konstanty, syn Konstantego, zwany w Hiszpanii mistrzem Ildefonsem, będąc niespełna rozumu, piszę testament przy świecach.*

*Ćmy się, zaznaczam, kręcą przy lichtarzach i drżą i ręka mi drży;*

*a więc majstrowi, co lichtarze stwarzał, zapisuję czerwcowe ćmy.*

*Jeśli kiedyś go rozwlecze chandra, w wieczór będzie wśród tych ulic stąpał, ćmy się zaczną kręcić po werandach, gasnąć kide niebieskie na klombach, ćmy zobaczy, twarze w złotym dymie i przystanie i wspomni me imię.*

*A poetom dzisiejszym i przyszłym 'zapisuję mój kaflowy piec, w nim spalone myśli i pomysły, czyli różne gry niewarte świec, oraz księżyc pełny, mój kałamarz, co mi sprzedał go wędrowny kramarz;*

*Jeśli tedy, kiedyś, w latach innych jak ja dzisiaj nocą wzniosą głos, i rozłożą swoje pergaminy, jęczęć zaczną jak uwiecznić noc, to ja będę w skrzypieniach piór, w kołowaniach i w kuszeniach chmur, bom ja nocą zaszumiał i odszumiał i do dna jej partytury zrozumiał.*

*Córce mojej Kirze, tancerce, zapisuję niebiosa siódme, serafinów modlących się z tercyn, szum wysoki i światła ułudne i przyrodę, jak skrzynię sekretów, niechaj z niej się uczy swoich baletów.*

*Teofilowi, gdy się w mieście zmierzchnie, daję całą uliczkę dla szeptów, oraz pewną bramę na Lesznie, gdzie był kzity w żelazie Neptun, ale uciekł, bo miał wstręt do miasta, teraz w niebie jest spokojna gwiazdal*

*Wszystkim dobrym cały czar, co wezbrał, na tej ziemi, daję jak alfabet : pory roku ze złota i srebra i motyle i te muszki nawet, wieczorami, wielkim rojem, przy akacjach, w głębi zorza, z której się nie wraca.*

*Wierszom moim fosforyczne furie blaskiem w wertep ciemny i zły, a mojej Smagłej, mojej Smukłej, mojej Pochmurnej łzy.*

K. I. GAŁCZYŃSKI

***Archiwum polityczne***

List z Wyspy

„POLONIZACJA” SYTUACJI EUROPEJSKIEJ

Książka ([[1]](#footnote-2)) p. Samuela Sharpa jest spóźniona o 140 lat. Istotnie — jak słusznie zauważa uczony autor — Polacy mają bardzo ograniczone możliwości kształtowania swojego losu i bro­nienia własnymi siłami niepodległości. Lecz dziś nie ma w tym nic ani oryginalnego ani specyficznie polskiego.

W Europie XIX. wieku byliśmy pogrzebani całkowicie i bez reszty. To był wiek utalentowanych ,,peace-maker’ów” a Met- ternich był prawdziwym wirtuozem pokoju. Prawie przez pół stulecia panował pokój a entuzjaści Metternicha dodają nawet chełpliwie, że przez sto lat nie było większej wojny. Europa rzą­dziła światem. Święte przymierza, trój-przymierza, pięcio-przy- mierza funkcjonowały z dużą precyzją. Metternich — podobnie jak wielu obecnie źyjących mężów stanu — był głęboko przeko­nany, że ludzie bardziej kochają pokój niż wolność. Był jednak bardziej konsekwentny od innych, gdyż uważał, że wolność-! po­kój są anty-tezami, których nie można pomieścić w jednym sys­temie cywilizacyjnym. Dlatego wolność gnębił bez skrupułów dla zapewnienia pokoju i „stabilizacji”. Tragiczna „sprawa pol­ska” na tle kwitnącej „stabilizacji” dziewiętnastego wieku sta­nowiła odosobniony dysonans. Lecz dziś „sprawa polska” nie jest izolowanym problemem, któremu poświęcić można senty­mentalny poemat lub polityczny paszkwil zależnie od upodoba­nia i talentu. Polacy stracili na oryginalności gdyż dziś „spra­wa europejska” całkowicie się... spolonizowała.

Jesteśmy wprawdzie kanarkiem, który usiłuje pożreć dwa koty — jeżeli wolno użyć określenia John Wheeler-Bennett’a — ale czyż kanarek francuski jest w innej sytuacji? A co p. Sharp sądzi o kanarku włoskim, nie mówiąc o kanareczkach belgij-

skim czy luksemburskim. Teza p. Sharpa, że Polacy nie mają żadnych możliwości formowania swego losu i są funkcją słabo­ści czy siły Rosji i Niemiec jest całkowitym anachronizmem. Kto dziś na kontynencie europejskim ma jakąkolwiek możliwość kształtowania swojego losu i bronienia niepodległości ?

Czy istnieje jakaś diametralna różnica pomiędzy „sprawą polską” a „sprawą francuską” ? Podobieństw i analogii jest znacznie więcej niż różnic. Polska jest okupowana całkowicie. Francja jest okupowana częściowo przez partię komunistyczną, która stoi pod rozkazami Kremla. Co czwarty Francuz głosują­cy na partię komunistyczną wyraża tym samym zgodę na statut satelicki Francji. Jeżeli napięcie międzynarodowe będzie rosło, jeżeli jedna czy druga dywizja amerykańska opuści kontynent — należy obawiać się, że nie co czwarty ale co trzeci Francuz głosować będzie na komunistów.

To co nazwałem „polonizacją” sytuacji europejskiej wypły­wa jeszcze z innych źródeł. Do roku 1939 Europa środkowo­wschodnia była małoletnią i ubogą krewną Zachodu. Byliśmy wpatrzeni w Zachód a zwłaszcza we Francję, która wywierała przemożny wpływ na całokształt naszego życia politycznego i kul­turalnego. Lecz obecnie — czego p. Sharp nie dostrzega — sytu­acja uległa odwróceniu o 180 stopni. To Europa wschodnia wpły­wa na sytuację we Francji, a nie odwrotnie.

Są Francuzi, którzy zdają sobie sprawę z tego procesu. Młody, wybitny pisarz i socjolog francuski, Jules Monnerot, w jednym ze swych ostatnich studiów politycznych ([[2]](#footnote-3)) podkreśla z naciskiem, że wzrost komunizmu we Francji od roku 1945 jest bezpośrednią konsekwencją okupacji Europy wschodniej przez Sowiety. P. Sharp nie dostrzega i nie rozumie, że komu­nizm w wschodniej Europie i komunizm w kontynentalnej za­chodniej Europie podlegają prawu połączonych naczyń. Uzdro­wienie Francji — tego „chorego człowieka Europy” nie jest rzeczą możliwą bez rozwiązania sprawy wschodnio-europejskiej, a więc i tzw. „sprawy polskiej”. Jeżeli Waszyngton — jak do­radza p. Sharp — uzna całą Europę wschodnią za wieczystą sferę wpływów Rosji — w takim wypadku należy przyjąć za pewnik, że komunizm we Francji będzie wzrastał i potężniał a widmo całkowitej „satelizacji” Francji będzie z każdym ro­kiem coraz bardziej realne.

W XIX wieku, w okresie naszych powstań przeciwko cara­towi, tylko Polaków wywożono na Sybir, ale poza tym, we wszystkich stolicach europejskich „właściwi monarchowie sie­dzieli na właściwych tronach” i system europejski działał w opar­ciu o wiekowe tradycje. Z perspektywy Paryża czy Londynu wol­nościowe dążenia Polaków można było oceniać jako „wewnę­trzną sprawę rosyjską” i czasem uronić nad „nieszczęśliwą Pol­ską” mniej lub więcej fałszywą łezkę. Lecz dziś nie ma carów w Moskwie ani cesarzy w Wiedniu. Nasze szanse się wyrówna­ły. To nie tylko Polaków wywożą na Sybir. W obszernym kotle rosyjskim znaleźli się obok romantycznych Polaków zapobiegli­wi Czesi, pracowici Niemcy, ogniści Węgrzy w sumie ponad ioo milionów Europejczyków. Pytanie, które dręczy pozostałych na wolności zachodnich Europejczyków brzmi : ,,Who is next?” Dziś nie ma kłopotliwej „kwestii polskiej” — dziś jest tylko „kłopotliwa kwestia europejska”. Tych dwóch zagadnień : sprawy polskiej i sprawy europejskiej nie da się dziś rozdzielić bo w obecnym układzie to jest jeden i ten sam problem. I dla­tego teza p. Sharpa, że problem polski istnieje jako samodziel­ne, izolowane zagadnienie międzynarodowe jest absurdalnym anachronizmem. Problem europejski uległ „polonizacji” i dziś dumne i potężne niegdyś państwa dzielą nasz polski los i nasze polskie obawy .1 to jest nasze najsmutniejsze „zwycięstwo”.

P. Sharp stwierdza : „Istnieje nadzieja, że można ustalić korzystną pozycję do wszczęcia negocjacji z Sowietami bez woj­ny. Lecz negocjowanie sprowadza się niemal nieuchronnie do tar­gów. W odniesieniu do Polski pozycja przetargowa Rosji jest nieskończenie silniejsza niż Stanów Zjednoczonych... ponieważ Polska stanowi istotną sferę zainteresowań Rosji a jest tylko przypadkowo i drugorzędnie przedmiotem zainteresowań Ame­ryki”.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że — jeżeli chodzi **o** Europę — to sferą istotnych i bezpośrednich zainteresowań Rosji jest cały kontynent a bezpośrednim celem polityki sowiec­kiej w stosunku do Europy jest ewakuacja wojsk amerykańskich z teatru operacyjnego.

Polityka zachodniej Europy a w szczególności Francji opar­ta jest na karkołomnych sprzecznościach. Z jednej strony trzeź­wo myślący pisarze francuscy — jak cytowany powyżej J. Mon- nerot — zdają sobie sprawę z faktu, że siła komunizmu w kon­tynentalnej zachodniej Europie jest bezpośrednią konsekwencją ujarzmienia Europy wschodniej — z drugiej zaś strony znako­mita większość Francuzów sądzi, że jakiekolwiek rozmowy (nie mówiąc o inicjatywach) zmierzające do zmiany obecnego ukła­du w Europie wschodniej sprowokowałyby wojnę, która w 24 go­dzinach pogrążyłaby Francję w chaos rewolucji. I tu jesteśmy u dna problemu. Bez wycofania się Rosji z krajów podbitych nie można liczyć na odpływ komunizmu z Europy zachodniej. Rosja wycofa się z krajów podbitych tylko na skutek energicz­nego nacisku. A do tego typu polityki Francuzi nigdy nie przy­łożą ręki. Tak wygląda europejska kwadratura koła spowodo­wana sowiecką okupacją Europy wschodniej.

P. Sharp niemniej uważa, że... *,,a favorable position for negotiating 'with the Soviet Union can be establishecT1.*

Dla kogo „favorable” ? W jakim celu Rosja miałaby obec­nie negocjować ? Negocjowanie nie leży w jej interesie. Jak długo nie negocjuje traktatu pokojowego z Austrią jest upraw­niona nie tylko do utrzymywania wojsk w sercu Europy, lecz również przysługuje jej prawo utrzymywania garnizonów woj-

skowych na Węgrzech i w Rumunii dla ochrony linii komunika­cyjnych. Co Zachód jest w stanie zaoferować Rosji wzamian za utratę tych korzyści ? Jeżeli chodzi o problem Niemiec, Zachód dysponuje tylko jedną kartą przetargową a mianowicie ewen­tualnym wycofaniem wojsk amerykańskich z Europy. Jest dziś rzeczą całkowicie pewną, że Rosja nie zgodzi się na wolne wy­bory jako wstęp do zjednoczenia Niemiec i niemniej jest rzeczą pewną, że nie zrezygnuje ze swojeg'o podstawowego żądania tj. wycofania się wojsk amerykańskich z Europy. Rosjanie w takiej sytuacji wycofaliby się również (na Odrę i Nisę) i wówczas nie stałoby już nic na przeszkodzie by na całym kontynencie europej­skim powstały zgodne z jałtańską formułą rządy... *friendly to the Soviet Union.*

Optymizm p. Sharpa jest trudny do zrozumienia. Rosja nie ma żadnego powodu wszczynać negocjacji nie tylko w sprawie Polski ale nie ma również żadnego powodu negocjować w spra­wie kontynentalnej Europy.

Oryginalnością (tragiczną) Polaków był fakt, że nawet w sie­lankowym XIX. stuleciu nie umieli własnymi siłami obronić swej niepodległości. Lecz dziś któreż z państw kontynentalnej Euro­py jest zdolne własnymi siłami bronić swej niepodległości ? Nie­podległość dzisiejszej Francji jest w tym samym stopniu względ­na jak względna była niepodległość Polski w 1938 roku. Podob­nie bowiem jak Polska w 1938 r. była bezsilna wobec potencjal­nego agresora, który w roku 1939 stał się agresorem aktywnym — tak Francja w roku 1954 jest bezsilna wobec wschodniego potencjalnego agresora, który każdej chwili może swą przewa­gę zrealizować. W tej sytuacji znajduje się zresztą nie tylko Francja lecz cała kontynentalna Europa zachodnia.

**❖**

Wbrew temu co sądzi p. Sharp — osobiście uważam, że międzynarodowy kurs polityczny „sprawy polskiej” stoi dziś niepomiernie wyżej niż w XIX. wieku. Bo jeżeli przyjmiemy za p. Sharpem, że sytuacja Polski jest beznadziejna — to w rów­nym stopniu beznadziejna jest sytuacja całej Europy wschodniej. Wydaje mi się również, że dziś trudno już powątpiewać w fakt bezpośredniego przyczynowego związku pomiędzy beznadziejno­ścią sytuacji w wschodniej Europie a beznadziejnością sytuacji w kontynentalnej zachodniej Europie. Sprawę polską może­my uznać za beznadziejną tylko wówczas gdy przyjmiemy, że sprawa Europy jest stracona.

W XVIII. i XIX. wieku, kraj który wskutek swego poło­żenia geograficznego nie był w możności obronić niepodległości armią wyposażoną w konwencjonalne bronie, padał ofiarą przemocy i pozostawała po nim tylko emigracja i taka czy inna „kwestia”. Lecz dziś, gdy armia wyposażona w konwencjonal­ną broń nie jest gwarantem obrony — „kwestia polska” uległa umiędzynarodowieniu. Wszystkie państwa, które nie posiadają broni atomowej i odpowiednio rozbudowanego lotnictwa strate-

gicznego muszą problem swej niepodległości oceniać jako kwe­stię otwartą i równie beznadziejną jak ,,kwestia polska”. Do­póki bowiem nie zostanie stworzony realny system bezpieczeń­stwa międzynarodowego wszystkie państwa leżące między ato­mowymi potęgami — to jest Rosją, Anglią i Stanami Zjedno­czonymi — są potencjalnym *no-maris land* i szachownicą przysz­łej rozgrywki pomiędzy agresorem a ,,liberatorem”. Jeżeli system bezpieczeństwa międzynarodowego, to jest system realnej mię­dzynarodowej kontroli atomowej nie zastąpi obecnego wyścigu zbrojeń atomowych — świat rozpadnie się na dwie lub trzy po­tęgi otoczone państwami satelickimi, które w wyniku ,,zimnych” czy ,,lokalnych” wojen zmieniać będą swojego protektora.

Jak widzimy... *The unhappy Question of Poland* przestała być dziś czymś wyjątkowym. Współczesny świat składa się bo­wiem z samych ,,kwestii” — polskiej, niemieckiej, chińskiej, koreańskiej, indochińskiej, wschodnio-europejskiej, zachodnio­europejskiej itd. Wszystkie powyższe kwestie sprowadzają się do jednego wspólnego mianownika generalnej kwestii sowiec­kiej. I to jest owa ,,kwestia” stulecia, na którą Stany Zjedno­czone wcześniej czy później będą musiały znaleźć odpowiedź.

Polityce amerykańskiej będzie trudno znaleźć tę odpowiedź jeżeli profesorowie amerykańskich uniwersytetów — i jak pan Sharp specjaliści od zagadnień wschodnio-europejskich — pod­trzymywać będą pogląd, że z Sowietami można się porozumieć ustępując im państwa i narody, które jak Polska... są zasadni­czą sferą interesów Rosji a tylko przypadkowo i drugorzędnie przedmiotem zainteresowań Ameryki. Jeżeli chodzi o powyższe sformułowanie p. Sharpa będzie ono równie prawdziwe (z punktu widzenia sowieckiego) jeżeli rozszerzy się je na całą kontynen­talną Europę.

Jest rzeczą zdumiewającą czytać w publikacji noszącej stem­pel ,,Harvard University”, że zagarnięcie przez Sowiety naj­większego państwa w Europie wschodniej jest dla Ameryki rze­czą zgoła przypadkową i drugorzędną. I aby uniknąć wszelkich wątpliwości p. Sharp pospiesznie ostrzega Polaków w wolnym świecie, by nie identyfikowali swoich dążeń z celami polityki amerykańskiej. Polacy pragną wyparcia Sowietów z Europy — co w interpretacji p. Sharpa nie leży w interesie polityki amery­kańskiej. Jedno jest pewne. Gdyby polityka amerykańska oprzeć się miała w przyszłości na tego rodzaju światłej filozofii to za kilka lat profesor Sharp będzie mógł napisać nową książkę i stwierdzić, że zajęcie przez Sowiety kontynentalnej Europy jest faktem, który dla polityki amerykańskiej posiada jedynie zna­czenie przypadkowe i drugorzędne.

Nie znam przeszłości p. Sharpa, trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że jego studium wypływa z personalnie negatyw­nego nastawienia do Polski. Lecz z punktu widzenia polityki amerykańskiej jest rzeczą całkowicie obojętną czy Polacy są sym­patyczni czy nie, czy w przeszłości umieli się rządzić czy nie, czy byli antysemickimi faszystami czy nie, czy fałszowali masło,margarynę i... wybory czy nie. Z punktu widzenia polityki ame­rykańskiej w tzw. „sprawie polskiej” istotne są tylko dwa pun­kty : Polacy są zdecydowanymi wrogami komunizmu i zdecy­dowanymi wrogami sowieckiej Rosji. Wszystko inne jest bez znaczenia. Powyższe dwa punkty decydują o tym, że tzw. „spra­wa polska’i musi się znaleźć w ramach każdej anty-komunistycz- nej polityki amerykańskiej. Na „sprawę polską” nie ma miej­sca tylko w ewentualnej kapitulacyjnej polityce amerykańskiej.

Profesor Sharp oddał bezcenną usługę sowieckiej propagan­dzie. Jego książka jest wprost z... nieba zesłanym cudownym środkiem do zwalczania zarówno radiostacji Free Europe w Mo­nachium jak i Voice of America. Komunistyczna prasa w Pol­sce wykorzystuje już w pełni tę amerykańską pomoc do zwal­czania audycji Free Europe. Oczywiście, by nie psuć efektu, pra­sa polska przemilcza dyskretnie warszawskie pochodzenie pana Sharpa i prezentuje go jako rdzennego Amerykanina i autory­tet w todze harvardzkiego uniwersytetu. Dzieło p. Sharpa wej­dzie do klasycznego repertuaru anty-amerykańskiej propagandy komunistycznej.

Ludzie mieszkający za „żelazną kurtyną”, którzy już za­pomnieli o dziwach i osobliwościach demokracji, prawdopodob­nie zadają sobie pytanie czy jest rzeczą konieczną by takich „klasyków” wydawał uniwersytet Harvard. Ale jeżeli słuszność jest po stronie p. Sharpa to ludzie za „żelazną kurtyną” za­pomną nie tylko o osobliwościach demokracji ale i o tym, że har- vardzki uniwersytet jest w Ameryce i ma jakiekolwiek znacze­nie.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

Makiawel i Jałta

Książka Sharpa ma dwa aspekty. Jeden z nich — znacznie ważniejszy — to ocena szans politycznych Polski (a właściwie całej Europy) w obecnej sytuacji międzynarodowej. Drugi as­pekt, to „racjonalizacja” tezy głównej autora poprzez analizę historyczną polskiej przeszłości i problemu polskiego na terenie międzynarodowym, ze specjalnym uwzględnieniem stosunków polsko-amerykańskich. Trzeba wyraźnie rozróżnić te dwa aspek­ty aby móc właściwie ocenić znaczenie „White Eagle on a Red Field”. Prasa polska podeszła do tej książki emocjonalnie, kon­centrując uwagę na drugim, mniej ważnym jej aspekcie. War­szawska „Trybuna Ludu” przedstawia p. Sharpa jako krwawe­go Amerykanina, którego przodkowie wyrzynali biednych In­dian, który zapewne sam znęca się nad Murzynami, i który zo­stał przez ciemną emigracyjną kabałę zachęcony do napisania

książki sprzedającej Polskę Niemcom. Prasa emigracyjna, lepiej poinformowana, wie że p. Sharp jest Polakiem, ale widzi w nim przede wszystkim ptaka który własne gniazdo kala i który Pol­skę chce sprzedać Rosji. Główny nacisk położono właśnie na ,,racjonalizację”, na światło w którym p. Sharp stawia naszą przeszłość — dawną i obecną. Krytycy oburzają się „oszczer­stwami” na Kościuszkę, „fałszowaniem” polskiej historii itd. Wydaje mi się źe wyrządza się tu p. Sharpowi niesprawiedliwość. Książka jego jest cięta, złośliwa, ale właściwie, jeśli chodzi o przeszłość — dość obiektywna. Ostatecznie p. Sharp nie jest pierwszym Polakiem który wziął się do odbronzowania „boha­terów narodowych”. Kościuszko Sharpa nie gorszy mnie bar­dziej niż Mickiewicz Boya czy Niemcewicz Karola Żbyszewskie- go. Sharp daje zresztą dość przekonywujący — i ujmujący por­tret Kościuszki, i bardziej jeszcze przekonywujący — choć mniej ujmujący — wizerunek Pułaskiego. Dla każdego kto się choć trochę zajmował historią amerykańskiej wojny niepodległościo­wej jasne jest że rola odegrana w niej przez Polaków została bardzo przesadzona. Podobnie przesadzona została zresztą i rola Lafayette’a przez francuskich historyków, z tym że Lafayette był w dodatku kabotynem i oportunistą, postacią o wiele mniej sympatyczną od Kościuszki, któremu nawet Sharp przyznaje rzetelny idealizm. No i przecież nikt chyba ani na chwilę po waż­nie nie przypuszcza że stosunek Ameryki do nas jest wciąż fun­kcją wdzięczności za „dług” zaciągnięty przed 150 laty ! O wie­le groźniejsze jest twierdzenie Sharpa że Polacy łudzą się iż tego rodzaju elementy (Kościuszko, Pułaski, „przedmurze chrześci­jaństwa”, „Cud nad Wisłą”, „natchnienie narodów” itd.) istot­nie się liczą w polityce międzynarodowej i że można je realnie zdyskontować. Byłoby fatalne gdyby Amerykanie myśleli że wy­stępujemy w stosunku do nich jako „moralny wierzyciel”. Pew­ne zdarzenia historyczne, których dany rząd może użyć w sto­sunku do opinii publicznej jako „moralne” usprawiedliwienie ja­kiejś akcji są oczywiście pożyteczne — ale obfituje w nie każda historia. Ameryka może równie dobrze użyć Von Steubena w cha­rakterze „moralnego” zobowiązania w stosunku do Niemiec, jak Lafayette’a czy Kościuszkę.

Podobnie jeśli chodzi o najnowszą historię Polski. Polacy sami mają do niej zwykle krytyczny stosunek. Tylko że polski historyk identyfikuje się zazwyczaj z jakąś polską tradycją po­lityczną, z jakimś „punktem widzenia”. Zwolennicy Piłsudskie­go krzywo patrzą na Komitet Narodowy i na funkcjonowanie polskiej demokracji parlamentarnej. Endecy krytykują wyprawę kijowską. Centrolew nie może chwalić Brześcia, Sławoj Skład­ko wski chlubi się Berezą. Sharp jest Gwelfem dla wszystkich pol­skich Gibelinów, Gibelinem dla wszystkich polskich Gwelfów... Jego kronika co krok zaskakuje polskiego czytelnika. Oto kry­tyczne uwagi w stosunku do rządów przedmajowych — i już automatycznie oczekujemy pochwały dla Piłsudskiego. Tymcza­sem Sharp pisze o sanacji tak jak polscy demokraci. Albo his­toria rządu emigracyjnego. Czytamy o złudzeniach rządu Arci­szewskiego, o braku realizmu, o uporze. No i oczekujemy po­chwały dla ,,dobrej woli” Mikołajczyka. P. Sharp widzi jednak w Mikołajczyku naiwnego i słabego megalomana.

Nie można powiedzieć żeby Sharp pisał o Polsce z ,,sym­patią”. Ale niesprawiedliwie byłoby posądzić go również o spe­cjalną „antypatię”. Siłą książki Sharpa jest jej zasadniczy ma- kiawelizm. Oczywiście nie w sensie popularnym, przebiegłego cy­nizmu, na który oburzają się moraliści, ale jako wyraz zasady że polityka nie ma nic wspólnego z moralnością, że pojęcia „dobra” czy „zła” mają w niej miejsce jedynie na poziomie powierzchow­nej interpretacji zdarzeń. Jest to punkt widzenia skazany na nie- popularność nawet u narodów wielkich i prosperujących, które wolą dobrobyt swój przypisywać moralnym zasługom niż położe­niu geograficznemu, historycznemu zbiegowi okoliczności czy bo­gactwom naturalnym. Cóż dopiero jeśli chodzi o niewielki i bied­ny naród, położony pomiędzy dwoma kolosami ? Polacy są siłą rzeczy zwolennikami moralnej interpretacji historii i polityki : wydaje im się że od naturalnej słabości wyratować ich może „skazanie na wielkość”, że niesprawiedliwość geografii nagro­dzić może sprawiedliwość Opatrzności.

Sharp stwierdza kilka razy (choć czyni to wstydliwie, na marginesie), że właściwie cokolwiek by Polacy zrobili, skazani byli zawsze na niepowodzenie. Polska urasta w tym ujęciu do przykrej roli „tragicznego bohatera” europejskiej historii — nie­zależnie od wyboru akcji, tragiczny jej los jest z góry zakreślo­ny. Każda droga u każdego skrzyżowania wiedzie niezmiennie do katastrofy. Wydaje się nawet że Sharp dlatego podkreśla błędy polskiej polityki (egoizm szlachty, niesprawiedliwość Po­laków wobec mniejszości narodowych, inercję ekonomiczną, za­kłamanie, wszystkie obciążenia zarówno polskiej elity przedroz­biorowej jak i sfery rządzącej w okresie dwudziestolecia niepo­dległości) aby oszczędzić sumienie widzów tej przykrej tragedii. To prawda — wydaje się insynuować Sharp — że Polska ska­zana była w każdym razie na rozbiory, na klęskę 1939 roku, na okupację sowiecką — ale przecież lżej jest stwierdzić jednocześ­nie że poniekąd sama na ten los „zasłużyła”.

Książka Sharpa jest misterną konstrukcją „pretekstów”. Historia polski jest dla niego pretekstem do naświetlenia „spra­wy polskiej” na płaszczyźnie międzynarodowej. Sama zaś „spra­wa polska” służy za pretekst do zakamuflowania koncepcji świa­towej polityki Stanów Zjednoczonych. P. Sharp sam wie najle­piej że nie ma dziś „sprawy polskiej” — przeprowadzeniu tej tezy służy zresztą cała jego książka. Rozumowanie to przypo­mina zręczną sztuczkę salonowego kuglarza. Instrumenty — kapelusz Wuja Sama i pałeczka. Jest „sprawa polska” — stuk, puk, nie ma „sprawy polskiej” ! Wobec tego że jej nie ma — nie łudźmy Polaków że dążymy do ich wyzwolenia ! W zamie­szaniu kapeluszy, chusteczek, białych królików i innych para- frenalii czytelnik amerykański może zapomni (bo nie chodzi tuprzecież o polskiego czytelnika) że żaden Polak nie myśli poważ­nie iż Stany Zjednoczone dążą do wyzwolenia ich kraju. Polacy wiedzą po prostu — podobnie jak wszyscy trzeźwi ludzie — że na daleką metę Stany Zjednoczone nie mogą współistnieć z Rosją Stalina czy Malenkowa i że w długim procesie zjednoczenia świa­ta Polska bądź pozostanie pod władzą sowiecką (ale razem z ca­łą Europą, a w późniejszym etapie — i z całą Ameryką), bądź odzyska wolność, jeśli Ameryka stanie na wysokości *leader- shipu* narzuconego jej przez historię.

Musi o tym wiedzieć równie dobrze p. Sharp. Dlatego cie­kawe (i może symptomatyczne) jest to usiłowanie wskrzeszenia koncepcji jałtańskiej. Nader charakterystycznie Sharp twierdzi, że zarówno Roosevelt jak i Churchill dobrze wiedzieli co robią w Jałcie : budowali po prostu żelazną kurtynę. ,,Zimna wojna” w tej koncepcji nie jest niczym innym jak kultywowaniem tejże „żelaznej kurtyny”, jak powiedział kiedyś, na pozór paradok­salnie, Jan Ulatowski. Polityka *libération* nie różni się od poli­tyki *containment,* jeśli ma się ograniczać do 'wojny psychologicz­nej. Zarówno Burnham jak Borkenau jasno dowiedli że wojna psychologiczna ma wartość tylko jako przygotowanie, podbudo­wa do czynów, oczekiwanie na odsłonięcie się przeciwnika, na uchylenie przez niego tarczy. Nie chodzi tu o wojnę, ale raczej o umiejętność wykorzystania takich okazji jak berlińska bloka­da, wywołanie powstania w Albanii w chwili oderwania się Jugo­sławii od sowieckiego bloku, śmierć Stalina, bunty robotników we wschodnich Niemczech i w Czechosłowacji. Dotychczas nie widać żeby Ameryka stała na wysokości tego rodzaju zadań. Na­wet najbardziej zajadli amerykańscy antykomuniści wolą załat­wiać wyborcze porachunki.

I dlatego Sharp ma może rację twierdząc że nie należy łu­dzić Polaków nie opartą na niczym akcją propagandową, ciąg­łym gadaniem o „gotowości” Ameryki, o jej „zdecydowaniu”. Tylko należy wyraźnie stwierdzić, że nie chodzi tu o „sprawę polską”, tylko o przyszłość Ameryki i świata.

*K. A. JELEŃSKI*

List z Jugosławii

*2*

Skopje : funkcjonalistyczne, corbusierowskie budynki na nowych jak z igły bulwarach, a z bulwarów widać w dole dziew­częta w podkasanych samodziałach piorące kijankami bieliznę w gliniastym Vardarze. Obok chłopi po pas w wodzie wydoby­wają łopatami piasek i ładują go na wozy o średniowiecznym

wyglądzie zaprzężone w kuse woły, długorogie i brodate. Dziew­częta, jak wszystkie kobiety w tym kraju mają owłosione nogi, ale za to bardzo piękne oczy. I mężczyźni i kobiety mają po­psute zęby, ale to już wina braku dentystów, jak i w ogóle wszelkich lekarzy.

Ulice leżą puste w słonecznym upale, dużo kotów przemyka się od śmietnika do śmietnika, a w miarę zapuszczania się w boczne uliczki — koty stają się chudsze i bardziej parszywe. Na balkonach i białych ścianach domów złote girlandy nawle­czonego na sznurki tytoniu i festony suszącego się pieprzu, gra­jące gamą kolorów od szafranu przez pomarańcz i cynober do krwawego szkarłatu.

Tak wygląda stolica Macedonii w ciągu dnia. Gdy zapada nagła, południowa noc — miasto wybucha życiem. Ludność zja­wia się w komplecie na rynku i głównej ulicy (której nazwy nie pamiętam, ale która niechybnie nazywa się ulicą Tito) i rozpo­czyna się rytualny dwugodzinny spacer-deptak w gęstym tłu­mie : od dworca do ratusza i z powrotem. Powoli tłum rozpły­wa się po domach, kawiarniach i barach na wieczorną porcję pi­wa, ,,rakiji”-śliwowicy i muzyki.

Do późna w noc, gdy już wszystkie światła w mieście po­gasną, kawiarnie świecą i grają. Płynie z nich na miasto mo­notonna zawodząca muzyka i śpiew gardłowy, niepokojący — melodie Wschodu urwane w połowie frazy, irytujące, lecz nie dające się odpędzić. Upał nie daje spać i przychodzą pytania.

Czy ten tłum na ulicach i w kawiarniach, te gromady urzęd­ników i chłopów, robotników i żołnierzy — to ludzie wolni, czy stado mniej, lub więcej sterroryzowanych niewolników ? Z tym pytaniem przyjechałem do Jugosławii, zdecydowany zna­leźć odpowiedź. Żadne, najbardziej ,,uszczęśliwiające” reformy nie mają znaczenia, jeśli nie dotyczą ludzi wolnych. Do Mace­donii przybyłem po kilkutygodniowym już pobycie w Jugosławii. W tym kraju wiecznych rewolucjonistów, zawodowych powstań­ców i buntowników spodziewałem się dotrzeć do sedna zagad­nienia.

Macedonia przelała w walkach o wolność w ciągu wieków ubiegłych więcej zapewne krwi, niż którykolwiek inny naród. Więcej chyba, niż Polacy, gdyż jej niewola trwała dłużej. Pola­cy na ogół nie mają pojęcia jak gorących przyjaciół i wielbicieli posiadają wśród Macedończyków. Mimo całego bohaterstwa i du­my narodowej — nieraz zapewne — podobnie jak Polaków, przy­gnębia ich wstydliwa myśl, że jednak w gruncie rzeczy są głupcami, którzy nie potrafili wymyślić rozsądniejszego i sku­teczniejszego środka dla odzyskania wolności, niż karabin i śmierć najlepszych. Przykład Polski, wielkiego, cywilizowane­go narodu, który także innego sposobu nie znalazł, napełnia ich otuchą : widocznie innego sposobu nie ma. Stąd podziw, sym­patia i zainteresowanie Polską.

Od kilku lat, w ramach federacji jugosłowiańskiej, Macedo­nia czuje się niepodległą. Przedtem była zawsze kolonią — grec-ką, lub rzymską, turecką, austriacką, czy serbską. Przed kilku laty dopiero zaczęto budować w Macedonii pierwszy uniwersytet, zaczęto stawiać mury pierwszych fabryk, pierwszych elektrowni wodnych , napisano pierwszą gramatykę języka macedońskiego (jeśli nie liczyć prac o języku macedońskim polskiego slawisty, prof. Mieczysława Małeckiego z Krakowa, zmarłego w 1945). Dróg i kolei jeszcze budować nie zaczęto.

Wszystko trzeba zaczynać tutaj od początku, dosłownie od ABC, gdyż 70 procent ludności nie umie czytać i pisać, ale też panuje wśród ludzi duch pionierski, zapał, entuzjazm, właściwe takim okresom. Trzydziestoletni profesorowie i podsekretarze stanu mówią o swej pracy z taką samą dumą jak i robotnicy przy budowie hydroelektrowni w Mawrowie, oszołomieni nowozdoby- tą umiejętnością kierowania mechaniczną betoniarką. Cel jest dla wszystkich jeden : zbudować przemysł, zwiększyć produkcję i w ten sposób zapewnić ludziom... szczęście. Komunizm, czy też ta forma ustrojowa, którą się tam dziś praktykuje, bez względu na jej nazwę, uważany jest tylko za środek do osiągnię­cia tego celu; w żadne teoretyzowanie nikt się nie bawi. Jeśli przemysł będzie zbudowany — szczęście powszechne zostanie za­pewnione. Tak wygląda mit dnia dzisiejszego Jugosławii — wczorajszy mit Zachodu, piękna legenda, w którą wierzyli jesz­cze ojcowie dzisiejszych egzystencjalistów.

Jednak te 10 czy 12 procent ludności zajętej budową prze­mysłu, to tylko mieszkańcy miast. Chłop nie bierze w tym, jak dotąd, udziału. W marcu 1953 otrzymał możność wyjścia z ,,za- drug” (kołchozów) i skorzystał z tego. Z 6.798 zadrug w 1949 — pozostało w lipcu 1953 tylko 2.400, a te kołchozy, które po- zostają przeorganizowują się w formy kooperatyw handlowych czy spółdzielni produkcyjnych przy zachowaniu indywidualnej własności gruntów. Ustawa wyznacza jako maksimum gospo­darstwo io-hektarowe, ale w Jugosławii nigdy nie istniały gos­podarstwa większe, ani też wielka własność. Wolno też wydzier­żawiać swe grunta, z tym jednak że dzierżawca — łącznie z włas­nym gruntem — nie może mieć więcej niż 10 ha. Nastąpił więc nawrót do warunków przedwojennych i chłop jest z tego zado­wolony .Prowadzi gospodarkę prymitywną, tak zwaną ,,natural­ną”, to jest produkuje tyle ile musi zjeść i zjada tyle ile wypro­dukuje. Gdy przychodzi rok suszy — głoduje, tak jak to było zawsze od wieków.

Nikt i nic nie potrafi przekonać chłopa w dzisiejszych wa­runkach, iż należy zwiększyć produkcję. Przeciętny zbiór kuku­rydzy z ha daje chłopu 400-500 kg. ziarna. Gdyby okopał kuku­rydzę trzykrotnie, a nie tylko raz, jak to jest zwyczajem — otrzymałby 1.200 kg. z ha.

Tu i ówdzie założono państwowe ośrodki wzorowe i chłop widzi te trzykrotnie większe zbiory, ale to bynajmniej go nie za­chęca : ,,po co mi tyle kukurydzy?” pyta. Kraj bez dróg, bez komunikacji, bez wymiany wartości — jest krajem bez potrzeb, bez rosnących potrzeb.

Jeśli macedoński czy czarnogórski wieśniak zachłannie gro­madzi pieniądze (w postaci złotych talarów Marii Teresy) to tyl­ko przez parę lat — by kupić sobie żonę. Gdy ta potrzeba zosta­nie zaspokojona — spoczywa na laurach.

Gdy rozpoczęto budowę wspomnianej hydroelektrowni w Ma- wrowie, trzeba było sprowadzić robotników miejskich, a ze wsi tylko młodych chłopców. Okoliczni chłopi, mimo możliwości du­żych zarobków, pracować nie chcieli, lub pracowali tak żle i po­woli, że przysłany dla montażu maszyn technik, Niemiec, szalał z wściekłości : ,,To mają być robotnicy ? Prędzejbym małpę na­uczył pracować, niż tych dzikusów. Musiałem tu siedzieć trzy miesiące zamiast dwóch tygodni. I oni chcą budować fabryki!”

Nie jest to bynajmniej „wrodzone lenistwo” jak przypusz­czał niemiecki majster. Dość jest spojrzeć na miniaturowe po­letka, gdzie każdy zagon wydarty jest pazurami ze skały, gdzie każdy spłachetek czarnoziemu otoczony jest pracowicie mur­kiem z kamieni chroniących przed erozją — by zrozumieć jak nadludzkiego, cierpliwego wysiłku wymaga tu ziemia. Ludność jest pracowita, lecz pozbawiona potrzeb, praca dla „zwiększe­nia dochodów” wydaje się jej rzeczą bezcelową.

Gdy piszę o Macedonii — myślę o całej Jugosławii — z wy­jątkiem może Słowenii i Chorwacji, jako tako uprzemysłowio­nych. Wszystkie zasadnicze problemy jugosłowiańskie odnaleźć można w Macedonii, zamknięte, jak w łupinie orzecha, w gór­skim wieńcu jej granic. To prawda, że Macedonia jest jedną z najbardziej zacofanych wśród sześciu republik federalnych. Ale czy Bośnia i Hercegowina znajdują się w lepszej sytuacji ? Lub Czarnogóra ? A trzy czwarte Serbii, gdzie drogi toną w błocie nie wysychającym nigdy, zaś po wiejskich ulicach-gnojówkach biegają półdzikie, czarne prosięta i nagie dzieci. Ludzie w bia­łych samodziałach chodzą boso lub w plecionych z rzemieni opankach i gdyby nawet mieli możność kupienia sobie butów — nie mogliby w nich chodzić po swych ulicach i drogach.

♦

Tak wygląda tło, na którym. rozgrywa się eksperyment gos­podarczy i polityczny zwany titoizmem, eksperyment rozpoczęty przed czterema laty na oślep niemal, w chwili katastrofy, jaką był niewątpliwie dla jugosłowiańskich komunistów list-ekskomu- nika Kominformu. Po czterech latach wykrystalizowały się już pewne zarysy, linie wytyczne systemu, który nie przestał jednak być ciągłym szukaniem i próbowaniem nowych dróg.

Zgodnie z zasadami klasycznego marksizmu cały kapitał, to jest środki produkcji — są własnością państwa. Natomiast wbrew zasadom marksizmu — dążenie do zysku nie zostało wy­klęte, przeciwnie podniesiono je do godności cnoty.

Podczas gdy marksizm uważał własność środków produkcji za źródło władzy, titoizm poszedł dalej, rozumiejąc że w grun­cie rzeczy władzę polityczną daje nie formalna własność : wła­dzę posiada ten, kto dysponuje ,,wartością dodatkową”, czyli mówiąc po prostu — zyskiem. Oddając część zysku w ręce zes­połów pracowniczych, pozwalając zespołom o ten zysk walczyć na rynku mniej lub więcej wolnym — titoizm z całą świado­mością wyrzekł się części władzy politycznej. Dlaczego, w ja­kim celu ?

Odpowiedź na to pytanie dają słowa Edwarda Kardelja, jed­nego z sześciu czy siedmiu ludzi rządzących dziś Jugosławią, któ­ry w roku 1952 napisał : ,,Tylko człowiek wolny, tylko praca osobista i nieskrępowana, tylko swobodna inicjatywa jednostki mogą spowodować pożądany skok sił wytwórczych... Aby to osiągnąć — konieczne jest usunięcie kontroli biurokratycznej w gospodarce i zagwarantowanie swobodnej gry sił ekonomicz­nych w połączeniu ze zdolnościami twórczymi jednostki”.

Słowa te mógłby wypowiedzieć którykolwiek z wielkich kla­syków liberalizmu, gdyby nie końcowa uwaga Kardelja, że wszystko to musi się odbywać przy zachowaniu społecznej włas­ności środków produkcji.

Od trzech lat zaszły w Jugosławii reformy wskazujące, że program Kardelja nie jest tylko pustym sloganem. Jugosławia usiłuje z pełną konsekwencją zastosować klasyczne metody libe­ralizmu w swej gospodarce i administracji — cofając się jednak stanowczo przed wprowadzeniem również tych form politycz­nych, w których zawsze dotychczas rozwijał się liberalizm — to jest demokracji parlamentarnej.

Czy taki eksperyment jest w ogóle możliwy do przeprowa­dzenia ? Czy może istnieć liberalizm bez demokracji ? Wolność indywidualna, bez wolności politycznej ? Sytuacja odwrotna jest do pomyślenia i posiadamy już nawet duże doświadczenie w tym kierunku. Socjalizm na Zachodzie usiłuje realizować demokrację bez liberalizmu, w każdym razie bez liberalizmu w gospodarce. W żadnym zresztą z państw na zachodzie nie ma (i bodaj nigdy nie było) pełnego liberalizmu bez ,,ale”. Jak będzie wyglądał w praktyce jugosłowiański liberalizm bez demokracji parlamen­tarnej pozostaje na razie zagadką, której rozwiązanie przynieść mogą dopiero nadchodzące lata.

Próbowałem dyskutować o tych sprawach z politykami ju­gosłowiańskimi. Kiro Gligorow, jeden z kierowników gospodar­ki jugosłowiańskiej przyjął mnie w Centralnym Instytucie Pla­nowania i z miejsca uprzedził, że nazwa instytucji nie powinna mnie wprowadzać w błąd.

— Nasze planowanie nie jest sztywnym ,,diriżizmem” ; tu­taj w tym instytucie zajmujemy się planowaniem analitycznym, a więc badaniami typu naukowego dla cyfrowego i statystyczne­go ustalenia naszych możliwości. O tym co się produkuje i jak — decyduje w końcu sam rynek —podaż i popyt, konkurencja przedsiębiorstw między sobą, zapas surowców i maszyn, rezer­wa sił roboczych i inicjatywa jednostek.

— Z tego co Pan mówi wynika, że przedsiębiorstwo produ­kujące towar pożądany na rynku i zapewniający zyski — możesobie forsować produkcję bez przeszkód tak długo... aż towaru będzie nadmiar ? Czy nie tak właśnie powstają kryzysy nadpro­dukcji w kapitalizmie ?

— Przez długi jeszcze okres, w naszych warunkach, żadna nadprodukcja praktycznie rzecz biorąc nie grozi, choć mogą się zdarzyć potknięcia. W tej chwili na przykład w składach prze­mysłu konfekcyjnego leży niesprzedany stock towarów z trzech miesięcy. Moglibyśmy go zresztą wyprzedać w ciągu tygodnia obniżając cenę.

— Dlaczego więc nie obniżacie ceny ?

—■ To nie ceny są zbyt wysokie — to zarobki są zbyt nis­kie, wystarczają zaledwie na zakup żywności. A na razie nie możemy przeprowadzić generalnej podwyżki zarobków tak dłu­go dopóki produkcja rolna nie podniesie się wydatnie. Oznacza­łoby to bowiem tylko inflację i nic więcej.

— Czy takie „potknięcia” nadprodukcyjne, jak je pan na­zwał, nie pociągają za sobą innego z niebezpieczeństw gospodar­ki rynkowej, to jest bezrobocia?

— We wszystkich dziedzinach panuje u nas niesłychany brak pracowników, nie mówiąc już o fachowcach. W tej chwili mamy zarejestrowanych 70 tysięcy bezrobotnych — większość to pracownicy umysłowi, którzy stracili pracę w związku z lik­widacją administracji scentralizowanej. Powoli przechodzą oni do przemysłu i administracji lokalnej, czy republikańskiej.

— Jeśli państwo wyrzekło się, jak pan twierdzi, centralne­go „diriżizmu” to jakież ma środki by nie pozwolić na chao­tyczne zjawiska rynkowe, by ograniczyć jakąś produkcję lub od­wrotnie zachęcić do niej ?

— To jest ogromnie proste : Interwencja przy pomocy środ­ków czysto gospodarczych. Kredyt inwestycyjny. Stopa dyskon­towa. Polityka dewizowa, podatki. Każdy cel, który w ustroju biurokratycznym osiąga się, lub usiłuje osiągnąć przez zarzą­dzenie administracyjne, można o wiele skuteczniej osiągnąć przez jeden z wymienionych środków ekonomicznych...

Wszystkie niemal rozmowy z ekonomistami jugosłowiań­skimi pozostawiają wrażenie, że rozmawia się z wiernymi ucz­niami Adama Smith’a, dokształconymi poza tym w pragmatys- tycznej szkole Devey’a. Są pełni zapału i wiary, przekonani, że metody ich są rewelacyjnie nowe. Być zresztą może, iż rzeczy­wiście są nowe, przynajmniej o tyle, źe po raz pierwszy libe­ralne środki ekonomiczne są stosowane wobec kapitału znacjo- nalizowanego.

—■ Czy można mówić o wolnej konkurencji — spytałem in­nego z tych ekonomistów, macedońskiego podsekretarza sta­nu, Asena Simićijewa — gdy kapitał przemysłowy, maszyny na przykład, są własnością państwa, a więc leżą poza zasięgiem rynku towarowego. Inaczej mówiąc gdy nikt nie może kupić sobie maszyn i założyć nowej fabryki ?

— Maszyn nie może kupić prywatny obywatel, ale wy­starczy by ich się zebrało trzech, czy pięciu i już są spółdzielnią,która dostanie kredyt na zakup maszyn. Albo jeszcze lepiej — zaproponują jakiemuś z już istniejących przedsiębiorstw, czy kooperatyw, że zorganizują w ramach tej instytucji nowy dział produkcyjny — kredyt dostać można wtedy łatwiej. Mam tu na biurku taką sprawę. Jedna z fabryk chce puścić w ruch nowy dział — fabrykację sztucznego lodu. I na pewno kredyt dostaną, choć już jedna taka fabryka istnieje w naszym okręgu.

— Po cóz dwie fabryki lodu, jeśli na pewno brak wielu in­nych zakładów produkcyjnych ?

— Wychodzimy z założenia, że inicjatorzy wiedzą lepiej. Nie zakładaliby fabryki, gdyby nie mieli szans zarobku. Ich ry­zyko jest większe niż kredytodawcy.

— Nie rozumiem ryzyka, jeśli nie wkładają kapitału ? Co im grozi ?

— Ogłoszenie bankructwa. Maszyny zostaną sprzedane in­nemu przedsiębiorstwu, a kierownictwo zbankrutowanego przed­sięwzięcia będzie musiało zrezygnować z dyrektorskich stano­wisk na długo. Żaden zespół robotniczy nie będzie chciał mieć kierowników, którzy doprowadzili już raz firmę do upadłości. Fabryka musi dawać zyski — w przeciwnym razie robotnicy uciekną, albo... usuną dyrekcję.

♦

Zysk, zysk, zysk. Oto wyraz-hasło najczęściej powtarzają­ce się w Jugosławii.

Siedzimy przy obiedzie z dyrektorem kopalni boksytu w ho­telu „Crnogora”, w budującej się stolicy Czarnogórza — Tito- gradzie. Hotel jest nowoczesny, luksusowy, sala kolumnowa wy­łożona kremowym marmurem, meble kryte błękitną skórą. Sala pusta, paru robotników pije piwo spluwając od czasu do czasu na dywany.

— Ten hotel — mówi inżynier — to jeszcze pozostałość z czasów „sowieckich”. Być może za dziesięć lat, gdyby Tito- grad stał się centrum przemysłowym i turystycznym zacząłby da­wać dochody. Na razie martwy kapitał.

Chętnie przyznałem memu rozmówcy, że ten hotel tutaj — to tak jakby nędzarz w łachmanach, któremu palce z butów wyłażą — kupił sobie ni z tego, ni z owego sztywny frakowy półkoszulek z gotową białą muszką.

— Widzi pan, gdyby dzisiaj ktoś wpadł na pomysł budo­wy tutaj takiego hotelu — natychmiast zostałby zamknięty..., nie, nie w więzieniu — dodał szybko widząc me zaniepokoje­nie — ale w domu dla obłąkanych. Taka jest różnica, gdy inwe­stycje ocenia się z punktu widzenia ich rentowności.

W świetle takich rozmów i obserwacji stwierdzić trzeba, że w Jugosławii istnieje dziś duża swoboda dla indywidualnej przedsiębiorczości, a to byłoby nie do osiągnięcia przy dawnym systemie policyjnym, wzorowanym na Sowietach. Ruchliwy i zdolny kierownik przedsiębiorstwa może je prowadzić bez oba­wy, że zostaną mu narzucone dyrektywy biurokratyczne. Może organizować pracę tak jak uważa za wskazane, inwestować w tym kierunku, który uważa za korzystny, kupować surowce tam gdzie chce i potrafi, może nawet spekulować przez termi­nowe zakupy, czy sprzedaże. Jeśli bank państwowy nie chce mu przydzielić dewiz na jakieś tranzakcje z zagranicą, może nabyć walutę obcą w innym przedsiębiorstwie, które dysponuje jej nad­miarem w danej chwili, i wolno mu zapłacić cenę rynkową, wyż­szą nawet, niż kurs urzędowy. Głównym obowiązkiem kierow­nika jest prowadzić zakład tak, by dawał zyski netto do po­działu między robotników.

Sposób podziału tych zysków ustalają robotnicy na dorocz­nych, lub półrocznych zebraniach. Około 35 % zabierają do włas­nych kieszeni (więcej nie opłaca się, gdyż na straży stoi pro­gresywny podatek od dochodu), resztę przeznaczają na budowę domów mieszkalnych przyfabrycznych, żłobków itp. lub na ja­kieś ekstra inwestycje w swej fabryce. Dyrekcję, która przyj­dzie na zebranie ogólne z bilansem niezadawalającym, kolektyw ma prawo usunąć i korzysta z tego prawa.

A więc dla jednostek z inicjatywą — pole działania jest ot­warte. Ale tu właśnie tkwi sęk : czy ten wentyl wolności, który został w Jugosławii otwarty, nie jest przeznaczony tylko dla pewnej uprzywilejowanej grupy? Nie, nie myślę o ,,partyjnych” — ci trzymają się raczej wojska i administracji. Chodzi mi o ma­nagerów, dyrektorów ?

Życie codzienne zaprzecza jednak takiemu przypuszczeniu. Gdy ze znajomym Jugosłowianinem idzie się ulicami miasta i mi­ja się policjanta — nie widzi się w towarzyszu spaceru owego nagłego wstrząsu i zmrożenia — tak charakterystycznych dla wszelkich totalizmów. Jugosłowianie, zwłaszcza Serbowie, są ot­warci, wielomówni i politykują zawzięcie, na ulicy, w kawiarni, w pociągu. Gdy wypiją parę kieliszków rakiji (a przeciętny Serb zaczyna dzień od porcji śliwowicy) gotowi są powiedzieć rzeczy, które zadowolić mogą najśmielsze marzenia szpicla policji poli­tycznej.

O tym, że reżim policyjny został skasowany upewniło mnie jednak najsilniej drobne na pozór wydarzenie w podróży z Czar- nogórza do Skopje. Poznałem w pociągu młodego podoficera artylerii, który jechał na urlop zdrowotny. Na jednej ze stacji trzeba czekać na połączenie całą noc i przezornie zamówiłem so­bie z góry miejsce w hotelu. Dla mego towarzysza podróży po­koju już nie było i wobec tego zaproponowałem mu, by przespał się w moim pokoju, co przyjął z wdzięcznością. Wydarzenie nie do pomyślenia w Rosji, czy którymkolwiek z państw satelickich. Cudzoziemiec i podoficer — czy to nie jest oczywista afera szpie­gowska ? Prawdopodobnie zresztą fakt ten został gdzieś zano­towany w kartotekach UDB, ale takie notatki robi się nie tylko w państwach dyktatorskich. Samo przebywanie z cudzoziemcem w każdym razie nie jest karygodne.

Wiele ciekawych rzeczy opowiedział mi o Jugosławii stary filozof Omar, stróż meczetu w tureckiej dzielnicy Skopje. Wy­starczy przejść most na Vardarze, by znaleźć się w jakimś fan­tastycznym obozowisku azjatyckich Nomadów, chaotycznym skupisku lepianek i kamiennych nor, ruin i rumowisk. W dziel­nicy tej nie ma ulic, nie ma światła, elektryczności, kuchen i ko­minów. Gdy zapada mrok, ludzie jak co dzień, zaczynają przed swymi lepiankami rozpalać ogniska i gotować wieczerzę. Gro­mady nagich dzieciaków oświetlone migotliwym blaskiem og­nisk, muły i osły uwiązane u narożników murów, wszystko to wzmaga wrażenie nierealności, nieprawdopodobieństwa, by coś takiego mogło istnieć w odległości dnia drogi od Monachium, Wiednia, czy Rzymu.

Na wzgórzu, wysoko nad nędzą i brudem rumowisk wzno­si się meczet Mustafa Paszy. Wyrasta on jak poemat z białej, marmurowej koronki, kłamliwie subtelny i uduchowiony, pom­nik obłudy i egoizmu władców. W ogrodach otaczających me­czet, na kamiennej ławce przy fontannie zawsze spotkać mogłem Omara pogrążonego w modlitwie, czy drzemce. Z dala już wi­dać było w mroku białą jego brodę i turban.

Ostatniego dnia megO' pobytu w Skopje zadałem mu py­tanie, czy w Jugosławii panuje obecnie wolność, i czy jego zda­niem wolność jest w ogóle potrzebna ludziom biednym i nie- uczonym ? Czy nie wykorzystają jej źle ?

Omar, który z czasów swej służby wojskowej w armii au­striackiej płynnie mówi po niemiecku, wyjaśnił mi, że wolność jest rzeczą najważniejszą, zarówno dla ludzi pojedyńczych, jak i dla całych narodów. Od chwili gdy Macedonia jest niepodległa źyje się tutaj zupełnie inaczej, nie trzeba ciągle spiskować i ucie­kać w góry —• można pracować, żyć i chwalić Allaha. Ludziom biednym i nieuczonym wolność jest tak samo potrzebna jak wszystkim, tym bardziej, że ludzie uczeni i bogaci wcale nie są mądrzejsi od innych.

Jaka powinna być wolność ? Jakie są jej granice ? Tutaj Omar powołał się na praktykę istniejącą od kilku lat w Jugo­sławii. ,,Pięć lat temu wolności nie było. Mój zięć i jeden wnuk siedzieli w więzieniu. W każdej rodzinie bywały takie wypadki, a ludzie bali się iść spać, bo nocą przychodziła milicja. Dzisiaj już się to nie zdarza i nikt się nie boi. Rząd postanowił, że każdy może robić wszystko co zechce, oczywiście jeśli nie kradnie, ani nie zabija, ale tylko tyle ile może zrobić sam. Jeśli dla jakiegoś swego zamiaru czy postanowienia potrzebuje pomocy wielu in­nych ludzi , albo jeśli ten jego zamiar dotyczy losu innych lu­dzi — to tego mu już rząd zrobić nie pozwala. Taka jest wol­ność i jej granica teraz w Jugosławii, według tego co ja widzę, i myślę, że nie może być inaczej”.

Mam wrażenie że diagnoza Omara jest trafna. Gdy z poli­tykami jugosłowiańskimi dyskutuje się na ten temat, bronią oni z uporem, choć obawiam się bez przekonania, tezy, że jed­nak panuje u nich „demokracja”, która polega przede wszyst­kim na tym, że każdy może wypowiedzieć swe zdanie. Jest to nawet w dużym stopniu prawda, gdyż dzisiaj na zebraniu pu­blicznym, jak nieraz miałem sposobność przekonać się, można wypowiedzieć bardzo nawet opozycyjną opinię i mimo to pozo­stać na wolności. Ale te opozycyjne wypowiedzi nie mają żad­nych środków egzekutywy do swej dyspozycji, takich środków jakie daje zwykły system parlamentarny. Nawet najliczniejsze opozycyjne głosy pozostają zawsze tylko pustymi głosami, licz­nych być może, ale pojedyńczych ludzi, niezwiązanych w poli­tyczną organizację.

Po trzech latach panowania nowego systemu odczuwa się wyraźnie, że Jugosłowianie sami jeszcze nie znają granic posia­danej wolności, jeszcze się wahają i mylą często liberalizm z de­mokracją. Oto świeży przykład : Grupa filmowców w Belgradzie zachęcona walką z biurokracją, jaka prowadzona jest z wyso­kim błogosławieństwem, postanowiła wyprodukować film saty­ryczny biczujący kastę „biurokratów” — coś w rodzaju nowe­go „Rewizora” opartego na swojskich motywach. Film wyko­nany został przez państwową wytwórnię i udał się nadspodzie­wanie. Jest podobno tak znakomity... że władze zakazały jego wyświetlania. Na razie...

Dobrym przykładem dezorientacji wobec pytania „co wolno”? — ze strony społeczeństwa oraz zagadnienia „na co można pozwolić?” — ze strony rządu — był ilustrowa­ny tygodnik „Panorama w Pątki” — „PP” wychodzący w Zagrzebiu, jako pismo zespołu niezależnych dziennikarzy. Ty­godnik szedł po linii socjalistycznej, ale anty rewolucyjnej i trze­ba przyznać, że komuniści jugosłowiańscy cierpieli, ale tolero­wali tę herezję dość długo, aż do czerwca br. Dopiero, gdy re­daktor naczelny wyjechał w sprawach wydawniczych do Nie­miec i stamtąd nadesłał list do redakcji zawiadamiający, że ze względów politycznych pozostaje na emigracji — nastąpiła awan­tura. Do zespołu wszedł na miejsce emigranta członek partii i pismo stało się znacznie bledsze i cichsze.

Usiłują korzystać z wolności studenci wyższych uczelni. Kil­ka razy urządzali już strajki i bojkoty, przeciw’ różnym zarządze­niom władz rektorskich. Ostatnio, na wydziale matematyczno- przyrodniczym w Belgradzie studenci czwartego roku zażądali między innymi dodatkowych terminów egzaminacyjnych, gdyż przy dwóch dotychczasowych niemożliwe było zdać wszystkie przedmioty. Senat odmówił i studenci ogłosili strajk. Trzeba przyznać, że komuniści znaleźli doskonały sposób wybrnięcia z trudnej sytuacji : mianowicie komunistyczna organizacja stu­dencka przyłączyła się do strajku i nawet objęła jego kierow­nictwo. Po czterech dniach Senat poszedł na ustępstwa.

Jak wygląda w praktyce korzystanie ze swobody w życiu gospodarczym i jak daleko może się posunąć — dają pewne po­jęcie następujące przykłady. W przemyśle cementowym, jedna tylko spośród kilkunastu cementowni jest nowocześnie urządzo­na. Produkuje ona tyle cementu, ile wszystkie pozostałe razemi trudno z nią konkurować. Wobec tego małe cementownie za­warły umowę o wspólnej polityce rynkowej, skierowaną przeciw gigantowi. W państwach kapitalistycznych nazywa się to po prostu kartelem — fabryki jugosłowiańskie nazwały to ,,zrzesze­niem” i były niesłychanie zadowolone ze swego wynalazku. Wiel­ka cementownia zaczęła się dusić, gdyż kartel podzielił między siebie rynek i zaczął dyktować ceny. Musiał wtrącić się rząd i roz­wiązał ,, zrzeszenie”.

Tam gdzie w grę wchodzi zysk zjawiają się natychmiast wszystkie stare narowy i metody kapitalistyczne. Już dziś w fa­brykach panuje tendencja zwalniania robotników starszych — na korzyść młodszych i bardziej wydajnych. To samo dotyczy kobiet. Już dziś dyrekcja ma tysiące kłopotów, chcąc skłonić ko­lektyw do kupienia jakiegoś urządzenia ochronnego zwiększają­cego bezpieczeństwo pracy. Robotnicy żałują „swoich” pienię­dzy na nierentowne inwestycje, zupełnie tak samo jak „kapitalis­tyczny wyzyskiwacz”. I związki zawodowe, których zadaniem jest teraz obrona członka kolektywu przed jego własnym kolek­tywem — mają pełne ręce roboty.

Jeśli więc samym Jugosłowianom trudno się czasem zorien­tować we własnej sytuacji i zrozumieć treść zachodzących prze­mian, to cóż dopiero mówić o cudzoziemskich obserwatorach. Pa­miętam pewnego brytyjskiego dziennikarza, który zapytany o wrażenia z Jugosławii odpowiedział mi ze wzruszeniem ra­mion : „No, cóż — jeszcze jedna bałkańska dyktaturka !”.

Można i tak, ale można również i inaczej, jak mnie pouczył pewien młody inżynier z Indonezji, z którym zwiedzaliśmy ra­zem nowe huty w Bośni. Otyły Indonezyjczyk sapał z zachwytu patrząc na wszystko oczyma pełnymi entuzjazmu. Gdy mu po­wiedziano, że robotnik przy budowie zarabia średnio 60 dinarów za godzinę (około 20 centów amerykańskich), pokiwał tylko głową : U nas —powiedział — robotnik zarabia tyle przez cały dzień, a Indonezja jest potencjalnie jednym z najbogatszych kra­jów świata. U nas produkuje się 40 % światowego zużycia kau­czuku i 20 % cyny, 40 % juty i 90 % chininy, ale to wszystko nie należy do nas. Szczęśliwa Jugosławia.

*Łukasz WINIARSKI*

Der MONAT

**MIĘDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKYEGO
Berlin-Dahlem, Saargemiinder Strasse *25.***

**Cena egzemplarza — 1 DM.**

***Sprawy i Troski***

Uwagi i wnioski w sprawie Kolegium Wolnej Europy

Idea wyższej uczelni dla uchodźców zza żelaznej kurtyny zrodziła się w pierwszych latach po wojnie. Trzeba tu przypom­nieć zarówno pierwsze próby w Niemczech (Uniwersytet UNRRA, Uniwersytet Bałtycki, Uniwersytet Ukraiński), jak i inicjatywę redakcji ,,Kultury” podjętą przez Kongres Wolności Kultury w Berlinie i Brukseli w 1950 r. Nie chodziło o jeszcze jedną im­prezę dobroczynną w stylu ,,opieki nad uchodźcami”, ale o akcję mającą ułatwić uchodźcom rozwijanie ich własnych wartości kul­turalnych, które mogły być łatwo starte na proch między kamie­niami młyńskimi sowietyzacji i „readaptacji”.

Może nie będzie przesadą powiedzieć, że koncepcja Uniwer­sytetu uchodźców miała być śmiałą próbą uratowania jedności kultury na naszym kontynencie. Kultura ta stanowiła wspólny dorobek narodów z obu stron żelaznej kurtyny. Wobec ustania procesu rozwojowego wspólnej kultury europejskiej zachodzi nie­bezpieczeństwo, polegające na tym, że typ zachodni będzie się wyodrębniać. Od roku 1945 kultura Europy Zachodniej jest roz­wijana bez udziału 200 milionów Europejczyków. Trzeba to pod­kreślić, bo zbyt jednostronnie podkreśla się odcięcie „wschodu” Europy od wpływów zachodu, zapominając, że istnieje tu korre- lacja.

Badaniem rzeczywistości w krajach zakurtynowych zajmują się istniejące w dużej — może nawet nadmiernej liczbie — oś­rodki, ale jak dotychczas prace ich cierpią wskutek zbytniej jed­nostronności. Mają być one narzędziem wojny psychologicznej. Dziwne może się wydać w ustach Polaka twierdzenie, że to jed­nostronne założenie w znacznej mierze udaremnia spełnienie za­dań. Trzeba przede wszystkim znać prawdę -— niezależnie od celu, do jakiego\* to poznanie ma służyć — bo wytknięcie sobie z góry określonych zadań praktycznych ogranicza i pomniejsza możliwości poznania i zrozumienia. Zadanie wyzyskania zdoby­tej wiedzy jest zadaniem wtórnym.

Jednostronności badań wschodnich towarzyszy ich odcinko- wość. Podzielono terytoria bloku sowieckiego między rzeczo­znawców i każdy bada swój odcinek. Tymczasem dziś już na­wet tak wielki ,,odcinek” jak Związek Sowiecki nie może być przedmiotem badań samodzielnych, bo jest on częścią większe­go i coraz bardziej jednolitego systemu. Z jeszcze większą słusz­nością można to powiedzieć o każdym innym kraju Związku So­wieckiego. Specjalizacji terytorialnej w badaniach Wschodu to­warzyszy brak specjalizacji rzeczowej, czego wynikiem jest spły­cenie.

Każda teza, oparta na badaniach źródeł, powinna być o ile możności skonfrontowana z relacjami żywych ludzi, znających teren. Żadne „protokóły przesłuchań”, dostępne dla niewielkie­go grona wtajemniczonych, nie mogą tu zastąpić współpracy z tymi, którzy wciąż jeszcze w dużej liczbie przybywają z kra­jów ujarzmionych. Tym bardziej dotyczy to różnych propagan­dowo opracowanych relacji, drukowanych przez prasę, a pozio­mem swym dostosowanych nie do potrzeb badacza, lecz do po­trzeb najmniej inteligentnych czytelników.

Na takich zasadach oparta działalność ośrodków, naukowo- badawczych jest koniecznym warunkiem skuteczności poczynań politycznych i propagandowych Zachodu. Nie można oddziały­wać na kraje, których się nie zna, a wyższość Zachodu polega na tym, że nie obawia się on poznawania, nie wyznacza poznaw­czej działalności ciasnych ram i ograniczeń. Praca badawcza łą­czy się zawsze z kształceniem sił naukowych na stopniu najwyż­szym. Dzięki temu jej zorganizowanie równocześnie rozwiąże pro­blem kształcenia kadr naukowych narodów ujarzmionych.

To zagadnienie wiąże się też z zagadnieniem losów młodzie­ży uchodźczej — ale nie powinno być z nim mieszane. Dziś wi­dzimy te rzeczy wyraźniej niż przed trzema-czterema laty. Mło­dzieży, pochodzącej zza żelaznej kurtyny, która chciałaby się kształcić i miała ku temu zdolności jest bardzo dużo. Uwzględ­niając wszystkie dziedziny studiów i wszelkie uchodźcze grupy narodowe naukę na poziomie akademickim pobiera na Zachodzie na pewno ponad 10.000 studentów i studentek. Kształcą się w An­glii, gdzie liczba samych stypendystów polskich dochodziła do 1.700, kształcą się w Niemczech, Hiszpanii, Francji, we Wło­szech, w Stanach Zjednoczonych, w Szwajcarii, Kanadzie, Szwe­cji, Belgii i jeszcze wielu innych krajach.

Zebranie tych wszystkich studentów w jednej uczelni wyma­gałoby olbrzymiego wysiłku finansowego i organizacyjnego. Czy byłoby pożądane ? Wydaje się że nie. Uchodźcy ze środkowo­wschodniej Europy rozmieszczeni są w różnych krajach Zacho­du i w różnych krajach będą musieli szukać pracy. Dlaczegóż psuć im szanse zdobycia pracy po ukończeniu studiów przez kształcenie w innym języku niż ten, w którym będą musieli pracować, nie mówiąc o trudnościach nostryfikacji dyplomów itd. Na przykład po jakie licho Polak, mający prawo pobytuw Anglii, który w tej Anglii ukończył szkołę średnią, ma studio­wać medycynę we Francji ?

Czy dlatego, że we Francji nie będzie mógł pracować?

Gdy mamy wskazywać naszej młodzieży kierunek studiów na obczyźnie to moglibyśmy wziąć na siebie odpowiedzialność za kształcenie wyłącznie do pracy zawodowej w Kraju wtedy tyl­ko, gdyby nam ktoś poważny zagwarantował, że po ukończe­niu przez nią studiów opadnie żelazna kurtyna. Ponieważ takiej gwarancji nie ma musimy zalecać takie postawienie sprawy stu­diów na emigracji, by studia te stanowiły także podstawę do uzyskania pracy zawodowej w wolnym świecie.

Byłoby oczywiście absurdem pomijanie młodych, wykształ­conych już na zachodzie znawców zagadnień środkowej Europy przy angażowaniu do istniejących placówek studiów czy propa­gandy, zajmujących się światem ujarzmionym. Skądinąd jednak nikt poważny nie będzie na takich perspektywach budował pla­nów przyszłości, zwłaszcza ze względu na notoryczną niestałość i bezplanowość wielu prac tego rodzaju.

Pozornie dochodzimy tu do przeciwstawnych wniosków : stu­dia „wschodnie” są niezbędne, ale na Zachodzie jakby nieprzy­datne. Wykazanie tej pozornej przeciwstawności pozwoli nam dopiero szukać właściwego rozwiązania. Trzeba wychować lu­dzi wielostronnych, żyjących na Zachodzie i rozumiejących rów­nocześnie i Zachód i Wschód, czyli istotę ich konfliktu.

Czyż normalnie na każdej poważnej wyższej uczelni nie ist­nieją katedry, lektoraty, instytuty poświęcone specjalnie różnym krajom i różnym kulturom ? Czyż jakikolwiek poważny uczony może operować literaturą jednego kraju i jednym jedynym języ­kiem ? Czyż prasa fachowa wszelkich dziedzin nauki i techniki nie poświęca wiele miejsca zdobyczom innych krajów ? Czy na­wet technicy nie szukają w innych krajach rozwiązania zagad­nień, jakie stawia przed nimi życie ? Cóż dopiero humaniści !

Funkcja łączenia zdobyczy wiedzy na Zachodzie i Wscho­dzie ze znajomością i zrozumieniem faktów na Zachodzie i Wscho­dzie jest funkcją specyficzną i trudną, wymagającą szczególnych kwalifikacji i szczególnych warunków. Bez wykonania tego za­dania nie może być jednak mowy o żadnym zwycięstwie „wol­nego świata” nad blokiem komunistycznym. Przemyślenie kon­cepcji studiów wschodnich z udziałem młodzieży, pochodzącej z krajów objętych dyktaturą wschodnią, oraz wysiłek poświę­cony na jej wprowadzenie w życie *powinny być proporcjonalne do ważności zadania.*

Jest oczywiście i zadanie inne, polegające po prostu na za­pewnieniu możliwości studiów dla młodzieży uchodźczej. Pod tym kątem widzenia myślano o sprawie Uniwersytetu Wolnej Europy w chwili jego powoływania do życia. Jednakże szczupła ilość tych przyznawanych w Kolegium sztrasburskim stypen­diów wyznacza tej inicjatywie w hierarchii tych, filantropijnych raczej poczynań, miejsce nie najpierwsze. Piszę *,,raczej filantro­pijnych”,* gdyż każdy uchodźca wykształcony na Zachodzie,

choćby tylko zawodowo, jest pewnym dodatnim osiągnięciem i zawsze będzie miał pewne pojęcie o problemach swego kraju oj­czystego, zwłaszcza gdy urządzi się mu tanim kosztem kursy wakacyjne z wykładami na tematy ogólne, dotyczące właśnie właśnie jego krajów, a nie będzie się go częstować jak dotąd, specjalistycznymi wykładami zachodnich neutralistów, którzy o Europie Środkowej wiedzą mniej od przeciętnego studenta- uchodźcy.

W praktyce wyższych studiów łączy się zwykle przygoto­wanie do badań naukowych z przygotowaniem do pracy zawo­dowej. Nie tu miejsce na rozważanie czy to jest dobre czy złe. Trzeba ograniczyć się do stwierdzenia że tak jest, i zwrócić uwagę na to, że prawie we wszystkich krajach i wszystkich dzie­dzinach studia wyższe dzielą się jakby na dwa etapy : w pierw­szym przygotowuje się do pracy zawodowej ale i zapoznaje stu­denta z podstawowymi pojęciami i z metodą danej nauki. W dru­giej ćwiczy w samodzielnym zastosowaniu tej metody, czyli przede wszystkim przygotowuje do pracy badawczo-naukowej. Seminaria wyższego stopnia, konferencje z profesorami czy asys­tentami, praca laboratoryjna i biblioteczna — to narzędzia słu­żące temu przygotowaniu. Niektóre z tych narzędzi — jak kon­takt ze studentami na seminariach, potrzebne są nie tylko stu­dentom, ale także profesorom, zmuszają ich do ciągłego wysił­ku i zapładniają ich nowymi myślami. Oczywiście nie dotyczy to tych uczelni, w których panuje szkolna atmosfera tępego przyjmowania ,,słów magistra” za prawdę absolutną.

❖

Między koncepcją a kształtem nadanym jej w realizacji po- wstaje zawsze rozbieżność. Jakkolwiek myśl o powołaniu do ży­cia Uniwersytetu Uchodźców była urzeczywistniana bez udziału tych, którzy ją wysunęli, u początku Kolegium Wolnej Europy leżała uchwala berlińska o powołaniu Uniwersytetu Uchodźcze­go. Ślad tego pozostał w nazwie ,,Uniwersytet Wolnej Europy”, jaka figuruje w dokumencie, spoczywającym w aktach stanu New York. Kolegium Wolnej Europy ma być ,,częścią” tego uniwersytetu, bo trudno nazywać je uniwersytetem, ale jest nie­stety częścią... jedyną. Gra terminologii nie wiele zmienia istotę rzeczy, która polega na tym, że uniwersytet dla młodzieży uchodź­czej *nie istnieje.* Mówić można tylko o Kolegium.

Gdy zrezygnowano z myśli tworzenia osobnej, pełnej uczel­ni, postanowiono bursę dla młodzieży uchodźczej umieścić przy którymś z istniejących uniwersytetów i wybrano Strassburg, ja­ko stolicę jednoczącej się Europy w teorii, jednoczącej się Szar- lemanii w praktyce. Tym samym przesądzono-, że stypendyści Kolegium będą odbywać czy kończyć wyższe studia we Francji.

Francuski system uniwersytecki cechuje przede wszystkim ogromna koncentracja studiów w Paryżu. Wynika to z centra­lizmu, właściwego temu krajowi, a objawia się w tym, że tzw.

*agrégation,* odpowiadającą naszej habilitacji, uzyskać można tyl­ko w Paryżu. Została ona wyjęta z kompetencji poszczególnych wyższych uczelni i oddana komisjom centralnym, złożonym w praktyce z profesorów paryskich. Wskutek tego młodzież, która myśli o karierze naukowej, młodzież najzdolniejsza, roz­poczyna studia w Paryżu. Póki ten system będzie trwać, a nic nie zapowiada jego zmiany, uniwersytety prowincjonalne skaza­ne będą na degradację do poziomu szkół zawodowych. Ambicją każdego profesora uczelni prowincjonalnej jest dostać się do Paryża, tak że np. około trzecia część sztrasburskich profeso­rów... mieszka w Paryżu. Już za czasów istnienia Kolegium z pro­fesorów sztrasburskich dwaj przenieśli się do Paryża : Jean Fa­bre, historyk, jeden z paru uczonych sztrasburskich interesują­cych się Europą wschodnią (autor dzieła o Stanisławie Auguście Poniatowskim i luminarzach Europy) oraz znawca gospodarki niemieckiej, Pietre.

Uchodźcy, odbywający swe studia we Francji, stają przed niezwykle trudnym zagadnieniem zużytkowania swej wiedzy. Wiadomo, że po pierwsze możliwość zatrudnienia obcych oby­wateli we Francji jest szczególnie ograniczona, po drugie wy­magania językowe w tym kraju są szczególnie wielkie. W in­nych krajach zdarza się, że student nie znający języka miejsco­wego już pO' roku zdaje pomyślnie egzaminy ze studiów, gdyż profesorowie pobłażliwie traktują błędy językowe, egzaminują w obcych językach lub nawet, jak to było w Anglii, używają tłumaczy. We Francji to jest nie do pomyślenia. Stąd studenci muszą najpierw poświęcić wiele czasu na uczenie się języka, a potem często przepadają przy egzaminach z języka lub też, jak o tym pisał p. Różycki, są ścinani za błędy językowe przy egza­minach z przedmiotu swych studiów. A właśnie znalezienie pra­cy przy której będzie się używało języka francuskiego jest dla uchodźcy szczególnie trudne.

Nie jest to jedyny paradoks sztrasburski : przeszkody praw­ne nie utrudniałyby znalezienia pracy zawodowej studentom natu- ralizowanym, ale ci właśnie są wykluczeni, moim zdaniem nie­słusznie, przez Kolegium Wolnej Europy. Naturalizowani koń­czą przeważnie szkoły średnie francuskie. Największego kontyn­gentu Polaków nie naturalizowanych, a znających język fran­cuski, dostarcza liceum w Les Ageux. Na humoreskę zakrawa już fakt, że w tym roku z uczniów tego liceum przyznano sty­pendium temu jedynemu, który z powodu niedostatecznych po­stępów w nauce... nie został dopuszczony do matury. Stypen­dia przyznaje się *przed* egzaminami maturalnymi !

Zagadnienie trudności językowych jest szczególnie istotne w Strassburgu, gdyż uniwersytet stawia sobie za cel nauczenie poprawnego języka francuskiego Alzatczyków, którzy jak wia­domo często mówią dialektem miejscowym. Równa miara wy­magań językowych musi być, zdaniem profesorów francuskich, zachowana wobec studentów-cudzoziemców.

Mocną stroną uniwersytetu sztrasburskiego są studia che­miczne i fizyczne (Instytut Fizyki Atomowej). Natomiast studia ekonomiczne i socjologiczne są w Strassburgu właściwie nie­możliwe. Teoria ekonomii wykładana jest tak jak się ją wykła­dało na fakultetach prawa w uniwersytetach starej daty. Student wydziału prawa uniwersytetu sztrasburskiego nie będzie znał ani nowoczesnej teorii pełnego zatrudnienia, ani szkoły neoliberalnej, ani ekonomii marksistowskiej.

Konieczność wkuwania różnych przepisów administracyj­nych francuskich, kodeksu Napoleona itp. nie pozostawi czasu na pracę samodzielną dla uzupełnienia tych luk nawet studento­wi wolnemu od wykładów w Kolegium i od nauki języka.

W innych działach humanistycznych podobny obraz : wy­kładów literatury krajów środkowej Europy, albo nie ma, albo są prowadzone w minimalnym zakresie, niedającym się porów­nać nawet z możliwościami studiów slawistycznych itp. w Pa­ryżu lub Londynie. O filozofii marksistowskiej nie ma co ma­rzyć.

Strassburg ma aż dwie uczelnie specjalne, poświęcone stu­diom politycznym.

Pierwsza — „Institut d’Etudes Politiques” to trzyletnie stu­dium, mające przygotować kandydatów do egzaminów konkur­sowych „Ecole Nationale d’Administration”, kształcącej urzęd­ników administracyjnych Francji. Jak informuje prospekt, ab­solwenci mogą liczyć na posady na kolei, w bankach lub tp. Uchodźcy ich oczywiście nie dostaną.

Wykłady obejmują :

Na pierwszym roku geografię gospodarczą ogólną, ekono­mię, historię ogólną i historię instytucji prawa publicznego, geo­grafię wielkich przestrzeni, instytucję prawa prywatnego.

Na drugim roku : zagadnienia monetarne, prawo administra­cyjne, demografię, geografię Francji, kredyt bankowy, problem surowców, rachunkowość, prawo budżetowe, politykę gospodar­czą, doktryny polityczne.

Na trzecim roku prawo pracy, ubezpieczenia społeczne, his­torię pracy, problem klas społecznych, „biologię społeczną”, prawo handlowe, dalszy ciąg doktryn politycznych. Jedynie wy­kłady o instytucjach prawa publicznego państw obcych mogą za­wierać elementy szczególnie interesujące słuchacza uchodźczego, gdyż wykładowca, profesor Mouskhely, z pochodzenia Gruzin, zna Europę Wschodnią i uwzględnia ją dość szeroko.

Program robi wrażenie dość wszechstronnego, acz nieskoor­dynowanego, ale ilość godzin wykładów na semestr jest niepro­porcjonalnie mała w stosunku do tej jego rozległości.

Drugą quasi uczelnią polityczną jest jednoroczny „Centre Universitaire des Hautes Etudes Européennes”. W programie pierwszego semestru na bieżący rok znajdujemy następujące wy­kłady :

W sekcji ekonomicznej : charakterystyka ogólna gospodarki europejskiej, typu regionów gospodarczych w Europie, główne aspekty gospodarki niemieckiej.

W sekcji politycznej i „instytucjonalnej” : procedura przy­stąpienia do wojny w konstytucjach europejskich, pozostałości osobistej\_ swobody w Europie, technika federalizmu, problemy Niemiec współczesnych, Wspólnota Węgla i Stali na tle prawa międzynarodowego.

Sekcja społeczna to trzy wykłady o „productivité”, jeden poświęcony szczególnie jej ocenie w ideologii socjalistycznej.

Sekcja „zagadnień cywilizacji” to wykład profesora Gorie- ly z Brukseli o rozwoju ewolucji poczucia narodowego w Eu­ropie, prof. Sviacc’i z Genui o tradycjach cywilizacji europej­skiej i prof. L’Huillier z Dijon o „duchu europejskim od księ­cia de Ligne do Churchilla”.

Centrum zasługuje raczej na miano jakichś kursów niż uczel­ni. Cały program jednej sekcji bez trudu zmieściłby się w ra­mach krótkiego kursu wakacyjnego. Toteż centrum właściwie nie daje dyplomów, a tylko zaświadczenia o wysłuchaniu wykła­dów i złożeniu pracy na temat, związany z jednym z przedmio­tów. Nie można uczęszczania na wykłady „Centre” uważać za jakieś samodzielne studium.

Pierwszą rzeczą, która uderza w programach obu uczelni, jest brak tematyki wschodnio-europejskiej, tak samo zresztą, jak na uniwersytecie. Nic w tym dziwnego, bo specjalnością Strass- burga w dziedzinie nauk politycznych są Niemcy i stosunki fran- cusko-niemieckie. Logicznie wynijca z tego zainteresowanie za­gadnieniami CECA (Wspólnota Węgla i Stali) i Rady Europy.

Zdarzają się jednak rodzynki wschodnio-europejskie. Jed­nym z nich są np. wykłady o stalinowskim planie przekształce­nia natury albo o „aménagement des régions arctiques”. Stu­denci polscy, którzy w „urządzaniu” rejonów arktycznych brali czynny udział uważają ten wykład za jakieś nieporozumienie...

„Centre” powstać miał — wedle prospektu — z myśli, że Strassburg jest „najlepszym miejscem dla całkowicie obiektyw­nej pracy nad znalezieniem wspólnych wskazań dla całej Euro­py. Samo studium głębokich przyczyn, które przeszkadzają jesz­cze niektórym państwom włączyć się w nowe ramy pozwoli niewątpliwie usunąć wiele trudności, wynikających z odmien­nej psychologii politycznej i ujawniając bez obsłonek powody pew­nych oporów pozwoli otworzyć nowe źródła otuchy”.

Powyższe słowa mogłyby skłonić do przypuszczenia, że „Centre” ma jednak interesować się *całością* Europy. Ale spo­sób sformułowania tej myśli jest zastanawiający. Kto to ma wejść w nowe, sztrasburskie ramy ? Kraje ujarzmione ? W ta­kim razie przypisywanie ich separacji „odmiennej psychologii” dość mało ma wspólnego z rzeczywistością. A może i sam Zwią­zek Sowiecki ? Ma on, wedle pięknych intencji sztrasburskich uczonych, będąc ośrodkiem władzy nad blisko połową świata, przezwyciężyć psychologiczne trudności i wejść w nowe ramySzarlemanii ? Coś tak, jakby wieloryb miał wejść w ramy ostry­gi, przezwyciężywszy psychologiczne trudności. Takie ujmowa­nie zagadnienia niezbyt dobrze świadczy o wynikach badania politycznych faktów naszego stulecia przez sztrasburskich uczo­nych.

♦

Jeżeli chodzi o takie najniezbędniejsze narzędzie pracy nau­kowej jak biblioteka to sprawa nie wygląda z naszego punktu widzenia wesoło. Biblioteka uniwersytecka jest wprawdzie bar­dzo bogata, ale dla studiowania “współczesnej rzeczywistości za żelazną kurtyną nie zawiera prawie nic — poza książkami wy­danymi po francusku. Podstawowych czasopism naukowych pol­skich nie ma w całym Strassburgu (ani ,,Nowych Dróg”, ani „Ekonomisty”, ani „Przeglądu Filozoficznego”, ani „Twór­czości”), to znaczy nie ma ich także w bibliotece Kolegium. Po­dobnie jest z nowymi książkami z kraju. W ogóle biblioteka Ko­legium jest dobierana przypadkowo i trudno ją poważnie trakto­wać.

Z punktu widzenia studiów wschodnio-europejskich uniwer­sytet sztrasburski nie daje prawie nic. Zakładając Kolegium ule­gano pewnemu złudzeniu pod tym względem, nie odróżniając du­cha szarlemańskiego od ducha europejskiego. A może myślano, że uzupełni studia uniwersyteckie samo Kolegium ?

Taka koncepcja, nawet najlepiej wykonana, byłaby trudna do urzeczywistnienia. Drugi tor pracy (a czasem, ze względu na język, trzeci), niezwiązany ze studiami uniwersyteckimi jest czymś nielogicznym, rozrywającym czas i kierunek myślenia. Jeżeli student ekonomii na seminarium (po francusku *confé­rence de méthode)* wykonuje pracę z zakresu ekonomii marksis­towskiej lub pracę opisową, dotyczącą jego kraju, to łączy się ona logicznie z jego studiami. Ale jeżeli studiuje biologię, nie ma pojęcia o Wawiłowie i Lysience, ani o tym co pisze Dembow­ski, ale za to wysłuchuje wykładów o literaturze socrealistycz­nej lub o ideologii neutralistycznej (oczywiście ocenianej pozy­tywnie) z punktu widzenia tradycyjnej polityki Wielkiej Bry­tanii, to trudno mu się dziwić, że zasypia.

„Tutor” — tak się nazywają opiekunowie, nauczyciele i wy­chowawcy grup narodowych — nie może nawet w przybliżeniu spełnić zadania zastąpienia specjalistów wielu dziedzin, kształ­cących młodzież na poziomie uniwersyteckim. Najlepsi tutorzy — a o polskim mówiono mi wiele komplementów — mogą uzu­pełnić braki elementarne, dać pewne ogólne pojęcie o zagadnie­niach politycznych, ale nie wychowają specjalistów naukowych.

Zresztą prawdę powiedziawszy o takim specjalizowaniu się nie ma mowy ze względu na sam już rozkład czasu studenta Kolegium. Ten rozkład czasu wiele wyjaśnia, między innymi mizerne wyniki egzaminów.

Kolegium mieści się o 2.200 metrów od końcowego przy- ' Stanku linii tramwajowej. Kto korzysta z tramwaju traci na do­stanie się na uniwersytet blisko godzinę czasu. Takie położenie Kolegium ,,neutralizuje” wszystkie korzyści, jakie normalnie da- je studiowanie w małym mieście — to jest oszczędność na cza­sie przy korzystaniu z zakładów i bibliotek, położonych w róż­nych gmachach.

Wobec dużej odległości Kolegium od gmachów uniwersy­teckich studenci korzystają z autobusów Kolegium, które prze­wożą ich bezpłatnie, ale tylko 4 czy 5 razy dziennie. Wobec te­go, że godziny wykładów są bardzo różne zamiast straty czasu na dojazd pozostaje strata czasu na oczekiwanie autobusu lub wykładu.

Oto rozkład dnia studenta Kolegium :

Wyjazd z Kolegium : 8,40. Powrót 12,45.

Wyjazd po obiedzie 14,30. Powrót 18,30 lub 20.

Po kolacji prawie codziennie wykład w grupie narodowej od 20 do 21, względnie kursy języka. W sobotę popołudniu (16-18) konferencje ogólne dla wszystkich stypendystów.

Wolne chwile przeznaczyć należy na przygotowania do eg­zaminów uczelnianych lub egzaminów w Kolegium oraz — wol­ne żarty — na samodzielną pracę naukową, to jest przygotowa­nie prac lub tp. Cały dzień jest zajęty, choć studenci wciąż tra­cą jakiejś końcówki czasu, czekając na autobus lub na wykład po przyjeździe. Te końcówki czasu nie są do zużytkowania, bo nie warto iść do biblioteki, gdy ma się tylko godzinę czasu.

Próby samodzielnych inicjatyw, jak ,,seminarium A” pozba­wione fachowego kierownictwa i zajmujące się zbyt rozległą tematyką, czy ostatnio wprowadzony zwyczaj sporządzania wy­ciągów bibliograficznych z prasy to są drobne, doraźne’ impro­wizacje, raczej dowód dobrych chęci niż przejaw prowadzenia pracy.

Są jeszcze kursy wakacyjne. Nie będę powtarzał tego, co pisał o nich p. Różycki. Jego opinia wydaje mi się słuszna. Dobór prelegentów przypadkowy, równie jak dobór tematów, z jednym czy dwoma wyjątkami niezwiązanych z zagadnieniami wschodniej Europy. Poziom wykładów mocno nierówny, nieraz źródłem informacji wykładowców są broszury propagandowe rozdawane prasie brukowej w niektórych ,,Propagandaamtach”, zawierające nieprawdopodobne zupełnie bzdury. Problematy­ka ta sama co w wykładach uczelni politycznych Strassburga i duch ten sam. Słuchacze Kolegium odczuwają te wykłady ja­ko ciężki przymus i gwałt, zadawany ich aspiracjom do pozna­nia prawdy, a w najlepszym wypadku jako balast.

♦

X

Stawianie kropek nad ,,i” jest już zbyteczne. Nie chcemy stwarzać fałszywego wrażenia, iż nie doceniamy wielkiej wagi samej inicjatywy. Ostatecznie każdy uchodźca, odbywający stu­dia na Zachodzie, to zdobycz cenna.

Nade wszystko nie można zapominać o tym, że przerwanie podjętej akcji byłoby nieszczęściem znacznie większym niż wszyst­kie popełnione dotychczas błędy. Kto zaczął studia dzięki stypen­dium Wolnej Europy powinien je skończyć, choćby miejsce i kie­runek tych studiów nie były właściwie wybrane.

Przerwanie wszystkiego byłoby jeszcze jednym dowodem, że wszelkie inicjatywy amerykańskie dotyczące uchodźców z Eu­ropy Wschodniej są dorywcze i niepoważne. Byłby to zatem jeszcze jeden krok w niebezpiecznej akcji fabrykowania wrogów Ameryki, która polega, jak wiadomo, na podejmowaniu i prze­rywaniu inicjatyw w sposób, rozkładający uchodźctwo.

Błędy popełniane w działaniu nie kompromitują nikogo, kompromituje natomiast przerywanie akcji w zasadzie słusznych i koniecznych, dlatego tylko, że zrażono się początkowymi błę­dami .

Możemy teraz przejść do skreślenia programu naprawy, ja­ki nam się nasuwa. Trzeba najpierw postawić kilka tez, które opieramy na krytyce dotychczasowych posunięć :

1. Udzielanie elementarnych wiadomości o kraju ojczystym nie może być celem Kolegium. Posiadanie tych wiadomości musi być *warunkiem udzielania stypendium.* W wypadkach wątpli­wych trzeba się uciec do egzaminu.
2. Studia uniwersyteckie muszą być *logicznie połączone* z te­matyką wschodnio-europejską, tematyka ta nie może być jakimś drugim, całkowicie odrębnym torem, jakąś ,, ścieżką obok drogi”.
3. Trzeba studia środkowo-europejskie specjalizować zgod­nie ze specjalizacją naukową studenta, gdyż tylko wówczas będą to naprawdę studia.
4. Trzeba dać studentowi takie przygotowanie, które mu da możliwości pracy na Zachodzie a równocześnie znajomość dok­tryn i faktów z jego dziedziny, w kraju wschodniej Europy z któ­rego pochodzi, względnie w systemie komunistycznym.
5. Trzeba mu dać warsztat pracy umożliwiający osiągnięcie tych celów.

Program działania oparty na tych tezach powinien przewidy­wać pozostawienie stypendystom swobody odbywania pierwsze­go etapu studiów w kraju, w którym zamierzają pracować po ukończeniu studiów. Można najwyżej udzielać studentom rad, ale na to trzeba też ludzi orientujących się w studiach na terenie róż­nych krajów Europy.

Drugi etap sfudiów, to jest z reguły praca samodzielna dla uzyskania wyższego stopnia naukowego (np. doktoratu) powi­nien się odbywać na terenie Kolegium, które powinno całkowi­cie zmienić swój charakter, kompletując bibliotekę z prawdzi­wego zdarzenia i szkieletowy ale pełny zespół pracowników na­ukowych, mogących prowadzić seminaria na najwyższym pozio­mie i młodym doktorantom udzielać pomocy i rady szczególnie

z punktu widzenia poznania literatury naukowej i zagadnień kra­jów spoza żelaznej kurtyny. Samo Kolegium nie powinno przy tym nadawać tytułów naukowych, a jedynie być ośrodkiem ułat­wiającym uzyskanie tych tytułów na tej uczelni, na której stu­dent rozpoczął naukę.

Wbrew powierzchownym sądom chodzi nie tylko' o nauki polityczne, czy w ogóle humanistyczne. Chodzi również o zna­jomość komunistycznej psychologii i psychiatrii, biologii, gene­tyki, higieny, architektury, urbanistyki, geografii, geologii, itd., jednym słowem niemal wszystkich dziedzin wiedzy.

O ile wbicie w głowę np. studenta psychologii jakichś przy­padkowo dobranych zagadnień gospodarczych w niczym nie uła­twi mu pracy ani na Zachodzie, ani po powrocie do kraju, o tyle danie mu obok znajomości psychologii zachodniej także wiedzy o odnośnych pracach sowieckich czy polskich spełni oba te za­dania. Wydaje się to aż nadto oczywiste.

Wydaje się też, że przy takim postawieniu Kolegium, które wówczas zasługiwałoby na miano wyższej uczelni, powstanie oś­rodek badań, spełniający we współdziałaniu pracowników nauko­wych różnych narodowości i różnych dziedzin te zadania, jakie nieudolnie spełnić próbują niezliczone i rozproszkowane sekcje i instytuty badawcze. Taki ośrodek będzie promieniować na kra­je europejskie i dostarczać ich uczelniom ludzi, przygotowanych do rozwiązywania zagadnień współczesnego świata.

*Wojciech ZALESKI*

Ludzie z Kraju o F.E.

Opinie i wnioski, które tutaj przedstawię,, będą — o ile w ten sposób można się wyrazić — średnią opinii i wniosków, pochodzących od ludzi z Kraju przybywających na Zachód.

Z ludźmi tymi często rozmawiam i zawsze poruszam spra­wę audycji zachodnich.

Jakie są zatem potrzeby Kraju ?

Zanim jednak odpowiem na to pierwsze zasadnicze pytanie — postawię drugie, niemniej zasadnicze : czy w ogóle ludzie w Kraju łakną wiadomości z radia zachodniego ?

Tak : większość ludzi w Kraju słucha bezpośrednio, względ­nie interesuje się programami nadawanymi przez zachodnie ra­diostacje, choć — jak wiadomo — połączone to jest z pewnym ryzykiem. Ale nie jest to łaknięcie znane z czasów okupacji, gdy wiara w Zachód była wielka, a zaufanie głębokie, gdy z góry było wiadomo, że za rok czy za dwa Niemcy zostaną pobici.

Dzisiaj jest inaczej. Słuchacz polski przeszedł poważne prze­obrażenia : stał się słuchaczem bystrzejszym, bardziej politycz-nie i społecznie — dzięki komunizmowi (!) — uświadomionym, nie oczekuje zmian szybkich i łatwych. To nastawienie słu­chacza krajowego, słuchacza przeciętnego, wyraża się często w takich słowach, jak np.: ,,Od 39-go roku mówią i mówią, ale nic nie wymówili”. I istotnie, nic nie wymówili : trudno temu zaprzeczyć.

Dlatego też pewien procent ludzi w Kraju audycji zachod­nich nie słucha, ,,bo i tak nic nie wymówią”.

Niemniej jednak większość ludzi słucha albo interesuje się wiadomościami zachodnimi, ale słucha i interesuje się nie bez irytacji, nie bez pobłażliwości, nie bez dozy żalu, nie z zupełną wiarą i zaufaniem : ,,co i kiedy oni wymówią?”

Audycje zachodnie w języku polskim mają już jednak swo­je konkretne owoce, z których nie ma powodów specjalnie do dumy ; owocami tymi są niektórzy marynarze, a również i nie marynarze, którzy uciekli na Zachód, doznając jednak zaraz po otrząśnięciu się z przeżyć ,,wybierania wolności” dużego rozcza­rowania, gdy okazało się, iż poza obozem dla uciekinierów nic ciekawszego na Zachodzie nie ma, a widoki na przyjęcie do za­morskiego kraju imigracyjnego są bardzo odległe, zamazane i często zmuszające kandydata albo do zmiany zawodu (co np. w wypadku marynarza jest raczej trudne do przyjęcia) lub do deklasacji (co w żadnym wypadku nie jest przyjemne).

Tego rodzaju owoce zbierają wszystkie zachodnie radiosta­cje, ale niewątpliwie najwięcej ich zbiera radio amerykańskie, choć — jestem pewien — dyrektorom ideologicznym i progra­mowym tego rodzaju konstatacja będzie się wydawała dziwna, gdyż oni nas zapewnią, że do ucieczek nie namawiają. Prawda : nie namawiają ; ale to co mówią i jak mówią dla wielu łatwo- duchów antykomunistycznie i patriotycznie nastrojonych jest wy­starczające dla szukania dróg do ,,wybrania wolności”.

Nie tutaj miejsce na szersze uzasadnienie tego twierdzenia, nie ulegającego wątpliwości dla wielu obserwatorów zachod­nich, którzy mają możność rozmawiania z uciekinierami z Kra­ju-

W świetle tych konstatacji, może zupełnie nie przesadza propaganda reżimowa, gdy twierdzi, że ludzie uciekający z Kra­ju są ofiarami „szczekaczek kapitalistycznych”, jak nazwał roz­głośnie zachodnie sam Bierut.

Przejdźmy teraz do szczegółowej odpowiedzi na pytanie, czego oczekuje od zachodnich audycji naród polski w Kraju; naród, znajdujący się pod presją sowieckiej dyktatury, pod wpływami sowieckiej doktryny ; naród, którego przekonują, że blok sowiecki jest nie do pobicia ; naród którego młodzież jest powoli przeinaczana podług bolszewickich reguł ; który nie widzi celowości reagowania nawet wtedy, gdy mu do więzienia wrzu­cają prymasa i biskupów, a który jeszcze w jesieni 1939 r. bu­rzył się za zdjęty ze ściany krzyż. Naród, który tylko z Zachodu oczekuje pomocy, a przy tym słabość Zachodu wydaje mu sięogromna ; naród wreszcie, który zachował odrobinę zaufania i sympatii tylko do Stanów Zjednoczonych.

Kraj pragnie, aby audycje zagraniczne w języku polskim zastąpiły mu w pełni nudne, prawie zawsze fałszywe lub tenden­cyjne, w duchu nie polskie, audycje rozgłośni 'reżimowych.

Wszyscy w Kraju, z wyjątkiem tylko reżimowej ,,wierchusz- ki” i tych, którym groziłyby po zmianie sytuacji ciężkie wyroki sądowe za przestępstwa wobec narodu polskiego dokonane za czasów ludowej demokracji, *pragną z zachodnich audycji czerpać wiarę, że naród polski nie został opuszczony, że zachodnie mo­carstwa rozumieją niebezpieczeństwo sowieckie.*

Jak długo sytuacja na Zachodzie nie poprawi się, tak długo na tym zasadniczym odcinku *potrzeb Kraju* radiostacje zachod­nie niewiele będą mogły zdziałać.

Ale nie na tym kończą się potrzeby Kraju. Są jeszcze inne.

Audycje zagraniczne muszą poświęcić dużo miejsca historii Polski. Ale w tych lekcjach trzeba mówić śmiało i jasno także o błędach.

Odnoszę wrażenie z rozmów z ludźmi, że stosunek większo­ści Polaków w Kraju do okresu pomiędzy dwiema wojnami jest mniej przychylny, niż to można często wyczuć z audycji zachod­nich w języku polskim. Innymi słowy nie należy sądzić, że skoro w Polsce jest dzisiaj źle, to wszyscy jak jeden mąż wzdychają do 1938 roku. Tak nie jest. Nie będę tutaj wchodził w analizę tego stanu rzeczy, który — o ile mi wiadomo — jest zupełnie zrozumiały dla wielu ; zresztą analiza taka zawiodłaby nas za daleko.

W każdym bądź razie programy zachodnie dla Kraju po­winny mieć na uwadze krytyczny stosunek Polaków do okresu 1918-1939. . .

Czy Kraj potrzebuje anty-komunistycznej propagandy ? Tak : ale inteligentnej, mocnej, nie otwierającej otwartych drzwi, oryginalnej i głębokiej. Kraj potrzebuje tego, gdyż propaganda reżimowa i komunistyczna odnoszą sukcesy i trzeba jej przeciw­działać. Przytoczę kilka przykładów z najświeższych obserwacji. Ucieka na Zachód młody człowiek, który nienawidzi komuniz­mu, a który jednocześnie jest przekonany, że Amerykanie zrzu­cili probówki z bakteriami w Korei ; ucieka inny, także młody (podobnie jak pierwszy ze średnim wykształceniem), który wie­rzy, iż przedwojenna Polska była krajem feudalnym ; rozmawiam z trzecim uciekinierem, który wierzy,że Beria miał konszachty z Amerykanami; są młodzi marynarze reżimowi, którzy kupując w Antwerpii rzeczy użytkowe, uważają, iż nie wszyscy robotnicy belgijscy są w stanie je kupić, itd.

Czy *nawracanie komunistów* polskich jest wskazane i po­trzebne? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba zdać sobie sprawę, jakich komunistów mamy na myśli. Takich jak Bierut czy Radkiewicz? Czy też drobnicę zapisaną do PZPR? Pierwszej grupy nikt nie nawróci, podobnie jak nikt nie nawrócił Hitlera czy Himmlera. Co się tyczy zapisanej do partii „miełoczy”, tota doskonale ,,leczy się” w szeregach samej partii, tylko, że nikt z własnej woli nie może opuścić szpitala, w którym powró­cił do zdrowia i skazany jest na udawanie chorego tak długo, dopóki ktoś z zewnątrz tego szpitala nie rozwali.

Co ma sens i jest potrzebne, to przypominanie i przestrze­ganie mocne, spokojne i stanowcze tych członków partii, którzy działają na wyraźną szkodę narodu polskiego, którzy dopusz­czają się zbrodni wobec Kraju.

Wyłączając zatem wspomnianą ,,wierchuszkę”, chorą chro­nicznie i nie nadającą się do leczenia i grupę wiernych partyjnych i reżimowych sługusów, którą audycje zachodnie, jak powiedzia­łem, powinny się mocno *opiekować,* zajmowanie się zapisanymi do PZPR i traktowanie ich jako oddzielnej grupy narodu pol­skiego, którą trzeba leczyć, nie ma głębszego uzasadnienia. Po­stępując bowiem w ten sposób, wychodzi się z błędnego założe­nia, które polega na dzieleniu ludzi w Kraju na *zdrowych* (nie zapisanych do partii) i na *chorych* (do partii zapisanych). Ow­szem są chorzy i zdrowi, ale nie należy sądzić, że partia skupia *chorych,* a poza nią są *zdrowi.*

Propaganda bolszewicka rozstrzygnęła tę kwestię : mówi ona mianowicie, że wszyscy są bolszewikami i wydaje się, że np. Voice of America, niestrudzenie nadający dla Rosji — ,,krugłyje sutki” — zrozumiał to, bo, o ile mi wiadomo, nie robi specjal­nych audycji dla zapisanych do WKP (b), lecz leczy wszystkich, bo tak jest słusznie.

Stąd wniosek, że audycje zachodnie nie powinny robić tego podziału, pamiętając, iż pod wpływami komunistycznej doktryny i propagandy znajduje się cały naród, szczególnie mieszkańcy miast ; że samo należenie do partii nie przesądza w wielu wy­padkach o realnym ustosunkowaniu się jej członków do komu­nizmu i Rosji Sowieckiej.

Jeżeli istnieje szczególna potrzeba położenia nacisku i ak­centu w audycjach na pewną grupę ludności Kraju, grupą tą jest młodzież, nad którą wychowawcy spod znaku Kremla pra­cują usilnie i nie można powiedzieć że bezowocnie.

Niektórzy autorzy proponowali na łamach ,,Kultury” poło­żenie większego nacisku w audycjach na polską krajową elitę, wychodząc z założenia, że poprzez inteligencję krajową oddzia­ływanie na masy będzie skuteczniejsze. Inni dla tego samego celu zaproponowali stworzenie polskiego' zachodniego ,,trzeciego programu”, który by informował szerzej i głębiej o zdobyczach Zachodu w dziedzinie ducha ludzkiego, czego programy nasta­wione na działanie masowe, nie są w stanie uczynić.

Propozycja ta jest logiczna, ale za mocno oparta jest na szablonowych inteligenckich przesłankach : w ,,Polsce ludowej” nie ma bowiem warunków z okresu pozytywizmu.

To jednak nie oznacza, że stworzenie „trzeciego programu” informującego o życiu kulturalnym świata zachodniego, o no­wych osiągnięciach i dążeniach ducha ludzkiego nie byłoby po­żyteczne. Ale, powtarzam, nie należy oczekiwać, że *oświecona*

„trzecim programem” krajowa inteligencja będzie wpływała na szerokie masy ludzi w Kraju.

Niektórzy krytykowali pewne radiostacje, że używają za- mocnych słów w swych audycjach, w sensie ,,oni głośno — my jeszcze głośniej”, rozumiejąc przez ,,oni” — propagandę ko­munistyczną polską czy sowiecką. Na podstawie moich obser­wacji — muszę stwierdzić, że ludzie w Kraju chcą mocnych słów, a mniej wytwornego, eleganckiego czy pańskiego gadania, bo, o ile prawdą jest, że komuniści nauczyli masy czytać i pisać, o tyle ,,góra” inteligencka znacznie się obniżyła. Zresztą to so­wieckie ,,u nas panów niet”, wszyscy muszą pracować, wszyscy muszą używać języka dla wszystkich zrozumiałego tak bardzo ludzi w Kraju nie martwi.

Czy słuchacze w Kraju pragną znaleźć w audycjach zagra­nicznych wiadomości z życia w Kraju ? Na to pytanie nie moż­na odpowiedzieć krótko : tak lub nie.

Są informacje o Kraju, z Kraju pochodzące, których Kraj nie zna (będzie to ucieczka jakiegoś reżimowego dyplomaty lub jego zachowanie się zagranicą ; eksport polski do innych kra­jów, w którym nie wszyscy w Polsce się orientują; itd., itd. — nie trudno o wybór tego rodzaju informacji, przy pewnej znajo­mości życia wewnętrznego Kraju.

Istnieje np. duże zainteresowanie Unią Europejską w sensie zjednoczenia wszystkich krajów Europy, bądź to projektowaną od czasów wojny Unią Srodkowo-Europejską : innymi słowy idee unijne, dotyczące Europy, są tematem, który zaprząta umy­sły w Kraju.

Uważam więc, że radiostacje zachodnie powinny poświęcać należne miejsce rozwojowi idej unijnych wśród narodów europej­skich i wśród politycznie aktywnych grup emigracyjnych zarów­no polskich, jak i czeskich, węgierskich, ukraińskich itd. Słu­chacz krajowy zupełnie dobrze orientuje się w zachodnich radio­stacjach i choć, jak dotychczas, najbardziej mu odpowiadają audycje radia madryckiego, rozumie, że największą i najważ­niejszą instytucją radiową na Zachodzie jest Głos Wolnej Polski, którego nie miesza z Voice of America.

Kwestia funduszów, z którego GWP korzysta, nie jest przed­miotem dyskusji, jak to ma miejsce wśród polskiej emigracji, bo przecież Krajowi jest jasne, że pieniądze te mogą być tylko ame­rykańskie i raczej sprawia ludziom w Kraju przyjemność fakt, że są one właśnie amerykańskie, bo przecież ze strony Ameryki naród polski oczekuje pomocy i tylko Ameryka wydaje się przy­jacielem pomimo wszystkich ostrych krytyk pod jej adresem.

S. *N.*

***Kraj***

Metro w Warszawie

Projekt budowy metra w stolicy Polski budzi zrozumiałe zainteresowanie nie tylko wśród Warszawiaków ale teź i u wszyst­kich Polaków ; tyle się o nim mówiło i pisało przed wojną. Wizja kolei podziemnej pod Marszałkowską lub Alejami Jerozolimski­mi, wywoływała dreszcz emocji i dumy — inwestycja ta trakto­wana była jakby patent, dyplom, podnoszący Syreni Gród do rangi ,,zachodniej”, postępowej stolicy.

W nastroju tym pracowało i powojenne Biuro Odbudowy Stolicy. Niestety rzeczowych informacyj o postępach budowy opublikowano dotychczas bardzo mało. Można jednak, na pod­stawie ogłoszonego materiału, zdaó sobie sprawę jak wygląda obecny projekt i w jakim jest stadium realizacji.

Linia budowana w Warszawie łączyć ma Plac Unii Lubel- skej na Mokotowie z Placem Wilsona (obecnie Komuny Parys­kiej) na Żoliborzu, poprzez śródmieście i Muranów. W pierw­szym stadium budowy, w ramach Planu Sześcioletniego, ma być również wybudowana odnoga do Placu Teatralnego i na Pragę (Dworzec Wileński). Łącznie w pierwszym stadium projektuje się wybudowanie około 9 km trasy i 10 stacyj. Całość ma prze­biegać w głębokim tunelu, na wzór metra londyńskiego i mos­kiewskiego. Zasilanie przewidziane jest przez trzecią szynę — jak w Moskwie i Paryżu — pod napięciem 600 voltôw.

Celem uzyskania obiektywnej oceny powyższego zamierze­nia praca niniejsza zawiera szkic dwóch istniejących dużych sys­temów komunikacyjnych — nie można bowiem wyłączyć metra i rozpatrywać jego problemów w oderwaniu od całości transpor­tu miejskiego. Na tle Paryża i Londynu projekt Warszawy wi­nien ukazać się we właściwej proporcji, a zamierzony wysiłek być należycie oceniony.

Porównam więc przede wszystkim wielkości trzech miast i zapotrzebowanie ich mieszkańców na usługi komunikacyjne. Wyniknie stąd szereg wniosków, na mocy których, analizując zagadnienie codziennego transportu mieszkańców Warszawy, należy — moim zdaniem — raczej czerpać z doświadczeń Pa­ryża, a nie Londynu.

Powierzchniowo cała Warszawa, od Bielan do Służewca nieomal, mieści się w kole o promieniu 5 kilometrów. Paryż przerasta nieco koło io-kilometrowe, a Londyn zbliża się do

30-tu. Ponieważ chodzi o powierzchnię, więc obowiązują kwa­draty promieni i z pewnym zaokrągleniem otrzymujemy stosu­nek 1:5:27. Paryż mający 450 kilometrów kwadratowych jest pięć razy większy od Warszawy z jej 80 kilometrami. Powierz­chnia Londynu przewyższa Warszawę 27 razy.

W chwili obecnej na 2.100 km. kwadratowych Londynu mieszka około 10 milionów mieszkańców. Są oni obsługiwani przez środki komunikacyjne przedsiębiorstwa „London Trans­port” (nie pokrywa się to z danymi dla tak zwanych „Greater London Area”, „London Metropolitan Police Area” itd. które są nieistotne dla niniejszych rozważań).

W Paryżu „La Régie Autonome des Transports Parisiens” — przedsiębiorstwo odpowiadające dość ściśle „London Trans­port” — przewozi 2.700.000 mieszkańców. Warszawa ma obec­nie około 700.000 mieszkańców. Daje to stosunek ludności jak 1:4:14 i obrazuje stosunkowe przeludnienie nawet obecnej War­szawy.

14:1 jest to stosunek, w tym wypadku, zupełnie innego rzędu. 4:1 jest dużo bardziej współmierny. Rozwój ludnościowy Pa-

ryża jest obecnie silnie hamowany, Warszawa rośnie jak na drożdżach. Po pewnym czasie możemy dojść do 3:1 czy nawet 2:1 ; wówczas istniejące i projektowane rozwiązanie Paryża mo­głyby być rozpatrywane jako mające zastosowanie w Warsza­wie.

W każdym mieście jego mieszkańcy jeżdżą : do pracy, do szkoły, po zakupy, dla przyjemności. W Londynie pierwsza ka­tegoria stanowi przeważającą część przejazdów. Ku rozpaczy zarządu ,,London Transport” dla przyjemności — a więc do teatrów, kin, do znajomych — jeździ się coraz mniej. Szereg jest tu powodów : po pierwsze, Londyn, jak to gdzieś twier­dził czy powtarzał za kimś Melchior Wańkowicz, jest „najwięk­szym prowincjonalnym miastem świata”; jest zbiorem gmin. W każdym Richmond, Hounslow, Wimbledon itd., są miejsco­we kina, często teatry, zawsze sklepy i szkoły. Coraz więcej Londyńczyków spędza wieczory przy telewizji. Stąd przeciętny Londyńczyk jeździ mniej niż Warszawiak czy Paryżanin. War­szawa i Paryż są to duże pojedyńcze miasta. Tryb życia ich mieszkańców, jak również charakter i zwyczaje są dużo bardziej zbliżone. Stąd podobieństwo wykresów przejazdów. W Londy­nie „peak rush hour” ma miejsce pomiędzy 9-tą i 10-tą *rano.* W Paryżu ,,1’heure d’affluence” trwa właściwie również i przez cały *wieczór.* Taki sam stan rzeczy obserwujemy w Rzymie i w przedwojennym Berlinie. Nasuwa się przypuszczenie, że po­dobnie musi być i w Warszawie.

Wprawdzie stosunek mieszkańców Londynu, Paryża i War­szawy jest jak 14:4:1, ale stosunek przejazdów tylko jak 9:4:1. Nawet teraz, przy anormalnych warunkach życia naszej stolicy, ilość przejazdów na mieszkańca Paryża i Warszawy jest bardzo podobna i o wiele wyższa niż w Londynie. Można tu mieć tylko pewne zastrzeżenia co do wiarygodności danych z Warszawy, na których oparte jest powyższe obliczenie. W grudniu 1952 r. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne (obecna nazwa Tramwajów Miejskich) podało liczbę 546 milionów przejazdów rocznie. Z jednej strony można się obawiać, że M.P.K. wyrabia normę np. na 150%; z drugiej, przypuszczać należy, że w tra­dycji okupacji niemieckiej pozostały bardzo krótkie trasy linii tramwajowych i np. ktoś mieszkający na Rakowieckiej, a pra­cujący na Grochowskiej, musi, jadąc do pracy, przesiadać się kilkakrotnie.

Z tym zastrzeżeniem, rząd wielkości przejazdów w Paryżu i Warszawie jest ten sam ; jeździ się podobnie często i podobnie dużo. Ale w jak odmiennych warunkach !

Wyposażenie trzech stolic w tabor komunikacyjny jest na­stępujące :

|  |  |  |  |
| --- | --- | --- | --- |
|  | *Autobusy* | *Trolejbusy* | *Wagony metra* |
| Londyn .... | 10.000 | 1.700 | 3.800 |
| Paryż .... | 2.200 |  | 3.000 |
| Warszawa . . | 200 | 75 | 500(wagonów tramwaj) |

Trudno jest porównać bezpośrednio wydajność poszczegól­nych środków transportu ; jeśli obliczyć mechanicznie jednostki posiadane (wagon, autobus, trolejbus), to jednostka taka wypada na 520 mieszkańców w Paryżu, 600 w Londynie i blisko 900 w Warszawie. Porównanie to jest jednak niewspółmiernie ko­rzystne dla Warszawy : metro jest o wiele bardziej wydajne od tramwaju, czy autobusu. Z punktu widzenia pasażera, Londyń- czyk obsługiwany jest mniej więcej trzy razy, a Paryżanin dwa razy lepiej niż Warszawiak. Jest to stan zupełnie rozpaczliwy, a ilustruje go najlepiej znane zdjęcie przedstawiające stare tram­waje warszawskie dosłownie oblepione ze wszystkich stron pasa­żerami.

We wrześniu 1939 r. sieć tramwajów miejskich była dobrze rozbudowanym systemem, gęsta w śródmieściu, z długimi odga­łęzieniami na dalekie przedmieścia : Pelcowizna, Grochów, Służe­wiec, Wilanów, Okęcie posiadały szybkie i bezpośrednie połącze­nia z centrum.

Sieć pokrywała potrzeby stolicy, przekraczającej milion mieszkańców, a duża ilość szerokich, prostych ulic umożliwiała gęsty ruch tramwajów bez stwarzania specjalnych zatorów dla in­nych pojazdów, których zresztą, w porównaniu z Paryżem czy Londynem, było bardzo mało. Najbardziej zatłoczona była Mar­szałkowska i wąska gardziel do szybko rozwijającego się Żoli­borza — o tym też odcinku myślano przede wszystkim przy pierwszych projektach metra.

W roku 1945 tramwajów w Warszawie nie było; do 1949 odbudowano w znacznym stopniu sieć przedwojenną pozostawia­jąc tylko pustą plamę zrujnowanego śródmieścia i wprowadza­jąc na niektórych trudnych trasach, w miejsce raczej sztywnych tramwajów bardziej elastyczne trolejbusy. Zamiana niewątpliwie bardzo korzystna zwłaszcza na trasach : Nowy Świat, Krakow­skie Przedmieście, Aleje Ujazdowskie i na stromym zjeżdzie od Placu 3-ch Krzyży.

W planie 6-letnim sieć tramwajowa ma być doprowadzona do przedmieść, do których docierała przed 1939 rokiem. W śród­mieściu pozostaną natomiast jedynie linie łączące Służew z Bie­lanami poprzez Mokotów, Śródmieście, plac Krasińskich i Żoli- bórz (N—S) i dwie linie poprzeczne : w Alejach Jerozolimskich (Grochów—Ochota) i na nowej trasie W—Z (Targówek—Wola). Jest to linia prawie całkowicie nowa i na wielu odcinkach swej trasy posiada osobne od jezdni torowisko dla szyn tramwajowych — rozwiązanie idealne, dające względnie małym kosztem wszyst­kie atrybuty metra na powierzchni.

Tabor tramwajowy obecnie jeżdżący po Warszawie jest w du­żej części przedwojenny ; kursują również małe nowe wagony, nie­znanego mi pochodzenia. Trolejbusy pochodzą przede wszystkim z Rosji i częściowo z Niemieckiej Republiki Demokratycznej — te ostatnie mogą kursować z przyczepkami. Autobusy są prawie wyłącznie rosyjskimi kopiami włoskich Fiatów.

Tak, w bardzo pobieżnym opisie, wyglądają obecnie środki transportowe Warszawy na tle stolic zachodnich. Wrażenie biedy, rozpaczliwej, krzyczącej biedy wysuwa się na czoło. Wyraża się ona w bardzo niskim stanie ilościowym (i technicznym) taboru i co za tym idzie w nieprawdopodobnym zupełnie jego przeciąże­niu. Wagon tramwajowy lub autobus przewozi rocznie 700.000 osób — dwa razy więcej niż większy wagon *metra* paryskiego i cztery razy więcej niż jeszcze większy wagon *metra* londyń­skiego.

Lektura krajowej prasy komunikacyjnej jest ciągłym potwier­dzeniem ubóstwa Warszawy. I tak w ciągu 1952 r. przybyły stolicy trzy nowe tramwaje z Chorzowa — spodziewano się przybycia dalszych 27 wozów w ciągu 1953 r. Miało też przy­być 50 autobusów.

Propagandowe wydawnictwo przeznaczone wyłącznie na zagranicę (B. Bierut, 6 *years plan in Poland)* zapowiada naby­cie w ciągu sześciu lat 300 dalszych autobusów, 150 trolejbusów i kilkudziesięciu tramwajów. Obliczając według cen londyńskich autobusy powinny kosztować poniżej 2 milionów funtów, trolej­busy około miliona, więc, ponieważ tramwaje już prawie są, cały koszt sześcioletniego wysiłku dla zapewnienia Warszawie komu­nikacji naziemnej, obsługującej obecnie 100%, a po urucho­mieniu metra około 70% całego ruchu, nie przekroczy 3 do 4 milionów funtów’. Kilometr metra, oszczędnie licząc, w podat­nym do szybkiego wiercenia gruncie londyńskim, wynosi co naj­mniej milion funtów. Zamierzone metro warszawskie ma więc być inwestycją trzykrotnie finansowo większą od planu rozwoju komunikacji naziemnej, długość projektowanej trasy wynosić ma bowiem w 1956 r. dziesięć kilometrów.

Zaznaczyłem już, że charakter Warszawy (zwłaszcza tej przedwojennej !) i Paryża są dość zbliżone, przynajmniej jeśli chodzi o zagadnienie komunikacji miejskiej. Przed szczegóło­wym rozważaniem realizowanego obecnie projektu metra War­szawy dobrze jest więc rzucić okiem na rozwój i doświadczenie Métropolitain w Paryżu. Na tym tle, przez porównanie, plan warszawski ukaże się jaśniej i we właściwej skali.

Pierwszą linię metra, Nr 1, Porte Maillot - Porte de Vin- cennes, zbudowano w Paryżu w 1900 roku. Linia ta biegnie po północnym brzegu Sekwany — zauważmy, że w Paryżu ,,Pra­ga” jest na południu — przez cały Paryż : Etoile - Concorde - Châtelet - Bastille - Nation. Linię pionową, łączącą północ z po­łudniem (Nr 4), wybudowano w pierwszym dziesiątku obecnego stulecia. Stopniowo doszli Paryżanie do sieci nam znanej. Liczy ona blisko 170 kilometrów długości; jest to mniej więcej jedna trzecia długości sieci londyńskiej (440 km.). Ilość stacji w obu sieciach jest praktycznie taka sama : Londyn 278 i Paryż 270. Wynika stąd, że w Paryżu stacja jest przeciętnie co pół kilo­metra — jest więc to właściwie tramwaj, tylko biegnący pod ziemią i zostawiający jezdnię wolną dla innych pojazdów. W Lon­

dynie stacje wypadają przeciętnie co półtora kilometra i rodzaj ruchu zbliża się do kolejowego.

Czy metro opłaca się ?

Na pytanie to teoretyk-ekonomista odpowie że tak, jeśli zyski wynikające z ulepszonej komunikacji przewyższają koszty konstrukcji i eksploatacji. Zyski te mogą istnieć tam, gdzie środki komunikacyjne na powierzchni ulic są niewystarczające, a nie można ich powiększyć, bo nie ma ku temu fizycznych moż­liwości : istniejąca sieć ulic nie jest w stanie przepuścić większej ilości pojazdów.

Marc Langevin, dyrektor ,,La Régie Autonome des Trans­ports Parisiens”, w bardzo wszechstronnej analizie rozwiązań komunikacyjnych wszystkich większych miast na świecie, stwier­dza że „...w miastach poniżej jednego miliona mieszkańców za­gęszczenie ruchu nie usprawiedliwia na ogół budowy metra lub kołowych dróg podziemnych... Miasta, które to uczyniły mają wielkie trudności z uczynieniem ich opłacalnymi.”

Langevin twierdzi dalej, że w miastach o ludności około jednego miliona, tramwaje tworzą skuteczny kościec systemu ko­munikacyjnego z ewentualnym tunelem lub wiaduktem w punk­tach największego zgęszczenia ruchu i *oddzielnym torowiskiem,* gdzie tylko jest to możliwe (San Francisco, Lyon, Genewa, Lille).

Wydaje się, że nowe, szerokie ulice Warszawy, z jednej strony mają bardzo zwiększoną przepustowość, a z drugiej często umożliwiają zbudowanie osobnego torowiska dla linii tramwajowych.

" Jeśli tabor jest przepełniony, to nie dlatego, że nie można więcej wozów przepuścić przez ulice, ale dlatego, że wśród powszechnej biedy, w kraju nie stać na zakup większej ilości wagonów.

Panowie Krajewski i Podwiński pisząc na ten temat w Nr 7 ,,Gospodarki Planowej” wyrażają nadzieję, że *może* „bezpo­średni koszt przewozu pasażera metrem i tramwajem będzie dla metra niższy”. Stwierdzają oni jednak wyraźnie, że „przy zesta­wieniu kosztów całkowitych, włącznie z pełnymi odpisami admi­nistracyjnymi, różnica ta ulegnie redukcji na niekorzyść metra. *Może* sytuacja ta poprawi się po uruchomieniu pełnego krzyżo­wego układu linii”, a więc po roku 1965. Autorzy przewidując więc z góry deficyt przedsiębiorstwa pocieszają się jednak, że metro „służyć będzie interesom mas pracujących Warszawy i gospodarce stolicy, nie zaś względom zysku kapitalistów”.

Obawiać się więc należy poważnie, że przewidywania nie­rentowności przedsiębiorstwa są słuszne.

Z drugiej strony, jeśli już decydować się na budowę metra w Warszawie, to przyjęta trasa wydaje się na początek jedynie racjonalną : przechodzi ona przez linię ciężkości największego ruchu Warszawy, pod ulicami, gdzie zatory tramwajów tworzy­ły się przed wojną i gdzie mogą powtórzyć się w przyszłości.

Linia z Mokotowa na Żolibórz przypomina poza tym pierw­szą linię w Paryżu, która od pierwszej chwili była i jest ren­towna, przynajmniej w porównaniu z innymi liniami.

Żadna z późniejszych linii nie przekroczyła natężeniem ruchu, a więc rentownością, obecnej linii Pont de Neuilly - Châ­teau de Vincennes, aczkolwiek przedłużenie od Porte Maillot i od Porte de Vincennes niewątpliwie obniżyły jednostkowe wykorzy­stanie taboru.

Obawiać się więc należy, że z punktu widzenia opłacalności, metro warszawskie będzie u szczytu powodzenia w roku 1957, gdy jedyna linia z ewentualnym odgałęzieniem na Pragę nie będzie jeszcze obciążona żadnymi przedłużeniami i dalszymi od­gałęzieniami.

Wydaje mi się, że wobec ogromu innych pilnych, podsta­wowych potrzeb stolicy i jej równoczesnej biedy, wobec wielko­ści nakładów koniecznych do budowy metra — suma od 10 do 12 milionôvy funtów jest cyfrą zupełnie astronomiczną na pol­skie stosunki, oraz wobec takich czynników jak wielkość War­szawy, duża przelotność jej szerokich i prostych ulic, niewyko­rzystania stosunkowo tanich możliwości powiększenia taborów autobusów i tramwajów — uzasadnienie budowy metra w obec­nej Warszawie jest wątpliwe, a rozpoczęcie budowy już teraz — co najmniej przedwczesne.

Skoro jednak postanowiono do budowy przystąpić należy zastanowić się czy wytyczony kierunek pierwszej linii, przyjęte zasady konstrukcji i proponowanej eksploatacji odpowiadają przyjętym obecnie na zachodzie normom technicznym, urbanis­tycznym i ekonomicznym.

1. *Kierunek linii :* w każdym mieście, które może swo­bodnie rozrastać się, linie metra winny przechodzić w kierun­kach największego ruchu łącząc przeciwległe krańce miasta (Lon­dyn, Paryż). Często dodaje się następnie linie okólne (Paryż, Moskwa). Kierunek proponowanej linii w Warszawie, jak już zaznaczono powyżej, wydaje się słuszny.
2. *Odległość pomiędzy stacjami* jest ważna z trzech powo­dów :
3. jest rzeczą kosztowną budować i eksploatować stacje bardzo blisko siebie położone;
4. odległość pomiędzy stacjami ma decydujący wpływ na szybkość handlową i dlatego przesądza w znacznym stopniu o charakterze metra.

Warszawa z uwagi na swe podobieństwo do Paryża winna mieć raczej gęste stacje : pasażer na Świętokrzyskiej jadący na plac Zbawiciela nie będzie szedł do stacji ,,Śródmieście” ; wsią­dzie w tramwaj lub autobus. Szybkość handlowa (paryska) 25 km. na godzinę wydaje się zupełnie wystarczająca dla War­szawy. Czas przejazdu z placu Unii do Placu Wilsona wynosi wówczas poniżej 20 minut.

1. Wreszcie odległość pomiędzy stacjami nie może być za duża, aby nie przeciążać pasażerami jednej stacji. Śródmieście wydaje się być zbyt daleko zarówno od Placu Zbawiciela jak i od ulicy Próżnej.

Panuje obecnie przekonanie, że stacje winny mieć wejście z obu swych końców — ma to szereg zalet : lepsze (równiejsze) obciążenie pociągów, skrócenie czasu ich postoju, a więc wyższa szybkość handlowa. Wszystkie stacje metra w Sztokholmie, otwartego niedawno, są dwustronne, mają dwa wejścia. Nie mam danych, czy tak są projektowane stacje warszawskie.

Z punktu widzenia pasażera stacja leżąca głęboko pod zie­mią jest bardzo niepożądana. Poza tym jest rzeczą kosztowną za­wiezienie go na dół i wyciągnięcie z powrotem na górę. Wresz­cie na krótkie odległości ludziom zdecydowanie nie chce się schodzić głęboko pod ziemię.

1. *Głębokie tunele* (tube) robi się z następujących powodów :
2. Celem ominięcia podziemnego uzbrojenia miejskiego (ka­nalizacja, ścieki, kable) i głębokich fundamentów. W Warsza­wie zaczęliśmy prawie wszystko od początku, więc nie wydaje się, aby był to wzgląd zasadniczy ; proponowana trasa nie prze­chodzi nigdzie pod wielkimi gmachami.
3. Gdy szerokość ulic nie pozwala na prowadzenie pod nimi tunelu. Ulice warszawskie są teraz bardzo szerokie — trasa idzie pod nimi lub pod szeregiem parków, ogrodów i terenów niezabu­dowanych.
4. Rodzaj gruntu. Podłoże Londynu, nieobsypująca się glina, nadaje się doskonale do wiercenia ,,tube”. Paryż i Warszawa leżą na piaskach i mokradłach, z dużą ilością podskórnej wody (np. ul. Żórawia, Nalewki). Konstrukcja ,,tube” wymagałaby zapewne ciągłego odwadniania gruntu, zamrażania ziemi chlor­kiem wapnia (tak jak w Moskwie), utrzymywania stale pomp w ruchu itd.
5. Za minimalny promień zakrętów tunelu przyjmuje się obecnie 200 m. Nie można więc budować płytkich tuneli pod gwałtownie zakręcającymi ulicami. W Warszawie proponowana trasa tworzy prawie prostą linię z lukami o promieniu blisko 1.000 m. do PI. Bankowego, Muranowa i dworca Gdańskiego.
6. Unikanie zbyt stromych spadków i podniesień powierzchni ziemi. Warszawa jest raczej płaska i nie wydaje się, aby ten wzgląd miał specjalne znaczenie.

Wadą tunelu płytkiego może być konieczność zamykania od­cinków ulic, jeśli czyniony jest wykop zakrywany następnie na­wierzchnią jezdni (tak jak District Line w Londynie). Bardzo często można kopać jednak sposobem górniczym, tak jak Métro­politain w Paryżu lub tunel linii średnicowej w Warszawie bez naruszania powierzchni jezdni.

Analiza powyższa zdawałaby się przesądzać sprawę : jeśli metro w Warszawie ma być budowane to oczywiście w płytkim tunelu, wzorem Paryża. Co skłoniło konstruktorów do zdecydo­wania się na imitację londyńskiego ,,tube”, systemu nienada- jącego się dla Warszawy pod żadnym względem ? Na pytanie to najlepiej odpowie historia projektu, którą dla całości obrazu rozpoczynam od samego początku, to jest od roku 1927.

W roku tym Zarząd Miejski m. st. Warszawy powołał ko­misję do spraw Budowy Kolei Podziemnej, która wykonała wstępne badania dwóch tras „A” — Plac Unii Lubelskiej - Mu­ranów i ,,B” — Wola - Praga.

W 1929 r. powstał przy Biurze Budowy Dyrekcji Tramwa­jów Miejskich, Referat Kolei Podziemnej, który opracował wstępny projekt lini A i B, łącznej długości 14 km. mający być fragmentem planu sieci Kolei Szybkiej Miejskiej. Na lewym brzegu Wisły przewidywano łącznie 31 km. linii w tunelu *płyt­kim,* a na Pradze 15 km. na wiadukcie. Przyszedł wielki kry­zys i o realizacji tego projektu zaczęto mówić dopiero w 1938 r.

Po wojnie, w pracowni komunikacyjnej Biura Odbudowy Stolicy (B.O.S.) poczęto rozpracowywać projekt o wiele bar­dziej ambitny, przeznaczając Szybkim Kolejom Miejskim dużo większą rolę niż gdziekolwiek na świecie. Przyjęto, że SKM sta­nowić będzie „integralną część i logiczną konsekwencję opra­cowywanego przez B.O.S. planu zabudowy i wyposażenia tere­nów obejmującego nie tylko dawny obszar stolicy, ale i przy­ległe obszary podmiejskie połączone z Warszawą w jeden War­szawski Zespół Miejski”.

W latach 1945-1946 B.O.S. opracował plan perspektywicz­ny na pełny okres urbanizacji Warszawskiego Zespołu Miejskie­go tj. do 1980 r.

Projekt ten uległ wielu modyfikacjom. W 1948 powstało specjalne Biuro Projektów SKM, które następnie włączono do Centralnego Biura Projektów Architektonicznych i Budowla­nych. Konkretnie rozpatrywano oczywiście tylko centralny odci­nek budowy, Mokotów - Żoliborz, *w tunelu płytkim.* Ostatecz­nie we wrześniu 1949 r. projekt rozpatrzyła Komisja Rzeczo­znawców Naczelnej Rady Odbudowy Warszawy, a w paździer­niku zaaprobował go Komitet Wykonawczy N.R.O.W.

Projekt przeszedł wreszcie przez Biuro Polityczne KC PZPR. Podpisał się pod nim Bierut i w marcu 1950 plan budowy został włączony do planu sześcioletniego.

Na tymże posiedzeniu pod przewodnictwem Bieruta posta­nowiono jednak „poddać projekt ekspertyzie rzeczoznawców radzieckich”.

Po dwóch miesiącach pobytu w Warszawie, Rosjanie, jak podaje „Gospodarka Planowa”, „wydali o projekcie przychylne pisemne orzeczenie zalecając jednak szereg zmian zarówno w samym układzie linii metra jak i w sposobie elektryfikacji i eksploatacji”.

Zmieniony został nieco przez Rosjan ogólny plan całości budowy ; nie ma to jednak większego praktycznego znaczenia, gdyż odcinek środkowy i pierwszy w realizacji pozostał ten sam, a pozostałe odnogi i przedłużenia to kwestia lat siedem­dziesiątych i osiemdziesiątych.

Zasadniczą natomiast zmianą, nakazaną przez „ekspertów radzieckich” jest porzucenie polskiej koncepcji tunelu płytkie­go i rozpoczęcie głębokich wierceń. Za przykładem Moskwy grozi Warszawie londyński „tubę”, schowany pod ziemią od 20 do 50 m. „Gospodarka Planowa” nabywa to „przyjęciem bardziej ambitnego projektu”. Ta narzucona przez okupanta „ambicja” podniesie koszt budowy przynajmniej o 1/3, a może o połowę ; uniemożliwi racjonalną eksploatację krótkich odcin­ków, przedłuży znacznie czas podróży w śródmieściu.

W ostatecznym wyniku uczyni to, moim zdaniem, inwesty­cję chybioną, nie pasującą ani do struktury i wielkości miasta, ani do charakteru ruchu ; skażę metro na chroniczny deficyt wieszając kulę u nogi każdego zarządu miejskiego. Inwestycja rzędu 12 milionów funtów angielskich mogłaby zapewnić War­szawie chyba najlepszą naziemną komunikację miejską na świę­cie.

Po 23 latach rozwoju, rodzimy polski projekt został po dwóch miesiącach odrzucony przez „ekspertów radzieckich”.

Widzę tylko jeden powód decyzji „ekspertów radzieckich”. Metro moskiewskie zapoczątkowane zostało przez Anglików z „London Transport” w 1932 roku. Wybudowali oni tam do 1938 r. 27 km. „tubę” z 22 stacjami, po czym, jak to często bywa, wszelki słuch o nich zaginął. Obecnie Moskwa ma 60 km. linii z 30 stacjami a więc b. rzadko rozstawionymi. (Nb. wiele z nich, sądząc z fotografij, przypomina raczej muzea czy wysta­wy rzeźb, a nie handlowe centra komunikacyjne.) Kilka linij średnicowych łączy linia obwodowa.

Obawiać się należy że Rosjanie, wypróbowany przez sie­bie i jedynie im znany system budowy, narzucają obecnie wszę­dzie, nie dopuszczając do realizacji obcych im konstrukcji. Po­twierdzają te obawy dane, otwartego kilka miesięcy temu, metra w Budapeszcie. Eksploatowana tam jest na razie pierwsza linia wzdłuż Dunaju ; w konstrukcji jest połączenie Budy z Pesztem, po czym wybudowana ma być linia okólna. Głęboki tunel, 13 stóp 6 cali jest identyczny z moskiewskim czy londyńskim. Buda­peszt staje się więc wiernym odbiciem Moskwy i obawiać się należy, że Warszawie grozi ten sam los.

Tunel głęboki jest doskonałym schronem przeciwlotniczym — tu może kryć się druga odpowiedź na zagadkę decyzji głębo­kiego rycia pod Warszawą.

Wiadomości o postępie budowy w prasie krajowej są bar­dzo skąpe. W marcu 1952 r. wicepremier Jędrychowski przema­wiając na otwarciu nowych odcinków elektryfikacji węzła War­szawskiego Warszawa-Błonie i Warszawa-Tłuszcz powiedział między innymi, że „w planie 6-letnim przewidziana jest dalszaelektryfikacja węzła warszawskiego, zapoczątkowanie katowic­kiego, oraz linii Warszawa-Katowice. W Warszawie buduje się metro”.

Nr 8 ,,Transportu” z sierpnia ub. roku przyniósł wiadomość, że 30 czerwca załoga szybu Nr 5 Przedsiębiorstwa Budowy Szy­bów złożyła zwycięski meldunek, że ,,szyb Nr 5 osiągnął prze­widzianą głębokość na 30 dni przed wyznaczonym w harmono­gramie terminem”. Zwycięska załoga wysłała telegram do oby­watela Bolesława Bieruta — Pierwszego Budowniczego Polski Ludowej.

Numery ,,Transportu” zawierały krótkie wzmianki o pracach przygotowawczych i o ,,zbiórce łomu na budowę me­tra”. Wreszcie ostatnio między wierszami wyczytać można, że trudności omawiane w niniejszej pracy wystąpiły już w pełni i zahamowały lub zgoła zatrzymały tok robót. Rosyjskie ma­szyny wiertnicze nie mogą poradzić sobie z ciężką warszawską gliną ; chlorek wapnia, skuteczny przy zamrażaniu podłoża Moskwy nie jest odpowiedni do bardziej wilgotnej gleby w War­szawie.

Projektowana odnoga do dworca wileńskiego, przez nigdzie nie sprecyzowany jeszcze most — już w pierwszym okresie bu­dowy — jest również dodatkiem sowieckim. Można się w nim dopatrywać pewnego znaczenia strategicznego, aczkolwiek linie metra nie mają być łączone z systemem P.K.P., a tunel i3”6’ nie pozwala na przejazd taboru kolejowego.

Na długość projektowanej linii 10 stacyj to stanowczo za mało — szczególnie odosobnione jest Śródmieście. Nie wiem dlaczego zdecydowano się na stację przy ul. Próżnej, a nie np. przy ul. Królewskiej. Z drugiej strony zgęszczenie pomiędzy Próżną, Placem Bankowym i Teatralnym — jest zupełnie absur­dalne jak na linie w tunelach głębokich — odpowiadałoby jed­nak normalnym odległościom w tunelach płytkich.

Z uzyskanych wiadomości wydaje się wynikać, że jak dotąd budowa metra jeszcze jest bardzo mało zaawansowana (paździer­nik 1953), a prace wykonawcze w toku mają raczej charakter przygotowawczy.

*Roman KRZYCZKOWSKI*

BIBLIOGRAFIA

1. *Transport i Spedycja —* miesięcznik, Warszawa, 1951-1953. ; 2. *Transport —* miesięcznik, Warszawa, 1951-1953; 3. *Gospodarka Planowa —* miesięcznik, Warszawa, 1951-1953; 4. B. Bierut — *Six years plan in Po- land,* Warszawa, 1952; 5. *The Survey of London Traffic —* L. T. E., Lon­dyn, 1952; 6. *London Transport Executive —* sprawozdania roczne, Londyn, 1948-1952; 7. D. H. Coombs and G. J. Wilson — *The Trend of Develop­ment in the Design and Equipment of Underground Railways,* Londyn, 1953; 8. *Modern Transport —* miesięcznik, Londyn, 1950-1953; 9. *Les Transports Urbains —* M. Langevin, Paryż, 1951; 10. *Le Métropolitain —* praca zbioro­wa, Paryż, 1950; 11. *Le Chemin de Fer Métropolitain de Paris,* album, Pa­ryż, 1931.

Najnowsza historia Polski

Palestra warszawska

Sięgając dzisiaj pamięcią wstecz do okresu okupacji nie­mieckiej w Polsce (1939-1945), pragnąłbym uwypuklić niektóre ciekawsze fragmenty akcji oporu, prowadzonej spontanicznie lub organizacyjnie przez wszystkie klasy, stany i zawody spo­łeczeństwa. Adwokatura, jako część składowa tzw. warstwy inteligenckiej, miała już i dawniej swoje chlubne karty w dzie­jach walki o wolność i niepodległość Narodu. Nie chcę i nie mógłbym powiedzieć, że adwokaci przodowali w konspiracji, bo statystyka, gdyby była taka odpowiednio prowadzona, wyka­załyby na pewno równomierny udział niemal wszystkich, ale tak się jednak złożyło, że w pierwszym okresie okupacji, już w 1940 r., właśnie członkowie adwokatury, objęci zostali strasz­liwą hekatombą.

Związani ściśle z aspiracjami i nastrojami opinii publicznej, adwokaci polscy wspólnie z sędziami i prokuratorami stanęli gro­madnie do pracy w podziemiu. Olbrzymi odsetek ogólnej liczby adwokatów zginął w egzekucjach, więzieniach i obozach koncen- turacyjnych. Uderzenie w adwokaturę było planowane i uzasad­nione. Chodziło o zniszczenie zawodu, którego przedstawiciele posiadali z natury instynkt i poczucie niezależności. Po dojściu do władzy Hitlera, pierwsze represje ze strony Gestapo skiero­wane były w adwokatów niemieckich, jako tych, którzy wespół z opozycyjnymi politykami stanowili ośrodki niezawisłości i myśli wolnościowej.

Jak to powiedział przekonywująco ad w. Jarosz w swym przemówieniu na akademii żałobnej odbytej w Warszawie 24 lis­topada 1946 r. ku czci adwokatów-ofiar okupacji (cytuję za „Demokratycznym Przeglądem Prawniczym”, Nr 11-12/1946 r.), „adwokat w oczach Niemca był żywym protestem przeciwko wszelakiej zbrodni i bezprawiu. Z faktu iż działalność adwokata

*Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na od­powiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

polega na obronie pokrzywdzonych potrzebujących pomocy, na walce o prawo i praworządność — wprowadzili Niemcy zbrod­niczy nakaz wytępienia adwokatury. Słowo : adwokat ! — brzmiało nienawistnie w uszach każdego Niemca ! Jeśli inteli­gent Polak nie miał racji bytu w kraju, którego ludność miała być sprowadzona do rzędu najmitów i sług dumnego „Herren- volku” — to tym bardziej adwokat, jako element niepożądany i niebezpieczny winien był zginąć ! — I przetrzebiono gruntow­nie adwokaturę, zwłaszcza w Warszawie”. I dalej trafne spostrze­żenie, że „wprawdzie adwokatura polska nie zajmowała stano­wiska tak wybitnego w społeczeństwie, jak to było udziałem adwokatury francuskiej, belgijskiej lub czeskiej — niemniej jed­nak walor jej w życiu społecznym był wielki !”

W okresie okupacji niemieckiej wielu adwokatów piasto­wało wysokie i odpowiedzialne stanowiska w konspiracji, a więc czy to w Delegaturze Rządu, czy w Armii Krajowej czy też w róż­nych organizacjach podziemia. Że wspomnę tylko nazwiska śp. : Leona Nowodworskiego, Kazimierza Ujazdowskiego, Kazimierza Tarkowskiego, Czesława Jankowskiego, Zofii Szulcowej, Stani­sława Święcickiego, Jerzego Czerwińskiego, Aleksandra Dęb­skiego, a z żyjących : Stefana Korbońskiego, Stanisława Kauzi- ka, Zbigniewa Stypułkowskiego, oraz tylu, tylu innych, o któ­rych, jako znajdujących się w zasięgu Bezpieki, bez ich upoważ­nienia lepiej nie wspominać.

Ogółem straty \ wojenne adwokatury wyniosły ponad 30% liczby adwokatów ze stanu z 1 września 1939 r. (dokładnie lista adwokatów, którzy padli, zginęli lub zmarli w czasie okupacji, liczy 742 osoby).

Szkic niniejszy nie jest historią udziału adwokatury w wal­kach narodowych. Jest jedynie próbą opisu pewnego fragmentu z dziejów okupacyjnej rzeczywistości tzw. Generalnej Gubernii.

♦

Tak się złożyło, że sprawa żydowska zaciążyła na ustosun­kowaniu się okupanta do adwokatury i na pierwszych zarzą­dzeniach okupacyjnych, aczkolwiek pierwsze ofiary aresztów padły nie spośród adwokatów-Żydów, ale, mówiąc językiem nazistów, u ,, ary jeżyków”.

Zanim sprawa żydowska uregulowana została generalnie, niemieccy starostowie (Kreisshauptmani) w wielu wypadkach już dość wcześnie, w październiku lub w listopadzie 1939 r. powy­dawali zarządzenia zakazujące „niearyjeżykom” nie tylko pro­wadzenia obron przed sądami, ale w ogóle wchodzenia do budyn­ków sądowych. Zarządzenia te zresztą były w związku z kon­sekwentną polityką okupanta w zakresie usunięcia Żydów, ze wszystkich wolnych zawodów.

W Warszawie (podobnie było w Krakowie), mianowano ko­misarzy rad adwokackich czyli komisarycznych dziekanów. Na terenie okręgu sądu apelacyjnego w Warszawie, komisarzem ta­kim został adwokat warszawski dr E. von Wendorff, Volks- deutsch, który zresztą wykazywał przed wojną oficjalnie w pa­pierach narodowość niemiecką. Od chwili wejścia Niemców do Warszawy pracował on czas jakiś na początku okupacji „hono­rowo” w Gestapo. W ten sposób unicestwiono za jednym za­machem samorząd adwokacki.

Do pomocy komisarzowi i do załatwiania bieżących agend, powołał Wendorff według swego uznania komisaryczną radę adwokacką (zwaną popularnie Beiratem), złożoną przeważnie z członków dotychczasowych Naczelnej i Okręgowej Rad Adwo­kackich. Działalność tej rady, usiłującej mimo nacisku ze strony okupanta zachować resztki samorządu adwokackiego, była nie­zmiernie trudna. Przede wszystkim, sam fakt zasiadania w orga­nie powołanym przez okupanta, budził początkowo zastrzeżenia i wątpliwości. Zostały one jednak później całkowicie rozpro­szone. Utarło się bowiem z biegiem czasu przekonanie, że z ko­rzyścią dla Kraju postępują ci ,co z zachowaniem godności Po­laka i obywatela pracują w polskich urzędach, choć z niemiec­kiej nominacji, i działalnością swoją dążą do ulżenia doli współ­rodaków.

W krótkim czasie po objęciu urzędowania, Wendorff spe­cjalnym zarządzeniem powykreślał nie-aryjczyków z listy adwo­kackiej, odbierając im prawo praktyki z dniem i stycznia 1940 r.

Wkrótce (w styczniu 1940 r.) rozpoczęły się dzieje słynnego incydentu z opinią komisarycznej rady na temat sprawy żydow­skiej. Pierwszy naczelnik wydziału sprawiedliwości w urzędzie dystryktu (gubernii) warszawskiego dr Brehm, do kompetencji którego należały sprawy adwokackie, zlecił dr'Wendorffowi wy­sondowanie opinii rady w sprawie udziału Żydów w adwoka­turze. Wendorff źle zrozumiał to polecenie, myśląc, że chodzi o „zajęcie stanowiska” przez radę. Na specjalnie zwołanym po­siedzeniu rady, Wendorff urzędowo zapytał zebranych o opinię w sprawie usunięcia Żydów z adwokatury. Zastrzegł się, że na tę opinię nie chce i nie ma zamiaru wpływać, że nie krępując prze­konań zebranych, pozostawia im całkowicie wolną rękę w wy­powiedzeniu swego poglądu na całe zagadnienie. Aczkolwiek Wendorff nie używał przy tym żadnego nacisku, należy przy­puszczać, że liczył się on z faktem, iż w gronie rady przeważali członkowie Związku Adwokatów Polskich, znanego ze swego nieprzyjaznego Żydom programu, a to w związku ze znacznym odsetkiem adwokatów pochodzenia żydowskiego (w niektórych okręgach apelacyjnych ponad 70%, w Warszawie ponad 40%).

Opinia została wydana (był to luty 1940 r.) o wyniku dla Wendorffa na pewno nieprzewidzianym. Zredagowane w dwóch wariantach, szeroko i gruntownie na piśmie umotywowane refe­raty, wyrażały tezę, że skoro władze niemieckie są organem okupanta, nie są one władne w rozumieniu konwencji haskiej z 1907 r. zmieniać zasadniczych ustaw Państwa Polskiego, ani też wprowadzać postanowień prawnych (jak w danym wypad­ku zarządzeń antyżydowskich), które by były sprzeczne z obo­wiązującymi w Polsce ustawami (i). Teza ta została przyjęta przez wszystkich (z wyjątkiem jednego) członków rady.

Jak się później dowiedziały o szczegółach sprawy nasze czynniki podziemne, odważna ta opinia przyjęta została przez szefostwo dystryktu z wyraźną dezaprobatą. Wystąpienie adwo­katów warszawskich uznano za demonstrację polityczną. Dyg­nitarze dystryktu wpadli we wściekłość, grożąc autorom ,,bez­czelnej” tezy aresztowaniem i osadzeniem w Dachau. Groźba ta nie została wykonana. Do jej sparaliżowania przyznawali się Wendorff, Brehm i Gollert (o nim niżej). Wendorff opowiadał, że bronił opiniodawców przed użyciem przez Sicherheitsdienst dras­tycznych środków, motywując obronę tym, źe sam prosił człon­ków rady o szczerość. Trudno jest dociec rzeczywistego prze­biegu sprawy. Wiadomo tylko, że Wendorff tłumaczył się przed Brehmem, że dobierał do swej rady adwokatów wybitnych, solid­nych, a znanych raczej ze swych przekonań prawicowych. Jednak nie zdołał udobruchać Brehma, który pienił się, nie tyle ze wzglę­du na sam fakt nieszczęsnej opinii, ile ze względu na wytworzoną sytuację. Nie wykluczone, źe sam się obawiał pociągnięcia go do odpowiedzialności za to, że przyznał radzie adwokackiej pod­bitego narodu w ogóle prawo do „zajmowania stanowiska” w takiej sprawie.

Z całej tej kabały musieli oczywiście Niemcy jakoś wybrnąć. Po naradzie ustalono, że referent dla spraw adwokatury w Ab- teilung Justiz dystryktu dr Gollert (adwokat ze Szczecina) uda się do szefa Gestapo (był nim podówczas Misinger). Tam za­padły następujące decyzje : i) rozwiązać komisaryczną radę ad­wokacką i skreślić jej członków — autorów „buntowniczej opinii” z listy adwokatów, 2) przeprowadzić plebiscyt (ankie­tę) w sprawie żydowskiej w adwokaturze wśród wszystkich członków Izby Adwokackiej Warszawskiej.

W ten sposób jedyną karą (wówczas uważane to było jesz­cze za uderzenie dość dotkliwe z punktu widzenia materialnej sytuacji adwokatów), jaką wymierzono, było niedopuszczenie członków rady, którzy wypowiedzieli swą opinię na zasadzie prawa międzynarodowego, do wykonywania adwokatury. Przy zarządzonej weryfikacji wszystkich „aryjskich” członków war­szawskiej okręgowej izby adwokackiej, autorów opinii nie wpi­sano na nową listę. Utracili oni prawo do legalnego wykony­wania praktyki (z wyjątkiem jednego, który, jak podaliśmy, był innego zdania).

Wydanie przez członków rady tak zasadniczej, a jednocześ­nie odważnej opinii, i to przez ludzi, których nie można było w większości wypadków posądzić o filosemickie tendencje, nie było powodowane ani tromtadracją, ani lekkomyślnością jej

1) Art. 43 „Przepisów w sprawie praw i zwyczajów wojny lądowej” (Aneks do konwencji podpisanej w Hadze w 1907 r.) przyjętych przez Polskę oraz przez Niemcy, nakłada na okupanta wyraźny obowiązek szano­wania praw krajowych, obowiązujących na terytorium okupowanym.autorów, którzy zdawali sobie doskonale sprawę z ewentualnych skutków swego kroku (wiem o tym dobrze, bom wielokrotnie rozmawiał z nimi na ten temat). Wystąpienie adwokatów war­szawskich zirytowało nie tylko gubernatora Fischera w ,,Palais Brühl”, ale i wielkorządcę Franka na Wawelu (2). Mogło ono mieć dla autorów skutki o wiele poważniejsze niż odebranie pra­wa praktyki, jednak uważali oni, że na nich, jako na czołowych przedstawicielach korporacji, ciążył obowiązek podkreślenia w tych warunkach zasadniczego stanowiska. A trzeba tu pod­kreślić, że do grona tego należeli luminarze palestry warszaw­skiej z Bolesławem Bielawskim, Janem Nowodworskim, Leonem Nowodworskim, a z młodszego pokolenia — Michałem Skoczyń- skim i Jerzym Czerwińskim na czele.

Tak zakończył się pierwszy etap ,,porządkowania” przez okupanta w dziedzinie adwokatury spraw wewnętrzno-polskich i naginania tych spraw według zasad ,,ideologii” hitlerowskiej.

Sam Wendorff nie wyszedł bez szwanku z całej tej sprawy. Zniechęcił się do niego Brehm, który zresztą Wendorffa od samego początku wyraźnie nie lubił, uważając go za kariero­wicza. W końcu Wendorff został usunięty ze stanowiska komi­sarza dla spraw adwokatury z zachowaniem wszelkich pozorów zewnętrznych, jak udzielenie podziękowania za owocną pracę itp. Zajął się on wówczas intensywnym prowadzeniem swej kance­larii adwokackiej, cieszącej się ze względu na warunki okupa­cyjne dużym powodzeniem.

♦

Starym zwyczajem i według tradycji pruskiej, okupant gło­sił zasadę opierania swej władzy w Polsce na sile (siła przed prawem) i na fakcie zwycięstwa oręża niemieckiego, które sta­nowić miało o prawie. Aczkolwiek wydawać by się to mogło dziwne, urzędnikom niemieckim w Pałacu Brühla zależało jednak na uzyskaniu poparcia dla swej polityki części przynajmniej społeczeństwa polskiego. Moment ten musimy brać pod uwagę przy poszukiwaniu genezy plebiscytu zarządzonego, jak widzie­liśmy wyżej, przez wydział sprawiedliwości dystryktu warszaw­skiego.

Sprawę plebiscytu (ankiety) połączono z weryfikacją wszyst­kich adwokatów oraz z układaniem nowej listy. Praktycznie od­bywało się to w ten sposób, że każdy adwokat-kandydat na listę zgłaszał się (było to w maju lub czerwcu 1940 r.) wzywany na określoną godzinę do Pałacu Brühla (siedziby gubernatorstwa) i tam osobiście dostawał z rąk referenta dla spraw adwokackich

2) Oficjalna teza niemiecka stała już od października 1939 r. na sta­nowisku, że wojna z Polską została zakończona, że Państwo Polskie nie istnieje i że przeto reguły prawa międzynarodowego nie mają zastosowania przy likwidacji resztek państwowości polskiej i tworzenia nowego porząd­ku w poszczególnych częściach polskiego terytorium.dr Gollerta legitymację (ceremonia odbywała się pojedyńczo), po czym Gollert zapytywał po niemiecku lub po francusku (na wszelki wypadek znajdował się zwykle na boku tłumacz) o sto­sunek danego adwokata do kwestii żydowskiej. Pytania te zresz­tą występowały w różnych wariantach, najczęstszym było obce­sowe zdanie — czy jest za wykluczeniem czy dopuszczeniem Żydów do adwokatury. Dr Gollert mając przed sobą listę imien­ną adwokatów, umieszczał na niej przy każdym nazwisku w za­leżności od odpowiedzi odpowiednie znaki, które, jak później ujawniono, miały nieść niektórym kandydatom złowrogie prze­znaczenie.

Tutaj muszę sięgnąć pamięcią do mych wspomnień osobis­tych. Byłem jednym z tych kandydatów, którzy jak wszyscy inni, przechodzili przez gabinet Gollerta z dwuminutową z nim roz­mową o wątpliwej przyjemności. Będąc umieszczony raczej pod koniec alfabetycznej listy, składałem wizytę w Pałacu Briihła po paru lub kilku dniach od rozpoczęcia całej procedury, miałem więc możność poinformowania się od wcześniejszych co do alfa­betu kolegów o sposobie przeprowadzania „ankiety”. Radziłem się oczywiście z kolegami. Prowadziło się wówczas długie a wszechstronne dyskusje w pokojach adwokackich, w kulua­rach sądu, jakie winny być nasze odpowiedzi. Były różne, jak to zawsze bywa w gronie „inteligentów”, opinie, w końcu, o ile wiem, żadnego jednolitego tekstu odpowiedzi nie ustalono. Muszę tu powiedzieć, że nie wszyscy zdawali sobie wówczas sprawę z perfidii i bezwzględności wroga. Chociaż była to już połowa 1940 r. ,a więc po masakrze wawerskiej (grudzień 1939 r.), po pierwszych na większą skalę zorganizowanych łapankach na wiosnę 1940 r., jednak nie dotarło do świadomości ogółu zrozumienie potęgi i bezwzględności terroru hitlerowskiego. W tym czasie miałem konferencję zawodową z jednym z naj­wybitniejszych luminarzy palestry starszego pokolenia (i współ­autorem opinii lutowej), z którym przy okazji omówiłem sprawę „plebiscytu” i naszych odpowiedzi. Opinia mecenasa X wypadła kategorycznie i niedwuznacznie. Jesteśmy w niewoli — mówił — i nie wolno nam być tak nierozsądnymi, by zdając się na lojalność wroga, dyskutować z nim o naszych poglądach poli­tycznych. Gdy zauważyłem na to ze swej strony, że jednak w opinii lutowej członkowe rady ujawnili tak zasadnicze stano­wisko, mecenas X odpowiedział mi, że jedna taka manifestacja ze strony kierownictwa wystarcza i że nie ma sensu narażanie życia *wszystkich* warszawskich adwokatów przez masową de­monstrację. Po naradzie uzgodniłem z mecenasem X treść for­mułki do wypowiedzenia w dystrykcie. Przyznam się jednak, że rozstając się z nim miałem pewne wątpliwości.

Na drugi dzień, po namyśle, opinia mec. X wydała mi się przekonywująca, wobec czego, idąc za jego radą, postanowiłem u Gollerta oświadczyć, że „wstrzymuję się od wypowiadania mej opinii”, starając się przy tym agitować wśród spotykanych ko­legów za taką formułką. Niestety, wielu kolegów wdało się

z Gollertem w zasadnicze ,,na poziomie” prowadzone dyskusje, które doprowadziły, jak to poniżej opiszę, do katastrofalnych rezultatów — do tragicznej hekatomby kwiatu palestry war­szawskiej, do wyniszczenia najwartościowszych jednostek.

Wynik ankiety dawał podstawę Gollertowi do podziału za­pytywanych adwokatów na trzy grupy : i) Adwokaci, którzy wdając się w dyskusję z Gollertem wypowiedzieli się w tej czy innej formie za dopuszczeniem Żydów, podnosząc przy tym ta­kie momenty, jak treść polskiego ustawodawstwa przedwojen­nego wraz z argumentem konwencji haskiej, lub inne przeszko­dy natury prawnej. Odpowiedzi takich było około 8o-ciu. (Wed­ług innej wersji liczba ta dochodziła do setki.) Trudno byłoby mi teraz przeprowadzić analizę socjalną składu tej grupy, mogę tylko powiedzieć, że na ogół należeli do niej równomiernie przed­stawiciele starszego, średniego i młodego pokolenia adwokac­kiego.

1. Adwokaci, którzy nie wdając się w żadne dyskusje mery­toryczne, wstrzymali się od wypowiedzi swego zdania( liczba tych wynosiła około dziewięciu).
2. Do ostatniej grupy zaliczeni zostali adwokaci, których odpowiedzi nie dały Gollertowi oczywistej i jawnej podstawy do zaliczenia ich do niezadowalających. Byli wśród nich tacy, którzy jedynie krótko i bez żadnych komentarzy podali swoją przynależność do stronnictw lub ruchów ,,narodowych”, lub członkostwo Związku Adwokatów Polskich, stojącego, jak wia­domo, na stanowisku tzw. „odpolszczenia” adwokatury i obrony jej przed „zalewem” żydowskim. Starając się zrozumieć inten­cje tych kolegów, sam w sumieniu swoim nie mógłbym uznać, by zawsze odpowiedź taka, kładąca nacisk na przedwojenną przynależność, miała wymowę antysemicką i oznaczała poniża­nie się przed wrogiem. Były ponadto w tej grupie nieliczne krótkie odpowiedzi : „byłem przed wojną antysemitą” oraz jesz­cze mniej liczne wypowiedzenia się za wykluczeniem Żydów z ad­wokatury. Nie byli oni w rzeczywistości tego zdania, a po prostu bali się terroru.

Do trzeciej grupy zaliczono w ten sposób całą resztę. Na­leży w tym miejscu podkreślić, że nie wszyscy z trzeciej grupy zachowywali się poniżej godności Polaka i obywatela, albowiem znakomita większość tej grupy dawała odpowiedzi wymijające. Wielu z tej grupy było potem czynnych w ruchu oporu, wielu było aresztowanych, wielu straconych lub zamęczonych po obo­zach, tak że ich wcześniejsze deklaracje wcale nie określiły ich stosunku do okupanta. Cyfr dokładnych obecnie nie pamiętam, ale jeżeli przyjąć, że ogólna ilość weryfikowanych adwokatów wynosiła około 450, należy przyjąć, że trzecia grupa liczyła około 350-370 osób.

O wyniku ankiety została powiadomiona al. Szucha (Gesta­po), czego rezultatem było aresztowanie 10, 11 i 12 lipca 1940 r. i osadzenie na Pawiaku pierwszej grupy, tzn. owych 80 adwo­katów. We wrześniu zostali oni wywiezieni do Oświęcimia (Kon-zentrations-Lager Auschwitz). Niewielu z nich powróciło. Więk­szość wyginęła w 1940, 1941 lub nawet w latach późniejszych.

Jak dowiedziałem się już o wiele później, w aktach spra­wy w Abteilung Justiz w dystrykcie, znajdowała się odręczna notatka dr Gollerta, iż przekazując nazwiska do Gestapo, Wy­dział Sprawiedliwości nie wiedział o mającym nastąpić areszto­waniu. Ile w tym prawdy — nie wiadomo.

Wydawało się niekonsekwentne, źe nie aresztowano w swo­im czasie członków rady adwokackiej, pośrednich sprawców plebiscytu. Nie ma żadnych dowodów, by wierzyć Gollertowi, iż aresztowań zaniechano na skutek jego o to prośby. Wątpliwe, czy jego prośba by pomogła, jeszcze bardziej wątpliwe, czy to w ogóle zrobił. Należałoby przyjąć raczej za prawdopodobną wersję, źe członków rady nie aresztowano, bo uważano ich za szczególnie niebezpiecznych i sądzono, źe więcej korzyści będzie z ich stałej i starannej inwigilacji, która rzeczywiście miała miejsce.

Kiedy rozważam teraz z perspektywy lat trzynastu opisy­wane wyżej wydarzenia, kiedy kontroluję trafność posunięć kole­gów z adwokatury i mego postępowania, coraz więcej nabieram przekonania o słuszności rady udzielonej mi przez mecenasa X. Nie tylko ze względów osobistych, żem uniknął dzięki jego su­gestiom represyj, jakie spotkały pierwszą grupę kolegów. Szko­da mi, i to jest najważniejsze, tych kolegów, którzy z pobudek jak najwyższej szlachetności, wierności dla sprawy i lojalności wobec uciemiężonych Żydów, zadeklarowali jasno wobec wro­ga swe nieustępliwe stanowisko. Czy liczyli oni na elementarną uczciwość tego wroga ? Czy sądzili, źe nie spotka ich nic złego, gdy szczerze ujawnią swe zapatrywania wobec urzędnika oku- panckiego na skutek uprzejmego pytania z jego strony ? Czy nie przewidzieli w pytaniu tym podstępu i zasadzki ? Czy nie znali trafnego powiedzenia, że nie rozmawia się o polityce z fryzjerem przy goleniu, skoro fryzjer trzyma w ręku brzytwę ? Czy nie uważali, że należało się przyczaić, a uderzyć mocno dopiero po wybraniu pozycji bardziej sprzyjającej do walki, lub po za­pewnieniu sobie względnej chociażby równości w zakresie środ­ków walki i posiadanego arsenału broni. Nasuwa się pytanie, czy Mickiewicz w Konradzie Wallenrodzie uchwycił choć częś­ciowo naszego ducha narodowego, bo doświadczenia z lat oku­pacji niemieckiej dowodzą jak daleko jesteśmy, my Polacy, od wallenrodyzmu. Wiemy raczej, źe wypadki przejścia na stronę wroga dla celów ideowych i dla wyższej sprawy, były niezmier­nie rzadkie. Renegacja, volksdeutschostwo i innego rodzaju zdrada, miała swe źródło u nas w przeciętnej ludzkiej podłości, czasami, choć rzadziej, w karierowiczostwie, a przeważnie dla szukania doraźnych zysków materialnych. Daremno by szukać w tym gronie zdrajców, okazów w rodzaju dr Fuchsa, u którego w związku z wykryciem afery przekazywania Moskwie tajem­nic bomby atomowej, doszukano się pono rozdwojenia jaźni napodobieństwo bohatera powieści i znanego filmu — dr Jekylla- Mr Hyda.

♦

Wśród adwokatów zaaresztowanych po ankiecie, znajdował się Jerzy Czarkowski, jeden z wybitniejszych z grona młodego pokolenia i jednocześnie znany polityk kierunku narodowo-rady- kalnego (po uwolnieniu go z niemieckiego obozu koncentracyj­nego w 1945 — piastował jakiś czas prezesurę Zjednoczenia Polskiego w Niemczech). Na „interview” z Gollertem podjął on zasadniczą dyskusję na temat sprawy żydowskiej. Wytworzyła się sytuacja paradoksalna, w której przywódca ONR-u w dys­kusji z hitlerowcami staje w obronie Żydów. Czy mógł on przy­puszczać, że ten odruch nie tylko odwagi ale i determinacji, nie tylko patriotyzmu ale i ludzkiej szlachetności, będzie go koszto­wać pięć lat Oświęcimia ? Czy cierpiąc fizycznie i duchowo na niekończących się apelach „koncentraka”, zdawał sobie sprawę, że wpadł w tę otchłań na skutek niecodziennego porywu serca i umysłu, dokonanego w fatalnej godzinie wizyty w gabinecie urzędnika okupacyjnego ?

Nie chciałbym używać tutaj słów przesadnych, ale sprawa Jerzego Czarkowskiego wydaje mi się w owych okolicznościach doprawdy niezwykła, nawet na warunki wojenne, stwarzające, jak wiadomo, całkiem niespotykane kiedy indziej sytuacje. Z ra­cji swych przekonań przedwojennych, nie powinien on, zdawa­łoby się, łączyć się z programem prożydowskim. O sympatie filo- semickie wówczas trudno by go posądzić. Jako zimny a trzeź­wy polityk, mógłby w świetle swych przekonań widzieć w rugo­waniu Żydów ze społeczeństwa polskiego przez Niemców — po­żyteczną choć brudną robotę, wykonywaną cudzymi rękami. A jednak w chwili krytycznej potrafił on, wbrew zdawałoby się przekonaniom przedwojennym, rozróżnić istotę polskich i ludz­kich rzeczy od naleciałości antysemickich. A na pewno obok Jerzego Czarkowskiego wśród fatalnej osiemdziesiątki byli i inni tak samo myślący i czujący, choć nieczuli na pokusy chwili. Jego sprawa urasta do potęgi symbolu. Znamy zresztą inne fakty analogiczne, jak wspaniałe zachowanie się wobec Żydów Jana Mosdorfa w Oświęcimiu lub tak liczne przypadki ratowania Ży­dów przez Polaków, ukrywanie ich, z narażaniem życia i egzys­tencji swych najbliższych, nigdy jednak czyjeś zachowanie względem Żydów nie znalazło się w tak jaskrawym roźdzwięku z przedwojennym postępowaniem i przekonaniami, jak w przy­padku Czarkowskiego i Mosdorfa, obu wybitnych przywódców ruchu „antysemickiego” doby przedwrześniowej.

♦

Po opinii lutowej i po „ankiecie”, władze Generalnej Gu­bernii zaczęły uważać polską adwokaturę za element szczególnie niebezpieczny pod względem politycznym. Gestapo, które od po­czątku widziało w polskiej inteligencji (so genânnte polnische

Intelligenz” — jak mawiał Frank) nieprzejednanego wroga oku­pantów, odnosiło się z dużą podejrzliwością do każdej znajdują­cej się w zasięgu niemieckiej służby bezpieczeiistwa sprawy, w którą bezpośrednio lub pośrednio był zamieszany adwokat. Stąd tak znaczna liczba ofiar terroru hitlerowskiego w tym za­wodzie. Nie miano również zaufania do tych Polaków-adwoka- tów, będących członkami rady adwokackiej z nominacji. Każdy protokół z posiedzenia rady wymagał zatwierdzenia przez wy­dział sprawiedliwości dystryktu.

W okresie pracy konspiracyjnej miałem w ręku sprawo­zdanie z 2-letniej działalności wydziału sprawiedliwości dystryk­tu warszawskiego, za lata 1942-1943, w którym szeroko i grun­townie, z iście niemiecką dokładnością, scharakteryzowano po­stawę warszawskiej adwokatury, podnosząc niebezpieczne dla Niemców tendęncje członków korporacji adwokackiej w ruchu oporu.

Czyż tego rodzaju świadectwo wystawione przez wroga, nie ma szczególnej wartości ?

*Wacław SZYSZKOWSKI*

**POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŹNIE**

**Największa na emigracji**

**KSIĘGARNIA D D. I C 38’ Knightsbridge, S.W.1.**

**POLSKA V/ tC D I W LONDON, Gt. Britain**

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM
Wydane gdziekolwiek na świecie

*Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów*

KSIĄŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

**Polecamy również:**

**POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE**

wiele nowych własnych nagrań.

**Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.**

**KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.**

***Kronika kulturalna***

Nonsens treści i formy

Sprawiedliwość jest wprost proporcjonalna do siły ; najsłab­si zawsze są najbardziej niesprawiedliwi. Stopień niesprawiedli­wości zależy od stopnia zagrożenia. Malarzy XIV i XV wieku nazywaliśmy „prymitywnymi”, gdy zagrażali walczącym o uz­nanie naturalistycznym kryteriom wartości. W miarę jak blakł autorytet tych kryteriów, zaczęliśmy się wstydzić tej wzgardli­wej nazwy. Dziś już nie trzeba rehabilitować prymitywów — żyjemy w pełni ich kultu. Wciąż jednak jeszcze trzeba usuwać nieporozumienia, które odziedziczyliśmy nie tylko zresztą po na- turaliżmie.

PŁODNY ABSURD

Wartości estetyczne są wartościami formalnymi. Pamiętając o tym, stajemy się wrażliwi na formę, to znaczy na grę zmysło­wych elementów dzieła : plam barwnych i mas w obrazie, dźwię­ków i rytmów w muzyce i poezji. Można zapamiętać się w tej postawie do tego stopnia, że treść staje się obojętna, a w końcu niezrozumiała. Ale im bardziej skupiamy się na formie, tym mniej rozumiemy jej znaczenie i tym płytsza staje się nasza kontem­placja. Wreszcie zaczynają nam wystarczać wartości czysto de­koracyjne, a nasze kryteria ubożeją : „przyjemne” i „przykre” stają się jedynymi uchwytnymi ocenami. Pytanie : dla czego przyjemne albo przykre ? drażni nas, bo daremnie szukamy na nie odpowiedzi. Jeżeli nie możemy jej uniknąć, zadowalamy się filozoficznymi czy poetycznymi ogólnikami, które mogą zna­czyć wszystko albo nic. Ale te ogólniki są hołdem formisty, zło­żonym treści, jak obłuda jest hołdem, składanym przez grzech cnocie.

Coś bardzo podobnego zdarza się „treściowcom”. Treściow- cy oceniają wartości formalne dzieła sztuki jako środek „ewo- kacji” przedmiotu : jeżeli „ewokacja” się udała, forma jest do­bra, jeżeli nie — zła. Żądając, by rzecz przedstawiona była jak

najbardziej „obecna”, nie mogą jednak uniknąć dodatkowego kryterium : czy rzecz warta jest ewokacji, czy jej znaczenie us­prawiedliwia jej przedstawienie. Trzymając się konsekwentnie kryteriów treściowych, dochodzi się w końcu do osądzenia całej niemal historii sztuki jako komedii pomyłek, bo artyści prawie zawsze interesowali się przedmiotami mniej lub więcej błahymi. Oczywiście, konsekwencję tę rzadko się wyciąga : jest to zwykle moment, gdy treściowiec rezygnuje ze swoich kryteriów treścio­wych i zaczyna przyznawać trochę racji kryteriom formalnym.

Słowem : skupiając się na formie, rehabilituje się w końcu treść, by nie utonąć w perspektywach formy i nie zatracić jej sma­ku, a skupiając się na treści, z tych samych powodów rehabili­tuje się formę. Pedagogicznie, wszelkie doktrynerstwo jest więc użyteczne, jeżeli jest uczciwe : prowadząc do absurdu, zmusza do wzniesienia się na wyższy poziom refleksji i nadaje sądom większą elastyczność. Ale skoro kryteria treściowe i formalne porówni prowadzą do absurdu, myśl systematyczna powinna wyjść poza nie, i to nie w drodze kapitulacji czy kompromisu, ale wyższej syntezy. Czy taka synteza jest możliwa ?

KONSTYTUOWANIE RZECZYWISTOŚCI

Naprzód więc trzeba powiedzieć, że treść czyli rzeczy i zwią­zki przedstawione są tak samo przedmiotem operacji formalnych, jak formy czysto zmysłowe czy — jeśli kto woli — środki tech­niczne. Innymi słowy, ograniczając się do jakości zmysłowych, nie „rezygnujemy z treści”, tylko... zubożamy formę ! Krajo­braz nie jest wcale „pretekstem dla kompozycji kolorystycznej”, ale jest także krajobrazem — i to w tym samym stopniu, co kompozycją kolorystyczną. Ale znów — ograniczając się do tre­ści, nie „sprowadzamy formy do techniki”, tylko... zubożamy treść. Deformacja nie jest wcale „narzędziem ekspresji”, ale elementem nowej rzeczywistości, często zasadniczym, *sine qua non.* Można „namalować Poussina jeszcze raz według natury”, ale to już nie będzie Poussin, tylko Cézanne. Bo forma pochodzi z tych samych źródeł co treść.

Nieporozumienie tkwi w fałszywym pojęciu rzeczywistości, którą uważamy za daną, istniejącą niezależnie od procesu po­znania. Ale rzeczywistość dana i gotowa jest konwenansem prak­tycznym, niezmiernie ubogim. Jej konwencjonalność ujawnia się ' w każdej próbie uzgodnienia wizji rzeczywistości. Gdy tylko pró­bujemy powiedzieć, co o rzeczywistości wiemy i myślimy, natych­miast zaczyna się dyskusja. Jeżeli takie uzgodnienie ma zna­czenie praktyczne, jeżeli jest np. potrzebne do współdziałania, zazwyczaj zadowalamy się w końcu obrazem rzeczywistości przy­bliżonym i tylko w głównych punktach określonym. Jeżeli dys­kusja nie ma charakteru praktycznego, zaczynamy interesować się przyczynami rozbieżności poglądów na rzeczywistość i brnie­my w typologię psychologiczną czy filozoficzną, która pozwalanam utrzymać poglądy niesprowadzalne a nawet wyłączające się nawzajem. W końcu wiemy coś dokładniejszego o sobie, o swojej umysłowości, ale ,,rzeczywistość” staje się tylko tym bardziej nieokreślona, a nawet zagadkowa.

Przyczyna nieporozumienia tkwi w tym, że rzeczywistość jako coś pewnego i obiektywnego nie istnieje. Nawet naszą naj­bardziej konwencjonalną rzeczywistość, tę na przykład, którą tak sumarycznie traktują dziennikarze, powieściopisarze i prawnicy — ktoś musi ukonstytuować. Ten proces konstytuowania rze­czywistości jest nie skończony. Każdy artykuł wstępny, każda mowa obrończa konstytuuje ją na nowo. Zmiany są zwykle led­wo dostrzegalne, ale wystarczy zajrzeć do starego rocznika ga­zety, by zobaczyć, że dokonują się one bez przerwy. Te różnice zamknęliśmy w terminie ,,epoka” odbierając im w ten sposób ich charakter głęboko niepokojący. Gdyby rzeczywistość była niezmienna, to jest gdyby istniała, różnic tych nie byłoby.

Co wiemy i myślimy o świecie — oto rzeczywistość. Wy­starczy, źebyśmy zobaczyli w świecie jakąś jedną nową rzecz —• np. perspektywę linearną (w XV wieku), a powstaje nowa „rzeczywistość”, już niesubiektywna i zależna od osobistego wi­dzimisię, ale obiektywna w tym sensie, że sprawdzalna dla in­nych. Artyści zaczynają tworzyć „cały nowy świat”. Nieba­wem wszyscy żyją w tym świecie i zapominają, że żyli dawniej w innym. Bertrand Russell widzi źródło wszystkich naszych nieszczęść w odkryciu, że człowieka można namówić do wszyst­kiego. W istocie, nasza rzeczywistość, tak różna od rzeczywi­stości sprzed 50-ciu lat, została ukształtowana przez reklamę i propagandę. Człowiek już nie jako narzędzie, ale jako przed­miot celowego działania — oto nowość i oryginalność naszych czasów.

Kultura w świecie ludzkim, jak życie w świecie astronomicz­nym, jest czymś co nieustannie się kończy i na nowo zaczyna. Ludzkość istnieje dla tego, że w pewnych punktach materii utrzy­muje się od milionów lat temperatura 37 stopni C. Kultura ist­nieje dla tego, że trwa nieustannie proces „konstytuowania” rze­czywistości. Kultury ludowe nie są w ścisłym tego słowa znacze­niu kulturami, bo w nich proces ten się nie odbywa : w kulturze ludowej podaje się z pokolenia w pokolenie dawno ustaloną „kon­stytucję” rzeczywistości. Kultura ludowa reprodukuje środowi­sko naturalne, które jest ściśle ograniczone swoim zasięgiem, kultura *tout court* reprodukuje środowisko o wiele szersze, bo jest próbą przezwyciężenia warunków naturalnych.

Człowiek ucieka od rzeczywistości, bo się w niej dusi i prag­nie włączyć ten fragment świata w rzeczywistość obejmującą więcej, niż wszystko co już zostało ukonstytuowane. Tak po- wstają nowe prądy myśli, nowe kierunki artystyczne, czasem nowe kultury. Rzeczywistość jest nie wyczerpana i zagadkowa i istnieje tylko w tym stopniu, w jakim potrafimy ją ukonsty­tuować — oto dla czego spór treściowców i formistów jest fik­cyjny.

KONKLUZJA

Kryteria czysto treściowe i kryteria czysto formalne zubo­żają prawdę o sztuce, która jest czystym aktem konstytuowa­nia rzeczywistości. Malarz nie tylko porządkuje kolory na płasz­czyźnie, ustala też co wie i co myśli o tej zagadce, jaką jest świat. Ale to nie wszystko. Konstytuując rzeczywistość, kon­stytuuje siebie. Malarz tworzy swą osobowość malując. Rów­nocześnie stawia postulaty swemu środowisku. Jeżeli potrafi się narzucić — zmienia to środowisko, które może objąć całą ludz­kość. Artysta nie tworzy nigdy nic absolutnie nowego, zwykle rekapituluje. To samo dzieje się w życiu organicznym, a także społecznym. Stare stoi obok nowego, ale na nowym miejscu. Ukonstytuowała się nowa rzeczywistość, i to nie rzeczywistość, którą wystarczy „odtworzyć”: odtwarzanie jest idiosynkrazją naśladowców. Konstytuując się, rzeczywistość powstaje jak Fe­niks z popiołów. Nie jest to też „nowa wizja”, do której dosto­sowano „nowe środki”. Między wizją a środkami istnieje zależ­ność wzajemna — często nowa wizja wyłania się z nowych środ­ków.

Każdy prawdziwy artysta tworzy treść i formę tym samym pociągnięciem pędzla, każdy prawdziwy miłośnik sztuki obejmu­je treść i formę jednym spojrzeniem. Treść i forma nie są dwie­ma warstwami dzieła sztuki, bo treść ma formę, a forma — treść, ale dwoma aspektami tego samego procesu : aktu konsty­tuowania rzeczywistości. Rzeczywistość umarła — niech żyje rze­czywistość — oto okrzyk, który rozlega się przy narodzinach każ­dego nowego dzieła sztuki. Kopia natomiast jest nagrobkiem.

*Jan ULATOWSKI*

Rzymianie nie zdoby wali Everestu...

***This ivas the noblest Roman of them all;***

***His life ivas gentle, and the elements***

***So mix’d in him that Nature might stand up And say to all the ivorld, „This ivas a mani”***

Szekspir szedł za Plutarchem i możemy mu wierzyć, że te lub podobne słowa powiedział — albo mógł powiedzieć — Ma­rek Antoniusz nad zwłokami Brutusa. Taki — w Rzymie po­gańskim — był hołd, oddany śmiertelnemu wrogowi, którego armię rozbito i sprawę pogrzebano. Przed dwoma tysiącami lat

Brutus mógł być czynnym politykiem i mężem stanu pozosta­jąc szlachetnym człowiekiem ; mógł zgładzić przyjaciela, gdy ten sprzeniewierzył się ideałowi wolnego republikańskiego życia, a mimo to pozostać czysty. Zarówno on, jak wielu jemu podob­nych, działało w świecie, w którym polityka nie stała jeszcze poza granicami honoru, gdzie nawet politycznego zabójstwa dokonywano w ramach systemu norm etycznych swojego cza­su ;w świecie nie przeczuwającym Machiavellego, Marxa ani Sta­lina, ale znającym styl ludzkiej wielkości.

Te refleksje powstały we mnie, gdy myślałem o dwóch nowych filmach, których tematykę dzielą tysiąclecia, ale łączy charakter wątków, a przynajmniej tła. Bo zarówno dokonana przez J. Mankiewicza filmowa adaptacja szekspirowskiego *Juliu­sza Cezara* jak *The Man Between* Carola Reeda są w pewnym sensie politycznymi „dreszczowcami”. W to zamyślenie nad czło­wiekiem na tle polityki wkradło się dziwaczne i niepokojące py­tanie, które nasunął mi trzeci, w tym samym czasie pokazany w Londynie film: *The Conquest of Everest.* Oto ono : czemu starożytni — jeśli wierzyć milczeniu przekazów historycznych — choć tak aktywni w dziedzinie ćwiczeń cielesnych — nie rozwi­nęli bezinteresownego i „abstrakcyjnego” sportu, jakim jest wspinaczka wysokogórska ? Ale na razie zostawmy na boku ten problem, czy kaprys dociekliwości i przejdźmy do krytyki filmo­**wej,** próbę odpowiedzi rezerwując na zakończenie.

♦

Dobrze się stało, że reżyserię *Juliusza Cezara* wytwórnia Metro Goldwyn Mayer (która ma na sumieniu niemało grze­chów z dziedziny spłycania i fałszowania rzymskiej starożyt­ności) powierzyła tym razem Józefowi L. Mankiewiczowi. Zasto­sowane przez niego (wspólnie z dyrektorem produkcji Johnem Housemanem) metody realizacyjne świadczą chlubnie o inteli­gencji i zmyśle artystycznym tego wybitnego reżysera. Przede wszystkim, w kontraście do kosztownej i płytkiej widowiskowo­ści Cecila B. de Milla, postanowił Mankiewicz skoncentrować się na tekście literackim, a nie na bogatej wystawie. Poszedł wiernie za utworem Szekspira usuwając z niego tylko nieliczne partie i tylko kilka trzeciorzędnych postaci. Nie rezygnując z ru­chomości kamery, ani z inteligentnych filmowych zbliżeń, ze statystów i z szerokich plenerów — nie dodał reżyser od siebie ani jednego słowa dialogu i nawet w kolejności scen pozostał wierny Szekspirowi. Od siebie dał świetną reżyserię i przejętą od Eisen­steina umiejętność operowania charakterystycznymi postaciami drugo- i trzecioplanowymi, przy których pomocy — drogą krót­kich, wyrazistych zbliżeń — potrafił wydobyć atmosferę napięte­go współuczestnictwa tłumów (obywateli, czy żołnierzy) w cen­tralnym dramacie walki senatorów z cezarem, a potem z jego następcami.

Metoda inscenizacyjna Mankiewicza niewiele różni się od metody Lawrence Obviera, znanej z jego filmowego *Hamleta*i *Henryka V-go.* To ,,niewiele” wynika z odmiennego charak­teru tych dzieł Szekspira. Gdy w *Hamlecie* główny nacisk spo­czywa na postaci tytułowej, *Juliusz Cezar* jest dramatem ludzi i światopoglądów. Dlatego Olivier mógł sobie pozwolić na ,,fil­mowy komentarz *Hamleta”* (tak nazwał swą realizację), zaś Man- kiewicz dążył do zespołowej gry aktorów i grę taką w pełni osiągnął zachowując indywidualizację postaci, wynikającej z od­rębności ich charakterów. Jeśli idzie o podobieństwo, to widzę je w pietyzmie dla tekstu i w umiarze, cechującym dodatki fil­mowe, rozszerzające obie sztuki. Sceny batalistyczne traktowa­ne są w *Juliuszu Cezarze* równie celowo i ascetycznie jak w *Hen­ryku V-tym* Obviera.

W doborze aktorów realizatorzy *Juliusza Cezara* wykazali tyleż rozwagi, co chwalebnej śmiałości .Gdy w rolach Kasjusza i Brutusa pokazano wytrawne lwy szekspirowskiego teatru — sir Johna Giełguda i Jamesa Masona, który swą karierę za­czynał w Irlandii piękną kreacją teatralną Brutusa — Markiem Antoniuszem postanowiono uczynić dynamicznego aktora ame­rykańskiego pochodzenia polskiego, Marlona Brando, który w rolach szekspirowskich nie był znany, a swą młodą sławę aktorską zawdzięczał głównie roli Kowalskiego w sztuce i fil­mie *A Streetcar Named Desire* oraz jednej z głównych ról w fil­mie *The Men* i roli tytułowej w pięknym filmie *,,Viva Zapała!* Warto dodać, że Mankiewicz, obawiając się, iż polski akcent Brando (Brandysa?) w roli Kowalskiego jest niezbywalnym dzie­dzictwem polskim tego aktora, przed kontraktem nagrał część jego roli Marka Antoniusza na taśmę i dopiero w ten sposób upewnił się w błędności tego mniemania (uporczywie głoszo­nego przez pewien odłam prasy angielskiej i amerykańskiej) i przekonał kogo należy o celowości zaangażowania Marlona Brando.

Ostateczny rezultat potwierdził trafność tej decyzji. W zes­pole tak różnolitym — bo przecież anglo-amerykańskim i filmo- wo-teatralnym — Marlon Brando okazał się siłą znakomitą.

♦

*The Man Between,* którego tytuł na polski można przeło­żyć jedynie omówieniem *Człowiek na ziemi niczyjej,* przenosi nas ze starożytnego Rzymu do dzisiejszego Berlina. Po wyjściu z kina pozostaje w pamięci na długo — może na zawsze? — obraz czło­wieka, leżącego na śniegu pomiędzy barierami granicznymi so­wieckiej i brytyjskiej części miasta. Ten człowiek żyje jeszcze, widzimy go w poprzecznym perspektywicznym skrócie ; jest ran­ny, podnosi rękę w stronę brytyjskiej bariery — w stronę wol­ności ; jednak straże komunistyczne są blisko, strzelają celnie — następna kula dosięgnie go śmiertelnie : jeszcze jeden, już bez­nadziejny rzut wyciągniętej dłoni, jeszcze jeden grymas umę­czonej twarzy, zaraz niknącej w śniegu, w ciszy, w bezruchu śmierci.

Tym człowiekiem jest prawnik niemiecki, były żołnierz, któ­ry przeżył całe piekło wojny, by spodleć do tego stopnia, że uczy­nił sobie wcale lukratywny zawód z porywania dla władz so­wieckich swych własnych rodaków, zamieszkałych w zachodnim Berlinie. Ten człowiek (w filmie, o ironio, gra go J. Mason, który wcielał Brutusa) upadł tak nisko, że nie waha się szan­tażować swej byłej żony, która, przeświadczona o śmierci zagi­nionego męża, poślubiła brytyjskiego majora, stojącego na cze­le organizacji pomocy dla uchodźców zza żelaznej kurtyny. Film nie pokazuje Rosjan — właściwych sprawców dramatu, w który — jako ofiara porywacza, a później przyczyna jego wątpliwego odrodzenia moralnego i niewątpliwej zmiany frontu — wplątana jest młoda i bezbrzeżnie głupia Angielka (Claire Bloom), szwa- gierka owej Niemki, eks-żony głównego bohatera (Hildegarde Neff). Ale nad całym dziełem unosi się ciężka atmosfera terroru, ciągłego zagrożenia osobistej wolności i życia, nieustannego szpiegowania, szantażu. Pokazano obławy i pościgi, które dla Rosjan przeprowadzają niemieccy komuniści — jeden z nich, szef bandy (chyba przypadkowo tylko podobny do Churchilla), zapada w pamięć jako uosobienie podłości i ohydy. I małości zarazem. Bo wszystko, co dzieje się w filmie, jest nie tylko zbrodnicze : jest także nikczemne nikczemnością nieludzką — małą w każdym ze sprawców, a jednocześnie satanicznie po­tworną, bo obejmującą miliony ludzi. Oto obraz naszego czasu, oto cena — maleńka część ceny — zimnej wojny, ohydnego ,,po­koju”! Jakże daelko odeszliśmy od pogańskiego Rzymu !

Wracając do filmu Carola Reeda trzeba powiedzieć, że da­leko mu do potęgi i prostoty Szekspira w ujęciu Mankiewicza. Choć wspólnie z Grahamem Greenem potrafił stworzyć dzieło piękne, a zarazem proste — *Third MarTa.* Reed jest wirtuozem języka filmowego, a nawet — przynajmniej w ramach kinema­tografii anglosaskiej — bywa odkrywcą nowych idiomów tego języka. Ta reżyserska fascynacja czystą formą filmową mogłaby inny temat podnieść z poziomu przeciętności, czy banału do rangi dzieła sztuki, ale zaszkodziła berlińskiemu dramatowi ludzi sterroryzowanych. Na wyrafinowanym podaniu straciła bardzo ludzka historia. Fabule filmu, opowiedzianej w nieco zawiły sposób, brak tej siły i prawdy, jaką miał *Trzeci człowiek,* nie­którym ludziom w Reedowskim Berlinie nie dostaje psycholo­gicznego wykończenia. Niektóre sceny i osoby zdają się zapo­wiadać jakiś rozwój akcji, a potem zapadają w nicość. Ten nadmiar ekspresji da się wytłómaczyć jedynie chęcią popisania się bogactwem inwencji inscenizacyjnej reżysera lub poszukiwa­niem nowych akordów filmowych przez zakochanego w swym medium artystę.

Sprawiedliwość każę nam przyznać, że Reed znajduje — choć w danym razie kosztem dzieła — te świeże formy. Tak więc w sposób niezwykły w ,,dreszczowcach” wstrzymuje tempo ak­cji i każę aktorom rozprawiać o przeszłości. Mówi milczeniem i nieruchomym obrazem : pozostawione na śniegu, pozwijanew ósemki ślady kół roweru małoletniego szpiega są np. dla widza

* i dla wtajemniczonych bohaterów dramatu — piętnami gro­zy, czającej się na ulicach Berlina, elementem nastroju, wyra­żonym w sposób artystyczny i nowy w tym gatunku filmowym. Wiadomo, że Pudowkin pierwszy zastosował nieruchomość po­staci jako środek zwiększenia napięcia dramatycznego filmu. Ale wydaje się, że Reed idzie dalej i w sposób ciekawy wzbogaca konwencję filmu sensacyjnego. Z tych względów *The Man Bet- 'ween* jest ucztą dla specjalistów i wykształconych miłośników, a jednocześnie atrakcyjnym *thrillerem* dla przeciętnego widza, któremu — mimo swych braków — opowiada więcej o współ­czesności od kilogramów gazet i tuzinów kronik filmowych.

**♦**

Słynny alpinista George Mallory, zapytany, dlaczego wspi­na się na niedostępny szczyt, odpowiedział : *Because it’s there*

* ponieważ tutaj stoi. Ta odpowiedź stała się klasyczną dewizą wszystkich alpinistów' — ludzi silnych, a jednak bezinteresow­nych, dla których nie potrzeba innej zachęty oprócz wielkości i trudności zadania. Ta prosta dewiza przewija się w komenta­rzu znakomitego filmu brytyjskiego produkcji Countryman Films — kolorowego obrazu dokumentalnego pt. *The Conquest of Everest,* opisującego zwycięską wyprawę ekipy płk. Johna Hunta na szczyt Dachu Świata.

Przypomnijmy pokrótce fakty. Tegoroczna wyprawa była ósmą z rzędu ekspedycją brytyjską, zorganizowaną — jak i po­przednie — przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne i Klub Alpejski. Członkowie wyprawy płk. Hunta[[3]](#footnote-4)) zebrali się w dniu 8 marca br. w stolicy Nepalu Katmandu. Znalazło się wrśród nich trzynastu Brytyjczyków — dwóch oficerów, student, dwóch na­uczycieli, dwóch naukowców, dwóch lekarzy, agent biura po­dróży, statystyk, operator filmowy i pszczelarz z Nowej Zelandii

* i jeden obywatel Nepalu, przewodnik z plemienia himalajskie­go Szerpów, uczestnik n-tu ataków na Everest, io marca wy­prawa ruszyła w górę, a już w dniu 26 marca, po przeniesieniu przez 350 tragarzy nepalskich pięciuset skrzyń ekwipunku, za­łożono obóz wyjściowy pod stolicą Szerpów Manche Bazar, na płaskowyżu, przy klasztorze buddyjskim Thyangboche. Z tej bazy forsowano lodowce.

Według szczegółowo opracowanego planu, realizowanego zespołowo przez członków ekspedycji i 35-ciu zaangażowanych na miejscu Szerpów — zakładano następnie coraz wyżej obozy przejściowe, do których przenoszono niezbędny ekwipunek, a w szczególności butle z tlenem do aparatów do oddychania na wielkich wysokościach. Dnia 29 maja, po nieudanej próbiezdobycia szczytu przez fizyka atomowego Toma Bourdillon i le­karza z Liverpoolu Charlesa Evansa, z przejściowego obozu Nr 9 wyruszyli na szczyt wyznaczeni przez Hunta : pszczelarz Ed­mund Hillary i Szerp Tensing Norkay. Bardzo wolno, walcząc o każdą stopę wzwyż, ominęli oni nie uwidoczniony na mapie grzebień, który zatrzymał ich poprzedników i przedarłszy się 40 stóp w górę wąskim kominem skalnym, o godzinie 11,30 stanęli na szczycie. Uścisnąwszy sobie dłonie, dokonali zdjęć fotogra­ficznych przytwierdzonych do ciupagi Tensinga flag — Brytyj­skiej, Nepalu i Narodów Zjednoczonych — i po piętnastu mi­nutach, zupełnie wyczerpani, zeszli do obozu Nr 7. W parę go­dzin potem z głównej bazy poszła do oczekującej na koronację królowej Elżbiety zakodowana depesza : ,,Ciężka śnieżyca. Eks­pedycja musiała opuścić bazę numer dwadzieścia dziewięć...” De­pesza — po rozszyfrowaniu — brzmiała : Hillary i Tensing osiąg­nęli szczyt 29 maja”. Był to, jak wiadomo, prezent koronacyjny dla królowej Elżbiety, która następnie obdarzyła szlachectwem Johna Hunta i Edmunda Hillarego. Tensing, jako obywatel Ne­palu, otrzymał najwyższy order swego kraju, a później złożył wizytę królowej Elżbiecie w Londynie i był tam honorowany jako znakomitość.

O tych to wydarzeniach opowiada barwnie i ze szlachetnym patosem film *The Conquest of Everest,* nakręcony na miejscu przez operatora Toma Stobarda, a na najwyższych etapach przez nauczyciela i korespondenta ,,Timesa” George’a Lowe. Z wy­jątkiem muzyki (która, moim zdaniem, zbyt hałaśliwie podkre­śla najtrudniejsze — i tak dość porywające podejścia) i pewnych fragmentów nagranego już w Anglii komentarza — wszystko w tym filmie jest doskonałe, piękne i ciekawe. Żaden opis nie jest w stanie oddać majestatu olbrzymiej góry, dominującej po­tężną białą bryłą nad całym krajobrazem, broniącej każdego kroku ludziom-mrówkom, pnącym się po ruchomych lodach, rą­biącym schody dla następców, zatykającym na trasie kolorowe chorągiewki rozpoznawcze i przerzucającym mosty nad szczeli­nami wśród skał i lodowców. Trzeba zobaczyć ten film, by po­jąć nieludzki trud płuc, zatruwanych niepostrzeżenie rozrzedzo­nym powietrzem, obezwładniającą słabość mięśni, które muszą wspinać się wzwyż i bezsenność długich nocy wędrowców, którzy na ostatnich etapach nawet spać mogą tylko w maskach tleno­wych ; nieodstępne zimno, kąsające ciało mimo najlepszej odzie­ży ; zdradliwy brak apetytu i bezbrzeżne zobojętnienie.

Film o zdobyciu Everestu jest nie tylko pomnikiem filmo­wej dokumentacji, operującej celnie środkami artystycznego kunsztu (zdjęcia i montaż). *The Conquest of Everest* oświetla naj­lepsze cechy brytyjskiego charakteru narodowego. Film poka­zuje w sposób najbardziej przekonywujący, że sukces wyprawy był wynikiem trzech czynników : znakomitego planowania, zes­połowej pracy wszystkich członków ekspedycji (oczywiście z tra- garzami-Szerpami włącznie) i jednakowej zręczności oraz deter­minacji Szerpa Tensinga Norkay’a i Nowozelandczyka EdmundaHillarego. Ani Hillary, ani Tensing nie wdarliby się na szczyt, gdyby nie wielomiesięczne przygotowania i planowanie. Cały ekwipunek wyprawy — od aparatów tlenowych aż do pudełek na zapałki (bodaj, że włącznie z kolorystyką specjalnych ubrań w przewidywaniu barwnych zdjęć filmowych) — był starannie przemyślany, mozolnie wykonany i wypróbowany w zakładach naukowych i wojskowych w Anglii. Ekspedycja była planowana jak trudny wypad komandosów. Zespół pracował równo, ofiar­nie i fachowo pod sprężystym kierownictwem Hunta. Film od- daje sprawiedliwość każdemu i to jest nie najmniejszy powód do chluby dla operatorów i realizatorów, do których listy trzeba dodać kpt. J. B. L. Noela, autora włączonych do filmu zdjęć z wypraw w latach 1922 i 1924.

♦

*Because it’s there...* Bezinteresowność trudu i narażenia ży­cia przez ludzi silnych. A więc wielkość?

Tak, zatoczywszy łuk od pogańskiego Rzymu, od wielkiego Brutusa i wielkiego Cezara, poprzez nikczemność i małość dzi­siejszego Berlina, dochodzimy znów do ludzkiej wielkości. Bo zdobywcy Everestu noszą w sobie cechy autentycznych wielko­ści. Każdy z nich — analfabeta Tensing, pszczelarz Hillary i wszyscy ich towarzysze — narażali życie i trudzili się bezin­teresownie — po prostu dlatego (świadomie, czy podświadomie), aby utwierdzić swą dumę człowieczeństwa.

Ale jeśli tę wielkość rozpatrywać w kategoriach ogólnych, w kategoriach wieków, filozofii i światopoglądów — to wydaje mi się, że jest to wielkość schizofreniczna. Próbuję — na mój własny użytek — odpowiedzieć na początkowe pytanie. Rzymia­nin nie potrzebował zdobywać Everestu (i nigdy nie przyszłoby mu to do głowy), bo swą siłę i wielkość mógł manifestować w co­dziennym życiu w płaszczyźnie politycznej. Ale dziś nie ma miej­sca na Brutusów i Cezarów. Można by zaryzykować twierdzenie, dziś wielki mąż stanu — nie licząc bardzo rzadkich wyjątków — nie może być do gruntu szlachetnym, a więc w pełni wielkim człowiekiem. Dlatego — tak mi się wydaje — współczesna schi­zofreniczna ludzkość, ratując swoją godność, wymyśliła sport wysokogórski : bezinteresowne zdobywanie szczytów przez lu­dzi silnych, ambitnych a zarazem szlachetnych.

KRTTFK

Kronika angielska

LAUR KRYTYCZNY

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie uważając krytykę za szczególnie ważną dla twórczości pisarskiej ustanowił nagrodę 25 funtów za najlepszą (w czasie od końca 1953 do jesieni 1954) pracę (działalność) krytyczną w za­kresie polskiej twórczości pięknej na obczyźnie.

Tak brzmi tekst oficjalnego komunikatu. Inicjatywa jest słuszna **i chwa­**lebna. Zobaczymy jednak jak będzie stosowana w praktyce. Czy „laur kry­tyczny” przyznany zostanie jednemu z członków londyńskiego klubu wza­jemnej adoracji zgrupowanemu wokół „Wiadomości”, czy też uwieńczy czoło „outsider’a”.

Problem niewątpliwie jest ciernisty. Wydanie książki polskiej na emigra­cji jest niemal heroicznym osiągnięciem. Autor, wydawca, księgarz, nabywca

* jednym słowem wszyscy oczekują nagrody, pochwały, zachęty, uznania.

Młodzi piszą po angielsku albo w ogóle nic nie piszą. Znakomita więk­szość „nowości” wychodzi spod piór starych zawodowych pisarzy. Jakże ciężko jest zdobyć się krytykowi na odwagę i stwierdzić, że „firmowi” pi­sarze dają obecnie (na ogół) rzeczy znacznie mniej wartościowe niż dawniej. „Pani Sapowska”, „Leśnik”, „Tatry”, „Sprawa Józefa Mosta”, „Błogo­sławiona Wina” — nie są „reprezentatywne” dla nazwisk literackich **od­**nośnych autorów. To są dzieła albo wyraźnie poniżej poziomu danego pisarza („Pani Sapowska”, „Tatry”), albo pozycje, które choć stanowią poważne osiągnięcie pisarskie nie wytrzymują porównania z dawniejszymi utworami danego autora („Sprawa Józefa Mosta” w zestawieniu z „Krauzowie i in­ni”). Herminia Naglerowa to niewątpliwie doskonali Krauzowie a nie Józef Most.

Krytyka literacka r\*a trudne a często niemiłe zadanie do spełnienia przed którym jednak nie może się ugiąć. Danej społeczności ludzkiej nie przy­nosi hańby jeżeli w pewnym okresie wydaje słabe książki. Jest natomiast rzeczą kulturalnie hańbiącą i niemoralną słabe książki promować na znako­mitości tylko dlatego, że ukazały się „w trudnych warunkach emigracyjnych” względnie, ponieważ autorem jest starszy, miły pan, który kiedyś pisał dobrze książki a krytyk pamięta go jeszcze z dobrych czasów w Warszawie. Nie mieć dobrej literatury jest nieszczęściem — ale mierną literaturę nazywać dobrą literaturą jest przejawem upadku. Dlatego twierdzę, że finalna odpo- wiedzialpość spoczywa na krytykach a nie na pisarzach.

Związek Pisarzy powinien również poczuwać się do obowiązku moral­nego (i praktycznego) mecenatu w stosunku do młodszych pisarzy, którzy znaleźli się poza ramami londyńskiego klubu „adoracyjnego”. Poza Londy­nem kończy się „wielka emigracja” z Grydzewskim, Terleckim, Strońskim

* z „Wiadomościami” co sobotę i z Zygmuntem Nowakowskim co czwar­tek. Pisarzy rozsianych po świecie gnębią wątpliwości i troski. Czy są po­trzebni, czy ktoś o nich jeszcze pamięta, czy warto pisać i czy ktoś jeszcze polską książkę wyda ? Dotyczy to przede wszystkim młodszych (nie mło­dych bo takich nie ma) których „Wiadomości” nie zabalsamowały za życia i nie zaliczyły w poczet wielkości, których nie ima się ani ząb czasu ani krytyka. Ci, których odźwierny polskiego panteonu (Dr M. Grydzewski) zakotwiczył za życia w „przystani nieśmiertelnej sławy” mogą zawsze li­czyć na jakąś antologię, jakieś przedśmiertne „zbiorowe wydanie” i po­śmiertne „dzieła wybrane”. I oczywiście mogą liczyć na nagrodę gdyby się jeszcze taka znalazła, której dotąd nie zainkasowali. Ale pisarze nie zabalsa­mowani muszą pracować na chleb często z dala od większych ognisk kul­turalnych przy całkowitej obojętności emigracyjnego parnasu.

Straszewicz dał jedną z najlepszych powieści jakie napisano na emigracji. Może są jeszcze inni „Straszewicze”? Co się na przykład dzieje z Bobkow­skim albo z Parnickim ? Ten ostatni ma podobno gotową książkę — czy Związek Pisarzy wie coś na ten temat ?

Niedawno, tu w Londynie, rozmawiałem z zasłużonym polskim księga­rzem. Mówiąc o swych zamierzeniach wydawniczych wspomniał, że projek­tuje wydanie powieści (już nie przedwojennej lecz przedhistorycznej) znanego pisarza przebywającego na emigracji. Czyż nie lepiej byłoby wydać nową książkę Bobkowskiego czy Parnickiego ?

LONDYŃCZYK



Czy Związek Pisarzy nie powinien współpracować z księgarzami pol­skimi ? Każdy księgarz ma swojego rzeczoznawcę literackiego ale krytyk ten ocenia tylko przedłożony manuskrypt i nic poza tym. Związek Pisarzy jako cech ludzi pióra powinien zbierać szczegółowe dane by móc poinformować każdego księgarza jakie książki pisarzy polskich są gotowe do druku. Powi­nien jednym słowem być aktywnym i rzutkim agentem literackim, który by służył swoim członkom ( i nie członkom) pośrednictwem, radą i informacją.

Ale obawiam się, że to są zbyt wielkie wymagania...

GRUPY PUBLICYSTYCZNE

W biuletynie austriackiego instytutu dla badań zagadnień polityczno- gospodarczych (Oesterreichisches Forschungsinstitut für Wirtschaft und Po- litik) ukazał się artykuł Doc. Dr Gotthold Rhode’go z Herder Institut w Marburgu pt. ,,Die polnische politische Emigration”.

Szkic opracowany jest z naukową pedanterią cechującą to poważne wy­dawnictwo a nawet pisownia polskich nazwisk podana jest bezbłędnie z uwzględnieniem akcentów jak np.\*,,ń” w nazwisku premiera generała Odzierzyńskiego.

Interesujące są uwagi autora dotyczące tzw. „grup publicystycznych” na emigracji.

„Niezależnie od ugrupowań politycznych — pisze Dr Rhode — istnieją dwie ponadpartyjne grupy publicystyczne, a mianowicie zespół redakcyjny dobrze redagowanego londyńskiego „Dziennika Polskiego” i grono współpra­cowników paryskiego miesięcznika „Kultura”, która bezwątpienia jest naj­lepszym publicystycznym organem emigracji. Obydwa powyższe zespoły pu­blicystyczne odrzucają grupę mikołajczykowską i z dużą ironią komentują niekończące się spory między Rządem a Radą Polityczną. Podczas gdy „Dziennik Polski” jest wyraźnie nacjonalistyczny i w stosunku do niem­czyzny w dużej mierze nieprzejednany „Kultura” rozpatruje położenie znacz­nie trzeźwiej i zastanawia się poważnie nad przyszłym nowym ładem w Europie”. •

Dr Rhode (którego omawiany szkic świadczy o gruntownej znajomości przedmiotu) — partyjnym wydawnictwom emigracyjnym nie poświęcił naj­mniejszej wzmianki. Według jego oceny tylko „grupy publicystyczne” „Kul­tury” i „Dziennika Polskiego” wywierają wpływ tej miary, że należy je uznać za samodzielne ośrodki myśli politycznej o pewnym znaczeniu i za­sięgu.

Powyższa ocena jest interesująca bo choć obie cytowane powyżej grupy publicystyczne dość poważnie różnią się między sobą to jednak zarzuty sta­wiane przez tzw. koła polityczne „Kulturze” i „Dziennikowi” są podobne. A mianowicie, że zarówno „Dziennik” jak i „Kultura” są wydawnictwami ponadpartyjnymi i rezerwują sobie prawo do własnego sądu.

JeBt rzeczą charakterystyczną dla obrazu naszej emigracji, że żaden z ruchów partyjno-politycznych nie umiał stworzyć dobrego pisma. Niedawno zamknięte paryskie „Słowo Polskie” było dosłownie parodią pisma codzien­nego — rządowy „Orzeł Biały” miewa świetne artykuły ale redagowany jest śmiertelnie nudno i bez nerwu. Reszta partyjnych wydawnictw to są przeważnie „biuletyny”, które trudno nazwać pismami.

Na rynek wydawniczy na emigracji ani rząd ani partie nie mają żad­nego wpływu. Stwarza to możliwość wydawania pism niezależnych, których nie można poddać ani pośredniej ani bezpośredniej cenzurze. Z bardzo nie­licznymi wyjątkami prasa emigracyjna nigdy nie nadużywała tej całkowi­tej wolności słowa z jakiej korzysta na Zachodzie. Przeciwnie — w mojej

opinii dyskrecja i pobłażliwość z jaką, prasa emigracyjna traktuje pewne drażliwe sprawy posunięta jest często zbyt daleko — tym bardziej, że w braku jakiejkolwiek reprezentacji pochodzącej z wyborów — wolna prasa jest jedyną demokratyczną instytucją jaką posiadamy.

PRZEKŁADY

Maria Danilewiczowa w artykule pt. „Dwanaście najlepszych powieści angielskich” („Wiadomości”, Nr 398) przytacza za „Index Translationum” ciekawe dane cyfrowe dotyczące przekładów na język polski.

Przed wojną znajdowaliśmy się w pierwszej piątce państw, które ogła­szały najwięcej przekładów. I tak np. w roku 1938 ukazało się w Polsce 640 przekładów. W tym samym roku w Anglii ukazało się zaledwie 340 prze­kładów.

W „Polsce ludowej” polityka przekładowa uległa całkowitej reorienta­cji. Przekłady z literatur zachodnich a w szczególności z literatur anglo­saskich znikły niemal zupełnie z półek księgarskich ustępując miejsca zale­wowi przekładów z języka rosyjskiego. W roku 1951 na jedną książkę prze­łożoną z angielskiego przypadało dziesięć przekładów z rosyjskiego. Przed 1939 r. stosunek ten wyrażał się proporcją 6:1 na korzyść przekładów z języka angielskiego.

Tak oto w Polsce przeprowadza się na wielką skalę „od-zachodnienie” czytelnictwa co oczywiście pociągnie za sobą poważne konsekwencje i prze­miany w klimacie kulturalnym.

Wydaje się dziesiątki i setki tysięcy dolarów na różnego typu „roboty na Kraj”. Nie wszystkie pożądane i celowe. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że gdyby któraś z potężniejszych instytucji jak Pree Europe, Kongres Wolności Kultury czy Fundacja Forda — sfinansowała bibliotekę przekładów cennych dzieł literatur zachodnich to pieniądze wydane na ten cel byłyby zużyte w sposób dosłowny (a nie tylko w przenośni) na obronę kultury zachodniej. Trzeba się bowiem liczyć z faktem, że jeżeli Polska zostanie kiedyś uwolniona „od-zachodnieuie” jej bibliotek będzie całkowite i byłoby rzeczą wielkiej wagi móc wówczas zaopatrzyć czytelnie w przekłady z literatur zachodnich względnie przystąpić natychmiast do druku przekła­dów przygotowanych na emigracji. Zorganizowanie tego rodzaju biblioteki przekładów w oparciu o dobrze przemyślany plan, choć nie jest inicjatywą, której realizacja wymagałaby dziesiątków tysięcy dolarów — przekracza jednak finansowe możliwości instytucji emigracyjnych.

Free Europe wydaje setki tysięcy dolarów na przekonywanie Polaków w Kraju, że komunizm jest złem. Byłoby niemniej celowe gdyby poświęcono kilka tysięcy dolarów na to by pozytywne i cenne wartości kulturalne Za­chodu udostępnić ludziom po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. Gdyby na przykład opracowano obszerną antologię współczesnej literatury amery­kańskiej i przełożono ją na język polski (oraz inne języki wschodnio-europej­skie) to dzieło takie mogłoby być dziś w fragmentach radiofonizowane a po uwolnieniu rozprowadzone po czytelniach i bibliotekach w Tolsce pełniłoby najszlachetniejszą propagandę Stanów Zjednoczonych.

Wadą tego projektu jest jego oczywistość. Projekty słuszne i oczywiście pożyteczne jest zwykle najtrudniej zrealizować.

POLSZCZYZNA SAKRALNA

Teksty orędzi rządu i Prezydenta pisane są w stylu „pseudo-romantycz- nym”, który całkowicie odbiega od literackiej i mówionej polszczyzny uży­wanej przez współczesne pokolenie Polaków. Swobodne pisanie w poetyckiejprozie sprzed stulecia nie jest rzeczą tak prostą jak wydaje się to naszym dygnitarzom a imitowanie owego przebrzmiałego stylu jest nieznośnym ma- nieryzmem.

Dlaczego w orędziach musimy powrócić ,,na ojczyzny łono”, dlaczego „miłość i tęsknota to dwie prządki naszego żywota na obczyźnie”, dlaczego „krwią z krwi i kością z kości przodków naszych, których prochy itd., itd.” Kością z kości może stanąć w gardle tego rodzaju makaroniczna frazeolo­gia. Powyższe przykłady zaczerpnięte są z dwóch ostatnich oficjalnych orędzi.

Powyższą sprawę można rozwiązać dwojako. Jeżeli rząd i Prezydent uważają, że trzeba utrzymać ten napuszony styl to w takim razie redago­wanie orędzi powinno się powierzyć zawodowym pisarzom. Zygmunt Nowa­kowski potrafiłby napisać orędzie, które byłoby wzniosłe, uroczyste, gęsto przetykane cytatami z wieszczów ale byłoby na poziomie i w zgodzie z gra­matyką polską. To wcale nie jest rzecz łatwa. Jeżeli orędzie ma być dobrze zrobione musi być wystylizowane z wielkim poczuciem smaku i kultury.

Drugie rozwiązanie — to zerwanie z tym antypatycznym szablonem. Dlaczego rząd czy Prezydent zwracając się do Polaków w Kraju i na emigracji nie mogą przemawiać w normalnej, współczesnej polszczyźnie ?

W czasie ośmiu lat służby w wojsku wysłuchałem setek rozmaitych okolicznościowych rozkazów odczytywanych przed frontem. Działy się istot­nie rzeczy wielkie i niezwyczajne. Rozkazy jednak były pompatyczne i dłu­gie i z tego potopu frazesów nie utkwiło mi w pamięci ani jedno zdanie.

Rozkaz Nelsona przed bitwą pod Trafalgar składał się tylko z jednego prostego zdania w którym wódz zamknął wszystko. Rozkaz ten do dziś pamięta każdy Anglik.

Sztuka pisania orędzi, przemówień w Radzie Narodowej czy rozkazów podlega temu samemu kardynalnemu prawidłu co dzieło literackie : trzeba mieć naprawdę coś do powiedzenia.

*LONDYSCZYK*

Wystawa rękopisów i druków

**n**

Polski Ośrodek Badań w Londynie (Polish Research Centre) urządził w grudniu bardzo ciekawą wystawę części własnych rękopisów i druków pol­skich z XVI do XIX wieku. Starannie i fachowo opracowany katalog **wy­**stawy obejmuje 163 pozycje, wśród których znalazły się bardzo cenne obiek­ty. Z autografów królów polskich pokazano dwa dokumenty z podpisem Zyg­munta III (kontrakty z dowódcą floty królewskiej Johnem Moor i z do­wódcą oddziałów cudzoziemskich Arturem Aston), list Władysława IV do kardynała Aldobrandini z roku 1634, dwa listy Augusta II, przywilej Augusta III oraz po jednym liście Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Augusta. Wśród druków polskich z XVI wieku największe wrażenie robi pierwsze wydanie dzieła Kopernika *De Revolutionibus Orbium Coelestium* (w bardzo dobrym stanie) i Marcina Kromera *De Origine et Rebus Gestis Polonorum libri XXX.* Wystawione dzieło Wawrzyńca G-oślickiego *O do­brym senatorze* (w języku łacińskim, z roku 1568) było przełożone na język angielski i wywarło pewien wpływ na Szekspira, który po zapoznaniu się z tą książką stworzył postać Poloniusza. Sprawa ta jest obecnie przedmio­tem badań dr Teslara, który przygotowuje odpowiednie opracowanie nau­

kowe. Na czele druków z wieku XVII figurował na wystawie biały kruk : *Constitutio,* obejmujący statuty polskie od roku 1550 do 1649 w opracowa­niu Andrzeja Piotrowczyka (wydane w Krakowie w latach 1616-1649). Ten obszerny zbiór ustaw sejmowych był później przedrukowany jako tom II *Voluminae Legum.* Dalej mieliśmy możność obejrzeć prześliczny, malutki katechizm protestancki, wydany w Gdańsku w roku 1622 *(Enchiridion)* „z Niemieckiego języka na Polski pilnie i wiernie przełożony przez Hiero- nyma Małeckiego Plebana Leckiego”. Jest to tomik pięknie oprawny w drze­wo orzechowe, ilustrowany prześlicznymi drzeworytami (jeden z nich przed­stawia „Gniew” — Kaina zabijającego Abla olbrzymią pałą). Bardzo cenną pozycją jest śliczne wydanie dzieła historycznego historyka nadwor­nego Stefana Batorego Heidensteina Reinholda (Frankfurt nad Menem, 1672). Pokazano także łaciński tekst *Wojny Chocimskiej* Jakuba Sobieskie­go (Gdańsk, 1646), liryki łacińskie Macieja Kazimierza Sarbiewskiego (Ant­werpia, 1630) i wiele innych, cennych pozycji.

Bardzo bogaty i interesujący dział stanowią anglo-polonica z wieków XVII, XVIII i XIX, wśród których zwraca uwagę duża ilość dzieł angiel­skich o Sobieskim. Najciekawsza w tym dziale jest sekcja, dotycząca lat 1830-1870, zawierająca bogate materiały do dziejów polskich emigracji, mo­gące się stać przedmiotem niejednej pracy doktorskiej. Niestety Polski Oś­rodek Badań nie posiada żadnych materiałów, dotyczących niezmiernie cie­kawej organizacji emigrantów z lat 30-stych ubiegłego stulecia — znanej i opisywanej obecnie w Polsce — demokratycznej *Gromady Grudziąż.*

Wystawa Polish Research Centre wywarła na mnie bardzo duże wra­żenie. Jest ona dowodem, że przynajmniej jedna instytucja polska w Anglii nie zmarnowała wojennego okresu prosperity i wiedziała, co zrobić z po­siadanymi wówczas funduszami. W rezultacie P.R. Centre posiada obecnie szereg cennych unikatów, bo trzeba pamiętać, że duża część poloniców British Museum padła ofiarą wojny. W ogóle trzeba stwierdzić, że Polski Ośrodek Badań z powodzeniem realizuje swą szlachetną ambicję, aby stać się — obok Biblioteki Polskiej w Paryżu — drugim stałym centrum nauki polskiej w wolnym świecie.

Zasługa przygotowania wystawy przypada popularnej wśród naukowców polskich w Londynie, niezmordowanej i ofiarnej bibliotekarce Centrum, p. Róży Matłachowskiej. Bardzo dobry kształt plastyczny nadał jej inż. arch. Bogdanowicz.

Nie zabrakło na wystawie akcentu tragicznej aktualności. Był nim *List Arcybiskupów i Biskupów Polskich do generała adiutanta królewskiego Lam­berta, Namiestnika w Królestwie Polskim w sprawie prześladowania Kościoła Katolickiego z roku 1861.* Treść tego dokumentu bardzo przypomina słynne już *Non Possumus* Episkopatu polskiego z maja 1953 roku.

*J. J.*

Wystawy paryskie

,,Un siècle d’art français” — sto lat sztuki francuskiej — to tytuł wystawy, która odbywa się w Petit Palais. Oglądając ją wspominałem z utęsknieniem wystawę z Sao Paulo, na której — jak pamiętają zapewne czytelnicy z poprzedniego numeru ,,Kultury” — było tylko sześćdziesiąt obrazów. Wystawa, o któ­rej teraz mowa, zawiera bowiem blisko tysiąc rzeźb i obrazów— to już nie wystawa, to całe muzeum, a omawianie muzeów przekracza niewątpliwie granice skromnej recenzji. Zresztą na­wet jak na muzeum sale są ogromnie przeładowane, obrazy po- rozmieszczane jak najfatalniej, a przy niezbyt jasnym świetle zimowym (któremu nie sprzyja na dobitek panująca obecnie w Paryżu mgła) połowy obrazów po prostu nie widać, a oglą­danie reszty jest niezmiernie męczące. Wydaje się jak gdyby organizatorzy z góry zrezygnowali z tego, by ktoś coś na wy­stawie zobaczył a tym bardziej przeżył, aby choć zastanowił się nad czymś, wystarczy że był, że sprawdził obecność dzieła w ka­talogu, że stwierdził, że to i owo jest charakterystyczne dla epo­ki. Także tych, którzy mają być odbiorcami sztuki wyklucza się od razu spośród żyjących. Mamy tu do czynienia tylko z „Kunst- betriebem”. Poza tym obok rzeczy dobrych rzuca się w oczy przede wszystkim olbrzymia ilość drugorzędnych naśladow­ców, nic więc dziwnego, iż z wystawy wychodzi się z uczuciem ulgi, że istnieje jeszcze jakieś inne malarstwo, nie tylko to z os­tatnich stu lat. Zapewne lwią część winy ponoszą tu organiza­torzy, ale nie tylko oni. Najbardziej przygnębiająco działają im­presjoniści i post-impresjoniści. Nie mogę sobie wyobrazić, że za sto lat ktoś będzie mógł jeszcze oglądać Bonnard’a, ale gdy się zobaczy to co było przedtem, to trudno dziwić się impresjo­nistom. (Oczywiście nie mam tu na myśli Boudin’a i Jong- kinda w jednej z pierwszych sal, zresztą Jongkind uchodzi za preimprosjonistę).

Około roku 1900 do jednego z dworów wschodnio-galicyj- skich zachodził nieraz nieokreślonego wieku człowieczek, pół- biedak, pół-błazen, któremu zapewne dzięki temu wiele ucho­dziło bezkarnie. W każdym razie był on bardzo uczciwy i szcze­rze religijni. Ówcześni panicze lubili go prowokować, być mo­że nie bez myśli o ,,epatowaniu” dam, a szczególnym powo­dzeniem cieszyła się następująca konwersacja : „Miśku, gdzie ty był?” Na co ów odpowiadał leniwie, „śpiewając” z galicyj­ska : ,,U Dupa” (rodzaj męski pozbawiał widocznie to słowo wszystkiego co mogło gorszyć ówczesne towarzystwo). Rozmo­wa ciągnęła się dalej : „No i co on ci powiedział?” „Żeby ja poszedł szukać innych Dupów”. Rozbawiony panicz pytał da­lej : „A ty co na to, Miśku?” „A ja wzioł taj tu przyszedł”. To zuchwalstwo wywoływało ogólną radość. Owa konwersacja przypomniała mi się, gdy przechodziłem przez sale wystawy, a zwłaszcza gdy doszedłem do jednej z nich, gdzie oprócz obra­zów na ścianach cały sufit jest jeszcze pokryty olbrzymiej wiel­kości ciałami i częściami ciała, wśród których tylna część ciała zajmuje niewątpliwie honorowe miejsce. Ciekaw jestem co by powiedział na to ów Miśko, a także co by powiedzieli właściwi twórcy naszego malarstwa : autorzy średniowiecznych witraży i obrazów. „Kult ciała”, w sensie bynajmniej nie greckim, zda- je się być jednym z aspektów malarstwa XIX. i XX. wieku (choć sięga niestety dalej wstecz). Mam nadzieję, że nikt z czy­telników nie weźmie tego za purytańskie zrzędzenie. KobietyToulouse-Lautreca, ubrane aż po kostki, są stokroć bardziej podniecające niż wszystkie golizny Renoir’a, a muszę się przy­znać do nieuleczalnej wprost słabości : odpychają mnie gwał­townie ci wszyscy malarze, którzy musieli mieć koniecznie za modelkę jakiś ,,porządny kawałek”, że użyję wyrażenia, które przywodzi na myśl rzeźników raczej niż malarzy (gwoli spra­wiedliwości muszę zresztą dodać, że wystawa zawiera całą serię bardzo delikatnych akwarel Renoir’a, w stylu bynajmniej nie ,,rzeźnickim”). Zastanawiam się jakie wrażenie może wynieść z wystawy czternastoletni chłopiec, którego widziałem na sali. Obawiam się, że dojdzie do wniosku, że ci ,,dorośli” i ,,sławni” to jakieś wielkie świnie i że zrobi się z niego właśnie zacięty pu- rytanin.

Zaletą wystawy jest sporo rzeczy nieoczekiwanych. Obok zapomnianego dziś Ozenfanta (Remparts de Sisteron i drugie mniej ciekawe płótno, martwa natura) mamy poprzedników genre’u Toulouse-Lautrec’a (Constantin Guy). Mamy też nieo­czekiwanego prekursora Chagalla w osobie Odilon. Redon’a i wreszcie cztery wielce zabawne Cézanne’y przedstawiające ale­gorycznie Wiosnę, Lato, Zimę i Jesień, a pochodzące z lat 1859-1862.

♦

Wystawa grupy współczesnych malarzy cejlońskich (razem ośmiu) mieści się w sąsiedniej sali tegoż muzeum, ale na szczę­ście zacząłem właśnie od niej. Ma ona tę zaletę, że zawiera tylko sześćdziesiąt dwa dzieła, w tym szereg rysunków. Młodzi malarze cejlońscy — najstarszy ma lat 50, najmłodszy 23 — na­leżą do pierwszej generacji, która zerwała z dziewiętnastowiecz­nym akademizmem z drugiej ręki (bo imitowanym u Anglików) i nawiązała do tradycji cejlońskiej, której nie ma się co wsty­dzić, jako że ma za sobą dwa tysiące lat. Nie obeszło się oczy­wiście znów bez imitowania (i niekiedy znów z drugiej ręki) róż­nych współczesnych kierunków europejskich.

Oglądałem tę wystawę tak jak przeciętny Anglik czy Fran­cuz ogląda chyba wystawę polską. Nic prawie o tym kraju nie wie, najwyżej potrafi usytuować go z grubsza w pewnym kręgu kulturalnym i chciałby właśnie z jego malarstwa dowiedzieć się czegoś głębszego o charakterze kulturalnym kraju, by użyć nieco niemodnego wyrażenia : o duszy jego cywilizacji. Nikt nie szuka oczywiście w polskim malarstwie jeszcze jednego fran­cuskiego impresjonisty, ani obrazów ,,równie dobrych jak Pi­casso”, bo w tym samym stylu. Stąd być może niepowodzenia zagranicą niektórych naszych malarzy, których uważaliśmy za ,,równie dobrych jak Francuzi”, a powodzenie wystawy polskiej sztuki ludowej, która była może i lepsza jak Francuzi, a w każ­dym razie ma nieco inną genealogię duchową

Niewątpliwie na wszystkich wystawiających malarzach cej­lońskich, czy byli kiedy w Europie czy nie, są widoczne wpły­wy bądź to Lćgera i Picassa, bądź Chagalla, bądź Braque’a,bądź wszystkich ich naraz. Ale mają ci wszyscy malarze cejloń- scy coś wspólnego, czego nie da się wywieść z wpływów europej­skich. Można by tu z lekką przesadą zaadaptować znaną for­mułkę o sztuce ,,międzynarodowej co do formy, a narodowej co do treści”. Ale skoro zastanowimy się, to powiemy : euro­pejska (w dużej mierze) co do formy, bo nie trzeba być na tyle zarozumiałym, by nasz partykularyzm europejski nazywać mię­dzynarodowym, a co do treści przynależna do czegoś, co prze­kracza granice partykularyzmu cejlońskiego — do odrębnego świata kultury buddyjskiej, jako że Cejlon zachował najstarsze z istniejących tekstów buddyjskich i posiada klasztory kierują­ce się do dziś tą starą regułą. A miały one i mają duży wpływ na kulturę Cejlonu. ,,Narodową” tylko o tyle, że teksty te, chociaż uniwersalne, różnią się co do języka oraz co do środ­ka ciężkości religijnej od zachowanych na kontynencie indyj­skim lub w Chinach.

Zresztą i jeśli chodzi o formę, to kolor malarzy cejlońskich jest bardzo oryginalny, gwałtowny i przypomina niewątpliwie znane freski z Ajanta w Indiach (których kopie można obejrzeć w Muzeum Guimet). Freski cejlońskie datują się zresztą z tej samej epoki co Ajanta i tradycja malarstwa ściennego trwała tam nieprzerwanie aż do początku dziewiętnastego wieku. Nie­którzy malarze wzorowali się nawiasem mówiąc świadomie na freskach lokalnych. Taki na przykład obraz *Notatki do nowej mitologii* (1943), którego autorem jest *Justin Daraniyagala,* przy­pomina zewnętrznie Légera, ale nie ma nic z jego brutalności, jest bardzo taktowny i — by użyć modnego obecnie zwrotu — liryczny. Równie pełne taktu i uroku są dwa rysunki tego ma­larza : *Kobieta* i *Drzewa.* W rysunkach Cejlończycy wydają się w ogóle mniej skrępowani wpływem europejskim i wyżej wspom­niane *Drzewa* dają wgląd w „psychikę” pejzażu cejlońskiego („Psychika” nie jest tylko frazesem, w Indiach wierzy się po­wszechnie, że drzewa mają dusze). Nie wiem jakiej religii są wystawiający malarze, są być może wśród nich i chrześcijanie, bo *R. Gabriel* wystawia dwa *Złożenia do grobu,* zresztą nieprze- konywające. Ale by móc omówić inne obrazy oparte na tema­tach niewątpliwie mitologicznych potrzebna byłaby oczywiście bliższa znajomość mitologii cejlońskiej. Po wystawie malarstwa meksykańskiego, którą widzieliśmy przed przeszło rokiem w Pa­ryżu, wystawa cejlońska dajenam ciekawy przykład syntezy tra­dycji kulturalnej miejscowej i wpływu europejskiego.

*Jan TOROSIEWICZ*

Książki

Poeta i historia

W 1945 roku przeczytałem z zachwytem wiersze Miłosza zebrane w *Ocaleniu.* Nie znałem poezji Miłosza przed wojną. By­ła to dla mnie rewelacja. W recenzji, którą napisałem wówczas dla ,,Salamandry” (miesięcznika 1 Dywizji Pancernej, który wbrew symbolice nazwy nie wyszedł cało z ognia bitwy) pisałem jak bardzo Miłosz-poeta związany jest z kulturą, z historią, z Eu­ropą. Dla Miłosza kultura nie jest, jak dla wielu innych poetów, składem poetyckich rekwizytów, z którego czerpie się nazwy, pojęcia, imiona o pewnym napięciu magicznym, aby je użyć w kontekście osobistej mitologii. W genealogii poetów Miłosz należy do gałęzi która wydała Claudela, T. S. Eliota, Ezrę Poun- da, do gałęzi wyrastającej z pnia historii, a nie — jak Rimbaud, Rilke czy Apollinaire — z głębin ludzkiego istnienia. Miłosz identyfikuje się z historią, wydaje się czasem że życie rodzaju ludzkiego jest dla niego bardziej realne niż życie osobiste. Oka- że się zresztą później jak bardzo obce mu jest deterministyczne podejście do tego zbiorowego życia jakim jest historia. Do ja­kiego stopnia właśnie ten proces identyfikacji nakazuje mu wi­dzieć w historii życie dramatyczne, pulsujące wolnym wyborem, ciężarne nadzieją, to znów przeczuciem katastrofy.

W *Ocaleniu* były już oznaki tego procesu psychicznego,, spowodowanego hipnozą determinizmu historycznego, z które­go tak przejmująco zdał sprawę Miłosz w *Zniewolonym Umyśle.* Poecie dano już do ręki uniwersalny klucz ,,diamatu”, nauczo­no go już pozornie logicznych odpowiedzi, które ma dać Edyp na pytanie Sfinksa. Miłosz wiedział (choć może nie całkiem świa­domie), że ma się pożegnać z kulturą, ze sztuką i z historią. Dla­tego może tak przejmująco brzmiał jego wiersz „Pożegnanie z Szekspirem”. W wierszu tym Miłosz żegnał się z rekwizyta­mi poezji szekspirowskiej, z gwiezdną nocą Werony, z Julią i z Malvogliem. Ale może dlatego że w dziedzinie sztuki dzieło Szekspira nierozłączalnie związane jest z życiem, wydało się że Miłosz żegna się nie tylko z Szekspirem a z życiem samym. Poże­gnanie jest jednak też formą stosunku, a nawet stosunku nie-

raz rozdzierającego żywego. I dlatego Miłosz, pozornie żegna­jąc świat duńskich zamków, włoskich pałaców, wysp bajecznych i letniej nocy — żył swoim wierszem w tym świecie ze wzmo­żoną intensywnością. I to skłoniło mnie do napisania osiem lat temu w recenzji z *Ocalenia, że* Miłosz może w Polsce żyć i pi­sać, dopóki ,,żegnanie” historii i kultury będzie programowo wskazane czy dopuszczone. Dopóki będzie można z melancho­lijnym westchnieniem stwierdzić że czas zerwać z przeszłością i zwrócić się ku „nowej epoce” (w westchnieniu tym zachowu­jąc z przeszłością ożywczy kontakt). Ale takie pożegnanie nie może trwać wiecznie. Nawet na scenie opery stojące naprzeciw siebie chóry, śpiewające przez połowę aktu „Adieu, Adieu”, lub „...bo czas już iść, bo iść już czaaas”, wreszcie rozstają się, kończy się pożegnanie. Kiedy ta chwila nastąpi — pisałem — Miłosz będzie musiał zamilknąć, lub opuścić Polskę. Było to oczywiście intuicyjne uproszczenie problemu.

Jak wygląda dziś pozycja Miłosza, po wydaniu zbioru *Świa­tło Dzienne?* To co najsilniej uderza w tym tomie, to fakt że Miłosz może włączyć do zbioru wydanego na wygnaniu wszyst­kie wiersze napisane i ogłoszone w Polsce. Uderza odwaga czło­wieka który śmiał napisać i opublikować w *Twórczości* w roku 1948 taki wiersz jak „Traktat Moralny”. Warto zacytować os­tatnie jego strofy, przejmujące ostrością wizji, bezkompromiso­wym pesymizmem, stanowiące niesłychane wyzwanie rzucone re­żimowi :

*Na dziś nie daję ci nadziei*

*Nie czekaj darmo treuga Dei,*

*Bo z życia które tobie dano*

*Magiczną nie uciekniesz bramą.*

*Idźmy w pokoju, ludzie prości.*

*Przed nami jest*

*— „Jądro ciemności”.*

Odwagę tę, siłę tej postawy trzeba tym mocniej podkreślić, że Miłosz w *Zniewolonym Umyśle* daje nam przenikliwą analizę „kapitulacji” intelektualistów wobec „Nowej Wiary”. Samemu odważnie walczyć — ale umieć zrozumieć tych którzy nie wal­czyli — oto postawa dość wyjątkowa.

W prasie emigracyjnej obrzucono Miłosza błotem. Byli prze­mytnicy, byli i obecni dwójkarze, a nawet niestety autentyczni przedstawiciele polskiej kultury dali upust w artykułach charak­terystycznie upstrzonych słownictwem zapożyczonym z Ochra­ny i NKWD jakiemuś obłędnemu zaślepieniu. Wśród stosu oszczerstw, zniekształceń, szantażowych chwytów i nonsensów powtarza się uporczywie pytanie : „dlaczego Miłosz wybrał wy­gnanie?” *Światło Dzienne* daje na to pytanie odpowiedź jasną i ostateczną — Miłosz nie zrywał z reżimem tak długo jak długo miał możność walczyć z nim otwarcie swoim wierszem. Przełom dokonany w Polsce w dziedzinie „polityki literackiej” w latach

1948-1949 był tego rodzaju że Miłosz nie mógł już mieć nadziei na publikowanie swoich wierszy nawet przy stosowaniu ,,Ket- manu”. Gałczyński — ostatni w Kraju autentyczny poeta — mógł pisać pod każdym reżimem. Wiersz jego jest naturalny i bezpośredni jak śpiew ptaka (czy raczej jak bek leśnego kozła). Aluzja historyczna jest u Gałczyńskiego przypadkowa, odpowia­da jedynie jego wewnętrznej mitologii. W poezji Gałczyńskiego wydaje bal Salomon — ale równie dobrze może go wydać Stalin czy Bierut. Gałczyński jest obrońcą absurdu (tego poetyckiego tlenu i azotu). Może on chwalić PZPR, plany pięcioletnie, prze­klinać Amerykanów, prawić bzdury o wojnie bakteriologicznej

* to tylko zewnętrzna szata jego wierszy. Pod tą czapką nie­widką siedzi rogaty, przekorny diabeł, koźli faun roześmiany od ucha do ucha, sprośny Marchołt urżnięty polską wódką. Wiersz Gałczyńskiego jest niezmiernie ważny dla życia w dzisiejszej Pol­sce. Mami jak błędny ognik, huka jak echo po lesie, ma w sobie krew i spermę i przeczy, każdym słowem przeczy higienicznej, abstrakcyjnej, kaznodziejskiej nudzie, którą jak nową zarazę niesie ze sobą świat komunistyczny. Ale Gałczyński jest potom­kiem Villona i może spokojnie nabierać, naciągać, ,,kajać się”
* jak wielu artystów pierwszej miary pozostał dzieckiem i nic nie może zdegradować jego natury, która pozostaje dumna, wol­na i nietknięta przez uczynki. Gałczyński byłby wolniejszy w obo­zie koncentracyjnym niż Miłosz w anarchistycznej utopii. Bo Mi­łosz nie jest poetą wolnym. Ciąży na nim jak kamień grzech pierworodny poczucia odpowiedzialności nie tylko wobec włas­nej natury, ale wobec ładu społecznego, wobec ludzi, wobec ,,historii”.

W epoce jedności cywilizacyjnej, w jednym z tych ,,złotych wieków” ludzkości związanej wspólną wiarą w celowość bytu, Miłosz byłby zapewne szczęśliwszy jako twórca. Zatopiłby się wówczas w świat który jest mu najbliższy, w organiczne miste­rium przyrody. Najczystsza poezja Miłosza tkwi w naturalnej genezie, w intuicji tworzenia się form, w odczuciu żywotnych soków materii. Jest to poeta narodzin. Poeta — czy człowiek —

*,,Pierwszy raz widzi światło.*

*Świat jest jaskrawym światłem.*

*Nie wie że krzyczą Jaskrawe ptaki. Ich serca biją szybko Pod ogromnymi liśćmi. Nie wie że ptaki żyją W innym czasie niż człowiek. Nie wie że drzewo żyje W innym czasie niż ptaki I będzie szło powoli Do góry szarą kolumną Myślące korzeniami O srebrze podziemnych królestw".*

Ten organiczny świat Miłosza żyje poza historią. Poeta mo­że go ogarnąć wizją jednoczesną, jakby przekrój geologiczny na którym widnieją pokłady różnych epok. Życie ziemi, życie wszystkich przeszłych i przyszłych zwierząt, życie oceanu, w któ­rym :

*delfin wygląda z fali*

*Twarzą czarnego chłopca*

*I w płynnych miastach pustyni Pasą się lewiatany”.*

Niestety mało takich wierszy daje nam Miłosz. Poczucie od­powiedzialności, historia, krążąca w jego żyłach jak krew, zmu­sza go do wzięcia udziału w dyskusji, której może najważniejszą stawką jest samo istnienie poezji :

*,,Niestety, kraina pozorna Kaktusowego cienia Włochata gwiazda wieczorna Imitatorka milczenia, Niestety świerszcze przebrane Z muszlą na lasce pątników...”*

,,Niestety...” To słowo, jak w *Ocaleniu,* nadal rozbrzmiewa echem w poezji Miłosza.

*,,O Terpsychore, Euterpe, Ja przecież tak was kochałem ! Na wietrze niezdarnych cierpień Kolibra dom budowałem”.*

I wobec wezwania historii, wydaje się Miłoszowi że kraina jego poezji jest fikcją :

*,.Niestety, wiatr pióra porwał, Gaśnie kraina pozorna”.*

Zajmując głos w dyskusji, zanurzając się w aktualność, przyjmując paraliżującą nieraz odpowiedzialność człowieka wo­bec epoki, Miłosz wie, że broni samej możności tworzenia. Oto czego żąda od poety mędrzec nowej Republiki, z której poezja będzie wygnana tak jak z Republiki Platona :

*,,My krzywdy twojej tu nie chcemy, Pierś otworzymy bezboleśnie, Węgiel gorący z niej wyjmiemy.*

*Zyć będziesz od cierpienia wolny. Poczytność damy ci i sławę. Niech wiersz twój, zamiast toczyć wojny, Kształcącą ludziom da zabawę”.*

I Miłosz wie że :

*,,Stanie się tak. I popiół szary Zakryje strony jego pisma. Choć będą,śniły się koszmary Nikt do nich głośno się nie przyzna”.*

Walcząc w obronie poezji i życia, musi Miłosz zanalizować przeciwnika, zrozumieć jego postawę i osądzić ją — zrozumieć swą własną postawę, osądzić siebie samego. Stąd tyle wierszy w *Świetle Dziennym* będących właściwie esejami w formie poe­tyckiej. Do nich należy „Traktat Moralny” z kapitalną analizą schizofrenii współczesnego człowieka, która ze specjalną siłą wy­stępuje u teoretyków komunizmu :

*,,Ja tutaj tylko ci przypomnę, Że diabeł, jak z lektury wiem, Jest séparé de lui-même.*

*Unikaj tych co w swoim gronie Pograwszy w polityczne konie, Gdy na kominku ogień trzaska, Wołają : lud, a szepczą : miazga, Wołają : naród, szepczą : gie. Myślę że robią bardzo źle, Bo upajają się pozorem. Sami są tylko meteorem I lata ich czekają długie, Gdy ich obracać będą pługiem, I dużo wody minie w Wiśle, Nim o nich znowu ktoś gdzieś piśnie”.*

Albo „Portret z połowy XX wieku” :

*,,Przyrównuje siebie do Rzymianina, w którym kult Mitry zmie­rzał się z kultem Jezusa. Dawne wiary w nim nie wygasły. Czasem myśli źe jest we wła­dzy demonów, Gromi przeszłość, bojąc się że kiedy ją zgromi, nie będzie miał gdzie złożyć głowy. Najchętniej gra w karty i szachy, żeby własnych nie zdradzać [tajemnic”.*

Wiersze te, przy całej inteligencji i wnikliwości, wydają się należeć raczej do sfery czynu niż do sfery poezji. Zresztą czyż pomieszanie tych dwóch sfer nie jest właśnie dylematem twórcy który przyjął na siebie odpowiedzialność wobec epoki ? Wszyst­ko co Miłosz mówi w tych wierszach można właściwie powie­dzieć prozą, chociaż może satyra, pamflet — nie na próżno *światło Dzienne* otwiera inwokacja do Swifta — z natury rzeczy należą do prozy wierszowanej.

Czyżby Miłosz w obronie poezji zaniechał poezji samej? Nie

* dlatego że dla autentycznego poety jakim jest Miłosz poezja jest jak oddech. Nawet w wierszach „programowych” znajdzie- my błyskawiczne intuicje, obrazy które uwieczniają płynny nurt rzeczywistości :

*,,W dale kim,'wielkim mieście gdzie nocami straszy*

*Sine światło kamiennych tuneli i cień*

*Ostrą piersią rzucają nagie manekiny...”*

Albo :

*,,Oto godzina kiedy z lokomotyw Wysuwa się ręka maszynisty z kubkiem kawy, Kiedy we fioletowych kaplicach Amoco i Esso Zasypiają strażnicy benzynowego obrządku, Z głową na łokciu, pod tarczą zegarów”.*

Wydaje się czasem że Miłosz zdaje sobie sprawę z niebez­pieczeństwa jakim jest dla jego poezji „zaangażowanie” w dys­kusję która może być zasadnicza, w której ważą się losy cywi­lizacji, ale która jest przecież dyskusją powierzchowną wobec problemów właściwych poezji — czyli po prostu wobec magii słów.

Uciekając od nękających go problemów, od społecznego su­mienia, widzi on ratunek w świecie konkretnych spraw i rzeczy :

*,,Oto świat twój na ostrzu miecza : Zrywa się wiatr, na trawie wznieca Uschniętych liści małe wiry, Gołębie się nad daszek wzbiły, Zaszczekał pies, przebiegło dziecko, Ktoś komuś daje znak chusteczką. Oto twój świat. On jest na szali”.*

Ten urok „konkretności” widać już w cyklu „Świat”, za­wierającym wiersze w których świadoma naiwność wizji nigdy nie razi „or-ot-owością”, nigdy nie przechodzi w banał. „Przy­powieść o Maku” z tego cyklu jest jednym z najpiękniejszych polskich wierszy metafizycznych.

W *Prise du Pouvoir,* nagrodzonej powieści Miłosza, klu­czowym może ustępem jest list australijskiego lotnika, w któ­rym wieczór spędzony w niewoli we Włoszech, liściasta altana, zmysłowa miłość do kobiety, owinięte w słomę „fiasco” wina urastają do symbolu samego życia. Wobec starcia dwóch cywi­lizacji, wśród zgliszcz murów i ludzi, wśród bohaterskich zrywów które niczemu nie służą ostaje się może tylko to jedno — letni wieczór, ciepłe ramię kobiece.

Nie ma nic ważniejszego dla sztuki jak konkretna wizja ży­cia (nie chodzi tu o ostrość soczewki, czy realistyczne spojrzenie

* konkretny jest Lautréamont i Jarry, tak jak konkretny jest Proust czy Henry Miller). Może zwolna budząca się świadomość

artystycznej bezpłodności na którą skazane jest każde podejście abstrakcyjne do życia sprawia, że coraz więcej pisarzy stawia tę właśnie „konkretność” na piedestale. Ale wizja konkretna dana jest naturalnie — albo jej nie ma. Na nic się nie zda na­woływanie do niej — w ten sposób można tylko stworzyć jeszcze jedną abstrakcję — abstrakcję „konkretności”. Miłosz ma w so­bie tę zdolność konkretnej wizji — lecz grozi mu zawsze dualizm, spowodowany tendencją do abstrakcyjnego myślenia.

Pisząc w latach powojennych Miłosz, z wrodzonym mu po­czuciem społecznej odpowiedzialności, nie mógł zadowolnić się tłumaczeniem Szekspira, co może by mu dało więcej jako poecie. Musiał walczyć — i wiele zawartych w *Świetle Dziennym* wier­szy daje świadectwo tej walki, która mogła być bardziej owocna niż cokolwiek co leży w granicach naszych możliwości na emi­gracji. Niestety walkę tę przerwała cenzura i zaciskające się kleszcze dyktatury. Niestety — dla literatury w Polsce. Gdyż Miłosz w atmosferze wolnej nie będzie się już może czuł zmu­szony do zajmowania głosu w dyskusji aktualnej, będzie mógł nawrócić do swego poetyckiego świata — jedynego w którym *go* nikt nie zastąpi. Zapowiedź dojrzewania nowej miłoszowej poezji, a zarazem spojrzenie na ubiegłe lata zawierają te piękne strofy o Mittelbergheim :

*,,Oczy mam jeszcze zamknięte. Nie goń mnie*

*Ogniu, potęgo, siło, bo za wcześnie. Przeżyłem wiele lat i jak w tym śnie Czułem że sięgam ruchomej granicy Za którą się spełnia barwa i dźwięk I połączone są rzeczy tej ziemi.*

*Ust mi przemocą jeszcze nie otwieraj,*

*Pozwól mi ufać, wierzyć że dosięgnę*

*Daj mi przystanąć w Mittelbergheim’\*.*

*K. A. JELENSKI*

Bieg do Fragala

W roku 1949 było we Włoszech 1.700.000 bezrobotnych, w tym większość najemników rolnych; 4.000.000 akrów ziemi, należących do wielkich właścicieli leżało odłogiem ; obszarnicy ci, stanowiąc zaledwie 8 promille ogólnej liczby właścicieli gos­podarstw rolnych, władali 22 % całego obszaru ziemi uprawnej we Włoszech ; w Kalabrii ludzie mieszkali w jaskiniach i w kur­nych chałupach po 12 osób na izbę (lub grotę), a owce obszar­ników miały się lepiej od bezrolnych i małorolnych chłopów; obszarnik Cerado Scafarella, właściciel 10.000 ha ziemi pod Po- tenza, oświadczył cynicznie dziennikarzom o sobie i sobie po­dobnych : „Nie obchodzi nas produkcja rolna, my inkasujemy renty dzierżawne. Faktem jest, że chłopi są zacofani. Gdybyśmy wybudowali im czyste i dobre domy, to zaraz by je zapasku­dzili”; inny obszarnik, 23-letni książę Alessandro Carlo (itd., itd. — wielu imion) Torlonia zaskarżył swego rządcę Pierino Amori o brak 222 owiec, które ubyły podczas wojny ze stada, li­czącego 2.000 sztuk; książę objeżdżał jeepami swe nieuprawne dobra na czele prywatnych, zbrojnych zbirów pilnując, by żaden chłop nie ważył się zaorać pola lub zasadzić figi (dzierżawy we Włoszech są zawierane na trzy lata — dzierżawcy nie wolno nic budować ani plantować drzew) ; dopiero gdy rządca Amori (który w sądzie bronił się, że 222 owce pochłonęła wojna) postrzelił księcia w czerwcu 1949 roku przed kościołem St. Girolamo w Rzymie (gdzie Torlonia z rodziną modlił się pod figurą), gru­pa posłów Chrześcijańskiej Demokracji zgłosiła wniosek o wy­właszczenie jego majątków — za słusznym odszkodowaniem.

W roku 1949 upłynęło trzy lata od uchwalenia ustawy, ze­zwalającej bezrolnym na zajmowanie nieuprawnej ziemi laty- fundystów za zezwoleniem lokalnych komisji ; ale komisje te dzia­łały z pośpiechem żółwi, albo nic nie robiły, a ludzie marli z gło­du ; w roku 1949 (dopiero!) De Gasperi przeprowadził ustawę o wywłaszczeniu (za słusznym odszkodowaniem) 1.600.000 ak­rów ziemi, należącej do 8.000 majątków; do roku 1953 wykupio­no od obszarników i rozparcelowano (nie za darmo, lecz na do­godnych warunkach) 400.000 akrów ziemi ; dopiero przed ty­godniem obejrzałem w kinie kronikę filmową, pokazującą nędza­rzy kalabryjskich, przenoszących się z jaskiń do pobudowanych przez Amerykanów domów.

W roku 1949, po podpisaniu przez Włochy Paktu Atlantyc­kiego (zwalczanego zaciekle przez komunistów) zaczęły z Ame­ryki napływać wielkie sumy na podniesienie gospodarki narodo­wej i poziomu życia ludności. Np. na sto osiedli dla kilkunastu tysięcy bezrolnych i bezrobotnych rodzin przeznaczyły Stany Zje­dnoczone 240 milionów dolarów; rząd włoski dokładał, co mógł.

Rok 1949 we Włoszech jest rokiem odpływu komunizmu i wielkiej aktywności organizacji katolickich i najlepszych przed­stawicieli kleru ; liczba członków włoskiej parti komunistycznej spada w ciągu sześciu miesięcy z 2.500.000 do 2 milionów; jed­nocześnie dzielny szef Akcji Katolickiej, Luigi Gedda, zakłada Wolną Federację Pracy i wstępnym bojem, w ciągu paru mie­sięcy zdobywa pierwszy milion członków (w porównaniu z 4 mi­lionami czerwonej, opanowanej przez komunistów i fellow-tra- vellerôw Nenniego Włoskiej Federacji Pracy) ; wśród księży, któ­rych poziom moralny we Włoszech jest — jak wiadomo — niski, pojawiają się dziesiątki ludzi światłych i mądrych, rozumieją­cych że komunizmu nie zwalczy się zmotoryzowaną policją minis­tra Scelby — *Celere,* lecz słusznymi reformami społecznymi i lik­widacją nędzy ; jeden z najpiękniejszych prototypów przysłowio­wego już dziś Don Camilla, jowialny arcybiskup Giacomo Ler- caro, po wyrwaniu komunistom Rawenny, w roku 1949 zdoby­wa dla społecznie radykalnego katolicyzmu Bolonię (do roku 1947 zaledwie proboszcz wiejski, w styczniu br. otrzymał Lercaro ka­pelusz kardynalski) ; rektor uniwersytetu Pro Deo O. Felix Mor- lion (dominikanin, świetny teoretyk i znawca filmu) wyzywa na publiczną dysputę Togliattiego i przeprowadza tezę, że zwal­czając nędzę nie trzeba prześladować religii ; jezuita Riccardo Lombardi objeżdża w roku 1949 Półwysep ze swą Krucjatą Miło­ści wołając : „Możni tego świata, władze kościelne i cywilne muszą coś robić dla tych, którzy nie mogą czekać, bo głód szar­pie ich wnętrzności”.

Rok 1949 jest we Włoszech rokiem walki o nieuprawianą ziemię latyfundystów i o poprawę bytu najemników. W maju 400.000 robotników rolnych w dolinie Padu wygrywa wielki strajk o umowy zbiorowe ; komuniści biorą udział w tym ruchu i żerują na nim ; tu i ówdzie terroryzują robotników ; w starciu z policją w Molinella pod Bolonią pada zabita robotnica, a 27 antykomunistycznych robotników odwożą do szpitala po walce z komunistami ; w początku grudnia tysiące najemników rolnych w Kalabrii i na Sycylii rusza w wielki marsz zawłaszczania za­niedbanych ugorów wielkich posiadaczy ; w różnych miejscowo­ściach dochodzi do starć z broniącymi magnatów karabinierami ; w dolinie Fragala pod Melissą karabinierzy rzucają się na trzy­stu bezrolnych, usiłujących zaorać nieuprawianą od wieków zie­mię markiza Anzelmo Berlingieri ; rezultat : trzech zabitych nę­dzarzy, 2 karabinierów ciężko rannych. De Gasperi przybywa do Kalabrii i pozwala bezrolnym zatrzymać zajętą ziemię nie szczę­dząc gorzkich słów pod adresem obszarników.

Wszystkie te — oczywiście niepełne — informacje (zaczerp­nięte *wyłącznie* z antykomunistycznych źródeł amerykańskich) są potrzebne, by wczuć się w atmosferę powieści Juliana Stryjkow­skiego pt. *Bieg do Fragala* ([[4]](#footnote-5)) i sprawiedliwie ocenić prawdzi­wość jej realiów. Jest to bowiem utwór socrealistyczny, który opowiada o walce o ziemię w Kalabrii kulminując w opisie star­cia z policją w dolinie Fragala. Główny bohater powieści, Salva­tore Lo Meo, jest jednym z trzech zabitych w tej masakrze bez­rolnych mieszkańców małej wioski Rocca di Zolfo — jednym z trzystu nędzarzy, którzy pewnego mglistego poranka w grud­niu 1949 roku rzeczywiście usiłowali zaorać i zasiać drobną część nieuprawianych od niepamiętnych czasów gruntów markiza Ber­lingieri, figurującego w powieści Stryjkowskiego pod własnym nazwiskiem, lecz z tytułem barona.

Salvatore przybył do rodzinnej Kalabrii z Australii, gdzie przez kilka lat pracował — jako jeniec wojenny — u zamożnego far­mera. Na kartkach swej powieści, wyróżnionej w roku ubiegłym pierwszą nagrodę państwową, przerobionej na sztukę teatralną i obecnie filmowanej, Stryjkowski opowiada o powolnym „doj­rzewaniu do komunizmu” swojego bohatera. Salvatore nigdy nie był głodny w Australii, przyjrzał się nowoczesnej gospodarce in­dywidualnej i powróciwszy do kraju pragnie jedynie pracować z nadzieją na własny kawałek ziemi. Do komunistów, którzy w Rocca di Zolfo posiadają silną organizację partyjną, odnosi się nieufnie, z początku prawie wrogo. Z czasem zrywa nawet z rodzonym bratem — działaczem komunistycznym w sąsiednim miasteczku Crotone — zwłaszcza, że Gianni źyje z córką miej­scowego ,,kułaka”, o której Salvatore marzył od dawna. Wy­trwale i samotnie szuka Toto Lo Meo pracy, tygodniami wysia­duje na ,,rynku niewolników” w Crotone, gdzie robotnicy rolni czekają na łaskawych pracodawców jedząc „komunistyczny chleb”, ofiarowany przez robotników sąsiedniej fabryki Mon- tecattini. Wszystko na próżno : nie ma pracy, nie ma własnego chleba, nie ma nadziei. Wyczerpawszy wszystkie możliwości, wyjeżdża Salvatore do Neapolu i dopiero tam, pobity przez po­licję, rozpędzającą komunistów demonstrujących przeciw Pakto­wi Atlantyckiemu — staje się komunistą. Po odsiedzeniu kary, zrozumiawszy, że jego samotna walka o pracę była błędem, gdyż tylko komuniści wspólnym wysiłkiem mogą zdobyć ziemię — wraca Salvatore do Rocca di Zolfo w momencie okupowania przez bezrolnych sąsiedniej doliny Fragala i tu ginie od skryto­bójczej kuli proboszcza księdza Don Luigi, który sprowadził ka­rabinierów.

Na tym schemacie fabularnym, wzbogaconym udatnie, choć miejscami zbyt drobiazgowo, wątkami pobocznymi — zbudował Stryjkowski swą sugestywną i bardzo dobrze napisaną powieść. Znając widocznie niebezpieczeństwo nudy, jaka zabiła mnóstwo utworów socrealistycznych , których bohaterami byli nieposzla­kowani komuniści, wołał Stryjkowski swego Salvatora pokazać jako bezpartyjnego, który waha się i błądzi, aby dopiero wraz ze śmiercią znaleźć „właściwą” drogę. Ale jest w powieści i bo­hater pozytywny. Jest nim oczywiście lokalna sekcja włoskiej partii komunistycznej, działająca przez swoich sekretarzy i człon­ków. Na jej dobro zapisuje autor wszystkie wysiłki i osiągnięcia nędzarzy w walce o ziemię. Jej sekretarze i działacze — brat Salvatora Gianni, Armando, Silvio, bardzo żywy „maleńki Mat- teo” i wielu innych — to wszystko ludzie ofiarni, nieposzlako­wani i dobrzy politycy. W walce klasowej, która wypełnia całą powieść, drugą stronę reprezentują czarne charaktery : zbrod­niczy i głupi syn „kułaka” — ksiądz Don Luigi Filipello, sier­żant karabinierów, nieprawdopodobna szuja — krwiożerczy Prezzo, prowokator, rzecz jasna sklepikarz — Lelio i głupkowa­ty niedorostek, wynajęty przez proboszcza łamistrajk — Con- cetto. Bogatą galerię czarnych i białych charakterów uzupełnia­ją — niekiedy bardzo udane — postacie drugoplanowe : „śred- niacy” i „średniaczki”, skąpe i gardzące bezrolnymi „kułaczki” oraz żony komunistów i komunistki. Licząc się ze swoistą po­bożnością włoskich chłopów (we Włoszech działaczy komunis­tycznych — przynajmniej do niedawna — w niedzielę najłatwiej

można było złapać na mszy w kościele parafialnym) — Stryjkow­ski nie poskąpił swej komunistycznej gminie nieoficjalnego ,,pa­sterza”. Jest nim zasuspendowany za dzikie ,,małżeństwo” ks. Don Domenico — ojca czworga dzieci, człowiek zacny i spra­wiedliwy ,którego komuniści wzywają do konających. W chwi­lach wolnych od narad partyjnych i od kłopotów rodzinnych, czy politycznych demonstracji Don Domenico — za milczącą zgodą fanatycznego, ale i leniwego Don Luigi — wyręcza miejscowego kościelnego w dzwonieniu na Anioł Pański.

Mimo licznych uproszczeń i wulgaryzacji, mimo monoma- niackiego operowania walką klasową — powieść Stryjkowskiego jest dziełem sztuki. Jest nim nie z powodu, ale właśnie wbrew zastosowanej przez autora recepcie socrealistycznej. Jej zalety wynikają z autentycznego talentu, a wady z formułek i fałszy­wych kanonów, które autor przyjął za swoje.

Zalety — to przede wszystkim integralność dzieła w ramach poprawnej i harmonijnej kompozycji trójdzielnej, zamykającej dramat Salvatora i walkę zbiorowości o ziemię w trzech czę- ściach-etapach rozwojowych : gnuśne wahania, szukanie drogi (a ze strony zbiorowości przygotowanie do akcji) i wreszcie dzia­łanie ; to dobry, miejscami piękny język dzieła ; to nastrojowe obrazowanie, wznoszące się niekiedy na wyżyny autentycznej poezji.

Język Stryjkowskiego wywodzi się z jego dziennikarstwa. Należy pamiętać, że *Bieg do Fragala* jest debiutem współredak­tora rzymskiego oddziału Polskiej Agencji Prasowej, który w cią­gu trzech lat pobytu we Włoszech zdołał dobrze poznać kraj i lu­dzi — na tyle w każdym razie, że jego powieść, natychmiast! przełożona i wydana po włosku, znalazła duże uznanie w kołach lewicowej krytyki włoskiej (rząd włoski złożył inny dowód res­pektu : wysiedlił autora z kraju zaraz po ukazaniu się książki). Stryjkowski operuje krótkimi zdaniami, pisze rzeczowo, precyzyj­nie, potrafi dostosować budowę zdań i cały rytm swej prozy do przedstawianej treści. Umiejętnie dozuje tempo od graniczącej z monotonią powolności części pierwszej, poprzez językową tę­żyznę poszukiwań i przygotowań części drugiej aż do szybkiego, nerwowego, jakby zadyszanego końcowego biegu Salvatora do Fragala.

Nastrój i obraz to bardzo silne strony powieści Stryjkow­skiego. Mam tu na myśli obraz w szerszym znaczeniu, nie zaś opi­sy przyrody, których autor świadomie unika, jak i opisów lu­dzi, czy przedmiotów. Nastrój wydobył autor przede wszystkim umiejętnymi powtórzeniami, rzadkimi, ale celnymi porównania­mi (np. ,,kotlina mgliła w dole jak micha z parującym mle­kiem”), równie skąpymi, ale świetnymi metaforami („dwa mi­liony najemników włożyło ręce do kieszeni”), bardzo umiejętnym użyciem ludowych idiomów i wreszcie pięknym, po prostu olśnie­wającym zastosowaniem czegoś w rodzaju chóru greckiego — improwizowanych na poczekaniu przyśpiewek kobiet wiejskich.

Wśród udatnych środków artystycznych Stryjkowskiego nie

brak i symbolizmów, których pisarze socrealistyczni na ogół boją się używać.

Do zalet powieści należy szerokie uwzględnienie ubocznych, niezwiązanych z walką klasową, a bardzo charakterystycznych dla folkloru włoskiego scen i okoliczności. Na przykład opis uczty u wójta Rocca di Zolfo — niepotrzebny z punktu widzenia komu­nisty — należy do najlepszych partii książki i zapada w pamięć jak żywa rzeźba. W ogóle sceny zbiorowe nakreślił Stryjkowski z niebywałym mistrzostwem. Ich zwartość, lapidarność, miejsca­mi dramatyczność nie są zapowiedziami zdolnego debiutanta, lecz pełnymi osiągnięciami dojrzałego artysty.

Wydaje mi się, że wszystkie wady *Biegu do Fragala —* a więc niedostateczny rysunek psychologiczny Salvatora i wielu postaci, w tym wszystkich czarnych charakterów, uderzająca bla­dość anemicznych, jakby ze strachem pisanych wątków lirycz- no-erotycznych, a przede wszystkim kłamliwość dużej części ,,warstwy przedmiotów przedstawionych” (termin prof. R. In­gardena) — wynikają z gorliwości w stosowaniu metody socrea­listycznej.

Kłamliwość *Biegu do Fragala* jest szczególnie jadowita, gdyż polega głównie na przemilczeniach, do których upoważnia formułka socrealizmu : ,,przedstawić rzeczywistość w jej typo­wym, dialektycznym rozwoju”. Nie wykluczam, że we Włoszech mógł się znaleźć jakiś półobłąkany ksiądz w rodzaju opisanego w powieści Don Luigi, który zza uchylonej okiennicy strzela do głodnego nędzarza, a przedtem wypędza kobietę, pragnącą dzbanka wody z księżowskiej studni. Nie jest zupełnie niemoż­liwe, że żył w Kalabrii jakiś sierżant policji tak nikczemny i głupi jak Prezzo. Ale jeśli pokazuje się tylko takich ludzi z obozu wro­giego, jeśli bohaterem pozytywnym czyni się zasuspendowanego kapłana, a partii komunistycznej przypisuje się *wyłączną* zasługę walki o ziemię dla bezrolnych lekceważąc historyczny przebieg wydarzeń — to nie jest to ani ,,typizacja”, ani „pokazanie dia- lektyki życia”, lecz zwykłe kłamstwo.

Jestem przeświadczony, źe nie podobna stworzyć dzieła sztu­ki pisarskiej, jeśli nie zawiera ono jakiejś istotnej prawdy. Dla­tego nie powstała dotąd ani jedna artystyczna powieść socrealis­tyczna opisująca triumfujący i rządzący komunizm. Dlatego nie­liczne dobre powieści socrealistyczne z reguły opisują komunis­tów walczących i prześladowanych. *Bieg do Fragala —* mimo dużego talentu autora — nie byłby dziełem sztuki, gdyby nie za­wierał obok oburzających kłamstw — dużego ładunku prawdy : prawdy o bezprzykładnej, wołającej o pomstę do nieba nędzy chłopa włoskiego, o ohydnym egoiźmie wielkich posiadaczy i o głupocie i niedołęstwie rządzących. A także tej smutnej praw­dy, że włoscy komuniści — choć nie ze szczerych intencji, a je­dynie dla celów taktycznych — poważnie przyczynili się do po­prawy losu najbiedniejszych w tym kraju.

*Janusz JASIENCZYK*

Młodzi poeci

Nigdy nie miałem szczególnego zaufania do harcerstwa, choć przez pewien czas byłem harcerzem, składałem egzaminy z wiązania węzłów i nosiłem krzyż. I wówczas jednak na dnie czaił się sprzeciw wobec upupiania, wobec jakichś krótkich maj­tek intelektualnych, za krótkich nawet dla chłopców w naszym wieku. Przyszedłszy do szkoły z głuchej wsi, gdzie rzeka i drze­wa wypełniały się tłumem urojonych postaci, byłem przestra­szony tym nowym życiem w gromadzie a szczególnie w groma­dzie harcerskiej z jej programową ,,ochoczością”. Wyczuwałem jednak że jest w tym zjawisku coś bardzo poważnego. Oczywi­ście. W miarę jak rósł ze mną wiek dwudziesty, coraz więcej spraw stawało się harcerstwem, aż wreszcie z bólu, z obrzydze­nia do krótko-majtkowania, nawet artretycy umysłowi obłożeni flanelą zaczęli nabierać uroku.

Mówię to z okazji przeczytania pięciu tomików wierszy mło­dych polskich poetów ([[5]](#footnote-6)). Gdyby w Polsce istniały dwa kręgi lite­ratury : ,,oficjalno-popularny” i ,,elitarny”, można by było te książki zaliczyć do pierwszego licząc się z tym że istotny wpływ (drogą literackiej osmozy) będzie miało tylko to, co powie się w tym drugim kręgu. Tak jednak nie jest. Krąg „elitarny” co prawda nie zniknął — rzadko zdarzało się w znanej nam historii żeby znikał całkowiciet choć nabierał w różnych okre­sach różnego charakteru. Teraz ma on charakter ściślej niż kiedykolwiek laboratoryjny, warsztatowy, to znaczy jego dzie­dziną są prawie wyłącznie przekłady. Bogata instrumentacja, cały arsenał środków wypracowanych przez pokolenia piszących, są do dyspozycji tłumaczy Puszkina, Szekspira czy innych wiel­kich poetów. Natomiast świat w poezji współczesnej, zwłaszcza młodych, uładzony, umyty, ochoczy, jest opiewany przy użyciu ubogich instrumentów ; pośmiertny triumf Konopnickiej (bynaj­mniej nie Trembeckiego i nie «Mickiewicza). Jak i dlaczego tak się dzieje, nie ma potrzeby pisać. Natomiast można się oddawać temu bezinteresownemu zdumieniu, które drąży powoli otacza­jący nas świat, jak woda drąży kamień.

Przede wszystkim pytanie : czy element parodii, harcerskiej chwackości jest w ogóle nie do uniknięcia tam gdzie proponuje się społeczne „rozwiązania całkowite”? Nie można sobie wyo­brazić większego, bardziej budzącego grozę dystansu, niż ten

jaki pojawia się pomiędzy fermentem od którego się wszystko to zaczęło, fermentem znaczonym przez nazwiska Marksa, a pew­nie i (nie śmiejcie się) Nietzschego, a rezultatem w postaci tej poezji świetlicowej. Jest to jak straszliwe walki na średniowiecz­nej Sorbonie pomiędzy realistami i nominalistami, przetłumaczo­ne przez misjonarzy na język pojęć dostępnych murzyńskim spo­łeczeństwom totemistycznym. Jestem jak najdalszy od inteligen­ckiego wymądrzania się, w każdym razie wiem, że nie tędy dro­ga. Ale żyjemy ciągle w świecie który nie został przez nas opa­nowany i nazwany, który domaga się, krzyczy, ukazuje się nam jako ogrom niezmierzony nowych problemów, przebywamy prze­cież na ruinie pojęć i obrazów, której nikt za nas nie uporząd­kuje. To chciałbym powiedzieć tym młodym poetom, gdybym mógł się z nimi komunikować, zresztą nie odniosłoby to skutku z powodów silniejszych niż ludzka wola. Ktoś w Warszawie wy­krzyknął do mnie w 1949 roku chcąc żebym wreszcie zrozumiał : „Ależ to wszystko robi się nie dla nas,a *dla nich”.* Dla nich — to jest dla mas, dla tych którzy nie mogą sobie pozwolić na wyrafinowany srnak^. którym trzeba dać buty, nauczyć czytać i zaopatrzyć w poezję łatwych do zapamiętania sloganów. Drob­na trudność, to jak określić owo „my”? Młodzi poeci tu recen­zowani też na pewno określają siebie jako „my”, pewni że ich powołaniem jest realizować hasło ,,abêtissez-vous” w imię służ­by masie. Ale ubiacy Dzikowski i Gach z powieści Straszewicza też chyba zaliczają siebie do jakichś ,,my”, że niby oni mają tę masę kształtować — i tak dalej. Każdy wreszcie występuje ja­ko ,,my” dbając o to żeby przedstawić się głupszym niż jest na­prawdę. Taki jest jeden z działających mechanizmów i zero zo- staje z prawdziwej łączności człowieka z człowiekiem, co osta­tecznie było marzeniem ludzi duszących się w zamkniętych ce­lach dziewiętnastego wieku.

Dalsze pytanie : Dionys Mascolo w swojej paradoksalnej książce ([[6]](#footnote-7)) ocenia w komunizmie ,,humor historyczny”. Humor ten polega jego zdaniem na *podcinaniu* u korzeni pewnych po­jęć i następnie posługiwaniu się nimi ponieważ już nie są poważ­ne, już nie są groźne, dni ich są już policzone, a mogą być chwilowo użyteczne taktycznie. Mascolo jest typowym zachod­nim intelektualistą i szuka rozumowego wytłumaczenia pew­nych objawów błazeństwa i wygłupiania się właściwych realiza­cji nowego systemu. Zastosowawszy to do poezji świetlicowej, otrzymujemy ciekawe wnioski. Gdyż zarówno autor takich wier­szy jak jego czytelnik wiedzą że np. ulubiony temat : wolna, potężna, niepodległa Polska odmieniana na wszystkie przypadki należy do sfery ,,historycznego humoru” i że wcale nie o to chodzi. Stąd stosunek do takiej literatury jest naznaczony mil­czącą zgodą na konwencję — literatura zmienia się w potrzebną, społecznie uznaną „lipę”. Prowadzę do pytania : w jakim stop-

MŁODZI POECI

niu u młodego pokolenia znika świadomość że poezja świetlico­wych sloganów jest podcięta u korzenia, w jakim traktują ją poważnie ? Że uchodzi za jedyną jaka jest możliwa (znika pa­mięć innej instrumentacji w zastosowaniu do tematów współ­czesnych) jest prawie pewne. Jednak w głębi zostaje (choćby dzięki tej skromnej dozie marksizmu jaka w umysły przenika) przekonanie że wszystko co się pisze jest trochę na niby, krót­kie majtki gniotą i uciskają — ale równocześnie krótkie majtki stają się, w opinii tych młodych, cechą życia w społeczeństwie ludzkim w ogóle. Kto dziwi się łatwości z jaką młodzi, ucieka­jący z demokracji ludowych, gotowi są głosić wszystko czego­kolwiek od nich żądają ich nowi mocodawcy — powinien się nad tym zastanowić. „Humor historyczny” — czy, w załamaniu su­biektywnym, po prostu cynizm (bo pełniejsza ^wiadomość „hu­moru” jest dostępna tylko bardzo wysoko postawionym „my”) jest już czymś równie naturalnym jak powietrze i opór skrupu­łów moralnych znika.

Nie łatwo jest jednak znaleźć punkt z którego można te wiersze krytykować, bo całkowicie bezprzedmiotowe byłoby po­równywać je z wierszami wybitnych autorów, pracujących „starą metodą”. Studium porównawcze musiałoby wziąć dwie całości : z jednej strony poezję oficjalną, od święta, drukowaną na pierw­szych stronach gazet codziennych w Polsce przed 1939 r-> z dru\_ giej strony te utwory i wykazać jakim szczepieniom uległo stare .drzewo, które wydaje takie owoce. To byłoby zresztą dość za­wiłe studium, sięgające do podstaw naszej wiedzy o poezji (bo im materiał jest bardziej „anty-poetycki” tym bardziej prowo­kuje).

Sprawa jest poważna, bo innej młodej poezji polskiej prawie nie ma. Jakiś naród istnieje tak długo, jak długo istnieje jego literatura, co więcej, jest taki jak jego literatura. Nic mi nie jest wiadome o różnych receptach politycznych „zbawiania Pol­ski”, wiem tylko, że zupełnie na innym planie odbywa się wal­ka o istnienie tego narodu niż to sądzą liczni zwolennicy fikcji. To zostanie kiedyś zrozumiane. Tymczasem odczuwam te tomy wierszy jako osobistą porażkę, porażkę mego państwa, któremu starałem się jak umiem służyć : państwa polskiej literatury. Jest to zwężenie jego granic, podczas gdy np. nowe przekłady Szekspira wydawane w Polsce takim zwężeniem granic nie są.

Kpiny z młodych autorów świetlicowych nie prowadzą do ni­czego i nie mam zamiaru być osobą co „siedzi i ma za złe”. Tym co kpią, można powtórzyć za Gogolem : „Z kogo się śmiejecie? Z siebie się śmiejecie”. Bo wiersze te, choć politycznie kpiarzom wrogie, realizują ich własny ideał : poezji dźwięcznej, wpadają­cej w ucho, ładnie rymowanej, nie zawierającej żadnych trud­nych do przyswojenia obrazów i myśli, a więc takiej którą się pogardza (bo kto poważny zajmuje się podobnymi dzieciństwa­mi?) ale która „dobrze robi” na pierwszej stronie gazety. Os­trożnie z kpinami kiedy oto podsuwane jest zwierciadło pokazu­jące wszystko czym człowiek nie został, choć mógłby, czego za-

niechał, czego się wyrzekł, zmieniając, czegokolwiek się tknie, w parodię i w parade-marsz. Te same żelazne kule wiszą u nóg i kpiarza i poety z ZMP i choć się nienawidzą, choć przysięgają że wsadzą sobie wzajem bagnet w serce przy pierwszej okazji, powinni się właściwie kochać. Ciągnie ich w dół balast nawy­ków,w dół, w zatopione obszary historii która jest tylko pre­historią, z tym balastem u nóg tańczą topielczy taniec, natural­nie oberka.

Otwieram na chybił trafił tom Walta Whitmana i przepisuję, tłumacząc na prędce :

*Olśniewający, olbrzymi, zabiłby mnie wschód słońca, Gdybym i teraz i zawsze nie wysyłał z siebie wschodu słońca.*

*Mój głos tam sięga gdzie nie sięgną oczy.*

*Zwinięciem języka obejmuje światy i obszary światów.*

*Mowa jest bliźniaczą siostrą mojej wizji — niezdolna jest zmierzyć siebie. Wyzwanie mi rzuca, wzywać nie przestaje.*

*,.Walt — powiada — czy nie masz w sobie dosyć — na co czekasz I"-*

*Czy nie znasz, mowo, pączków zwiniętych pod tobą,*

*W mroku dojrzewających, okrytych przez szron ?*

*To ku nim bije codzień mój profetyczny wrzask.*

*Jestem głębiej niż przyczyny, zważyć je wreszcie mi dano. Moją wiedzą są części mego ciała — dorównuję znaczeniu rzeczy : Szczęściu — ktokolwiek mnie słyszy, niech wyrusza i goni je zaraz.*

*Słowo i pismo nie utwierdzają mnie.*

*Noszę w sobie pełnię dowodu i wszystko w mojej twarzy. Sam spokój moich ust niweczy zdanie sceptyka.*

Chłopcy, pomyślcie przez chwilę czego spodziewali się po człowieku wielcy brodacze dziewiętnastego stulecia.

*Czesław MIŁOSZ*

Chleb i kamień

W swej ostatniej książce [[7]](#footnote-8)), która jest zbiorem prelekcji ra­diowych (tzw. Reith Lectures) profesor Toynbee rozwija tezę z którą po raz pierwszy wystąpił w szkicu ogłoszonym w 1948 r. pt. ,,The Unification of the World and the change in historical perspective”.

W myśl tej tezy cywilizacja zachodnia pod koniec 17 wieku weszła w fazę po-chrześcijańską i straciła swój pierwotny wyrazi sens. Równocześnie na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci tech­niczna cywilizacja zachodnia objęła swym zasięgiem cały świat.

„Nasza zachodnia technologia” — pisze Toynbee — „ode­rwana od zachodniego chrześcijaństwa została przyjęta nie tylko przez Chiny i Japonię lecz również przez Rosję i inne kraje, któ­re w przeszłości odrzucały naszą cywilizację, gdy była integral­ną, niepodzielną całością obejmującą chrześcijaństwo”.

A oto drugi cytat, który stanowi punkt kulminacyjny oma­wianej książki :

„Byliśmy zadowoleni z siebie, gdy Japończycy i Chińczycy, którzy odrzucili zachodnią cywilizację w jej religijnym wydaniu

* przyjęli tę cywilizację w wydaniu zsekularyzowanym, świec­kim z technologią w miejsce religii. Lecz doczekaliśmy chwili, gdy ów proces w obu krajach przyniósł nam zawód. W Japonii zrodził katastrofalny w skutkach militaryzm — w Chinach nie­mniej katastrofalne przekupstwo. Ofiarowując Chińczykom i Ja­pończykom zsekularyzowane wydanie naszej cywilizacji daliśmy tym narodom kamień zamiast chleba. Rosjanie ofiarowując im zarówno komunizm jak i technologię — dają im chleb. Jeżeli tak wam się podoba, możecie ów chleb nazwać twardym i czar­nym, lecz niemniej to jest jadalna substancja, która zawiera w sobie ziarno duchowego pokarmu bez którego człowiek nie może żyć”.

Poza obrębem świata anglosaskiego istnieje niewątpliwie głód idei. Tego głodu duchowego, podobnie jak głodu fizyczne­go Zachód nie umiał zaspokoić. Wyższość imperializmu sowiec­kiego nad dawnym imperializmem zachodnim polega na tym, że imperializm sowiecki jest typu polityczno-ideowego. Armie so­wieckie nie okupują tylko zawsze „wyzwalają” i niosą zapo­wiedź „szczęśliwszego życia” dla uciśnionych i wyzyskiwanych.

Co innego jest jednak stwierdzić, że poza obrębem świata anglosaskiego istnieje głód idei, który wykorzystuje dla swych celów imperializm sowiecki —a co innego jest głosić pogląd, że komunizm jest chlebem duchowym a cywilizacja zachodnia (w jej obecnej formie) kamieniem.

Toynbee wychodzi z założenia, że skoro nasza cywilizacja „rozwiedziona” i „odseparowana” od Chrześcijaństwa jest ka­mieniem — to jej antyteza (komunizm) musi być drogą reakcji

* chlebem. Tak nie jest. W gruncie rzeczy komunizm zachod­nie zmaterializowanie podniósł do rangi totalnej doktryny a za­chodni indyferentyzm wywyższył do rangi dogmatycznego ateiz- mu. Toynbee tego wszystkiego nie widzi i wierzy, że dając idee daje się chleb. Lepiej jednak nie dawać ani idei ani religii jeżeli się ma dawać ideę złą a religię fałszywą. Nie każda bowiem idea i nie każda religia są chlebem dla ducha.

Wydaje mi się, że jeżeli chodzi o teorię Toynbeego, która doprowadziła go do takich nieoczekiwanych wniosków — błąd leży w samym założeniu. Toynbee całą naszą cywilizację wywo­dzi z chrześcijaństwa. To jest prawdą w odniesieniu do wszyst­kich aspektów cywilizacji zachodniej z wyjątkiem technologii.

W moim przekonaniu nie można w ogóle mówić o rozwodzie chrześcijaństwa z technologią, ponieważ zachodnia technologia z chrześcijaństwem nie ma nic wspólnego. Technika współczes­na jest w pewnym sensie kontynuacją cywilizacji grecko-rzym­skiej. (Ojcem współczesnej medycyny jest Hipokrates a nie Ła­zarz i twierdzenie Pitagorasa leży u podstaw wielu dzisiejszych technicznych osiągnięć a nie pisma Starego czy Nowego Testa­mentu). Wierzący chrześcijanin może boleć nad tym, że w ostat­nich dwą, stuleciach zmalał wpływ chrześcijaństwa (co nie jest równoznaczne z upadkiem religijności) — niemniej jednak trze­ba stwierdzić, że na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci dokonał się olbrzymi postęp i to nie tylko w sferze techniki. Zniesienie niewolnictwa, demokracja, tolerancja religijna, wspaniały roz­wój nauk humanistycznych, literatury i sztuki to wszystko do­konało się w ,,po-chrześcijańskiej” fazie naszej cywilizacji. Pod wieloma względami dziś wyraz zachodniej cywilizacji jest w swej istocie niepomiernie bardziej chrześcijański niż w epokach wcześ­niejszych, kiedy chrześcijaństwo nie tylko było wyznawane ale i panowało.

Teoria rozwodu chrześcijaństwa i technologii jest całkowicie nieprzekonywująca.

Jest rzeczą godną pożałowania, że tęsknota religijna tak ty­powa i charakterystyczna dla współczesnej epoki — manifestuje się w omawianej książce Toynbeego w sposób sprzeczny z zasa­dami naszej cywilizacji, która odrzucając kamień materialistycz- nej dokryny komunizmu czerpie duchowy chleb z chrześcijań­stwa.

*Jul. MIER.*

Notatki wydawnicze

Od dawna już Akademia Goncourt nie przyznała swej nagrody pisarzowi mającemu naprawdę coś do powiedzenia i mówiącemu to w sposób, który się wydaje jedynie możliwy — czyli po prostu pisarzowi autentycznemu. Takim pisarzem jest niewątpliwie *Pierre Gascar* nagrodzony w pierwszych dniach grudnia za rok 1953. Tym razem nagroda „Dziesięciu” — pięć­dziesiąta z kolei — przypadła dwum książkom *Gascara,* obu wydanym w 1953 roku : *Les Bêtes* (Gallimard) i *Le Temps des Morts* (Gallimard). Pierwsza z nich omawiana była w „Notatkach Wydawniczych” „Kultury” (Nr 10/72). Gascar dał w niej wizję (o niezwykłej poetyckiej intuicji) ko­munikacji pomiędzy światem ludzi i światem zwierząt.

*Le Temps des Morts* jest powieścią, w której komunikacja odgrywa również dużą rolę. Ale jest to komunikacja pomiędzy dwoma światami ludzkimi — światem żywych i światem umarłych. Nie w sensie spirytualis­tycznym — w powieści Gascara nie ma śladu metafizyki. Raczej jako odpowiedź żywych ludzi na otaczającą ich. zewsząd śmierć.

,U podłoża tej książki jest element autobiograficzny. Autor, francuski jeniec wojenny w czasie ostatniej wojny, po kilku próbach ucieczki zostaje przewieziony do karnego obozu jeńców pod Brodami.

A więc Małopolska Wschodnia w roku 1942. Karny obóz oznacza zmar­**łych.** Potrzebny jest cmentarz. Gascar, wraz z kilkoma kolegami zostaje grabarzem. Ale ta śmierć „cmentarna”, wśród alejek żwirowych (jeńcy francuscy chcą „po ludzku” chować swych zmarłych) jest jeszcze śmiercią cywilizowaną. Poza drutami obozu, w lesie z którego jeńcy biorą drzewo, **na** drogach — wszędzie panuje śmierć „inna”. Śmierć Żydów — kobiet, mężczyzn, dzieci, starców, mordowanych przez Niemców. Trupy krwawe, nie ułożone rzędem. Obok obozu — tor kolejowy i ciągłe konwoje nowych ofiar — ludzi wiezionych na śmierć gazową. W dzień i w nocy słychać jęki, krzyki.

Śmierć staje się naturalna jak deszcz, jak błoto na tych jesiennych ukraińskich drogach. Śmierć staje się elementem — stanem w którym się żyje. Jeńcy i pilnujący ich niemieccy żołnierze (którzy sami są ofiarami, **a** nie wspólnikami zbrodni), czują się bezradni. A jednak na tych gro­bach, na tych cmentarnych alejkach wciąż odradza się nadzieja. Będzie to przyjaźń, koleżeństwo, miłość. Miłość w której nic się nie dzieje, która może nie jest nawet miłością, ale ratunkiem akcentu ludzkiego : pomiędzy pastorem Ernstem, mimowolnym katem i Żydówką Lidią; pomiędzy auto­rem i Polką Marią.

Opowiadanie proste, bez śladu patosu, bez nienawiści, bez oburzenia. Ale słowo ma w nim siłę materializacji i czujemy w każdej linii grudy tłustej ziemi z grobów, połączonych z innymi grobami jakąś niewidzialną siecią.

♦

François Fejtó, którego „Histoire deB Démocraties Populaires” omawia­liśmy w „Kulturze” daje nam teraz pasjonującą monografię historyczną. ***Un*** *Habsbourg Révolutionnaire, Joseph II* (Plon, Paris, 1953) rzuca nowe światło na jedną z najciekawszych — i najbardziej aktualnych — postaci 18-go wieku. Ze wszystkich „despotów oświeconych”, Józef II był zapewne najbardziej świadomy swojej roli. Angielski historyk Taylor powiedział, że był on „Konwencją w jednej osobie”. Za młodu niemrawy i nieśmiały, zro­zumiał on jednak doskonale czym grozi Austrii wzrost potęgi Prus i Rosji **i** postanowił ocalić monarchię reformami administracyjnymi i społecznymi zakrojonymi na wielką skalę. Śmiało zaatakował najpotężniejsze „vested interests” — arystokrację feodalną i kler. Był jednym z pierwszych twórców etatyzmu w Europie środkowej : przywiązanie do dynastii i patriotyzmy lo­kalne chciał zastąpić lojalnością do państwa.

Maria Teresa była szczerze liberalna — jej dobroć i moralność zapo­wiadają naiwną „postępowość” 19-go wieku. Ciekawy jest ustęp książki Fejtó dotyczący pierwszego rozbioru Polski. Znamy ironiczne powiedzenie Fryderyka II : „Marie-Thérèse pleura, mais elle signa” — historycy polscy całkiem naturalnie uważają te łzy za łzy krokodyle. Tymczasem udział w roz­biorze był rzeczywistą tragedią Marii Teresy. Pisze ona do syna : „Nie ro­zumiem dlaczego kiedy dwóch rzezimieszków — korzystając z przewagi sił — rzuca się na niewinny naród, trzeci sąsiad ma iść w ich ślady i popełniać tę samą niesprawiedliwość. Nie uznaję tego. Władca nie ma innych praw moralnych od prywatnego człowieka. Wielkość i potęga państwa nie będą się liczyły tam, gdzie się kiedyś stawimy na Sąd Ostateczny”. Ale zarówno jej lotaryński małżonek, jak chytry Kaunitz, i jak syn — następca tronu (przyszły Józef II) nalegają, błagają, grożą : jeśli Austria nie zajmie Ga­licji, wkroczą tam Rosjanie. Maria Teresa ustępuje, podpisze akt rozbiorowy. **Ale w** komunikacie oficjalnym nie chce się za nic zgodzić na słowo „légi­time : „to kłamstwo, popełniliśmy zbrodnię i niesprawiedliwość”.. Dopiero brutalna interwencja syna znów wydrze jej zgodę. „Ten nieszczęsny roz-

biói Polski skróci moje życie co najmniej o dziesięć lat” — skarży się wreszcie cesarzowa w liście do młodszego syna Ferdynanda. Co za różnica pomiędzy tym żalem, a tonem pamiętników Churchilla czy notatek Hopkinsa z Jałty !

Po liberalnej Marii Teresie, polityka Józefa II wydawała się reakcyjna, choć w istocie swej była postępowa i rewolucyjna. Przez cały czas swego panowania cesarz był wrogiem Konstytucji — ale przeczuwał on że na tere­nie habsburskiej monarchii nie ma klasy średniej i że zachodnie idee konstytucyjne wykorzystane byłyby przez szlachtę i arystokrację do ubrania własnych przywilejów w nowe formy. Polityka Józefa II wywołała opozycję wielkich i małych feodałów, Kościoła i spowodowała reakcje nacjonalistycz­ne. Była to — zdaniem Fejtó — najwcześniejsza zapowiedź w środkowej Europie problemów z którymi w naszych czasach zetknął się Hitler i ko­muniści.

Fejtó jest marksistą — opuścił partię komunistyczną i wybrał wygna­nie w chwili procesu Rajka — i stąd widoczna jest jego sympatia do tego cesarza ,,rewolucyjnego” i antyliberalnego zarazem. Ale widzi on w polityce Józefa II nie tylko dobre strony — uwłaszczenie chłopów, tolerancje religij­ną — ale również wady mające aktualny posmak : „Józef II czynił dobro w zły sposób, nieludzko, zimno i sucho”.

Teza historyczna książki Ffejtó jest kontrowersyjna, ale niewątpliwie pobudza do myślenia. Główna jej myśl rzucona była już przez Fejtó w „His­toire des Démocraties Populaires”. Twierdzi on źe w braku klasy średniej, Europa środkowo-wschodnia była historycznie niedojrzała do przejęcia idei rewolucji francuskiej. *Ze* miejscowy liberalizm był niczym innym jak odno­wieniem szlacheckiej tradycji i że dlatego postęp mógł w Europie środkowo­wschodniej iść tylko z góry — za pośrednictwem centralnego etatyzmu.

Autor daje nam również szkic charakteru Józefa II. Pod pancerzem cesar­stwa krył się człowiek nieśmiały, niezdolny do nawiązania osobistych sto­sunków, nieszczęśliwie zakochany we własnej żonie, a po jej wczesnym zgonie opłakujący ją w samotności, znajdując pewną pociechę tylko w mu­zyce Mozarta.

♦

André Gide mówi gdzieś w swoim „Dzienniku”, że człowiek zajęty życiem nie znajdzie nigdy czasu na pisanie. W ciekawej serii radiowych wywiadów „Qui êtes-vous”, której część ogłosił niedawno francuski „Ex­press”, Julien Benda powiedział : „Une main calleuse ne pourra jamais écrire”. Przeciw temu monopolowi „klerków” (a nie trzeba zapominać, że Benda sympatyzuje dziś z komunizmem) występuje Michel Ragon w swej *Histoire de la Littérature Ouvrière”* (Masses et Militants — Les Editions Ouvrières, Paris, 1953). Od średniowiecza aż po utworzoną w latach tysiąc dziewięćset trzydziestych szkołę „pisarzy proletariackich” z Henry Pou- laille, Charles Plisnier, Marc Bernard itd. — Ragon analizuje wszystkich francuskich pisarzy-chłopów i pisarzy-robotników. Ileż mogliby się z tej literatury nauczyć teoretycy i praktycy socjalistycznego realizmu !

♦

W „Paris Insolite” autentyczny włóczęga Jean-Paul Clébert dał obraz Paryża clochard'ów, od strony świtów w Halles, nocy spędzanych pod mos­tem, tajemniczych koterii w szałasach na podmiejskich „terrains vagues”. Druga jego książka, *La Vie Sauvage* (Editions Denoël, Paris, 1953), to włó­częga po drogach Francji, noclegi po fermach na sianie, po nadmorskich gro­tach, miesiąc z Cyganami, miesiąc w więzieniu. Uderza podobieństwo tej książki do „Gil Blas”, do awanturniczych powieści 18-go wieku, do niektó-

rych partii pamiętników Casanovy. Omijając jak ogień cywilizację, cofając się na widok szyn tramwajowych, Clébert umiał odkryć jakiś rezerwat przy­gody i wolności.

♦

Znany krytyk muzyczny Pierre Souvtchinsky wydał pierwszy tom zbiorowego dzieła *Musique Russe* (Presses Universitaires de France, Paris, 1953). Najciekawsze są dwa ostatnie szkice — o Strawińskim. W drugim tomie omawiany będzie Prokofiew’ (przez Francis Poulenc) i Szostakowicz.

♦

*L’Homme et TEtat,* ostatnia książka Jacques Maritain (Presses Univer­sitaires de France, Paris, 1953) daje syntezę wysiłku który autor podjął w ciągu ćwierć wieku aby przedstawić współczesnym „konkretny ideał his­toryczny” nowej demokracji, ufundowanej na zasadach chrześcijańskiej tra­dycji. O Maritain powiedziano że uratował on tomizm z historycznego za­pomnienia. Istotnie, znać na każdej stronie tej książki wpływ filozofa z Akwinu, którego nauka jest dla Maritaina zawsze żywa. Stara się on stoso­wać tomizm do wszystkich współczesnych zagadnień, nadając mu nową aktualność.

♦

*Six Heures à Perdre* (Plon, Paris, 1953), ostatnia powieść Robert Brasillach łączy żywą, niemal kryminalną intrygę ze świetnym wizerun­kiem Paryża z ostatnich lat okupacji. Postać bohaterki, wątłej dziewczyny, która w czasie wojny, kiedy tylu ludzi zabijano „anonimowo” ma siłę zabić człowieka, który na to zasługuje, ma wyjątkowy urok.

♦

„Nie ma umysłów europejskich których by nie pogodziła symfonia Beethovena”. To końcowe zdanie z książki Georges Bonneville’a, *Y a-t-il une culture européenne ?* (Editions du Conquistador, Paris, 1953) daje jakby błyskawiczny skrót dobrych intencji i beznadziejnej naiwności obrońców tradycyjnego humanizmu w dziewiętnastowiecznym sosie. Poprawność i po­wierzchowność tej książki jest zatrważająca.

Nic dziwnego że *Bourgeoisies en Appel,* zbiór szkiców Robert Boudet (1953) ukazał się u tego samego wydawcy. Nie można dziś czytać bez zażeno­wania tego rodzaju kazań tłumaczących potomkom „tysiąca rodzin”, że win­ni sprostać wspaniałym tradycjom francuskiej burżuazji okazując więcej ini­cjatywy przemysłowej i więcej grzeczności dla „ludu”.

♦

Jaka jest natura zła ? Czy istnieje zło „wrodzone”, spotęgowane indy­widualnie, „grzech pierworodny”? Na zasadzie jakiej tajemnicy zło może potęgować pewną formę piękna ludzkiej osobowości ? Co jest „wolnością” a co „niewolą” dla człowieka o „złych instynktach”? Oto pytania które sta­wia piękna powieść Jacques Perry, *,,Le Mouton Noir* (Julliard, Paris 1953). Ta kronika miłości i czułości ojca, wrażliwego i poczciwego humanizującego artysty dla syna który jest uosobieniem uroku — ale podpalaczem, gwałci­cielem, potencjonalnym mordercą jest również kroniką bankructwa „wy­chowania”.

Przegląd miesięczników

W październiku ukazał się pierwszy numer *Encounter* (Panton House, 25, Haymarket, London S.W.l), miesięcznika poświęconego literaturze, sztu­ce i polityce, wydawanego w Londynie przez Kongres Wolności Kultury. Redaktorami „Encounter” są : poeta angielski Stephen Spender i publicysta amerykański Irving Kristol. W artykule wstępnym redaktorzy stwierdzają że pierwszy numer *Encounter* ukazuje się jakby na zgliszczach niedoszłej apokalipsy :

„Czyżby istotnie powiał wiew świeżego powietrza poprzez mgłę, którą przywykliśmy uważać za naszą zwykłą atmosferę ? Czyżby rzeczywiście apo­kalipsa, której oczekiwaliśmy nie doszła do skutku — pseudo-apokalipsa pseudo-proroków ? Czy nie czas przypomnieć sobie, że historia nie dąży do żadnego określonego celu, a ma tyle celów ile źródeł ?

„Trzej ludzie zmarli — Mussolini, Hitler i Stalin, z nimi zaś zniknęła cała mitologia epoki. Ostatniej z bajek które utrzymały się przy życiu zadały kłam wczorajsze wypadki w Niemczech Wschodnich i Czechosłowacji, gdzie prawdziwi robotnicy fabryczni otwarcie wypowiedzieli się przeciw hipotetycz­nemu Proletariatowi i czynem tym dokonali tego czego nie mogło osiągnąć tysiąc subtelnych argumentów : zniszczenie wiary marksizmu-leninizmu. Mo­że nareszcie słowa odzyskają swoją wagę i nie będziemy wciąż narażeni na obmierzłe sofizmy na mocy których despotyzm pozował na wyższą formę wolności, morderstwo zaś na najwyższy humanizm.

Problemy pozostają te same oczywiście. Ciemna strona księżyca nie bę­dzie już może brana za wschodzące słońce, ale pozostaje równie ciemna. **I** wiele jest cieni wśród nas. Może teraz dopiero będziemy mieli sposobność zmierzenia się z tymi problemami, które ukrywa się zwykle pod nazwą „kry­zysu naszych czasów”, w ich konkretnej i realnej formie. Miejsce człowieka **i** sztuki w cywilizacji przemysłowej, pogodzenie równości z wolnością, miej­sce narodowej dumy w świecie w którym narodowość jest oczywistym ana­chronizmem, niedopuszczalność głodu i upodlenia w świecie który posiada środki na ich usunięcie — te problemy przeżyją wywołane przez nie fałszy­we rozwiązania”.

♦

W grudniowym numerze *Preuves* ukazał się — wybity na pierwsze miej­sce — wybór tekstów Witolda Gombrowicza, w przekładzie francuskim au­tora, poprzedzony wstępem K. A. Jeleńskiego. Na ośmiu stronach *Preuves* (równych 16 stronom *,,Kultury")* mamy kolejno „Wizytę w Poselstwie” z „Trans-Atlantjku” i dwa ustępy z „Ferdydurke” : rozważania Gombro­wicza o formie i sztuce, oraz opowieść o „Filidorze Dzieckiem Podszytym”. *Preuves* zamieszcza również reprodukcję portretu Gombrowicza przez Zyg­munta Grocholskiego.

♦

Od czasu triumfu fotografii nastąpił ostateczny rozwód pomiędzy artystą i dziennikiem, a przez to samo pomiędzy artystą i wydarzeniem aktual­nym. A przecież nic tak nie może oddać ducha epoki jak rysunek : wy­starczy wspomnieć Callot, Goyę, Daumier. Dlatego należy entuzjastycznie powitać inicjatywę Feliksa Topolskiego, który widząc że rysunek dla gazety należy do bezpowrotnej przeszłości, stworzył gazetę dla rysunku : *Topolski’s Chronicie* (14, Hanover Terrace, London N. W. 1.). Oto cel tej jedynej

dziś kroniki rysunkowej, słowami jej autora : „...w przekonaniu że udaje mi się chwytać na gorąco duch i formę naszych czasów, wydaje mi się że ciągła panorama, zebrana i zachowana w ciągu długich lat, będzie doku­mentem jedynym w swoim rodzaju. Zawartość nie będzie podlegać żadnym regułom i będzie przechodzić od serii numerów poświęconych jednemu „te­matowi” do pojedyńczych numerów na różne tematy, z odcinkami rysunko­wymi, słowną dekoracją i doświadczeniami obieżyświata”...

**♦**

Dowcipna *Parisienne,* po numerze specjalnym poświęconym domom pu­blicznym, ogłasza w listopadowym numerze zabawny artykuł o alkoholiźmie w literaturze. Warto podkreślić pokrewne poczucie humoru i wyczucie ak­tualności w „Wiadomościach”.

**♦**

W *Nouvelle Revue Française* toczy się ciekawa dyskusja na temat po­wieści pomiędzy Montherlantem i rumuńskim pisarzem E. M. Cioranem.

*(i)*

Nadesłane
nowości wydawnicze

**DOKUMENTY CHWILI**

*Hundra miljoner fangar.* Oesteeuropa under kommunistisk regim. Pod re­dakcją : L. Hamori i N. Żaba, z przedmową Eyvinda Johnsona. Str. 175. (Nakładem „Natur och Kultur”, Stockholm, 1953).

THORWALD (Jürgen). *Wlassow contre Staline.* Pp. 279. (Ed. An­dré Bonne, Paris, 1953, frs. 580).

HAHN (Assi). *Du ciel aux enfers.* Pp. 250. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 600).

*L’impérialisme soviétique ne change jamais.* Pp. 23. (Ed. B.E.I.P.I., Paris 1953).

ILNYTZKY (R.). *Russian world ambitions and ivorld peace.* Fore- word by F. Stewart. Pp. 58. (Ed. Scottish League for European Free- dom, Edinburg, 1953, price 2/-).

REGLER (Gustav). *Terre bénie, terre maudite.* Le Mexique à l’om­bre des siècles. Pp. 237. (Ed. du Rocher, Paris, 1953, frs. 570).

CHURCHILL (Winston). *Mémoires sur la deuxième guerre mondiale.* Tome VI. *Triomphe et tragédie.* 1-re partie : *Victoire.* Pp. 420. (Ed. Plon, Paris, 1953).

ROY (Claude). *Clefs pour la Chine.* Pp. 353. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 750).

WILLOUGHBY (Charles A.). *La conspiration de Shanghai.* Pp. 303. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 600).

TURKUS (Burton B.) et FEDER (Sid.). *Société anonyme pour assas­sinats.* Pp. 443 (Ed. Gallimard, Pa­ris, 1953, frs. 750).

**HISTORIA**

CLOUGH (Shepard B.). *Histoire économique des Etats-Unis depuis la guerre de sécession* (1865-1952). Pp. 197. (Ed. Presses Universi­taires de France, Paris, 1953, frs. 800).

MACKIEWICZ Stanisław. *Stanisław August.* Str. 257. (Nakł. Gryf Pu­blications, Ltd., Londyn, 1953, Ce­na 12 sh. 6 d.).

FEJTO (François). *Un Habsbourg révolutionnaire Joseph II.* Pp. 356. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 780).

**LITERATURA**

ROBBE-GRILLET (Alain). *Les gommes.* Pp. 258. (Les Editions de Minuit,. Paris, 1953, frs. 570).

YOLLES (P. P.). *Ciernie.* Str. 350. (Wyd. Mark P. Yolles, Elizabeth- town, N.-Y., The Pittsburgher Po- lish Daily Publ., Co., Pittsburgh Pa., USA., 1953. Cena doi. 3,50).

GIBEAU (Yves). *Les gros sous.* Pp.

1. (Ed. Calman-Lévy, Paris, 1953).

PLIEVIER (Theodor). *Moscou.* Pp.

1. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 575).

ROY (Jules). *La bataille dans la ri­zière.* Pp. 365. (Ed. Gallimard, Pa­ris, 1953, frs. 590).

BOSQUET (Alain). *Ni singe ni Dieu.* Pp. 188. (Ed. La Table Ron­de, Paris, 1953, frs. 450).

NIMIER (Roger). *Histoire d’un amour.* Pp. 278. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 450).

CZAPLENKO (W.). *Ludi w Tie- nietach.* Powieść satyryczna. T. I-szy str. 127, T. Il-i str. 132. (Wyd. Iwan Tiktor, Winnipeg, 1951).

**POEZJE**

NORWID (Cyprian K.). *Vade me- cum.* Str. 140. (Nakł. Oficyny Po­etów i Malarzy na Emigracji w Anglii, 1953).

BUJNOWSKI (Józef). *Rysy na pustce.* Poezje. Str. 24. (Wyd. Polskie Two Literackie, Londyn, 1953).

RADZYMIN SK A (Józefa). *Fraszki.* Str. 37. (Nakładem Autora, Bue­nos Aires, 1953).

**RÓŻNE**

ZBRUCZ (Jan). *Czy byłem szpie­giem?* Str. 177. (Nakładem Redak­cji „Ludu”, Curitiba, Brazylia, 1953).

FELSZTYN (Tadeusz). *Świat w o- czach współczesnej nauki.* Str. 262. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veri­tas”, Londyn, 1953. Cena 15 sh.).

LAPIERRE (J.-W.). *Le pouvoir po­litique.* Pp. 108. (Ed. Presses Uni­versitaires de France, Paris, 1953, frs. 240).

SCIZE (Pierre). *La Tribu prophéti­que.* Pp. 167. (Ed. La Table Ron- rl P 1 Q Q

MERLEAU-PONTY (Maurice). *Elo­ge de la philosophie'.* Pp. 91. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 175).

HAŁAJCZUK (B. dr). Nacja po- niewolena ale dierżawna. Str. 97. (Wyd. „Suczasna Ukraina, Mona­chium 1953, T. II „Mała Politicz- na Biblioteka”.

OSTROWSKI (Victor). *Safari en el Continente Negro.* Str. 241. z 96 fotografiami w tekście. (Wyd. Edi­torial Albatros, Buenos Aires, 1953).

DEVOTUS DISCIPULUS. *Ks. M.I. Morawski, T.J. jako filozof (1845- 1901).* Str. 47. (Wyd. Katolicki Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953).

SĄDEK (N.). *Kamienicznik.* Kome­dia w jednym akcie. Str. 16. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawnicze­go „Veritas”, Londyn, 1953).

MOUNI SADHU. *In days of great peace at the Feet of Sri Ramana Maharsi.* Diary leaves from India. Str. 283. (Wyd. Ramnarayan Press, Gandhinagar, Bangalore, India, 1952).

HAZELETT (C. W.). *Practical*

*answers to inflation unemploye- ment, taxation and political leader­ship.* Str. 243. (Wyd. Incentivist Publications, Greenwich, Conn. USA).

STAHL (Z.). *System Dmowskiego wczoraj i dziś.* Str. 87. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1953).

DMOWSKI (R.). *Myśli nowoczes­nego Polaka.* Str. 122. Wydanie siódme — wg. wydania czwartego ze słowem wstępnym T. Bieleckie­go. (Nakł. Koła Młodych, Stron­nictwa Narodowego, Londyn, 1953).

MARITAIN (Jacques). *L’homme et l’état.* Préface de B. Mirkine-Gue- tzévitch et Marcel Prélot. Pp. 204. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs 720.).

GRANDE’COMBE (Félix de). *Tu viens en Espagne.* Pp. 240. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs. 600).

W związku z zbliżającą się rocznicą ukazania się Polski
na arenie dziejowej

**KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU**

przystępuje do wydania monumentalnego dzieła pt.:

Tysiąc lat kultury polskiej

WIELKA HISTORIA NARODU I PAŃSTWA
od czasów najdawniejszych do chwili bieżącej,
*przedstawiona przez
jednego z największych polskich uczonych***Prof. Uniw. Dr. Aleksandra Brucknera.**

1.200 stron druku w formacie 21x27 cm.
(podzielonych na 2 tomy)

**z 500 ilustracjami w tekście**

I NA ODDZIELNYCH PLANSZACH

Olbrzymie to dzieło- przedstawia w barwnym opisie całe dzieje Polski, wszystkie prądy społeczne, polityczne i reli­gijne ; życie codzienne szlachty, mieszczaństwa i chłopów, rozwój kościoła, miast i wsi polskiej oraz cały dorobek w dziedzinie budownictwa, sztuki, literatury i muzyki, uka­zując całą Polskę jaką była i jest we wszystkich swoich przejawach.

Ilustracje zebrane z muzeów, bibliotek i archiwów krajowych oraz zagranicznych, w większości po raz pierw­szy reprodukowane, składają się na wielki atlas unaocznia­jący w doskonale wykonanych rycinach całość życia i kul­tury polskiej. Celem ułatwienia nabycia tego dzieła wszyst­kim, wydawnictwo ukazywać się będzie zeszytami. Całość obejmie **20 zeszytów** i ukaże się w ciągu roku od chwili roz­poczęcia wydawnictwa. Cena każdego zeszytu wynosi 500 fr., 10 sh., 1,50 doi. Cena powyższa obowiązuje do dnia 1. IV. 1954 po czym będzie znacznie podwyższona. Abona­ment należy zgłaszać za 2, 4 lub 6 zeszytów. Ze względu na to, że wysokość nakładu jest ograniczona, prosimy o wczesne zgłaszanie prenumeraty pod adresem :

**KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU**

123, Boulevard Saint-Germain, PARIS 6e

względnie do wszystkich Przedstawicieli
,,Podręcznej Encyklopedii Powszechnej”.

***Jak piszemy***

Pielę „Ziele”

Dwa już lata upływają od czasu ukazania się w Nowym Jorku dużej powieści Melchiora Wańkowicza pt. *Ziele na kra­terze.* Od strony literackiej książkę tę szeroko omówił Michał Sambor (,,O Wańkowiczu i jego nowej książce”, *Kultura,* Nr 2/52-3/53, 1952, str. 171-180) składając należny hołd jej wartoś­ciom pisarskim. Z kolei, znacznie już krócej, pisał o *Zielu* Ju­liusz Mieroszewski (,,Wańkowicz i ,,Ziele”, *Kultura,* Nr 4/54, 1952, str. 150-2). Obszerny artykuł pod wiele mówiącym tytu­łem ,, ,,Ziele na kraterze” — książka serdeczna” poświęcił *Zielu* W. Tarnawski *(Dodatek Tygodniowy ,,Ostatnich Wiadomości",* Mannheim, 7.VI. 1953, str. 1-2). Recenzje w *Dzienniku Polskim* i w *Wiadomościach* (innych nie znam) robiły wrażenie bardzo nie­dostatecznych. *Ziele* jako dzieło literackie miało szerokie echa.

Recenzje literackie zwykle zatrącają o język pisarza. Odpo­wiednich wzmianek tu nie omawiam. Chciałbym tylko podjąć sprawę sprzeciwu Sambora z okazji użycia rzeczownika *świato­pogląd.* Owóż w kołach językoznawczych twór ten, niewątpliwie wzorowany na niemieckim *Weltanschauung,* ma znacznie wię­cej zwolenników niż przeciwników. Zajrzyjmy do recenzji prof. Nitscha z pracy D. Gromskiej pt. *Pogląd na świat czy świato­pogląd (Język Polski,* 1950, str. 93). Z recenzji tej dowiemy się, że Łoś ,,był wyrazowi niechętny, ale nie uważał go za zasadni­czo źle zbudowany”, podczas gdy Rozwadowski traktował *świa­topogląd* pobłażliwie. Od siebie Nitsch pisze : *„Światopogląd* nie jest zasadniczym dziwadłem, a jest niewątpliwie poręczniej­szy. A skoro używa go bodaj większość filozofów, m.in. wszy­scy tomiści, a też pisarze artystyczni jak Dąbrowska, Nałkow­ska, Kruczkowski..., skoro figuruje bez zastrzeżeń w SW (tj. Słowniku warszawskim) i w Słowniku ortoepicznym Szobera, to go z tej pozycji już nic nie wyruguje”. Dodajmy, że jedynym dziś przeciwnikiem *światopoglądu* w kołach językoznawczych jest Słoński, który w swoim *Słoumiku polskich błędów języko­wych* (r. 1947) zaleca używanie *poglądu na świat.* Kto odrzuca *światopogląd,* powinien konsekwentnie odrzucać i przymiotnik *światopoglądowy,* złe jest bowiem co się ze zła, choćby dobrze,

poczęło. Ale przeciwnicy *światopoglądu* konsekwencją nie grze­szą, ,,czego przykładem prof. Tatarkiewicz : ten staranny języ­kowo autor pisze stale *pogląd na świat,* a przecie i on musi na­pisać o ,,aspiracjach *światopoglądowych” ”* (recenzja Nitscha). Sambor nazywa *światopogląd* potworkiem, co oczywiście czynić wolno, ale nie można Wańkowiczowi robić zarzutu z tego, że tego ,, potworka” używTa.

Artykuł niniejszy poświęcony jest językowi *Ziela.* Ale dość ścisła więź zdaje się łączyć językową stronę tego utworu z jego stroną literacką. Mianowicie zbytniemu rozrostowi treściowemu, zbytniej rozbujałości towarzyszy zbytek nowosłowia. Tak np. rozdział *Uniwersyteckie wspominki* (str. 222-231) nie jest chyba w ogóle potrzebny. Tak jak nie wydaje się potrzebna masa no­wotworów czy też masa rarytasów słownikowych, których nor­malny czytelnik nie rozumie i które nierzadko są wręcz wadli­wej roboty. Z cudzoziemcem uczącym się polskiego czytałem przepiękny *List do Krysi* (str. 402-408). To, że co chwila gardło ściskał mi skurcz, wynika zapewne z moich typowo polskich nie­dostatków światopoglądowych i politycznych, więc na to mach­nijmy ręką. Ale to, że wzruszenie ogarniało również i owego cu­dzoziemca, było już tylko zasługą wielkiej sztuki autora. Owóż *List do Krysi* cechuje najwyższa w *Zielu* prostota słowa, niemal całkowita nieobecność dziwactwa językowego. *List do Krysi,* wobec którego *Treny* są tylko artystyczną robotą, będzie szar­pał sercami — nie popadam w przesadę — długie, długie wieki. A o całości ustali się prawdopodobnie werdykt przyszłych *viro­rum togatorum, że* jest to ogród wprawdzie bardzo, wprawdzie żywiołowo bujny, ale — pożyczmy małopolszczyzny od Wacława Potockiego — ,,nie plewiony”. Artykuł niniejszy poświęcony jest „przeplewieniu” *Ziela.* Ukazuje jego liczne blaski i jego licz­ne cienie, nie wszystkie oczywiście, bo na to należałoby zużyć aż zbyt wiele czasu, aż zbyt wiele papieru [[8]](#footnote-9)).

Obyczajem nudnym gramatykarskim rzecz nasza rozpocznie się od oceny pisowni. Z góry zaznaczmy, że materia to draż­liwa. I że rodacy to już takie bestie, że zalecać im spać z... to­mikiem przepisów ortograficznych — trud bezowocny, wołanie na puszczy. Owóż autor należy do pisarzy, których stosunek do pisowni, zespołu przepisów i ustaleń przyjętych przez odpowied­nie organa społeczne, a więc obowiązujących nas wszystkich, jest dość lekceważący. Na str. 1-3 *Ziela* znajduję aż 9 usterek pisow­niowych, co jest *troppo ma non allegro.* Zbadanie wszystkich 413 stron *Ziela* ujawniłoby pewnie takich uchybień aż 1239. Jed­na z tych usterek, *ciepłym,* mające reprezentować narzędnik licz­by pojedynczej od *rzeczownika ciepło* (!) powtarza się na str. 64 : ,,Poczułem, źe piękna nie na leży (korekta !) przeżywać; że *pięk­nym* należy żyć”. Autor, że dzwonią słyszał, ale kościół pomy­lił.

Złym grzechem wańkowiczowskim jest niebywała pisownia *,,trzcionka'’* : „nalepka wydawcy, formy graficznej, *trzcionek”* (126) — słowo pochodzi od średniowiecznego *cztę, czyść,* ,,czy­tać”, z *trzciną* nie ma nic wspólnego. Złym grzechem drugim jest *gembulka : ,,do gembułek”* (92) — choćby nawet Wańko­wicz miał nieortograficznego *em* bronić lekkim słowa charak­terem, nie przyznamy mu racji, tak jak nie przyznamy, że pi­sownia lekkiego *,,weftę”, ,,w eftę”* jest dobra („Pół kręci się w tę — trzeba dreptać w tę stronę przesuwając się do przodu, a pół *weftę”,* 44; „Było więc w tę albo *w eftę”,* 315) — powin­no być *wew tę,* por. *zza* skał. Tylko przypadek *,,Pucka* pohu­kuje w pobliżu” (58) mógłby Wańkowicz obrócić przeciw człon­kom Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętno­ści słusznie mówiąc : w waszych przepisach nic o tym słowie nie ma, a Słownik warszawski dając dialektyczne *pućka* obok lite­rackiego *pójdźka* pozostawia mi pełną swobodę wyboru. Ale za te większe i za te mniejsze usterki należy się autorowi spora ilość dni w czyśćcu, na studiowaniu przepisów ortograficznych z r. 1936 spędzonych (obok, jako rodzaj wzoru do naśladowania, niech sobie rozłoży numery londyńskiego *Times’a —* mimo iż pisow­nia angielska, społeczny luksus, jest kilkakrotnie od polskiej trudniejsza, korektorzy i pisarze dają sobie z nią radę *znakomicie* i redaktor, jeżeli znajdzie się w czyśćcu obok Wańkowicza albo nawet w piekle, to z innych przyczyn).

Teraz morfologia i słowotwórstwo wańkowiczowskie, od rze­czowników rozpoczęte. Odmiana rzeczownika jest w *Zielu* oczy­wiście w całkowitym porządku — mucha nie siądzie, gdzież więc mnie siadać. Co się tyczy rodzaju rzeczownika, jedną można zgłosić uzasadnioną obiekcję — używa autor żeńskiej *małży :* ,,Te lakierowane futerały, kiedy katastrofa dziejowa dusze ściś- nie, popękają, posypią się jak tynk, odsłaniając bezbronną lar- wiastą *małżę* w tej słabej skorupie” (137). Z małżami mamy — większość, nie zoologowie — jedno tylko krótkie w życiu spot­kanie : wbijając w nasze łepetyny kurs zoologii na ławie szkol­nej (Boże, jak to dawno !). Stąd między rodakami pewne rodza­jowe wahanie, ale — sprawdziłem w Penrhosie — zdecydowana większość woli męskiego *małża,* więc *małża* właśnie wolelibyśmy i w *Zielu* widzieć. *Ta kruża, ta kruż,* czy *ten kruż —* bardziej to kłopotliwe już pytanie, wywodzimy się bowiem z epoki kieliszka i tylko poeci na suche niby przepijają się w sonetach i Bóg-wie- czym jeszcze z tego staroświeckiego naczynia. Wańkowiczowi, z poetami skumanemu, podoba się *ta kruża* („falern lejący się *z kruż”,* 31, ,,zda się ci czymś nierealnym, jakąś *krużą* sączącą pasma modlitwy do nieba”, 128). Niech i tak mu będzie, ale np. Brueckner w *Słowniku etymologicznym* i Słownik warszawski mają tylko *ten kruż,* znany Kochanowskiemu i Wyspiańskiemu. Problem *smyczy* jest już nieco inny niż problem *małża* i *krużu,* bo nie o rodzaj tu chodzi, ale o deklinację. Wańkowicz używa postaci *ta smyczą* : „wzięty *na smyczę,* ciągnął prowadzącą jak na potężnym żaglu” (99) — owóż i *Poradnik gramatyczny* Gaert-nera i Passendorfera (wyd. II z r. 1950) i *Słownik poprawnej polszczyzny* Szobera (wyd. z r. 1948) oraz rzecz już przytaczana Słońskiego opowiadają się za formą *ta smycz.*

Nie te drobiazgi jednak, lecz nowosłowie jest wańkowiczow- skiego rzeczownika sprawą najbardziej interesującą i do niej z miejsca przechodzimy.

Przede wszystkim zastrzec się należy, że nie zawsze da się z całą pewnością ustalić, iż dany rzeczownik stworzył właśnie autor czy też ktoś z jego bliskich *pierwszy —* na to ani Słownik warszawski, ani własne wiadomości często nie wystarczają. Wszak ktoś inny mógł już przed Wańkowiczem użyć udatnego, ciepło-kpiącego *kuchniologa* nie powierzając tego tworu pismu, drukowi. Dlatego przy ocenie niniejszych uwag trzeba zawsze stosować przysłowiową szczyptę soli. Ale *ad rem,* do rzeczy. Owóż wańkowiczowskie nowotwory rzeczownikowe rodzą się w fali uczucia. Fala ta niesie takie wspaniałe zdrobniałości jak np. *dzierżawczymi* (uczepił się *dzierżawczy ny”,* 5), tj. *dzierżaw­ka* dalej zdrobniona (por. *książka,* niegdyś *diminutivum,* i *książ- czyna), kindżątko* („Mama z pobłażaniem obserwująca to wzdy­manie się małych *kindżątek* na przygody, wspominała jak przed kilku laty w tejże Antwerpii na też tematy kolonialne wzdymało starego Kinga”, 234) — tylko pedant domagałby się tu *kinżąt- ka* powołując się na *niebożątko ;* co się tyczy *kolebusi* (,,dumną opoką, z której szły dzień w dzień te wspaniałe podboje było głę­bokie łóżeczko, *kolebusia,* obciągnięta kretonem”, 1), jest to mo­że nie wańkowiczowska robota, lecz ludowa, od *Danusi* i *Ha- lusi* tkliwy sufiks biorąca ; *przypowiaduszka* („z krainy wzru­szeń i *przypowiaduszek,* z których uleciał wszelaki uchwytny sens”, 22) bierze się może skądś z terytorialnej rozchwiei daw­nego Wielkiego Księstwa (w Penrhosie ułowiłem ostatnio cieka­wą *przypowiadastkę,* której *-astka* odczepiona od *powiastki).* Na fali uczucia wypływają i *zgrubienia-augmentativa,* takie jak np. pozbawiona przyrostka *-k- podfruwaja* („poprowadziła *podfru- waje* do Muzeum Oceanicznego”, 252), której nawet z przyrost­kiem w Słowniku warszawskim nie uświęci; jeden „legitymis- tyczny” twór z przyrostkiem *-dlo : leniuszydło* (258) i trzy dość dowolne, których jednak ze względu na waźkowatą ulotność i eks- presywny charakter surowo sądzić nie należy : *poznawadło, przyklejadło* i *przyszywadło* („Takie *przyszywadła* rodzinne, *przyklejadła z* kurortów, *poznawadła z* przedziałów kolejowych”, 113), por. m.in. *przyszywana ciocia.* Również uczucie rodzi wie­le wyrazów charakterystycznych takich jak : *brekeks* („kiedyś przyjdzie i spłynie fala, w której będzie pełno słów jak „aspekt”, „wyżywać się”, „kompleks”, „podświadomość” i inny inteli­gencki *brekeks”,* 38), *dzikoludztwo* („Dom, długoletnim do­świadczeniem bogaty, przeobrażał się *na* to *dzikoludztwo* tak, że nie poznałbyś, że to ten sam Domeczek”, 116), *konnojazda* („Z tych *konnojazd”,* 153), *kuchniolog* („dręczył King Bogu du­cha winnego Królika, tak znakomitego *kuchniologa, że* na wy­cieczce kajakowej położyła na patelni kawałek mięsa wielkości

orzecha, będąc przekonana, źe mięso tak samo rośnie, jak baba w piecu”, 130), *maleńtas* („Domownicy, otoczywszy kolebkę *maleńtasa,* którego znaleźli w wyśmienitym humorze, kiwali gło­wami”, 5), *myszowisko —* zbiorowisko małych myszy („Mama bezradna stanęła *w* tym *myszowisku”,* 20), *niedotrup* (o spitym nieledwie do nieprzytomności : „począł z obdarowaną służebni­cą dygować *niedotrupa* za drzwi”, 119) *pyton* (o córkach drę­czących ojca pytaniami : „Po każdej takiej odpowiedzi, *,,pytony”* patrzą na Mamę”, 39 — przypomina to *okularnika* jako „człeka w okularach”), *siądźka* (pewną część ciała oznaczający nowo­twór dziecinny : „Odtąd zawsze każda koszulka, która nie się­gała dalej, jak do połowy *,,siądźki”,* nazywała się jedwabna”, 29), *skowronkożerca* („powołanie się *na* francuskich *skowron- kożerców* jak i na Włochów, zapychających *ucellini* mogłoby nie uchronić od zarzutu kantów”, 130), *szczyp*-uszczypnięcie („bę­dziesz mogła dać naj-najmocniejszego *szczypa”,* 36) i *wstrętus* (od przymiotnika *wstręt-n-y z* odrzuceniem przyrostka *-n* po­

dobne odrzucenie przyrostków stwierdzamy w tworach *garb-us,* od *garb-at-y, gniew-us,* od *gniew-n-y,* jeśli nie biorą się z *garbu, gniewu,* w tworach *mor-us,* od *mor-ow-y,* i *oberw-us,* od *oberw- an-y :* „Mały *wstrętus* zasypia w cieniu tej wstrętnej przeraża­jącej rzeczy spłakany i bez krzyżyka”, 28). Spotykamy również nowe użycia wyrazów już znanych jak np. *niedonosek,* w Słow­niku warszawskim tylko „nie donoszone dziecko” : „z nagła postanowieniami stają się *niedonoski* projektów”, 123. Albo rze­czowniki ledwie znane jak np. *prowincjusz* : „Tę gumkę dobrze było zwłaszcza stosować *wobec prowincjuszów”,* 92. Rzadko tyl­ko nowotwory rodzą się z potrzeby, którą by można nazwać „intelektualną” : *inseparabilia,* najprawdopodobniej spolszczona francuska *inséparable,* jakaś australijska papuga nie rozstająca się nigdy z drugą („No więc teraz wyfrunęły z maminych rąk na tych rowerach jak te *inseparablki”,* 235) lub *przerywnik,* bo­daj znak oznaczający przerwę w pisaniu („Uśmiechnąłem się *do* wywodzonych dziecinną ręką i kolorowym ołówkiem inicjałów i *przerywników”,* 203), acz może ten ostatni termin traktować należy jako twór treściowo chaotyczny, przez falę uczuciową ra­czej niż realną potrzebę do waźkowatego życia powołany.

Wymienione tu twory rzeczownikowe są tworami udatnymi, dobrymi, acz nie zawsze potrzebnymi *(konnojazda* /). Udatność, dobroć nie jest oczywiście rękojmią żywotności. Przykładem two­ru złego jest przymiotnik *radziecki,* który ostatnio rozprzestrze­niono w Polsce i podniesiono do rzędu sztandaru — zło więc mo­że być żywotniejsze niż dobroć. Ale nawet z tej dobrej rzeczow­nikowej roboty nic nigdy najprawdopodobniej poza karty *Ziela* nie wyjrzy. Ba, przeobfitość nowosłowia jest dla *Ziela* niekiedy nawet raczej ciężarem. Twory wręcz złe stanowią tym większy ciężar dla *Ziela.* Wymieńmy ich kilka : dwa twory od teoretycz­nego imiesłowu przeszłego na -ł *nawiałek,* jak gdyby „czło­

wiek nawiany przez wichr dziejowy” (o oficerze niemieckim w zburzonej popowstaniowej Warszawie : „Cóż ją broni *wobec*

tego *nawiałka,* który znaczy tak mało i jego pistoletu, który mo­że znaczyć tak dużo”, 386) i *odrastałek,* „podrastająca córka” (,, ,,starego trupa” było dosyć, aby rodzice uradzili, że warto *odrastałki* ukobiecić i podbaronić”, 166) — twory te zbudowane są według wzorca polszczyźnie nieznanego (por. W. Doroszew­ski, „Monografie słowotwórcze”, *Prace Filologiczne,* XIII, str. 7-58) ; śmierdząca *międzyczasem* (s *Zwischenzeitów) międzyepoka,* „epoka przejściowa” („Coś widać emanowało z tych starych portretów i z tych ludzi startych w pierwszym ruszeniu *między- epoki”,* 5); *przedziwactwo* („wypęczniliśmy się pod dwór drew­niany, rozłożysty, naklapły w tej oazie zielonej jak narośl, jak część *prze dziwactw,* które ze swego łona wypiera ziemia”, 168)

* twór wątpliwej wartości; *elektryciarz,* „pracownik Miejskich Zakładów Elektrycznych” *(„elektry darze,* którzy na złość za­rządzeniom niemieckim przeprowadzili jeszcze jedno połączenie”, 349) najprawdopodobniej jest tworem nie wańkowiczowskim, lecz ludowym, warszawskim — od niewykształconej *elektryki* lep­szy byłby *„elektryczarz",* może jest to jednak wewnętrzne ściąg­nięcie jakiegoś *,,elektrycznościarza”.*

Z kolei zajmiemy się wańkowiczowskim przymiotnikiem. Tu najważniejszą cechą wyróżniającą jest obfitość przymiotników z przyrostkiem *-ow-,* tworzonych od *osobowych* rzeczowników męskich i żeńskich. Pień tym nowotworom dają w pierwszym rzędzie rzeczowniki żeńskie (dziesięć) : *ciocia Mania* („brat *cio- ciomaniowy”,* 41), *ciotka* („poleciała do strasznie *rigide* mopsów *dołkowych”,* 89), *córka* („Tymczasem kiedy neseser tatowy był istnym składem wszystkiego, co można sobie wyobrazić, to nie zdarzało się, żeby z *córkowego* wyłoniło się co innego jak pi- żamka, pantofle i pasta do zębów”, 176), *Frania* („W ostatniej chwili pogoń *franiowa* dopadła”, 43) *Krystyna* („Poczęli wy­trząsać *krystynowe* zapasy”, 353), *Malwinka* (imię kotki, więc rzeczownik bardzo bliski osobowym — „Była to więc inna szkoła kochania, niż *Malwinkowa”,* 99), *mama* („wydybał tajemnicę *mamowe]* młodości”, 110 — por. również wariant : „Posłysza­ło się gramolenie *dotko-mamowe”,* 76), panna *Michasia* („blade oblicze panny *michasiowe”,* 46), *służąca* („Kawalerowie *służą- cowi,* przystrojeni w zabójcze muszki i rozdziałki, przemykali się do apartamentów „basementu” ”,113) i *Tili* (imię jednej z córek

* „do *tilowej* „pałtii” ”, 49). Męskie pnie są tylko trzy : *King* (imię słonia z sienkiewiczowskiego „W pustyni i w puszczy”, nadane Wańkowiczowi przez córki — „Mama z weschnieniem patrzała na te *Kingowe* praktyki”, no — por. także wariant : „Były to nieszkodliwe stworzenia, pasające się w przestrzeniach *pozakingowych”,* 113), *Królik* (imionisko pani Wańkowiczowej
* „obok willi *królikowego* stryja”, 114), *i Tata („Tatowe* biuro podróży”, 17 — por. także wariant : „zasiadł *mamo-ciotko- tatowy* sąd połowy”, 48). Charakter rodzajowy dwóch innych pni nie jest jasny : *dudy,* nazwa staroświeckiego instrumentu muzycznego przerzucona na córki, występuje tylko w liczbie mno­giej i z tego względu jest w zasadzie bezrodzajowa, co się zresztąuzewnętrznia w dopełniaczu liczby mnogiej, który może być *dud* albo *dudów* („Pohukadła *dudowe* wsiąkały wszędzie jak kurz”, 113) ; rzeczownik *dzieci* trudno uznać za nijaki tak jak *dziecko,* gdyż historycznie rzeczy biorąc jest to rzeczownik tego typu co i np. żeńskie *nici* (,,Goście bowiem bywali : tatowi, mamowi, *dzieciowi* i służącowi”, 113).

Owych piętnaście tworów na -ow- — to przeważnie przy­miotniki dzierżawcze *(tatowy =* „należący do taty”), rzadko tyl­ko wychodzące poza ten charakter. Z zestawienia z przytoczo­nymi w *Zielu* listami Tili, gdzie twory na *-ow-* również gęsto występują (por. str. 300 : ,,I nie zmienię swojej tęsknoty do Was, do dawnych form życia, *mamowej,* kojącej miękkości, *Kingowej* niezbędności w każdej ważnej chwili, *Krystynowej* kanciastej potrzebności bycia blisko” — albo str. 276 : „Patrzała przez chwilę pobłażliwie, *starszosiostrowo",* który to przykład niech da również obraz nie dzierżawczego użycia), wynika, iż maniera tworzenia przeważnie dzierżawczych przymiotników na *-ow-* była manierą całego wańkowiczowskiego Domeczku. Na co tylko rzec można „wolnoć, Tomeczku, w swoim Domeczku”, bo gdzieżby gramatykarz mógł się wtrącać do złotej wolności zamkniętych czterech ścian. Ale sprawa przybrała nieco inną postać z chwilą, gdy autor zdecydował się ściśle prywatną manierę wydobyć na światło publiczne dając jej obfity wyraz w książce wydanej osta­tecznie również i dla ponurej nacji gramatykarzy. Wtrącam więc i swoje biedne trzy grosze. Przymiotniki *dzierżawcze* na *-ow-* wolno tworzyć jedynie od rzeczowników męskich i to męskich nie tylko z rodzaju, lecz i z odmiany. To jest grosz pierwszy. We­dług tej reguły *King owy* jest w porządku, ale *mamowy,* czy *tatowy (tata* odmienia się jak *mama) —* nie. Może być *maminy* (którego Wańkowicz bynajmniej i chwała Bogu nie unika, por. np. „do biblioteki, potem do *maminego,* potem do dziecinnego pokoju”, 34), *taciny (tacinego* drobny ślad daje Słownik war­szawski). A oto grosz drugi : nawet w ramach pni z rodzaju i z odmiany męskich przymiotniki dzierżawcze na *-ow-* są w dzi­siejszym języku inteligenckim kategorią obumarłą (jedynie uży­cie *-ow-* jako przyrostka „żoninego”, por. *pan Wittlin : pani Wittlin-ow-a,* jest żywe, ale, po pierwsze, twór taki nie jest zawsze obowiązujący, można bo powiedzieć *pani Wittlin,* po dru­gie zaś, funkcja „źonina” nie jest jednoznaczna z dzierżawczą i właściwie *-ow-* „żonine” jest po prostu odpowiednikiem an­gielskiego *Mrs.* czy francuskiego *Madame) —* Wańkowicz daje jej sztuczny zastrzyk, galwanizuje trupa. Grosz trzeci, *tertius, non datur (że* się też zapędziłem z tymi groszami), więc, aby sprawę zakończyć, zaproponuję pewnego rodzaju krakowski targ. *Ziele* jest książką dokumentacyjną. Dokumentacja nie może cał­kowicie pomijać jakiejś maniery językowej, choćby nawet była to maniera wykolejona. Dlatego umiarkowanej ilości *mamowych* i *tatowych* tworów pisarzowi bym nie wytykał. Ale *Ziele* jest książką dla wszystkich. Dlatego przeobfitość tych cudactw wy­daje mi się rzeczą złą — np. na jednej str. 113 mamy ich ażdziesięć, dużo za dużo, dużo za dużo. Teraz już tylko całej spra­wy uzupełnienie. Obok tworów na *-ow-* od rzeczowników osobo­wych autor używa również pewnej liczby neologizmów tego sa­mego typu od rzeczowników nieżywotnych : *Łazienki* („po... *ła­zienkowych* budkach z wodą sodową”, 44 — park był nie *łazien­kowy,* lecz *łazienkowski), sukienka* (,,puszczała dosyć lekko te *sukienkowe* sprawy”, 43) i *Zachęta* (,,po arrasach zamkowych, Grunwaldach *zachętowych",* 44) — te mniej rażą, gdyż od rze­czowników żeńskich *nieżywotnych* coraz częściej powstają przy­miotniki, inne zresztą niż ściśle dzierżawcze. Nawet te *sukien­kowe* sprawy chyba wręcz wszystkim rodakom do gustu przy- padną, acz — *o tempora, o amores ! —* inne z nimi i głębsze niż autor znaczenie sprząc by radzi (Wańkowicz ma na myśli tyl­ko to, że córki-dzieci zbyt często drą sukienki przy zabawie)... Jedynym nowotworem omawianego typu od pnia innego rodzaju jest przymiotnik *autowy* (,,Tak jak przychodziła zmieniać opa­trunek przy jakimś *autowym* czy kajakowym skaleczeniu”, 313), bo *kajakowy* istnieje. Przewaga pni żeńskich w tym nowosłowiu jest chyba jednak odzwierciedleniem wielkiego znaczenia fraucy­meru w Domeczku, ale to już uwaga na stronie.

Taką jak *ciotkowy* swawolą językową jest przymiotnik *Cioł­kowski* : ,,wyrok *ciotkowski* i mamowa nieubłagalność pod­cięły „szoferowi dyplowanemu (korekta !) i ,,z czerwonym pra­wem jazdy” skrzydła”, 312. Przyrostek *-owsk-* przerzadko tylko tworzy przymiotniki od rzeczowników żeńskich i tworu *ciotkow­ski* użyłbym tylko o ciotce podłej jak żmija, żeby ją nim przy­deptać...

Inne nowotwory przymiotnikowe nie są już zbyt częste. Do­skonały jest żartobliwy *pitewny,* wzorowany na *bitewnym* : „Był to dzień srogi, kawalerski i *pitewny",* 116. Znośny jest nieco staroświecki *dalekoszlaczny* : „Czasem, płynąc już późną po­rą Wisłą, wyłapywało się z wody dowiosłowujących ostatkiem sił *daleko s zlać zmych* turystów”, 146) oraz *obdraponogi* (uprosz­czenie teoretycznego *,,obdrapanonogiego" —* chodziło o unik­nięcie dwóch *no* po sobie następujących) : „starsi panowie wta­jemniczali *obdraponogich* Tatarów w coraz nowe sporty”, 107. Wątpliwej wartości jest *rdzawisty (,,Rdzawiste* wody Szczary”, 139), boć przyrostek *-ist-* nigdy bodaj nie rozszerza przymiotni­ków zbudowanych sufiksem *-aw- („ciepław-ist-y"* czy *,,krw-aw- ist-y"* wołałby o pomstę do nieba i z pewnością wołania by wy­słuchano). Dziwi nieprawe użycie *nieprawnego* : „Dzieci *nie­prawnych* omal nie było”, 6 — powinno być *nieprawych.* Nie- gramatyczne jest stopniowanie przymiotnika z sufiksem *-utk-,* ale „Królik, był to *najcichutszy* akademik” (314) ma tyle czaru, że cisnąć gramatyką o ścianę. Już tylko szczyptę-szczypteńkę cza­ru ma „Bo cóż znaczy świat, choćby *najkolorowszy"* (165), ale na *najsłodziejszego* („mówi *najsłodziejszym* głosem”, 121) już się za żadne skarby nie nabiorę — mdłe to jak lukrecja nie-Borgia — od tego najwyższego stopnia zęby bolą gramatykarza w naj­wyższym stopniu. Skąd się wzięło „pod auspicjami *jawno grze­szącej* żony” (164), diabeł jeden wie — dlaczego nie *jawno- grzesznej* czy ostatecznie *jawnie grzeszącej ?*

Czas już teraz na wańkowiczowskie czasowniki. Uprzednio omówiłem (złośliwe) odosobowe nowotwory na *-ow-* wysuwając ideę krakowskiego targu (którą oby — życzenie skromnego pro­wincjusza — podjęli nasi „londyniarze”, bo inaczej kark skrę­cą). Owóż, jeśli się nie mylę, taki krakowski targ przeprowadził ze sobą autor w zakresie pewnej czasownikowej maniery Do­meczku. Nie od Domeczku zacznę jednak, ale od teatru krakow­skiego. Była — jak mi mówią — w Krakowie pewna piękna ak- toreczka, z którą tradycja wiąże odpowiedź młodziana : „Nie, nie żyję z nią — raz tylko sobie *żywnąłem* i to wszystko”. Nie­prawidłowe *żywnąć* znalazło następców w *Zielu.* Ale tylko trzech, nie ma więc *mamowego-tatowego* przeciążenia, co może jest za­sługą autora. Nowo utworzone dokonane postaci ograniczają się jedynie do czasowników *płakać, podziwiać* i znaczeniowo prze- obróconego wileńskiego *tropić się* („tracić rezon” według Słow­nika warszawskiego) : „w tym miejscu *płaknął* krótko” (119), „Pewno tam Królik *,,płaknął sobie” ”* (221), „Jest rozczaro­wany, że King *podziwnął* tak krótko” (96, tj. tylko krótko wy­raził swój podziw), „sęk był w tym jak prędko *się „tropną”* (tj. połapią się)” (30), „Dudy *się tropnęły,* że jest w tym jakiś kingowy kawał” (115). Grzech tak rzadki ma swój urok.

Z nowotworów znakomite jest *pokolońskować,* „polać wo­dą kolońską” : „Mama, *pokolońskuj* — zaanonsowała chora, wchodzącemu Królikowi”, 250. Niezłe — *zaghtpić,* „ogłupić do szczętu” : „Dajże spokój, widzisz, że są bliskie płaczu. Zupełnie je *zagłupisz”,* 40. Ale *uwyraziścić się* i *wyewolucjonizować* są niebywałą marnotą. *Uwyraziścić się* szwankuje słowotwórczo, gdyż przymiotniki z przyrostkiem *-ist-* normalnie nie tworzą cza­sowników. Ponadto znaczenie jest arcydziwne : w toku przed­wojennych manifestacji w Paryżu „zaraz już *się uwyraziściły* przekupki, krzyczące : „nie jesteśmy idiotki — nie damy synów do wojska” ” (252). „Posiedzenie kooperatywy” *wyewolucjoni- zowało* nie od razu” (114) — dlaczego nie *wyewoluowało* czy *rozwinęło się?* Na *(zrewolucjonizować,* por. *zrewolucjonizowa­ne* tłumy, nie można się powoływać, bo przechodnie. *Nadzielić* („resztkę o tyle dużą, że złożoną z trzech „maximum” — któ­re fikcyjnie były na inne rodzeństwo, *nadzielone* już uprzednio z majątku ojcowskiego”, 57) jest rusycyzmem bez żadnej trady­cji w dobrej polszczyźnie. (Linde notuje *rutenizm* dawny *nadzie­lić,* który — sądząc z dwóch podanych przezeń cytat — nigdy nie wszedł na rdzennie polskie ziemie i którego *rusycyzm* nie kontynuuje).

Inne czasowniki Wańkowicza nie są już jego roboty — są to twory regionalne lub używane w literackiej polszczyźnie bar­dzo rzadko, które Wańkowicz tylko podejmuje i przemyca. War­to podać tu rejestrzyk tej rzadzizny : wątpliwe *kocołować* („Obec­nie, skoro świat pobrnął na lewo, to imć Adolf coraz bardziej *kocołował* na prawo”, 69, „Kiedysmy wreszcie *dokocołowali,*ku podwieczorowi było”, 168), znakomite *kulgać („Kulgało* grubym Kingiem a *kulgało”,* 45) dla lewicy uszczypliwe, bo *prawicować* nie ma, *lewicować* („Kabaret zbierał się co tydzień, czytano swoje utwory, deklamowano, *lewicowano”,* 167), zbęd­ne *nabliżać się* („ludzie *nabliżający się* do dziecinnego życia nie są klasami, zawodami, warstwami, tylko samodzielnymi każda sobie duszami”, 133), możliwe *nazwy czaić* („karmi wróble, któ­re *nazwy czaiła* przylatywać na parapet”, 406), zawadiackie *od- szupasować* („zadatek na trampa został *odszupasowany z* po­wrotem”, 43), niezłe *przyskrzybnąć* (w zmienionym znaczeniu, bo np. Słownik warszawski objaśnia słowami „przyciąć, ścisnąć, przygnieść dwiema zwierającymi się połowami czego, między dwoma zaciskającymi się przedmiotami” : „Przecież kiedyś mat­ka ją *przyskrzybła* na przeglądaniu się w lusterku”, 24), koniar- skie *truchtować* („Sancho-Pansa, *truchttijący* w ślady Don Ki­chota”, 36), nie dla wszystkich jasne *zabuksować się* („Zajeż­dżając do cioci Mani znowuź Kacperek *zabuksował się* w nie­prawdopodobnym błocie chełmskim”, 149), handlarskie *zaskła- dować* („Tata siedział *zaskładowany* na Cyprze”, 36), itd. itd.

Imiesłowy są tworem odczasownikowym. Mimo iż uwzględ­nienie sporej ilości słów „slangowych” uważałbym za rzecz do­brą (por. np. „Królik wszczął niebywały *raban”,* 140), trudno mi się pogodzić z mało sympatycznym karciarskim *przegranym* — z normalnych *przegranych* (imiesłów bierny o znaczeniu bier­nym) pieniędzy „slang” zmajstrował *przegraną,* (imiesłów o zna­czeniu czynnym) osobę. Wańkowicz tego karciarza chętnie przy­garnia : „Spłata zakładu odbywa się lojalnie i za zezwoleniem strony *przegranej”* (37), „Ostatecznie *przegrany* w sześćdzie­siąt sześć miał zostać „Wielkim Ćwokiem Sześćdziesięciosześcio- wym” ” (279). Ale muszę lojalnie przyznać, że ten *przegrany* (i *wygrany}* ma pełną aprobatę Słownika warszawskiego i Szo­bera. Tylko redakcja *Języka Polskiego* pisze o nim niecałkowicie ’ łaskawie : „ów *przegrany,* mimo Krasickiego, uchodzić może je­dynie w języku do pewnego stopnia „zawodowym” (karty itp.); w języku ogólnym, w dialekcie kulturalnym stanowczo jeszcze razi” (str. 30, r. 1932). „Mimo Krasickiego”, bo redakcja *Języka* znalazła *przegranego* w znaczeniu „osoby, która przegrała spra­wę w sądzie” już w jednej z satyr biskupa warmińskiego, obrzy­dliwego karciarza — rzecz jest dość dawna. Z lekka kwestiono­wać można *skapitulowanego : ,,Skapitulowany* Rymwid leżał w jedynym jako tako ogrzanym pokoju” (70). Znacznie bardziej razi „jak ta roślinka *zbyta* choćby kwiateczka” (128), które oczy­wiście mogłoby być dobre w poezji.

Czasowniki z przedrostkiem *na-* i z *się,* właściwie pewna ich grupa, oznaczają czynność doprowadzoną do stopnia sytości, pełni, por. *całować* i *nacałować się.* Należy być jednak ostroż­nym w tworzeniu imiesłowów biernych od czasowników należą­cych do tej specjalnej grupy. Wańkowicz ostrożności nie zacho­wuje i trafiają się u niego np. imiesłowy oznaczające przedmiot czynności : „Tego dnia, zasypiając *nacałowana, naoglądana,łiakrzyży kowana* (? — St. W.) i *napieszczona* Tili wyznała Ma­mie” (29), *„Nienacałowana* moja”, (292), „Jakimźe kolosem przytłaczających długów ciążyły *nażarte* u pana Płatka dziesięć złotych” (145 — nieporadnej składni nie poruszam). Niekiedy podobny imiesłów oznacza podmiot czynności : „znajdowała je w parobczańskiej chałupie, *naćpane* skrydli” (65). Są to licen­cje, których może lepiej unikać.

Porzućmy już przegląd poszczególnych części mowy i zaj- mijmy się kwestią normalnie nie używanych słów pochodzenia obcego. Są one u Wańkowicza dość częste, zbyt nawet częste, znacznie jednak rzadsze niż wszelkie złośliwe i dobrotliwe nowo­twory. Wańkowicz wmyca w tok zdania sporo tych błyskotek- świecidełek, pozór wielkiego świata. Są to przeważnie słowa wzięte z francuszczyzny lub łaciny : *abundancja* („obiecywała sobie *abundancję* mięsa”, 285), *allokucja* („2 *allokucji* zrozu­miały, że Tata będzie bajdurzył”, 208), *bazować* („Wykład o „z piekła rodem Katarzynie” i Targowicy był *bazowany* na jego książce”, 199), *deziluzja deziluzja* kobiecego serca”, 156), *eksklatnacja* („wysłuchiwała *eksklamacji* światopoglądowych”, 303), *eloże* („A Plutarcha wolę, niż wypisy szkolne *z elożami* panów Prztyprztyckiego i Iksińskiego”, 131), *ewokować* („Czy może *ewokuje* „siłaczkę” albo Judyma, czy też odskoczy od trosk społecznych i po ludzku, po kobiecemu pochyli się nad Ewą Po- bratyńską”, 206 — zła tu jest postać dokonana), *imaginować* („aktor mężczyzna w spadającym na nos meloniku miała *ima­ginować* czarny charakter, gnębiący Kinga w jego sprawach za­wodowych”, 104), *introdukcja* („Łamanie się opłatkiem poprze­dziła *introdukcja”,* 297), *limit* („Chytrze dzwonił na samej gra­nicy *limitu* czasu”, 33), *mediować* (,, — Dzieci wstydźcie się, Regina, nie irytuj się — *mediuje* Smrodek Dydaktyczny”, 66), *portatywny* (;,czy nie mogłabyś napisać o coś *portatywniejsze- go”,* 177), *proklamować* („wtedy jeszcze byliście *proklamowani* jako „bandyci A.K.” ”,404), *promenować* („Dzieci *promeno- wały* na tratwach aksalotle” — korekta ! — 19, „To też King z ciekawością pochylał się nad tymi uroczyście *promenowanymi* słowami”, 38), *serwować („serwują* dania z epoki Louis XV”, 211) itd. itd. Rzymskiego świętopietrza nie wypominam, bo drob­ne i płacenia warte, ale to cudzobiesie, to rozmiłowanie się w bły­skotkach i świecidełkach kosztuje nas aż zbyt dużo w nie dotrzy­mywanych przymierzach. *Atisflug* jest bodaj jedynym (bardzo) zbytecznym germanizmem : „Imć Adolf coś się przeznawał na tych praktykach, niegodnych dobrze urodzonych Rymwidzianek i *ausflugi* do Jodańc coraz ograniczał”, 70). Zastrzec się nale­ży przeciw szeregowi anglicyzmów : „spalił Mamy ukochane *ramblery”* (105) — dlaczego nie *pnące* czy też *pnące (się) róże? Ramblery* były w przedwojennej Polsce znane tylko bardzo szczu­płej garsteczce ludzi parających się artystycznym ogrodnictwem i mało kto to słowo rozumie. I „londynizm” *basement* jest zbęd­ny („przemykali się do apartamentów *basementu”,* 113), tym bardziej, że użyty jest o odpowiedniej części przedwojennego do­meczku na Żoliborzu. Tu jednak trzeba coś dodać. Francuska z pochodzenia *suterena/ suteryna* tak mocno sprzęgła się z nędzą, stęchem, brudem, chłodem, głodem i smrodem, że wszyscy od­czuwamy potrzebę jakiejś ponowy w życiu i języku. Osobiście wołałbym nagiąć do suteryn stary i piękny wyraz *podziemie,* ale *basement* szerzy się między rodakami w Wielkiej Brytanii jak ogień (właściciele domów podnoszą tym słowem czynsz, lokato­rzy swoją pozycję wśród znajomych).

Czytelniku, nie pytaj *quousque tandem...* Już tylko dro- biażdżków kilka z różnych wańkowiczowskiegO' języka dziedzin po krótce wyłożę. Na początek rusycyzm już prawie stuletni, który słusznie gromią warszawianie Słoński i Szober, *jak raz,* ,,akurat, dokładnie, w sam raz” (por. ros. *kak raz}.* Wańko­wicz go przytulił, przyhołubił : „zostają wprowadzeni do przy­ległego pokoju, gdzie siedzi dwóch innych kolegów ze starszych klas, którzy *jak raz* w ostatnich dniach mieli ciągle jakieś pre­teksty, żeby rozmawiać a to ze mną, a to z Wackiem” (192), ,,siadł w pociąg i wycelował *jak raz* przybycie na dworzec war­szawski w chwili, kiedy odchodził pociąg z kobietą i kobietkami do Gdańska” (218) — tu sam Apuchtin się kłania i *towariszczi-* sokoły, mordy w kapturach i kapturowe mordy. Z kolei dro- biażdżek składniowy, filuterny : ,,nad Mamą zawisła *groza* za­kupienia kozy, *którą* połączonymi siłami Mamy i Krystyny od­wrócono” (285) — wołałbym ustrzec się od nieeleganckiego po­dejrzenia, że obie panie odwracały... kozę. Niezbyt lubię niezdar­ne konstrukcje i dlatego *,,Dla opanowania* tego pokoju przebyć dopiero trzeba było całe epoki poprzez rozróżnianie poszczegól­nych sprzętów” (1) zastąpiłbym prostszym *aby opanować.*

Ale już kończmy... Ogólnikowo tylko zauważając, że jeżeli polszczyzna autora, często jędrna, znakomita, barwna, żywio­łowa, burzliwa i piękna, nierzadko wywołuje takie czy inne za­strzeżenia, litewszczyzna jest z reguły pod psem : wszystkie wtręty litewskie zawierają większe lub mniejsze błędy i Perkun, gniewny, ciska, łomoce piorunami.

Z natury rzeczy artykuł mój zawiera więcej bodaj nagany niż zachwytu. Z czego nie należy wyciągać niesprawiedliwych wniosków. Wańkowicz jest pisarzem z krwi i kości. Tylko tro­chę zbyt często ponosi go ku zbytkowi nowosłowia, własnego i obcego, ku nonszalancji czy wręcz niechlujstwu językowemu. - A szkoda. Książka zawiera w sobie sporą dozę piękna. Jest ży­wa. Kończy się dwugłosem, tragicznym, rzewnym listem do Krysi poległej w powstaniu warszawskim, *po którym* następuje list od Tili rodzącej w Stanach córeczkę. Umarłym pamięć naj­tkliwsza. Ale życie idzie dalej, ciągle naprzód. Nic nas nie zgnę­bi, nie zbije z drogi. Droga długa, trudna, daleka. Cokolwiek nas ma spotkać, my idziemy naprzód...

*Stanisław WESTFAL*

Że Polacy nie gęsi...

W artykule, który niedawno ukazał się na łamach *Kultury* omawiana jest sprawa czystości języka polskiego. Bardzo słusznie. Pod obstrzał do- stają się radiostacje nadające po polsku dla słuchaczy w Kraju. Autor do­maga się „czystej, pięknej, nieskażonej reżimowym żargonem polszczyzny”. Wyrzeka się „brzydkich anglicyzmów”. Pisze on, że ponieważ język polski jest w Kraju zagrożony zarówno żargonem bolszewickim jak i postępami ru­syfikacji, absolutna, bezwzględna, nieposzlakowana czystość i poprawność języka jest pierwszym obowiązkiem każdej nadającej po polsku stacji.

Zagadnienie to należałoby jednak ująć na szerszej nieco płaszczyźnie. Ta czystość i poprawność jest nie tylko obowiązkiem tych, którzy mówią do Kraju, ale i tych, którzy piszą i tych, którzy są odpowiedzialni za wy­drukowanie tego co napisano, bez względu na to czy dla Kraju, czy dla emi­gracji. Żargon zaś nie koniecznie musi być reżimowy czy bolszewicki. Nie domagam się absolutnej, bezwzględnej poprawności języka, gdyż nie wiem co by to mogło znaczyć. Chciałbym, by mnie nie posądzano o sprzeciwianie się naturalnemu rozwojowi języka. Wielokrotnie zachodzi potrzeba wynale­zienia nowych słów, nadania nowych znaczeń starym, użycia słowa w nieco­dzienny sposób dla wywołania artystycznego efektu itd. itd. Nie kłócę się ani o słowo „bimber” choć brzmi brzydko, ani o „rozpylacz” w akowskim zna­czeniu. Nie uważam języka za klasę zamkniętą i strupieszałą, nie jestem, przynajmniej pod tym względem, bałwochwalcą. Protestować jednak chcę przed użytkowaniem różnych cudzoziemskich dziwolągów i nowotworów bez potrzeby, bez *żadnego* usprawiedliwienia. Szczególnie zaś, gdy dzieje się to na łamach *Kultury.* Nie chcąc wywalać drzwi do lasu, nie będę wyjaśniał, dlaczego to aż „szczególnie”. Czystość języka powinna być przynajmniej warunkiem publikacji w *Kulturze.* Apel ten skierowany jest raczej do prze­lotnych autorów prac nadsyłanych redakcji *Kultury* niż do stałego jej ze­społu, który unika niechlujstwa i łatwizn — emigracyjnego żargonu.

O ile analiza znaczeń jakiegoś nowotwora i istniejącego w powszechnym użytku wyrazu polskiego (zdaję sobie sprawę, że może to być wyraz pocho­dzenia obcego) nie wykazuje różnicy w znaczeniu, emocjonalnym tonie, o ile nie przywodzi on na myśl żadnych innych skojarzeń- niż to, że autor prawdo­podobnie mieszka na Earls Court’cie, co więcej, o ile wyraz taki brzmi obrzydliwie, a wyjęty ze zdania (pace Wittgenstein i logiko-pozytywiści) staje się wręcz niezrozumiały, nowotwór taki nie powinien być użyty.

Po cóż bowiem wprowadzać takie zwroty jak „bazuje się na...” gdy mo­wa o „opinii opartej na...”? Czym wytłumaczyć „względna prosperity” bez cudzysłowu, gdzie określenie rodzaju wymagało słownika *łacińskiego ! ?* Zapytajmy się Polaka, który nie zna ani łaciny, ani angielskiego, co to jest „polska rezystencja” i jakby się zabrał do jej zwiększenia. Czy na­prawdę konieczne jest użycie tego obrzydliwego germanizmu „zglajchszal- tować” ? Mamy czasownik „wspominać” i różne słowa pochodne o wielora­kich odcieniach — wspominki, wspominkarstwo itd. „Reminiscencja” nie wykazuje tej giętkości. Autor domagający się „wymowy bez cienia obcych naleciałości” daje nam „spikierkę” na oznaczenie działalności prawdopo­dobnie „spikiera”. Czyżby w Polsce nie było radia przed wojną ? ,,News’y’’ jako przymiotnik przestaje być angielsko-polską hybrą i zostaje językowym Volksdeutschem — „newsowy”. „Animozję” obudziłby we mnie taki np.początek do mych wywodów : „W artykule, który niedawno opublikowano na szpaltach *Kultury* agitowany jest inter alias problemat czystości języka polskiego”. Nikt tak nie pisze ? Aż roi się od zdań podobnego typu w in­nym jeszcze artykule, gdzie autor „gwarantuje, stabilizuje, unifikuje, reali­zuje, reguluje, eliminuje, inkorporuje”. Rząd brytyjski w artykule tym „kon­sultuje” rząd polski, sprawy otrzymują „solucje”, sugestie nie mają „ekwi­walentu”, a już w czysto angielskim wyrażeniu siedzi ordynardny byk. I choć raz przynajmniej użył on „przedmiotu sporu” bliższym serca wydawał mu się być „obiekt konfliktu”. Kolega mój, którego pamięć sięga dalej w przed­wojenne czasy niż moja, zapewnia mnie, że zwrot „urzędowanie trwało w permanencji” był używany, nawet często. Nie czyni go to ani trochę łatwiejszym.

Nie warto przedłużać tej listy. Warto jednak zwrócić uwagę, że te nie­kulturalne kwiatki zebrane zostały z trzech zeszytów tylko. Przykro mi, że to właśnie *Kultura,* która może być przykładem wielu innym pismom do­stała się pod pręgierz. I nie chodzi mi o to, by komuś gdzieś wbić szpilkę, ale o to, by skądinąd doskonałe prace nie raziły makaronizmami, by wię­cej było staranności, a mniej afektacji w ich przygotowaniu.

*Tadeusz GIERYMSKI*

**REVUE MENSUELLE**

**a publié des textes de :**

Georges ALTMAN — Jacques F. BLIN — François BOND Y — Manuel BRIDIER — Michel COLLINET — Michel DEBRE — Jacques DOMINATI, Pierre DUMAS — Jacques ENOCK — Pierre FATAUD — Pierre FELCE — Auguste GALLOIS — Georges GAUDIOT — Claude GUIBLIN — Gérard JAQUET — Jean KOSEK — André LAFOND — André MALRAUX — François MAURIAC — Robert MARGERIT — Louis MER­CIER — Robert MOSSE — Roger MUS — Simone MUNIER — Hugues PANASSIE — Aimé PATRI — Georges PASCAL — Pierre RESTANY, Louis VALLON, Colette VERGNOLLE.

**LIBRES PROPOS, 13 bis, rue de Poissy, Paris-5ePrix du numéro : 50 frs**

**Abonnement, 1 an : 500 frs**

**étudiants : 400 frs**

C.C.P. Paris 8.596.33

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1953

*Spis autoróu)*

(A), A. M. ANDRZEJEWSKI Bogumił, (AV). — BAR­TOSZ A., BARZUN Jacques, BĄCZKOWSKI Włodzimierz, BEO, BERGER Arthur, BERLINCZYK, BIEŃKOWSKA Danuta, BOHUSZ-SZYSZKO Z., BRONCEL Zdzisław, BUJNOWSKI Józef, BURMEISTER A., BURNHAM James, — CAHOON Herbert, CHRUŚCIEL Tadeusz, COLIN Jean, CZ. J., CZAPLICKI Jerzy, CZAPSKI Józef, CZUCHNOW- SKI Marian. — DANILEWICZOWA Maria, DEUTSCH Ba­bette, DITTMAR Jerzy, DROBNIAK T., DUTKOWSKI Jan St., DZIEWANOWSKI J., DZIEWANOWSKI M. K. — FELDHUZEN Maciej, FELSZTYN Tadeusz, FERRATER- MORA José, FISCHLOWITZ Stanisław. — GAMM A. dr., GIERYMSKI Tadeusz, GILDER Rosamond, GINWITT S., GOMBROWICZ Witold, GÓRSKI Krzysztof T., GRABOW­SKI Zbigniew, GRUSZKA S. — HAGELSTANGE Rudolf, HERTZ Aleksander, HOLCMAN Jan, HOSTOWIEC Paweł, HRABYK Klaudiusz. — (J), JAKOBSON Roman, JANTA Aleksander, JASIENCZYK Janusz, JASPERS Karl, JELEN- SKI K. A., JEŚMAN Czesław, J. P., J. U. — KAEMPFFERT Waldemar, KAJ, KAWAŁKOWSKI Aleksander, KNIGHT Arthur, KONASZEWICZ Bohdan, KORBONSKI Stefan, KO- STRZYNSKI Witold, KROGH Maria, KRYTYK, KRZY­WICKI Jerzy. — L., LAERTES, LEDNICKI Wacław, LESZ­CZA Jan, LONDYNCZYK. — ŁOBODOWSKI Józef. — M., MACKIEWICZ Józef, MAJEWSKI Józef Z., MARLEWSKI Józef, MAZURKIEWICZ W., MERTON Thomas, MICHA- ŁOWSKI-SKARBEK, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, M. K., MUHLSTEIN Anatol. — (N), NAGÓRSKI Zygmunt, jr., NAGÓRSKI Zygmunt, sr., NOWAK Jan, NO­WAKOWSKI Tadeusz, NOWARA Mieczysław. — OLE­CHOWSKI Jan, OLIPRA Franciszek, OSMECKI-IRANEK Kazimierz, OSTROWSKI F. — PANKOWSKI Marian, PASZ­KOWSKI Lech, PAWLIKOWSKI Michał K., PESZKÓW-

SKI Zdzisław, PISZCZEK Karol, POWERS I. F., PR. J., PRĄDZYNSKI Jerzy, PRETWIC Józef, P. S. — RELI- DZYNSKI J., RODITI Edouard, RODMAN Selden, ROE- THKE Theodore, ROSOL T., ROSTWOROWSKI Jerzy, RÓŻYCKI Zbigniew, RUDZKI Adam. — SAMBOR Michał, SANDELEWSKI W., SCHOENFELD Henryk, SERECH Jurij, SOKOLNICKI Michał, SOLAK P. J., STERMINSKI Zygmunt, STEVENS Wallace, STRASZEWICZ Czesław, STRZETELSKI Stanisław, SWIANIEWICZ Stanisław, SZCZEPANOWSKI Stanisław W., SZYSZMAN Szymon. — ŚMIEJA Florian. — TARNAWSKI Wit, TCHORZEWSKI Tadeusz, TERLECKI Tymon, TESLAR Józef, TOROSIE- WICZ Jan, TRILLING Lionel, TROFIMCZYK Wiktor, TY- MOWICZ W. — ULATOWSKI Jan, URSYN Józef. — V, VINCENZ Andrzej, VINCENZ Stanisław. — WAŃKOWICZ Melchior, WEINTRAUB Wiktor, WERSYN E., WESTFAL Stanisław, WHITE Morton, WIERZBICKI Mirosław, WIE­RZYŃSKI Kazimierz, WILLIAMS William Carlos, WINCZA­KIEWICZ Jan, WINIARSKI Łukasz, WITTLIN Józef, WŁO- DARKIEWICZ Józef W., WOJTUN Bronisław S., WOLFE Bertram D., WÓJCIK Stanisław, WRECIONA Ewhen, WSZE­LAKI Jan. — ZALESKI Wojciech, ZAREMBA J., ZARZEW- SKI Stanisław, ZAWADOWSKI dr., ZBYSZEWSKI Karol, ZWIĄZEK ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH R. P. — ŻAGIELL E., ŻEROMSKA Olga.

*Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze*

BĄCZKOWSKI Włodzimierz: *Józef Stalin* (4/66).

* *Kreml na nowym etapie* (6/68).
* *Nowa ofensywa* (5/67).
* *Nowa Turcja* (10/72).

*—■ Zachód i komunizm* (2/64-3/65).

BEO: *Kronika ukraińska* (2/64-3/65, 5/67).

BERLINCZYK: *Kronika niemiecka* (1/63, 4/66).

BURNHAM James: *Polityka wyzwolenia* (2/64-3/65), przeł. Jan Ulatowski.

FISCHLOWITZ Stanisław: *Kronika brazylijska* (5/67).

GÓRSKI Krzysztof T.: *Krytyka i postulaty* (12/74).

HOSTOWIEC Paweł: *Istotne i nieistotne aspekty wyborów nie­mieckich* (11/73).

JASIENCZYK Janusz: *Agitować czy propagować?* (10/72). KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Wojna psychologiczna* (4/66). KONASZEWICZ Bohdan: *Niemcy obserwują Europę Wschod­nią* (12/74).

KOSTRZYNSKI Witold: *Niemcy Wschodnie* (10/72).

LONDYNCZYK: *Kronika angielska* (1/63, 4/66, 5/67, 6/68, 9/71, 10/72, 11/73, 12/74).

MARLEWSKI Józef; *Wybory w Niemczech* (10/72). MIEROSZEWSKI Juliusz: *„Deadlock" —* List z Wyspy (1/63).

* *Inżynieria dusz* (11/73).
* *„Marksiści", którzy nie wiedzą, że są „marksistami" —* List z Wyspy (9/71).
* *Neutraliści i neurotycy —* List z Wyspy (6/68).
* *Oblicze emigracji* (4/66).
* *Pytanie brzmi — jak?* ((5/67).

MIŁOSZ Czesław: *Dwa procesy* (1/63).

NAGÓRSKI Zygmunt, jr.: *W odpowiedzi* (2/64-3/65).

PRETWIC Józef: *Radio i radioci* (9/71).

PRĄDZYNSKI Jerzy: *List z Niemiec* (2/64-3/65, 4/66).

SOKOLNICKI Michał: *Niemcy po Wielkiej Przegranej* (11/73). SWIANIEWICZ Stanisław: *Wschód i Zachód w rozwoju gos­podarczym* (2/64-3/65).

ULATOWSKI Jan: *A co z duszą?* (1/63).

* (tłumacz) ob. Burnham (2/64-3/65).

WOLFE Bertram D.: *Agonia sowieckiej historiografii* (1/63). WSZELAKI Jan: *O wschodni „Plan Schumana"* (6/68). ZARZEWSKI Stanisław: *Fetysze i fikcje emigracji* (9/71). ŻAGIELL E.: *Kronika australijska* (5/67).

*Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki, i inne*

BARZUN Jacques: *Romans Ameryki z praktycznością* (7/69- 8/70), przeł. J. U.

BERGER Arthur: *Muzyka Aarona Cooplanda* (7/69-8/70), przeł.

K. A. Jeleński i A. Szałowski.

CAHOON Herbert: *Periodyki amerykańskie* (7/69-8/70), prze­łożył J. U.

DEUTSCH Babette: *Nowa poezja amerykańska* (7/69-8/70), przeł. J. M.

FERRATER-MORA José: *Dwa znakomite dzieła* (5/67).

GILDER Rosamond: *Współczesny teatr amerykański (7/69-* 8/70), przeł. J. M.

GOMBROWICZ Witold: *Fragmenty z dziennika* (4/66, 9/71, 11/73,. I2/74)-

* *Sienkiewicz* (6/68).

HERTZ Aleksander: *Czy Amerykanin wraca do domu? (5/67).* HOLCMAN Jan: *„Fałszywe i złośliwe tony"* (6/68), JAKOBSON Roman: *Polska literatura średniowieczna a Czesi* (6/68).

JELEŃSKI K. A.: *Abstrakcja i nieprzedmiotowość* (1/63).

* *Notatki o żałobie* (5/67).
* i Szałowski A. (tłumacze): ob. Berger (7/69-8/70).

J. M.: (tłumacz) ob. Deutsch i Gilder (7/69-8/70).

J. U.: (tłumacz) ob. Barzun, Cahoon, Kaempffert, Knight i Rodman (7/69-8/70).

KAEMPFFERT Waldemar: *Energia atomowa w czasach poko­jowych* (7/69-8/70), przeł. J. U.

KNIGHT Arthur: *Film i telewizja* (7/69-8/70), przeł. J. U.

LEDNICKI Wacław: *Studia slawistyczne w U.S.A.* (7/69-8/70). ŁOBODOWSKI Józef: (tłumacz) ob. Serech (11/73).

MIEROSZEWSKI Juliusz: *Filozofia małych ludzi* (2/64-3/65). MIŁOSZ Czesław: *Gombrowiczowi* (10/72).

* *Notatki z lektury* (4/66, 5/67).
* *O wierszach Jastruna* (9/71).

PANKOWSKI Marian: *Ballada o pogrzebanym życiu* (n/73).

* *Uwagi o poezji* (4/66).

RODMAN Selden: *Ben Shahn — malarz Ameryki* (7/69-8/70), przeł. J. U.

SAMBOR Michał: *Literatura na emigracji* (6/68).

* (tłumacz) ob. White (7/69-8/70).

SERECH Jurij: Zachód jest Zachodem — Wschód jest Wscho­dem (11/73), przeł. Józef Łobodowski .

TERLECKI Tymon: *Apokalipsa Christophera Dawsona* (2/64- 3/65).

ULATÔWSKI Jan: *Artysta wobec epoki* (12/74).

* *O budowie obrazu* (4/66).
* *Prawda i konwenans* (5/67).
* *Rzeczywistość — ale jaka?* (6/68).

WHITE Morton: *Filozofia historii w Ameryce* (7/69-8/70), przeł. Michał Sambor.

WINCZAKIEWICZ Jan: *Pogrążeni w przeszłości* (9/71). WINIARSKI Łukasz: *List z Jugosławii* (12/74).

*Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia*

J. M.: (tłumacz) ob. Merton (7/69-8/70).

J. U.: (tłumacz) ob. Powers (7/69-8/70).

MACKIEWICZ Józef: *Przyjaciel Flor* (2/64-3/65).

MERTON Thomas: *Mnich i myśliwi* (7/69-8/70), przeł. J. M. MIEROSZEWSKI Juliusz: (tłumacz) ob. Trilling (7/69-8/70). NOWAKOWSKI Tadeusz: *Grüss Gott* (2/64-3/65).

POWERS I. F.: *,,Lwy, jelenie i płoche łanie...”* (7/69-8/70), przeł. J. U.

SOLAK B. J.: *Impresje lotnicze* (5/67).

STRASZEWICZ Czesław: *Kociołek na Ziemowita* (6/68). TRILLING Lionel: *W owym czasie i miejscu* (7/69-8/70), przeł.

Juliusz Mieroszewski.

WITTLIN Józef: *Poe w Bronxie* (7/69-8/70).

*Utwory poetyckie*

ANDRZEJEWSKI Bogumił: *Biskup* (9/71).

* *Finansista* (9/71).
* *Kompozytor* (9/71).
* *Podróżnik* (9/71).
* *Poeta-laureat* (9/71).
* *Uczony* (9/71).
* *Założycielka ogródków dla dzieci* (9/71).

BIEŃKOWSKA Danuta: *Psalmy z Holloway Road* (11/73).

BUJNOWSKI Józef: *Rzecz o przemijaniu* (2/64-3/65). CZUCHNOWSKI Marian: *Anusi* (5/67).

* *Dama w jedwabnym płaszczu deszczowym* (5/67).
* *Przedmieście na przedzimiu* (5/67).
* *Spacer nad stawami (5/67).*
* *Szkarłatny kwiat* (5/67).
* *Siad* (5/67).
* *Wazony* (5/67).

HAGELSTANGE Rudolf: *Wyjątki z ,,Ballady o pogrzebanym życiu”* (11/73), przeł. Marian Pankowski.

J. P.: (przekład) ob. Roethke (7/69-8/70).

ŁOBODOWSKI Józef (Przekłady mistyków hiszpańskich): *Do Boga* (Fray Pedro Malon de Chaide) (10/72).

* *Na Chrystusa ukrzyżowanego* (Anonim, wiek XVI) (10/72).
* *Na Chrystusa ukrzyżowanego* (Rafael Sanches Mazas) (10/72) *—■ Na Chrystusa Zmarłego* (Luis Rosales) (10/72).
* *Prawda* (Garcia de Tejada) (10/72).
* *Sonet na śmierć* (Fray Pedro de Padilla) (10/72).
* *Zacny łotr* (Felix Carpio Lope de Vega) 10/72).
* *Z Bogiem do Boga* (Anonim, wiek XVII) (10/72).

MERTON Thomas: *Święty Malachiasz* (7/69-8/70), przeł. Cze­sław Miłosz.

MIŁOSZ Czesław: *Dziecię Europy* (6/68).

* (przekłady) ob. Merton, Stevens, Williams (7/69-8/70). PANKOWSKI Marian: *Biedy piach* (1/63).
* *Patrząc na chmury* (1/63).
* *Wciąż młoda śniadość mowy* (1/63).
* (przekład) ob. Hagelstange (11/73).

ROETHKE Theodore: *Pole światła* (7/69-8/70), przeł. J. P.

STEVENS Wallace: *Poemat który stanął zamiast góry (7/69-* 8/70), przeł. Czesław Miłosz.

* *Pustka w parku* (7/69-8/70), przeł. Czesław Miłosz. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Pieśń domu* (5/67).
* *Rozmowa z Orfeuszem* (2/64-3/65).

WILLIAMS William Carlos: *Yachty* (7/69-8/70), przeł. Czesław Miłosz.

*Najnowsza Historia Polski*

FELDHUZEN Maciej: *Rubens miał filię w Szkocji* (11/73). FELSZTYN Tadeusz: *Polski karabin p-panc.* (2/64-3/65). JELENSKI K. A.: *Wywiad z gen. Weygand* (6/68).

JEŚMAN Czesław: *Rubens heroiczny* (4/66).

KORBONSKI Stefan: *„Świt” — tajemnica Naczelnego Wodza* (9z7i)-

MARLEWSKI Józef: *Gdańsk w stosunkach polsko-niemieckich* (1/63).

OSMECKI-IRANEK Kazimierz: *Przyczynki do Powstania War­szawskiego* (11/73).

*Protokół z tajnego posiedzenia Rady Min. R. P. z* 28. u. 1930 (5/67)-

SOKOLNICKI Michał: *W służbie Komendanta* (12/74). STRASZEWICZ Czesław: *O „Świcie”* (10/72).

WRECIONA Ewhen: *,,Burza” we Lwowie?* (9/71).

*Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze*

(AV): *Studia słowiańskie w U.S.A.* (10/72). BRONCEL Zdzisław: *Więzienne „Noce i dnie”* (12/74).

Cz. J.: *Wspomnienia* (4/66).

DZIEWANOWSKI M. K.: *Granice zachodniej cywilizacji* (5/67)-

GÓRSKI Krzysztof T.: *„Pani Sapowska” i bohaterski pies ^7^-*

GRUSZKA S.: *Pamiętniki Hoovera* (12/74).

(J): *Ameryka w oczach przyjaciół* (11/73).

* *Notatki wydawnicze* (1/63, 2/64-3/65, 4/66, 5/67, 6/68, 9/71, 10/72, 11/73, i2/74)-
* *Od apokalipsy do karykatury* (1/63).
* *Polonica i antypolonica* (11/73).
* *Przegląd miesięczników* (1/63, 2/64-3/65, 4/66, 5/67, 6/68, 9/71, IlZ73> 12/74).
* *Rozmowa z Gheorghiu* (r/63).

JESIEŃCZYK Janusz: *Dwie powieści o Wrześniu* (11/73).

* *„Wina” Sapiehy i wina Z. Kossak* (5/67). JASPERS Karl: *O książce Miłosza* (6/68).

JELENSKI K. A.: *„My szlachta od Jafeta”* (4/66).

(J. U.): *Niemcy a rewolucja przemysłowa* (9/71).

KAJ: *„English becomes Polish”* (11/73).

* *Między marksizmem a prawdą* (2/64-3/65).
* *„Numerus aureus”* (4/64).
* *Paradoksalny świadek* (10/72).
* *Sowietyzacja Polski i duch PPS* (5/67).

KAWAŁKOWSKI Aleksander: *„Najnowsza historia Polski”* (10/72).

1. : *Polska à la minute* (11/73).

LONDYNCZYK: *„Can Russia survive?”* (6/68). MIEROSZEWSKI Juliusz: *Dramat nawrócenia* (1/63).

* *Emigracyjne bezdroża* (5/67).

MIŁOSZ Czesław: *Most absolutny* (11/73).

MUHLSTEIN Anatol: *Świadectwo amb. Laroche’a* (6/68). *Nodesłane nowości wydawnicze* (1/63, 2/64-3/65, 4/66, 5/67, 6/68, 9/71, 11/73, I2/74)-

NAGÓRSKI Zygmunt, sr.: *Problemy międzynarodowe w lite­raturze U.S.A.* (1/63, 2/64-3/65).

OLECHOWSKI Jan: *Wydawnictwo im. Czechowa* (4/66). PANKOWSKI Marian: *Sztuka jest wyborem* (5/67).

PASZKOWSKI Lech: *Powieść o emigrantach w Australii* (IlZ73)-

PR. J.: *„Le problème Allemand”* (4/66).

PRĄDZYNSKI Jerzy: *Wspólnota doli* (5/67).

RAKOWSKI Janusz: *Zapomniane prace historyczne* (12/74). SAMBOR Michał: *Oficyna Poetów i Malarzy* (4/66).

STERMINSKI Zygmunt: *Totalitarna demokracja* (9/71). TOROSIEWICZ Jan: *Książka o Europie* (5/67).

URSYN Józef: *Notatki wydawnicze* (2/64-3/65).

VINCENZ Andrzej: *Nazwy ukraińskie w Kanadzie* (5/67).

* *Nowa antologia poezji* (6/68).

VINCENZ Stanisław: *Dramat polsko-żydowski* (1/63). ŻEROMSKA Olga: *W obronie fikcji* (9/71).

*Kronika kulturalna*

BRONCEL Zdzisław: *Kongres „dobrych” Europejczyków* (10/72).

COLIN Jean: *Na marginesie wystawy* (2/64-3/65).

CZAPSKI Józef: *O lekkości* (12/74).

* *„Rzeczy nieżywe i bez ruchu”* (10/72).

JANTA Aleksander: „Odmrożenie” skarbów wawelskich (12/74).

JELEŃSKA Teresa: (tłumacz) ob. Roditi (5/67).

J. U.: *Biust i kółko* (9/71).

KRYTYK: *Film francuski prowadzi* (6/68).

* *Film sowiecki „Młodość Chopina” — Niemcy* (11/73).
* *Iluzjon i kinorama* (5/67).
* *Od nadrealizmu do konwencji* (1/63, 2/64-3/65).

*Literatura przekreśla „małą Europę”* (5/67).

M.: *Doktorat* (11/73).

M. K.: *Księga mickiewiczowska* (11/73).

* *Sartre-Camus* (1/63).

(N): *O działalności Kongresu Kultury* (12/74).

OLIPRA Franciszek: *Prof. Władysław Konopczyński* (12/74L RODITI Edouard: *List łiterata o Niemczech Wschodnich* (5/67), przeł. Teresa Jeleńska.

SZYSZMAN Szymon: *Rękopisy Morza Martwego* (9/71). TARNAWSKI Wit: *Zardzewiały repertuar* (1/63).

TERLECKI Tymon: *Refleksje z pokazu* (6/68). TOROSIEWICZ Jan: *Wystawy paryskie* (6/68, 9/71, 12/74).

ULATOWSKI Jan: *Faun i święty* (2/64-3/65).

*— François Mauriac — laureat Nobla* (1/63).

(V); *Abstrakcjonizm w jaskiniach* (5/67).

WERSYN E.: 40-ty *Tydzień Społeczny* (10/72).

*Sprawy krajowe*

(A): *Migawki z podróży* (10/72).

JELENSKI K. A.: *Dwie przyjaciółki* (10/72).

LAERTES: *Kraj w neutralnym zwierciadle* (12/74).

MIEROSZEWSKI Juliusz: *Czerwone drzewa i polski las* (12/74).

* *Powrót* (10/72).

P.S.: *Gdynia-Tientsin* (10/72).

ZALESKI Wojciech: *Dzień w Wybranowie* (11/73).

* *Skróty w dzisiejszej Polsce* (12/74).

*Sprawy i troski*

A. M.: *Fakty i wnioski* (11/73).

DANILEWICZOWA Maria: *Czytelnik polski w W. Brytanii*

PESZKOWSKI Zdzisław: *Powstaniec w połatanej sutannie* (6/68).

RÓŻYCKI Zbigniew: *Kolegium Wolnej Eriropy* (12/74). WAŃKOWICZ Melchior: *Polacy w Stanach Zjednoczonych* (6/68, 7/69-8/70, 10/72).

WŁODARKIEWICZ Józef W.: *Z socjologii sportu* (11/73).

*Tłumaczenia*

*Z języka angielskiego*

BARZUN Jacques: *Romans Ameryki z praktycznością,* przeł. J. U. (7/69-8/70).

BERGER Arthur: *Muzyka Aarona Cooplanda,* przeł. K. A. Je- leński i A. Szałowski (7/69-8-70).

BURNHAM James: *Polityka wyzwolenia,* przeł. Jan Ulatow- ski (2/64-3/65).

CAHOON Herbert: *Periodyki amerykańskie,* przeł. J. U. (7/69- 8/70).

DEUTSCH Babette: *Nowa poezja amerykańska,* przeł. J. M. (7/69-8/70).

GILDER Rosamond: *Współczesny teatr amerykański,* przeł. J. M. (7/69-8/70).

KAEMPFFERT Waldemar: *Energia atomowa w czasach poko­jowych,* przeł. J. U. (7/69-8/70).

KNIGHT Arthur: *Film i telewizja,* przeł. J. U. (7/69-8/70). MERTON Thomas: *Mnich i myśliwi,* przeł. J. M. (7/69-8/70).

* *Święty Malachiasz,* przeł. Czesław Miłosz (7/69-8/70).

POWERS I. F.: *,,Lwy, jelenie i płoche łanie..."* przeł. J. U. (7/69-8/70).

RODITI Edouard: *List literata o Niemczech Wschodnich,* przeł. Teresa Jeleńska (5/67).

RODMAN Selden: *Ben Shahn — malarz Ameryki,* przeł. J. U. (7/69-8/70).

ROETHKE Theodore: *Pole światła,* przeł. J. P. (7/69-8/70). STEVENS Wallace: *Poemat który stanął zamiast góry,* przeł.

Czesław Miłosz (7/69-8/70).

* *Pustka w parku,* przeł. Czesław Miłosz (7/69-8/70).

TRILLING Lionel: *W owym czasie i miejscu,* przeł. Juliusz Mieroszewski (7/69-8/70).

WHITE Morton: *Filozofia historii w Ameryce,* przeł. Michał Sambor (7/69-8/70).

WILLIAMS William Carlos: *Jachty,* przeł. Czesław Miłosz (7/69-8/70).

WOLFE Bertram D.: *Agonia sowieckiej historiografii* (1/63).

*Z języka czeskiego*

JAKOBSON Roman: *Polska literatura średniowieczna a Czesi* (6/68).

*Z języka francuskiego*

COLIN Jean: *Na marginesie wystawy* (2/64-3/65).

*Z języka hiszpańskiego*

FERRATER MORA José: *Dwa znakomite dzieła* (5/67).

ŁOBODOWSKI Józef: *Mistycy hiszpańscy,* przekłady z: Ano­nim, wiek XVI, Anonim, wiek XVII, Fray Pedro Malon de Chaide, Rafael Sanches Mazas, Fray Pedro de Padilla, Luis Rosales, Garcia de Tejada i Felix Carpio Lope de Vega (10/72).

*Z języka niemieckiego*

JASPERS Karl: *O książce Miłosza* (6/68).

*Z języka ukraińskiego*

SERECH Jurij: *Zachód jest Zachodem — Wschód jest Wscho­dem,* przeł. Józef Łobodowski (11/73).

*Listy do Redakcji*

BARTOSZ A. (10/72). BOHUSZ-SZYSZKO Z. (9/71). BUR- MEISTER A. (12/74). CHRUŚCIEL T. (2/64-3/65). CZAPLI­CKI Jerzy (4/66). CZAPSKI Józef (6/68, 10/72).' DITTMAR Jerzy (4/66). DROBNIAK T. (6/68). DUTKOWSKI J. (2/64- 3/65). DZIEWANOWSKI J. (2/64-3/65). GIERYMSKI Ta­deusz (5/67, n/73). GINWITT S. (5/67). GRABOWSKI Zbig­niew (10/72). HRABYK Klaudiusz (1/63, 4/66, 11/73). JANTA Aleksander (1/63). JELENSKI K. A. (12/74). JEŚMAN Czesław (9/71). KAWAŁKOWSKI Al. (6/68). KROGH Maria (4/66). KRZYWICKI Jerzy (2/64-3/65). LEDNICKI Wacław (11/73). LESZCZA Jan (11/73). MACKIEWICZ Józef (5/67). MAJEW­SKI Józef Z. (4/66). MAZURKIEWICZ Wł. (11/73). NÓWA- RA Mieczysław (1/63). OLECHOWSKI Jan (9/71). OSTROW­SKI F. (1/63). PANKOWSKI Marian (10/72). PAWLIKOW­SKI Michał K. (5/67, 6/68, 9/71). PISZCZEK Karol (2/64-3/65). PRĄDZYNSKI' Jerzy (5/67). RELIDZYNSKI Józef (1/63). ROSOL Tadeusz (1/63). ROSTWOROWSKI Jerzy (4/66). RUDZKI A. (2/64-3/65). SANDELEWSKI W. (12/74). SCHOENFELD Henryk (4/66). SKARBEK-MICHAŁOW- SKI (1/63). STRZETELSKI St. i NOWAK Jan (1/63). SZCZEPÀNOWSKI Stanisław Wiktor (6/68). ŚMIEJA Florian (12/74). TCHORZEWSKI Tadeusz (11/73). TES- LAR Józef (12/74). TROFIMCZYK Wiktor (5/67). TY- MOWICZ W. (5/67). ULATOWSKI Jan (2/64-3/65). WAŃKOWICZ Melchior K. (9/71, 11/73). WÈINTRAUB Wik­tor (9/71). WESTFAL Stanisław (4/66). WIERZBICKI Miro­sław (10/72). WOJTUN Bronisław S. (1/63). WÓJCIK St. (4/66). ZALESKI Wojciech (6/68). ZAREMBA J. (12/74). ZA­WADOWSKI Dr. (4/66). ZBYSZEWSKI Karol (11/73). ZWIĄZEK ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH R. P. (1/63, 5/67)-

*Różne*

*Ankieta ,,Nasze życie na emigracji”* (2/64-3/65).

GAMM A. dr.: *Wypożyczalnia członków* (9/71).

*Indeks autorów i tematów rocznika ,,Kultury” za r.* 1952 (1/63.) *Krajowe Zeszyty ,,Kultury”* (1/63).

*Od Redakcji* (7/69-8/70).

*Résumé en langue anglaise* (7/69-8/70).

*Résumé en langue française* (1/63, 2/64-3/65, 4/66, 5/67, 6/68, 7/69-8/70, 11/73, 12/74).

*Reprodukcje*

BEN SHAHN: *Epoka* (7/69-8/70).

* *Kompozycja dla klarnetu i blaszanej trąbki*
* *Największy komik świata* (7/69-8/70).
* *Nokturn* (7/69-8/70).
* *Paterson* (7/69-8/70).
* *Spotkanie* (7/69-8/70).
* *Śmierć górnika* (7/69-8/70).
* 5 *maj* (7/69-8/70).

*Noty biograficzne autorów*

BARZUN Jacques (7/69-8/75). BERGER Arthur (7/69-8/70). CAHOON Herbert (7/69-8/70). DANILEWICZOWA M. (9/71). DEUTSCH Babette (7/69-8/70). GILDER Rosamond (7/69- 8/70). GORDON Marek Henryk (1/63). GÓRSKI Krzysztof T. (12/74). JASPERS Karl (6/68). KAEMPFFERT Waldemar (7/69-8/70). KNIGHT Arthur (7/69-8/70). LEDNICKI Wacław (7/69-8/70). MERTON Thomas (7/69-8/70). NAGÓRSKI Zyg­munt, jr. (1/63). POWERS I. F. (7/69-8/70). RODMAN Selden (7/69-8/70). ROETHKE Theodore (7/69-8/70). STEVENS Wal­lace (7/69-8/70). SZYSZMAN Szymon (9/71). TRILLING Lio­nel (7/69-8/70). WAŃKOWICZ Melchior (7/69-8/70). WHITE Morton (7/69-8/70). WILLIAMS William Carlos (7/69-8/70). WINCZAKIEWICZ Jan (9/71). WITTLIN Józef 7/69-8/70). WOLFE Bertram D. (1/63).

*Wydawnictwa książkowe*

T. I. Witold Gombrowicz: *Transatlantyk i Ślub* (Str. 320).

T. II. George Orwell: *Rok* 1984 (Str. 256).

T. III. Czesław Miłosz: *Zniewolony umysł* (Str. 240).

T. IV. James Burnham: *Bierny opór czy wyzwolenie* (Str. 208).

**T.** V. Czesław Miłosz: *Światło dzienne* (Str. 160).

T. VI. Czesław Straszewicz: *Turyści z bocianich gniazd* (S. 256).

*Zeszyty Krajowe „ Kultury ”*

T. I. *Ramy życia w Polsce* (Cz. i-sza). Instytucje polityczne. Wymiar sprawiedliwości. Rodzina. Szkolnictwo. Ruch wy­dawniczy. Życie gospodarcze i zawodowe (Str. 400).

T. II. *Ramy życia w Polsce* (Cz. 2-ga). Nowa Konstytucja. Partia i stronnictwa. Armia. Reglamentacja twórczości ar­tystycznej. Państwowy i prywatny przemysł i handel. Rze­miosło (Str. 240).

T. III. *Sowietyzacja kultury w Polsce.* Nowe wytyczne filozofii. Teoria i historia literatury. Nauki społeczno-ekonomiczne. Biologia. Literatura piękna (Str. 400).

T. IV. *Struktura gospodarstwa polskiego.* Zdrowotność i dy­namika populacyjna. Kadry pracowników. Surowce i ener­getyka. Rolnictwo. Hutnictwo i przemysł metalowo-prze- twórczy. Przemysł chemiczny. Przemysł włókienniczy. Prze­mysł rolniczo-przetwórczy. Przemysł elektrotechniczny. Transport. Handel zagraniczny (Str. 400).

T. V. *Sytuacja Kościoła w Polsce.* Młodzież i szkolnictwo (Str. 160).

♦

*(Ze względów bibliograficznych wymieniamy powyżej wszystkie tomy ,,Zeszytów Krajowych”; aczkolwiek I-szy i Il-gi ukazały się jeszcze w r.* 1952 *nie były wymieniane w Indeksie naszym za rok* 1952).

PREUVES

**REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE
JANVIER**

**DENIS DE ROUGEMONT : La Table Ronde de l’Europe ;**JEAN TARDIEU : Poèmes (présentation de Jules Supervieile) ;
KATHERINE MANSFIELD : **Lettres inédites** (Introduction
d’André Bay) ; JEAN CASSOU : **Le message des lettres hispano-
américaines ; A. ROSSI : Une défense du pacte germano-
soviétique.**

**CHRONIQUES** de Claude MAURIAC, Gilbert SIGAUX,
Robert KANTERS, Michel SEUPHOR, Annette VAILLANT.

**PREUVES** : 23, rue de la Pépinière, Paris (8e).
Téléphone : EURope 55-15 à 17 — C.C.P. 17.800 Paris.

Le No de 112 p. illustrées, France : 120 fr. — Etranger : 150 fr.
Un ancien numéro sera envoyé gratuitement sur demande
comme spécimen.

***Listy do Redakcji***

Rzym, 25. 11. 1953. Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. Macieja Feldhuzena pt. „Rubens miał filię w Szkocji”, a zwłaszcza co do roli księdza Starostki ,,do którego chodzili ■się spowiadać bici więźniowie, błagając, aby ich ratował, a który zawsze milczał, zasłaniając się tajemnicą Spowiedzi”, pragnę dodać następujące wyjaśnienie :

Zachowanie tajemnicy Spowiedzi św. winno być bezwzględnie przez **każ­**dego księdza przestrzegane. Intencja czynienia kapłanowi zarzutu z „zasła­niania się tajemnicą sakramentalną” jest nieszlachetna. A może ks. Dr Sta- lostka okazał w ogóle brak troski o dobro jeńców lub bał się interweniować przeciwko ich torturom ?

Pragnę z góry podkreślić, że ks. Dr Starostka właściwie bezprawnie znajdował się w obozie Shinafoot, gdyż miał przydział do „Obozów **Oficer­**skich w Broughton”, lecz przyjechawszy z pierwszym nabożeństwem do obozu karnego, osiadł tam dobrowolnie za drutami, mieszkał jak każdy jeniec mimo śniegu i mrozu w namiocie i nie otrzymał przez cały czas **pobytu** żadnej pensji. Z mieszkania w hotelu zrezygnował. Za jeńcami wstawiał się otwarcie; reagował na każdą ich krzywdę. Już w 14 dni po rozpoczęciu swej pracy duszpasterskiej złożył dokładny raport o nieludzkim traktowa­niu jeńców śp. ks. Dziekanowi Sinkowskiemu. W aktach moich znajduje się kopia raportu ks. Dr Starostki z dnia 15. 10. 1940 do dowódcy obozu ppłka Słabickiego, w którym kapelan broni internowanych i domaga się zlik­widowania obozu. Czy list ten został w myśl „prośby autora skierowany drogą służbową do „Dowództwa Obozów i Oddziałów” nie wiem. Wynik był ten, że ks. Dr Starostka został przez wicekomendanta nazwany „szkodli­wym demagogiem”.

Dziwi mnie, że p. Feldhuzen nic nie wspomina o najgorszym wypad­ku, mianowicie o zastrzeleniu niewinnego Strzelca Edwarda Jakubowskiego (29. 10. 1940). Ks. Starostka zaopatrzył konającego, zaprotestował publicz­nie przeciwko sadyzmowi dowódcy i podał się w znak protestu do dymisji, która została przyjęta. Z nowej placówki — szpital w Dupplin Castle — dojeżdżał nadal do obozu i troszczył się o swoich biedaków.

Przekonawszy się o bezskuteczności swoich raportów wojskowych **i pro­**testów, skorzystał ks. Dr Starostka z rekolekcji kapłańskich w Perth (26. 2. 1941 r.) i zawiadomił mnie o tragediach jakie się rozgrywały w Shinafoot. Dnia następnego zwiedziłem szpital w Dupplin Castle, by się widzieć z **cho­**rymi więźniami, a szczególnie z szeregowcem, b. docentem prawa U. **J.** Kazimierza, p. Bogusławem Osuchowskim, którego ks. Starostka przeszmu- gował z Izby chorych Shinafoot do szpitala. Kazałem kapelanowi złożyć **mi** raport na piśmie i zameldować się u mnie w Perth z jakimś uczciwym oficerem obozu jako drugim świadkiem. Z kapelanem przybył dnia **2. 3.** oficer oświatowy ppor. Władysław Bąbczyński, który potwierdził wszystkie przez księdza podane fakty. Dnia 3. 3. skierowałem całokształt sprawy **do** Ministra Spraw Wojskowych (lub Obrony Narodowej) po to tylko by otrzy­mać odpowiedź p. generała Modelskiego, że podane przeze mnie fakty **nie** odpowiadają rzeczywistości. Wkrótce jednak obóz zamknięto.

**Z** powyższego wynika, że ks. Dr Starostka uczynił wszystko co **mógł,** aby ulżyć jeńcom i nie uchybić zadaniom kapłańskim.

Łączę wyrazy szacunku

*Ks. Józef GAWLINA,* Arcybiskup

Londyn, 23 listopada 1953. Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem bezcenny wprost doku­ment, zajaki uważam wspomnienie p. Macieja Feldhuzena. Nazwa „Lager- führer”, którą p. Feldhuzen obdarzył dowódcę polskiego obozu koncentra­cyjnego w Szkocji, jest niestety jak najbardziej trafna. Ow Lagerführer Bor­kiewicz powinien był stanąć przed sądem jako zbrodniarz wojenny. A puł­kownik Ruchaj uszedł właściwie bezkarnie !

Nie mogę pozbyć się myśli, że za Oświęcim, Dachau itp. odpowiedzialny jest *cały* naród niemiecki. Czy cały naród polski jest odpowiedzialny za Berezę i Shinafoot ? Smutne to pytanie, ale najwyższy czas, byśmy sobie dali na nie wyczerpującą odpowiedź. Przed wojną oficerowie strzelali do cywilów w obronie ,,honoru oficerskiego munduru”. A za potworne spla­mienie honoru polskiego narodu — parę miesięcy więzienia, dyscyplinarka, usunięcie z funkcji... Mój Boże !

Mam nadzieję, że ta ponura sprawa nie zejdzie z łamów „Kultury”, aż wreszcie dowiem się wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Byłem wtedy gołowąsem, w Kraju, sam w cieniu Gestapo (niemieckiego), lecz czuję się chyba współwinny, bo rumienię się ze wstydu, ile razy pomyślę o polskim obozie koncentracyjnym.

Łączę wyrazy poważania, *Wojciech GNIATCZYŃSKI*

P.S.: Niech Gombrowicz się strzeże ! Zadarł z katolicyzmem, popadł w’ herezję moderny !

Gombrowicz imponuje mi bezkompromisową uczciwością myślenia i zdu­miewa pięknem swej polszczyzny, precyzyjnej, „idiomatycznej”, „mózgo­wej”, zgoła nieemigracyjnej.

♦

Drogi Panie Redaktorze,

Od jednego z czytelników mego artykułu pt. „Fetysze i fikcje emi­gracji”, wydrukowanego we wrześniowym numerze „Kultury”, otrzymałem list, w którym m. in. znajduję : (1) *twierdzenie,* że szerzę „nihilizm” wśród emigracji; że „wielu roztrzęsionych emigrantów” — po przeczytaniu me­go artykułu — dojdzie do wniosku, że „w tej sytuacji trzeba na wszystko machnąć ręką, gdyż wzamian za zwalczane przeze mnie fikcje „nic im nie daję”; (2) *pytanie :* czy dlatego, że Rząd jest wątły i biedny „mamy się odwrócić od legalizmu?”; (3) *wspomnienie i wyrzut :* „W roku 1914 Pił- Budski marzył o tym, by był jakiś, choćby fikcyjny rząd polski. W roku 1917 Dmowski marzył o tym, by swój Komitet w Paryżu przekształcić na rząd, a my mamy rząd lecz jak rozkapryszone dzieci powiadamy, że to nieważnie; ,(4) *wniosek :* „Rzeczą realną w polityce i w życiu są nie tylko dywizje, nie tylko wskaźniki cen i giełdy, nie tylko pieniądze, ale przede wszystkim — wola ludzka”. Tak pisze mój korespondent.

Obawiam się, że podobnie mylna interpretacja mego artykułu może urodzić się w głowie niejednego hurra-legalisty i dlatego prosiłbym Pana Redaktora o umieszczenie w „Kulturze” następujących kilku uwag wyjaś­niających.

W artykule swoim bynajmniej nie twierdziłem, że istnienie Rządu na emigracji jest faktem, pozbawionym wszelkiej wartości politycznej i bynaj­mniej nie wysuwałem tezy, że należy „odwrócić się od legalizmu”. Prze­prowadziłem rzeczową analizę wartości politycznej legalizmu z punktu wi­dzenia polityki niepodległościowej, powiedziałem wyraźnie na czym, według mnie, ta wartość polega, określiłem jej stosunek do wagi innych czynników **na** terenie wymienionej polityki i przestrzegałem przed przecenianiem rolilegalizmu. Właśnie to ostatnie jest szczególnie ważne gdyż pewni politycy emigracyjni stwarzają atmosferę mylnych pojęć wskutek czego cała hierarchia wartości politycznych, o które tu chodzi, ulega zupełnemu wypaczeniu. **W** gruncie rzeczy chodziło mi więc o sprowadzenie znaczenia legalizmu do właściwych proporcji, o stwierdzenie, czym on jest *naprawdę,* abstrahując od wszelkiej frazeologii. Czy podobna analiza może być uważana za ,.nihi­lizm”? Z pewnością nie gdyż każdy chyba przyzna, że im dokładniej się rozumie obiektywne znaczenie czynników w danej — czy jakiejkolwiek innej — Bprawie, tym lepiej dla tej sprawy. Pogląd przeciwny prowadzi nie­uchronnie do hodowania fikcji. Fikcja nie jest zaś ani dobrą podstawą polityki, ani też dobrym środkiem leczniczym dla ,.roztrzęśnionych emi­grantów”.

Jeżeli w latach pierwszej wojny politycy polscy marzyli o powstaniu rządu polskiego, to te ich marzenia w żadnej mierze nie uzasadniają prze­konania, że po drugiej wojnie światowej fakt — sam fakt — posiadania Rządu, abstrahowany od jego działalności politycznej, można awansować do godności czynnika szczególnie ważnego. Traktowanie spraw poważnych **w** świetle pełnego realizmu nie jest cechą „rozkapryszonych dzieci”, lecz właśnie ludzi dojrzałych.

Wreszcie sprawa znaczenia woli w polityce. Prawda, że bez woli zwy­cięstwa — nie ma zwycięstwa. Chodzi jednak o to, że wola nie jest jedy­nym czynnikiem immaterialnym, koniecznym w polityce. Drugim jest trzeźwość myślenia, pozwalająca rozumieć istniejącą rzeczywistość i nale­życie działać w jej ramach. Wola, oderwana od rozumienia rzeczywistości, prowadzi do klęski, czego tragicznym przykładem jest Powstanie Warszaw­skie.

Na zakończenie chciałbym dodać, że mój oponent, z którym tu polemi­zuję, jest znanym politykiem. Skoro nawet taki człowiek nie potrafi — rze­czowej i obszernej analizie — przeciwstawić nic poza westchnieniem : „A cóż im dajesz wzamian za te fikcje?” — jest to niewątpliwie jeszcze jeden dowód, że analiza jest prawidłowa. Sądzę, że czas już najwyższy, aby prze­sunąć polskie myślenie polityczne od zagadnień formalno-prawnych do istot­nych problemów programowo-politycznych na terenie polityki zagranicznej.

Dziękując Panu Redaktorowi za zamieszczenie tych uwag, łączę uścisk dłoni.

*Stanisław ZARZEWSKI*

Nowy Jork, 20 listopada 1953.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z całego listopadowego numeru „Kultury” na największą uwagę i po­chwałę zasługuje moim zdaniem jedna z najkrótszych jego pozycji — notatka pt. Doktorat. Pochwała jednak, jaka należy się Redakcji z tego tytułu, jest kwalifikowana, a kwalifikacja polega na następującej klauzuli warunkowej : „...jeżeli mamy tu do czynienia nie ze zjawiskiem odosobnionym, lecz z pierwszym odcinkiem nowej i regularnej rubryki, a może nawet działu”.

Do rzeczy notorycznych, a godnych wszelkiego potępienia, należy fakt, że czasopisma emigracyjne poświęcają zupełnie niedostateczną uwagę prze­jawom działalności i twórczości naukowej na uchodźstwie. Dotyczy ten za­rzut przede wszystkim tych periodyków, które w tytule lub podtytule noszą piękne słowa „kultura” lub „kulturalny” (to ostatnie zwykle w kombinacji z innymi przymiotnikami). Zaniedbanie to, w przekonaniu nie tylko piszą- cego te słowa, dyskwalifikuje pomienione czasopisma w pewnej mierze a w każdym razie jest niesprawiedliwe i bolesne dla rzeszy polskich naukow­ców rozproszonych po wszystkich kontynentach.

W przypadku „Kultury”, która wydaje się hołdować ambicjom dość szeroko pojmowanej wszechstronności, systematyczny niemal jak dotąd brak bieżącej informacji z tej dziedziny (jeżeli nie liczyć dwóch retrospek­tywnych i ograniczonych w przestrzeni sprawozdawczej artykułów w nume­rze „amerykańskim”) stworzyć może w czytelnikach zupełnie fałszywe prze­konanie, iż na polu twórczości naukowej Polacy zagranicą nic nie robią, lub bardzo niewiele. Trudno o bardziej niesłuszny i zniekształcony obraz rzeczy­wistości. Fakt, że jest on wynikiem zaniechania raczej aniżeli pozytywnego działania nie zmienia „kwalifikacji czynu” gdyż, jak wiadomo, zaniechanie może być również karygodne. W tym wypadku jest ono takie ponad wszelką wątpliwość.

Dlatego życzyć sobie wypada, aby ta pierwsza jaskółka, jaka pojawiła się na łamach „Kultury” stała się zaczątkiem częstej i obfitej w treść ru­bryki, do której materiału informacyjnego na pewno nie zabraknie. Zwłaszcza że są poważne luki do nadrobienia. Chciałbym wyrazić nadzieję, że „Kul­tura” nie zawiedzie oczekiwań tych czytelników, którzy pragnęliby być informowani o życiu naukowym emigracji.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku, *Jan S. DUTKOWSKI.*

♦

Buenos Aires, 18. 10. 1953. Szanowny Panie Redaktorze,

Jeżeli p. Summer Wells mógł wysunąć podejrzenia, iż śmierć gene­rała Sikorskiego nie była przypadkiem — opinia polska ma prawo również do podejrzeń. I po co mamy obwijać w bawełnę, że co do nas podejrzenia kie­rujemy w niemałej mierze w stronę naszych aliantów? Rozumowanie nasze jest logiczne : skoro Sikorski miał ze sobą ową tajemniczą teczkę ; skoro ciało jego, i wszystkie szczątki samolotu zostały wydobyte — to co się stało z ową teczką i z jej zawartością ?

Nie jestem pewien, czy protokół komisji „przesłany rządom polskiemu i czeskiemu” był podany do wiadomości publicznej. Sądzę jednak, że będę wyrazicielem opinii co najmniej dużej części społeczeństwa polskiego, jeżeli stwierdzę, że chciałoby ono znać nazwiska Polaków, którzy do komisji angiel­skiego Ministerstwa Lotnictwa byli przydzieleni i usłyszeć ich osobiste wy­jaśnienia na ten temat.

Jedno z dwojga : albo podejrzewamy aliantów niesłusznie, a w takim razie w ich także interesie leżeć powinno udowodnienie niesłuszności zarzutu ; albo też supozycje nasze mają podstawy. W tym wypadku nie zaszkodzimy juź sobie, a chyba raczej pomożemy — stawiając otwarie oskarżenie.

♦

Zdziwienie „Londyńczyka” iż władze polskie nie zainteresowały się możnością wybadania p. Prchali, pilota — nie wydaje się uzasadnione. Cóż może on wiedzieć ponadto, że „złamała się pewna część sterów”? Chodzi o to, dlaczego się złamała ? Każdy wszak wie, że wystarcza dla takich celów mały „ołówek czasowy”, lub coś w tym rodzaju. Zszokowany, a może nie­przytomny gdy go ratowano, pilot nie zastanawiał się nad tym, a naiwno­ścią byłoby sądzić, że jeżeli zamach miał miejsce, to pilot o tym był poin­formowany.

♦

Lotnisko w Gibraltarze leży na wąskim przesmyku, łączącym skałę z lądem stałym. W roku 1943 wciąż jeszcze powiększano je, „zasypując” morze. Ta ciasnota nie pozwalała wyraźnie odgrodzić lotniska od drogi, którą codziennie około 14.000 robotników cywilnych (o takiej liczbie mówiło sięmiędzy nami, nie wiem na jak dalece słusznych podstawach) przychodziło rano do fortu na różne roboty, a wychodziło wieczorem : w nocy nikogo, podobno, poza wmjskiem i marynarką, nie było. Szli swobodnie, nie dozoro­wani w sposób widoczny.

Znając tedy niedociągnięcia angielskiej służby wartowniczej, nie wydaje się wcale rzeczą niemożliwą, aby ktoś z nich zaplątał się pomiędzy samoloty. Choó mimo wszystko nie mogło to być znowu tak łatwe.

Przypuśćmy jednak, że coś takiego miało miejsce. Mógłby to być wtedy albo agent niemiecki, albo bolszewicki. Czy Niemcom aż tak bardzo na śmierci Sikorskiego zależało — trudno odpowiedzieć. Przy tej koncepcji jednak nie pozostałaby tajemnicą sprawa „teczki”.

„Teczka” mogła obchodzić albo naszych aliantów, używających języka angielskiego, albo Rosję. Ta ostatnia miała Hissa u boku prezydenta Roose- velta. Hiss zaś mógł się posłużyć różnorodnymi sposobami. Ale w komisji Ministerstwa Lotnictwa Rosjan nie było.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

***Z. KIERSNOWSKI.***

**♦**

Szanowny Panie Redaktorze,

Odpowiadam na list p. T. Drobniaka — nie w obronie generała Żeligow­skiego, bo Żeligowski jest wielkością, która mojej obrony nie potrzebuje — ale chcę wyrazić oburzenie na ignorancję i lekkomyślność sądów wypowie­dzianych w tym liście. Pan Drobniak nazwał generała Żeligowskiego „car­skim oficerem, przesiąkniętym kultem dla Wschodu”.

Jedyny zarzut konkretny, który p. Drobniak wysuwa przeciw generałowi jest, iż „...w okresie katastrofy źle się czuł na Zachodzie i w sklerotycznym już mózgu powziął decyzję powrotu na Wschód”. Otóż muszę sprostować, że nie na Wschód tylko do *Polski* wrócił Żeligowski ! Tak podyktowała ma miłość ziemi ojczystej. „Przynosił kości swoje do ziemi ojczystej, której już bronić nie mógł”. I w tym wypadku zupełnie słuszne, że mu było obo­jętnie, kto chwilowo na powierzchni tej ziemi sprawuje władzę. Zrozu­miałe też, że starcowi 80-letniemu, kryształowemu żołnierzowi, który całe życie kierował się tylko rycerskimi zasadami, trudno było się połapać w sytuacji wytworzonej przez totalną zdradę sojuszników, oraz czołowych przywódców polskich partii politycznych. Jedno jest pewne, że Żeligowski nie, jak Mikołajczyk, jechał zrobić karierę w rządzie komunistycznym, tylko by oddać prochy swoje Ziemi, której służył całe życie. Żeligowski źle się czuł na Zachodzie — to prawda, zwłaszcza, gdy poznał jego zakłamanie i zdradę, ale z tego nie wynika, iż miał kult dla Wschodu. Przeciwnie, gdy inni dla kariery w carskiej armii zmieniali religię, on pogardził karierą i zo­stał katolikiem i Polakiem. Spośród wielu generałów (Dowbór-Muśnicki, Hal­ler, Michelis) jeden Żeligowski zdołał wywieźć swoje wojsko z odmętu rewo­lucji rosyjskiej i przyszedł do Polski z bronią w ręku, mimo iż był chyba najdalej od polskiej granicy. Jemu zresztą zawdzięczaliśmy Wilno i jemu zwycięstwo pod Radzyminem („Cud nad Wisłą”). Obronił Warsza­wę» gdy inni generałowie uważali ją za straconą.

A teraz odpowiadam p. Jeleńskiemu na jego wywiad z Weygandem.

Pan Weygand mniema, że Piłsudski zniszczył dywizje Hallera z zazdro­ści o rolę, jaką mogły odegrać. Czyżby to był starczy zanik pamięci, czy dyplomatyczna nieświadomość. Otóż pozwolę sobie przypomnieć, że Fran­cja wysyłając błękitne dywizje do Polski, postawiła warunek, iż nie będą użyte przeciw Rosji. Piłsudski, jak zawsze w podobnym wypadku .obszedł to krzywdzące nas zobowiązanie — dywizje Hallera rozwiązał, a żołnierzywcielił do innych jednostek. Haller jednakże nie został pozbawiony do­wództwa. Dowodził innymi dywizjami i miał sposobność wykazania swego talentu.

Dalej pan Weygand sądzi, że kresowe pochodzenie Piłsudskiego zade­cydowało iż szukał zbliżenia z Niemcami. Znowuż dyplomatyczna nieświado­mość ! Co więc zadecydowało, że Francja szukała zbliżenia z Niemcami **i** osiągnęła je już w pakcie Locarneńskim w 1925 roku ? Pozwolę sobie przy­pomnieć, że do szukania zbliżenia z Niemcami zmusiły Piłsudskiego dwa fakty : 1) Układ w Locarno, który praktycznie przekreślał przymierze polsko- francuskie i wydawał Polskę na łup Niemcom oraz 2) odrzucenie przez Francję proponowanej wojny prewencyjnej przeciw Niemcom w 1933 roku.

Ojcem duchowym układu w Locarno był inny „przyjaciel Polaków” mar­szałek Foch (czytaj pamiętniki Foch’a).

Ale pan Weygand o tych faktach ,,nie pamięta” lub „nie wie” i opo­wiada naiwne bajeczki.

Jest to dyplomatyczna nieświadomość. Dyplomatyczna nieświadomość jest ucieczką tych, co siedzą na ławie oskarżonych.

Z szacunkiem *IV. K.*

♦

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 257 paryskiego tygodnika „Słowo Polskie” z dnia 8 listo­pada br. w dziale — „Wolna Trybuna” — zamieszczony został artykuł pa­ni Izabelli Lutosławskiej z Kanady, pt. „Nie ma prawa do krytyki kto tak nie panuje nad sobą”.

Zgrabnie użyty tytuł, jest — jak się okazuje — jedynie zręcznym chwytem polemicznym, mającym zapewnić autorce dostateczny kredyt i wia­rę u czytelnika.

Już pierwsze zdanie artykułu świadczy jak najbardziej wymownie o rze­czywistych intencjach... — A o co tu właściwie chodzi?!... Chodzi o to, że, co sobie — „w tej *Kulturze* myślą” — ? ... skoro p. K. A. Jeleński, bo **o** niego autorka głównie „szczerbi kopię”, — może sobie pozwolić na na­pisanie recenzji pt. „My szlachta od Jafeta”.

Argumenty jakich dla obrony autora „Dwóch Świadków” używa pani Lutosławska, są, aż dziw bierze, nie codzienne! Oto argument!... "Pawli­kowski jest przecież autorem „Wierzę w jednego Boga”, hymnu religij­nego, który wszedł jako pozycja klasyczna do literatury polskiej”. Fakt ten nie ma nic do rzeczy. Pan K. A. Jeleński bynajmniej nie kwestionuje ani tego utworu, ani katolickości pana M. Pawlikowskiego. Nie ma więc potrzeby — w poważnej i rzeczowej dyskusji podkreślać faktów, które są dla sprawy bez jakiegokolwiek znaczenia. Chodzi bowiem o utwór „Dwa Światy” — a nie o coś innego ! Do pisania rzeczy, które głęboko mijają się z prawdą nie upoważnia nikogo — ani dawna sława, ani nienaganna katolickość. Mamy natomiast prawo — od autora „Wierzę w jednego Bo­ga” spodziewać się czegoś więcej niż tylko pseudo-historii i terminologicz­nych fantazji. — Zaufać? można, owszem..., ale nie p. Pawlikowskiemu, **a** raczej redakcji *Kultury.*

Nie ma też autorka — dla generalnego rozprawienia się z krytykiem — potrzeby powoływania na świadka koronnego; Armii Krajowej, która istot­nie w okresie niemieckiej masakry Żydów w Polsce i w Warszawie, udzie­lała im pomocy, na jaką ją było stać. Niepotrzebne jest również — fał­szywe zresztą twierdzenie, „że na charakter antysemityzmu polskiego naj­jaśniejsze światło rzuca stosunek Polaków do Żydów podczas ekstermina­cji ghetta przez Niemców w Warszawie”. — To jest demagogią czystej wody ! Nie próbujmy odwracać prawd nazbyt oczywistych i, które **są**wszystkim znane. Dobrze wiedzą „nasi Żydzi” czyja młodzież nosiła mie­czyki w klapach —• i jakby tego było nie dość grube laski.

Jako człowiek, który o udzielaniu pomocy Żydom wie coś i, który tej pomocy sam im udzielał w warszawskim ghetcie i również później (przy przekraczaniu granicy węgiersko-rumuńskiej — przez młodych „Haluców”, oraz różnego wieku członków żydowskich organizacji sjonistycznych jak: „Ha- nuar, Betar, Aguda, Gordonia, Szoommer i Mizrachy” (przepraszam czytel­nika za możliwe użycie złej pisowni wyrazów pochodzenia hebrajskiego), po wkroczeniu do Węgier i Budapesztu wojsk niemieckich, gdy Gestapo za­częło szaleć i, rozpoczęła się eksterminacja Żydów węgierskich. Jako będą­cy w Polsce w latach największego — w stosunku do Żydów — niemieckie­go terroru i okrucieństw, stwierdzam, że istotnie cały naród polski udzie­lał Żydom w ich najróżniejszych formach walki z Niemcami, swego peł­nego poparcia i pomocy. Żadne jednak z ugrupowań politycznych nie ma i nie może mieć prawa do dyskontowania tego faktu na ogólny rachunek własny. Pomoc Polaków Żydom powstawała spontanicznie na emocjonal­nym podkładzie walki ze wspólnym wrogiem... I tylko wyłącznie lewica polska, z socjalistami na czele, pomoc swą opierała na wyraźniejszych ideo­logicznych przesłankach i starej, zadawnionej przyjaźni z organizacjami ży­dowskimi.

Wyłączam tu rozmyślnie komunistów, gdyż „pomoc” udzielana Żydom przez nich stanowi dział odrębny.

Taka jest o pomocy Żydom prawda i trudno wobec niej przyjąć wy­wody pani Lutosławskiej. A już nie do uwierzenia jest gdy pisze „o miło­ści” do Żydów pewnej partii politycznej, znanej z antysemityzmu, któ­rą przedzierźga w rolę obrońcy mas żydowskich ! Słowa o tej obronie Ży­dów przez odwiecznych „antysemitów” nie mają po prostu najmniejszego pokrycia. Cytatami i nazwiskami można jednak dowoli żonglować. Oderwa­ne wypadki, udzielenia przez poszczególne jednostki pomocy jednostkom lub nawet grupom, w niczym nie świadczą o stosunku do zagadnienia całej grupy politycznej, którą autorka — między wierszami — bierze gorąco w obronę. W tej sprawie, na plus, nie ma ona nic do zanotowania.

Krytyka p. K. A. Jeleńskiego jest zdrowa i taka być powinna. Mniej więcej taka sama jest opinia p. J. Bielatowicza. Słów takich — w naszym życiu publicznym — nigdy nie będzie dość ! Dobrze właśnie się dzieje, że się znajdują tacy, co mają odwagę o tym pisać, i takie pisma, które jak *Kultura* odważnie udzielają im gościny.

Proszę, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy szczerego szacunku i po­ważania.

*Józef JENNE.*

♦

Sao Paulo, 28 listopada 1953.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na marginesie ciekawego artykułu p. Macieja Feldhuzena pt. „Rubens miał filię w Szkocji” zamieszczonym w nr 11/73 „Kultury”, chciałbym zwrócić uwagę że generał Malinowski nigdy nie był w Polsce zastępcą szefa sztabu głównego. Niestety był tylko w SEKORze (Sekretariacie Komitetu Ob­rony Rzeczypospolitej). Zastępcami szefa sztabu byli : płk. dypl. J. Jaklicz i płk. dypl. J. Wiatr.

Zresztą czy warto z tego powodu robić uwagi ? Niedawno „Wiadomo­ści” przechrzciły samego szefa sztabu gen. Wacława Stachiewicza obdarza­jąc go innym imieniem. Ależ przecież to nie ważne.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

*Adam POLAKIEWICZ* Sao Paulo — Brazylia.

Noty biograficzne autorów

Stanisław KOŚCIALKOWSKI ur. w r. 1881 w Grodnie. Studia uni­wersyteckie odbywał zrazu w Warszawie, później w Krakowie. Od r. 1906 był nauczycielem języka polskiego w szkołach rosyjskich w Wilnie. W la­tach okupacji niemieckiej (1915-1918) brał czynny udział w organizowaniu szkolnictwa polskiego w Wilnie.

W roku 1921 powołany na katedrę historii Polski na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie był profesorem tegoż aż do jego zamknięcia.

W r. 1941 aresztowany i wywieziony do „łagru” na Syberii, zwolniony w r. 1942 pracował w Towarzystwie Studiów Irańskich w Teheranie (1942- 1945) i w Instytucie Polskim w Bejrucie (1945-1950), po jego zwinięciu od roku 1950 przebywa w Anglii.

Pierwszą pracę drukowaną ogłosił w „Wiśle” w roku 1901, następnie pracował głównie nad wiekiem XVIII. („Studia nad dziejami ekonomii królewskich na Litwie”, „Dzieje Komisji Skarbowej Litewskiej”, „Lite­ratura polemiczno-sądowa XVIII wieku” i inne). Druk głównego dzieła jego życia — dwutomowej monografii o Antonim Tyzenhauzie, podskarbim nadwornym litewskim — rozpoczęty w Wilnie w roku 1939 (drukarnia „Grafika”) nie został ukończony. Oryginał uratowany znajduje się obec­nie (w maszynopisie) w Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejęt­ności w Krakowie.

♦

DANUTA BIEŃKOWSKA (z domu Czech), ur. w 1927. Przeszła przez Rosję, Persję, Indie. Studia słowiańskie na Uniwersytecie Londyńskim. Bi­bliotekarka.

♦

FLORIAN ŚMIEJA, ur. 22. 8. 1925 w Kończycach na Górnym Ślą­sku. Studia średnie zakończył w szkolnictwie polskim na emigracji, wyższe w Cork (Irlandia), kontynuuje pracę naukową w King’s College (Londyn).

Należy do grupy młodych literatów zrzeszonych w Kole Polonistów Pol­skiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Staraniem Polskiego Towarzystwa Lite­rackiego w Londynie ukaże się w najbliższym czasie debiut poetycki pt. „Czuwanie u drzwi”.

♦

Zygmunt ŁAWRYNOWICZ. Ur. 14 października 1925 r. w Poniewieżu (Litwa Kowieńska). Szkoła średnia — Polskie Prywatne Gimnazjum w Po­niewieżu, gdzie kończy sześć klas starego typu. Na skutek zamknięcia pol­skich szkół w 1940 urywa się nauka. Członek Związku Harcerstwa Pol­skiego na Litwie (tajne) wstępuje podczas niemieckiej okupacji do Z.W.Z., zakładającego komórki organizacyjne na Litwie. W 1943 roku jako oby­watel litewski zostaje powołany do niemieckiej armii. Mając do wyboru Wehrmacht (front na Wschodzie) i R.A.D. (Reichs Arbeits Dienst) wy­biera R.A.D. i wyjeżdża do Niemiec, gdzie pracuje w okolicy Hamburga przy budowie lotnisk. Po inwazji Francji : Jugosławia, Austria. W 1945 po kapitulacji wstępuje do 2-go Korpusu. Przydzielony do 2-go P.AL-u. W 1946 r. przyjęty do Liceum 3 D.S.K. w Sarnano, które kończy po przy- jeździe do Anglii w r. 1947. Studiuje ekonomię i socjologię w University College Dublin. W 1951 otrzymuje tytuł B. A. (hon.) i wraca do Anglii, gdzie przebywa do tej pory. Jest czynnym członkiem Z.S.A.P.O. (Związek

Studentów i Absolwentów Polaków na Obczyźnie) ; redaguje miesięcznik „Życie Akademickie”.

Tomik wierszy „Epitafium Jesieni” ukaże się w styczniu nakładem Polskiego Towarzystwa Literackiego.

♦

ROMAN KRZYCZKOWSKI. Ur. 1923 r. w Warszawie. W roku 1949 ukończył Politechnikę Londyńską, a w roku 1952 London School of Eco­nomie. Specjalizuje się w zagadnieniach transportu miejskiego. Pracuje od czterech lat w *London Transport.*

♦

WACŁAW SZYSZKOWSKI, urodzony 17. 8. 1904 w Wielkich Łu­kach. Dr Praw. Studia prawnicze w Warszawie, Wiedniu i Paryżu. Przed drugą wojną światową praktykuje jako adwokat w Warszawie; zajmuje Bię ponadto pracą naukową, specjalizując się w prawie morskim. Bierze udział w charakterze członka polskich delegacyj w międzynarodowych kon­gresach morskich, jak Comité Maritime International w Paryżu lub sesji morskiej Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie. W okresie oku­pacji niemieckiej od początku bierze udział w wojskowej pracy konspira­cyjnej (A. K.) aż do Powstania Warszawskiego włącznie. Po uwolnieniu z niewoli niemieckiej poświęca się na Zachodzie działalności polityczno- społecznej. Ogłosił m. in.: *Umowa o pracę na morskim statku handlowym, O niektórych zagadnieniach morskiego prawa pracy, 0 mocy obowiązującej samorządowych orzeczeń dyscyplinarnych przed sądem cywilnym, Le risque de guerre dans l'assurance maritime, Sowietyzacja prawno-polityczna Polski* (odbitka z „Kultury”) ; członek Rady Narodowej.

♦

Stanisław Stefan WESTFAL, ur. w r. 1911 w Lublinie. Gimnazjum w Lublinie. Magisterium z polonistyki językowej, Uniwersytetu Warszaw­skiego, 1934. 1934-1937 — Uniw. Kowieński (lituanistyka). 1937-1938 — ml. asystent i lektor języka litewskiego, Warszawa. Wykańcza część pracy doktorskiej o stosunku slawizmów do wyrazów rodzimych w litewszczyźnie (praca i materiały spalone w Warszawie w r. 1944). 1938-1939, attaché prasowy Poselstwa R.P. w Kownie. 1939-1941 — Prezydium Rady Ministrów w Angers i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Londynie. 1941-1945 — sprawy bałtyckie w M.S.Z. 1947-1949 — st. asystent przy katedrze slawis­tyki, Lund (Szwecja). Od 1949 wykładowca filologii polskiej (lecturer in Polish), Glasgow. Autor szeregu studiów z zakresu języka polskiego i litewskiego. W grudniu 1953 doktoryzuje się w Uniwersytecie Londyń­skim na podstawie obszernej monografii pt. *The Genitive Sg. Masc. in Modern Liter ary Polish.*

♦

ZBIGNIEW RÓŻYCKI. Ur. w 1930 w Warszawie. W czasie wojny i okupacji niemieckiej przebywał w Kraju. Po powstaniu — przymusowy obóz w Niemczech. Przybył do Anglii w czerwcu 1945. Ukończył Stony- hurst College z wyróżnieniem. Do czerwca 1953 studiował historię w Oxford, w Baliol College.

Założył Oxford University Free Europe Society. Obecnie jest wice­prezesem Zrzeszenia Studentów Polskich na Uchodźstwie oraz redaktorem pisma studenckiego w języku angielskim pt. Free Europe. W 1953 r. przy­jęty do College de l’Europe Libre w Strassburgu gdzie pragnął zrobić dok­torat na temat przemian społeczno-psychicznych jakie zaszły w Kraju po wojnie. Nie znalazłszy tam warunków do pracy opuścił demonstracyjnie Col­lege.

**RESUME EN LANGUE FRANÇAISE**

**« Images de crise agraire » — voilà le titre d’un essai de Pawel HOSTOWIEC. L’auteur joint une interprétation pénétrante d’un phéno­mène économique à des évocations personnelles qui constituent autant de « faits uniques » à l’appui de ses thèses. L’Argentine de Peron, la grande crise américaine, le petit usurier juif d’une petite ville perdue de l’Est de la Pologne qui trouve avant la Banque d’Angleterre le moyen d’enrayer la crise dans son périmètre — voilà quelques échantillons d’une suite d’images et d’idées...**

**L’Ambassadeur Michał SOKOLNICKI nous donne la suite de son étude de sources allemandes contemporaines : « L’Allemagne après la Grande Défaite ».**

**Witold GOMBROWICZ s’oppose — dans ses « Pages d’un Journal » à l’interprétation de la littérature en tant que phénomène « historique » ou « extra-historique ».**

**Stanisław KOSÇIALKOWSKI consacre une longue étude au livre du Professeur Jean Fabre : « Stanislas-Auguste Poniatowski et l’Europe des Lumières » (Les Belles Lettres, Paris, 1952). C’est, selon lui, le meilleur ouvrage paru jusqu’à présent sur le dernier règne polonais.**

**Tymon TERLECKI apporte une étude des treize traductions polo­naises du « Hamlet » de Shakespeare, parues entre 1800 et 1953. Etude à laquelle l’auteur — critique littéraire et animateur de théâtre — joint toute une richesse de considérations sur le chef-d’œuvre de Shakespeare et ses interprétations scéniques.**

**Jozef MACKIEWICZ, dont nous connaissions les nouvelles et les romans toujours liés à cette Pologne de l’Est qu’il aime, nous donne cette fois une nouvelle fantastique dans l’ambiance de l’émigration polonaise de Londres : un Marcel Aymé plus sérieux ?**

**Le grand poète polonais K.-I. Gałczyński vient de mourir à Varsovie. K.-A. JELENSKI évoque sa silhouette et sa poésie. « Kultura » publie deux de ses poèmes, dont le « Testament Nocturne ».**

**Le livre de Samuel Sharp, « White Eagle on a Red Field » (Harvard University Press, 1953) a déjà provoqué de vives discussions dans la presse polonaise émigrée. Julius MIEROSZEWSKI et K.-A. JELENSKI l’ana­lysent sous deux angles différents, mais complémentaires : il leur semble que la Pologne n’est pour Sharp qu’un prétexte d’esquisser une politique américaine de capitulation.**

**Dans sa deuxième « Lettre Yougoslave » Łukasz WINIARSKI étudie surtout les problèmes économiques. II a trouvé dans le pays de Tito un authentique ferment de vie et une promesse de liberté.**

**Wojciech ZALESKI a entrepris une tâche sérieuse et délicate : il analyse le fonctionnement du Collège de l’Europe Libre à Strasbourg et propose un plan hardi de réforme d’une institution riche en promesses, mais entravée par de multiples difficultés.**

**Un article de S.N. commente les réactions des Polonais en Pologne à ces émissions. Il se rend compte du scepticisme des auditeurs, souvent las d’un « verbiage » excessif, mais il énumère des nombreuses questions sur lesquelles l’intérêt est toujours vif en Pologne.**

**Roman KRZYCZKOWSKI apporte une étude technique et parfai­tement documentée sur les travaux entrepris à Varsovie en vue de la construction d’un métro. Il analyse toutes les contradictions, et arrive à la conclusion que l’argument majeur pour une telle construction ne peut être que le suivant : assurer à la capitale un refuge anti-aérien adéquat.**

**Dans la section de la plus récente histoire de Pologne, c’est Wacław SZYSZKOWSKI qui nous parle cette fois du sort du barreau polonais pendant l’occupation allemande.**

**Jan ULATOWSKI donne une étude esthétique extrêmement pénétrante: il étudie le problème de la « forme » et du « contenu » de l’œuvre d’art plastique. Ces deux éléments sont pour lui indissociables. « La Réalité est morte — Vive la Réalité » — telle est pour lui le sens pro­fond de toute nouvelle création artistique.**

**Czesław MIŁOSZ nous parle de cinq recueils de vers de jeunes poètes polonais, tous publiés en Pologne en 1952 et 1953. Il voit dans ces poètes des « boy-scouts » intellectuels et moraux de la nouvelle « réalité joyeuse » de l’univers communiste. On entend souvent dire en Pologne**

**parmi les écrivains du régime : « Ce n’est pas pour nous qu’on écrit,**

**c’est pour *eux* ». « Eux », ces « masses » mythiques... Mais où finit**

**« nous », où commence « eux »? — se demande Miłosz. En effet —**

**cette « poésie » n’est guère nouvelle — elle ne fait que continuer la tra­dition (doit-on y voir une preuve de cet « humour historique » dont parle Mascolo à propos du communisme?) d’une poésie de clichés vides de tout contenu dont nous nourrissaient avant la guerre les premières pages des journaux. En tout cas, nous sommes bien loin des espoirs que reposaient dans une humanité nouvelle Marx, Nietzsche, ou Walt Whit- man, dont Miłosz traduit un appel poétique en guise d’avis fraternel à ses cadets...**

**Le présent numéro contient aussi des nombreuses revues de livres polonais et étrangers (entre autres du recueil poétique de Czesław Miłosz « La Lumière du Jour », publié par « Kultura »), des comptes rendus de films et d’expositions.**

**Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l’Ile, Paris-(IV’).**

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz

**Dépôt légal : 1er trimestre 1954**

KULTURA

**REDAKTOR — JERZY GIEDROYC**

♦

**Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)**

Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

|  |  |  |
| --- | --- | --- |
| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata |
| J-roczna | Roczna |
| **AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński,**54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg  | 3 sh. 9 d. | 20 sh. | 40 sh. |
| **ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski,** «Składnica**Książki** Polskiej», Serrano 2076, Buenos Aires **AUSTRALIA: « Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77,** Pitt Street, Sydney  | 10 peso | 60 peso | 120 peso |
| 5 sh. (a.) | £.A.1.7.6. | £.A.2.12.B |
| **BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzo- zowska-Csaky,** 62, Vandrekindere, Bruxelles- Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20  | 30 frb. | 145 frb. | 260 frb |
| **BRAZYLIA:** Prenumeraty przyjmują:**(■lia Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio **de** Janeiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, ruaGuiarâ 139, vila Pompeia, Sao Paulo  | 25 cruz. | 150 cruz. | 250 cruz |
| **FRANCJA: «Libella»,** 12, **rue St-Louis-en-l’lle, Peris-IV»**  | 150 fr. | 900 fr. | 1.800 fr |
| **KANADA:** Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar­cii, N.D. de C., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Stan.** L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winni- peg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybała 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związko­**wiec”** (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. **W„** Toronto/Ont  | 75 cent. | 4 doi. | 6 doi. |
| **MEKSYK: Victor Stanisławski,** Apartado Postal 206, Culiacan, Sin **NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a,** Mann- heim-Schoenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; **ft. Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54  | 75 cent. | 4 doi. | 6 doi. |
| 2,50 DM | 13,50 DM | 25 DM |
| **SZWAJCARIA: Maria Wasung,** 2, rue Ihlberg,Genève, Tel. 2-32-92  | 2 fr. szw. | 12 fr. szw. | 22 fr. saw |
| **SZWECJA: Red. Norbert Żaba,** Kallskârsgatan3/IV, Stockholm  | 3 kr. | 15 kr. | 28 kr |
| **URUGUAY: Jerzy Pałuski,** Calle Itu 2060,Montevideo-Melvin  | 75 cent. | 4 doi. | 6 doi. |
| **U.S.A.: Józef Białasiewicz,** 1165, Milwaukee **Ave.,** Chicago 22, III.; **W. Bieńkowski,** «Gryf **Publ.»,** 615, Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew- Gasetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali­**fornia ; S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St„ Los **Angeles** 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 **Aberdeen** Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; **Andrzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Bar­**barą,** California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, **New** York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 **Neal** St., Detroit 14, Michigan; **S. Sokołowski,** 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; Polish Ame- rlcan Book Center, 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich. | 75 cent. | 4 doi. | 6 doi |
| **W. BRYTANIA: «Cryf»** Publications Ltd., 169 **171,** Battersea Church Road, London, S.W.ll .. | 3 sh. 9 d. | 20 sh. | 40 sh. |
| **WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska,** Corso Trie- #te 130/5, Roma, tel. 859632  | 250 lir | 1.500 lir | 2.500 lir |

♦

W krajach nie wymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji,
doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

♦

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym **na** adres: Jerzy **GIEDROYC,** 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena *ogłoszeń:* cała strona 12.000 fr. ; 1'2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)



**Cena 300 îrs.**

Impiumbrib RICHARD, Paris-18e

BIBLIOTEKA “KULTURY”

*Ukazały się dotychczas następujące tomy :*

T. I. WITOLD GOMBROWICZ TRANS-ATLANTYK I ŚLUB

Cena 600 frB. (12 sh., $ 2,00)

T. II. GEORGE ORWELL **ROK** 1984

Cena 500 frs. (10 sh., $ 1,75)

T. III. CZESŁAW MIŁOSZ ZNIEWOLONY UMYSŁ

Cena 500 frs. (10 sh., $ 1,75) T. IV. JAMES BURNHAM

BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE?

Cena 600 frs. (12 sh., $ 2,00)

T. V. CZESŁAW MIŁOSZ ŚWIATŁO DZIENNE Poezje

Cena 350 frs. (7 sh., $ 1,00)

T. VI. CZESŁAW STRASZEWICZ

TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD

Cena 650 frs. (13 sh., $ 2,00)

UKRAIŃSKA

BIAŁA KSIĘGA,

o przestępstwach so­wieckich. Duży tom za­wierający 560 stron i ponad 100 ilustracji.

BIAŁA KSIĘGA
jest wydana w języku
angielskim. Cena 5 doi.

Zamawiać można :

SUZERO, 79 Ulster St. Toronto, Ont.

Canada.

1. Poland : Wbite Eagle on a red Field. — By Samuel L. Sharp, Cam­bridge : Harvard University Press. — 1953 r. [↑](#footnote-ref-2)
2. MONNEROT Jules. La *guerre en question,* Gallimard, Paryż. [↑](#footnote-ref-3)
3. **Gen. Sir John Hunt,** *Victoire sur l’Everest,* **Amiot-Dumont, Parie,**

**1953.** [↑](#footnote-ref-4)
4. Julian Stryjkowski, *Bieg do Fragala,* Czytelnik, Warszawa, 1951, str. 358, obwoluta i ilustracje Renato Guttuso, okładka J. S. Miklaszew­ski. [↑](#footnote-ref-5)
5. Arnold Słucki, *Poranek,* Iskry, Warszawa, 1953; Franciszek Feni- kowski, *Oddycham morzem,* Książka i Wiedza, Warszawa, 1952; Tadeusz Kowak, *Uczę się mówić,* Czytelnik, Warszawa, 1953; Andrzej Mandalian, *Słowa na codzieû,* Czytelnik, Warszawa, 1953; Henryk Gaworski, *Rytm serca,* Czytelnik, Warszawa, 1953. [↑](#footnote-ref-6)
6. **Dionis Mascolo,** *Le Communisme,* **Gallimard, Paryż, 1953, str. 565 frs. 1.200.** [↑](#footnote-ref-7)
7. Arnold J. TOYNBEE, *Le monde et l’Occident,* str. 186, wyd. Des- clée de Brouwer, Paryż, 1953. [↑](#footnote-ref-8)
8. **Cytaty podaję nie zmieniając pisowni autora ani na jotę. Liczba ozna­cza stronę.** [↑](#footnote-ref-9)